

CEZARY HARASIMOWICZ



LIRA  
WYDAWNICTWO

 **Bieta**

*Powieść o życiu Elżbiety Ficowskiej, cudownie ocalonej z getta*

CEZARY HARASIMOWICZ

# Bieta

L  R A  
WYDAWNICTWO

WARSZAWA 2024

© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2024

© Copyright by Cezary Harasimowicz, 2024

Redaktor: Paweł Pokora

Korekta: Monika Mokrzycka-Pokora

Skład: Klara Perepłyś-Pajak

Projekt okładki: Magdalena Wójcik

Grafika na okładce: ©marylia17/123 rf

Zdjęcia autora i Biety Ficowskiej na okładce oraz zdjęcia

wewnątrz książki: © Maciej Zienkiewicz Photography

Redakcja techniczna: Kaja Mikoszevska

Producenci wydawniczy:

Anna Laskowska, Magdalena Wójcik, Wojciech Jannasz

Wydawca: Marek Jannasz

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2024






ISBN: 978-83-67915-69-4 (EPUB); 978-83-67915-70-0 (MOBI)

Lira Publishing Sp. z o.o.

al. J.Ch. Szucha 11 lok. 30, 00-580 Warszawa



[www.wydawnictwolira.pl](http://www.wydawnictwolira.pl)

Wydawnictwa Lira szukaj też na:     

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



# SPIS TREŚCI

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.
- 5.
- 6.
- 7.
- 8.
- 9.
- 10.
- 11.
- 12.
- 13.
- 14.
- 15.
- 16.
- 17.
- 18.
- 19.
- 20.
- 21.

- 22.
- 23.
- 24.
- 25.
- 26.
- 27.
- 28.
- 29.
- 30.
- 31.
- 32.
- 33.
- 34.
- 35.
- 36.
- 37.
- 38.
- 39.
- 40.
- 41.
- 42.
- 43.
- 44.

- 45.
- 46.
- 47.
- 48.
- 49.
- 50.
- 51.
- 52.
- 53.
- 54.
- 55.
- 56.
- 57.
- 58.
- 59.
- 60.
- 61.
- 62.
- 63.
- 64.
- 65.
- 66.
- 67.

68.

69.

Podziękowania

Przypisy

# 1.

Dawno, dawno temu nad Warszawą pojawił się Pan Bóg. Wybrał sobie ulicę Królewską, bo była malownicza, a Pan Bóg od czasu do czasu lubił napawać się przyjemnym widokiem. Ulica Królewska już z samej swej nazwy błyszczała dostojnością. Sąsiadowała z ogrodem Saskim pachnącym późnym latem, obok wznosił się jasny budynek Zachęty i ciężkawa bryła Giełdy, dalej widać rozległy plac marszałka Piłsudskiego, gdzie prężył się majestatycznie pałac Saski. Pan Bóg przystanął na chwilę przy Grobie Nieznanego Żołnierza, ale tego dnia nie chciał się smucić, więc popłynął dalej, na zachodnią stronę, minął ulicę Marszałkowską i zatrzymał się na Królewskiej obok drogiej kamienicy pod numerem 49. Zajrzał przez okno na pierwszym piętrze. Trochę mu przeszkadzała muślinowa firanka, ale Pan Bóg sobie z nią jakoś poradził.

Mieszkanie było bogate. W salonie stał okrągły dębowy stół, na którym pachniała szabasowa wieczerza. Starsza, dostojna pani poprawiła na czole czepek, który lekko się wrzynał w jej czoło, przymknęła oczy, jakby tym nobliwym gestem powiek chciała odgonić od siebie krępującą niedogodność. Obok kobiety siedział rudy mężczyzna w marynarce skrojonej na tradycyjną modłę. To rodzice gospodyni. Było także dwoje gości. Pan Bóg znał ich nazwisko: to byli państwo Mendelsonowie. I jeszcze jedno zdecydowanie najstarsze małżeństwo, on w satynowym chałacie, ona w chustce i sukni zapiętej pod szyję, o długich rękawach zasłaniających łokcie, w fartuszkach przepięknie zdobionym haftem. Ale uwagę Pana Boga bardziej zajmowała piękna, zielonooka ciemna blondynka, która zapalała dwie świece. Ich ogniki po chwili zaczęły się kołysać w rytm kiduszu<sup>[1]</sup>. Dziewczyna w modnej jedwabnej sukience nazywała się Henia. Rosły, pleczysty mężczyzna w dwurzędowym garniturze trzymał w dłoni kielich wina i odmawiał modlitwę. Mówił powoli, niezbyt głośno, cedząc słowo po słowie:



– „Błogosławiony jesteś Ty, Haszem, nasz Bóg, Król Świata, który uświęciłeś nas swoimi przykazaniami i upodobałeś nas sobie, swój święty Szabat łaskawie z miłością przekazałeś nam jako dziedzictwo, pamiątkę dzieła stworzenia. Gdyż on jest początkiem świętych uroczystości, pamiątką wyjścia z Egiptu. Gdyż nas wybrałeś i nas wyróżniłeś ze wszystkich ludów. A Twój święty Szabat łaskawie z miłością przekazałeś nam jako dziedzictwo. Błogosławiony jesteś Ty, Haszem, który uświęcasz Szabat. Amen”

Mężczyzna miał na imię Izrael, mówiło się doń Josek. Josek Koper był mężem Heni, o dwadzieścia trzy lata starszym. Tę parę gospodarzy Pan Bóg skrzętnie sobie zapamiętał.

Rozpoczęto w ciszy wieczerzę. Były śledzie, łamano chałkę, smakowano faszerowanego szczupaka, siekaną wątróbkę, gefilte fisz oraz cymes, do którego podano srebrne łyżeczki. I to sobie Pan Bóg również skrzętnie zapamiętał. Kiedy wpatrywał się w srebrną łyżeczkę, w uszach zabrzmiało mu echo słów:

„...wybrałeś i nas wyróżniłeś ze wszystkich ludów”..

Następnie Pan Bóg spojrział na swoją dłoń, na której spoczywał mały włochaty stworek i rzekł:

– Jeszcze nie teraz. Jeszcze nie teraz. Poczekaj.

## 2.

Dawno, dawno temu nad Warszawą pojawił się Pan Bóg. Wybrał sobie ulicę Nalewki, bo to była ulica gwarna, głośna jak w ulu na wyroju, szeleszcząca kartkami w składach papieru, dzwoniąca kowadłami w warsztatach szewskich, turkocząca maszynami do szycia u krawców, zaczytana w tomach leżących na półkach księgarskich, tchnąca skórzanym zapachem futer w kuśnierskich manufakturach, szumiąca wesoło przesypanywanymi koralikami w galanterijnych sklepach, rozkrzyczana różnymi głosami sprzedawców. Ale zdziwił się Pan Bóg, bo na Nalewkach nie było już wesołych szumów, ochoczych pokrzykiwań, nie było radosnego gwaru, pozostały jakieś smętne resztki, dawny zapach dostatku przykrył kwaśny smród, ostało się kilka nędznych księgarń, po dawnych kolorach w sklepach z galanterią zostało

szare wspomnienie. Od ulicy Świętojerskiej do Freta i Bonifraterskiej ciągnął się wysoki mur. Ściana odgradzająca getto od reszty świata skręcała na zachód, czyniąc z tego kawałka ziemi więzienie. Na wydzielonej części miasta, w „dzielnicy zamkniętej” murem, stłoczono kilkaset tysięcy ludzi.

Pan Bóg na moment przystanął na chodniku i popatrzył na leżącego trupa, którego ktoś przykrył gazetą. Wiatr raz po raz odkrywał twarz zmarłego. Pan Bóg przycisnął kapryśny róg gazety kawałkiem cegły i poszedł dalej wzdłuż ulicy, w stronę podwórka z mirabelką. Minął wynędzniałą manufakturę strojów karnawałowych, wytwórnię szczotek i dawny sklep z marmoladą. Pan Bóg uśmiechnął się na wspomnienie słodkiego smaku i kroczył dalej.

Zatrzymał się przy szarej kamienicy pod numerem 27, gdzie na parterze, przy szabasowej wieczerzy siedziała znana mu rodzina. Nie było już dębowego stołu, był wąski stół zbity z sosnowych desek. Na owalnym talerzu spoczywała samotna chałka. Przy stole nie zabrakło państwa Mendelsonów, ale nie było starszej kobiety w bogatej sukni z rękawami zasłaniającymi łokcie. Byli rodzice Heni, z tym, że rudy pan Aron Rochman, który na Królewskiej nosił surdut skrojony według tradycyjnej modły, nie miał już tamtego bogatego odzienia, nie miał też bogatej garbarni. Henia nie miała jedwabnej sukienki, ale emanowała ciągle pięknem. I była w ciąży. Już zapaliła szabasowe świece, a jej mąż odmawiał kidusz. Jasek Koper nie miał już mieszkania na ulicy Królewskiej i nie był już udziałowcem Spółdzielczego Banku Kupiectwa Włókienniczego ani właścicielem garbarni. Pan Bóg stał przy oknie i wsłuchiwał się w modlitwę. Wyłowił z niej siedem słów:

„...wybrałeś i nas wyróżniłeś ze wszystkich ludów”..

Dostrzegł jeden szczegół: leżącą na gołym stole łyżeczkę. To była srebrna łyżeczka. Ta z ulicy Królewskiej.

Wtedy Pan Bóg spojrział na swoją dłoń, na której spoczywał mały włochaty stworek i rzekł:

– Jeszcze nie teraz. Jeszcze nie teraz. Poczekaj cierpliwie. To już niedługo.

Po czym Pan Bóg wzniósł się ponad getto okolone murem, popłynął nad bramą przy Ogrodzie Krasińskich, której napis w dwóch językach wieścił, iż za murem jest obszar zagrożony tyfusem, Pan Bóg uniósł się nad ulicą Nalewki, gdzie rosła samotna mirabelka, nad Wałową, gdzie

stała kamienica Friedmana, nad placem Muranowskim usianym nędznymi kramami, nad ulicą Stawki, nad Umschlagplatzem i zniknął w swoim niebie.

### 3.

Nie było Pana Boga, gdy na ulicy Nalewki 27 umierało niemowlę. Dziewczynka nazywała się Debora i umarła z głodu, bo w getcie nagle zabrakło mleka dla noworodków. Matka karmiła córeczkę chlebem nasączonym wodą, ale ponieważ chleb był spleśniały, Deborka dostała skrętu kiszek i umarła. Tego dnia w „dzielnicy zamkniętej” umarło troje dzieci. Jeden chłopiec i dwie dziewczynki. Zwłoki zmarłych położono na wózek i wywieziono na cmentarz przy Okopowej. Pochowano je w zbiorowej mogile. Debora była córeczką małżeństwa, które dokooptowano rodzinie mieszkającej na Nalewkach, tam na parterze. W czterdziestometrowym mieszkaniu żyło już piętnaście osób. Henia chciała patrzeć, jak zabierają Deborkę na wóz, ale Jasek zakrył jej oczy szeroką, ciepłą dłonią. Henia miała urodzić dziecko za miesiąc. Przez szpary w nieszczelnym oknie wdzierał się mróz.

Jasek Koper – którego nazwisko w dokumentach jest pisane w różnych brzmieniach – był przedsiębiorczym mężem. Trzy lata temu współzarządzał bankiem i był właścicielem garbarni w Wołominie. Jasek Koper był zapobiegliwy. Przed przeprowadzką do getta wydzierżawił garbarnię pewnemu folksdojczowi. Jasek miał nadzieję, że kiedy wojna się skończy, odzyska własność. Edgar Bischoff był chytry, ale uczciwy. Wynegocjował dzierżawę za bezcen, ale przekazywał Joskowi comiesięczną ratę, potajemnie w Sądach na Lesznie. Tym sposobem przedsiębiorczy Jasek Koper mógł wynająć większe mieszkanie tam, gdzie Henia mogłaby urodzić dziecko. To była ulica Nowolipie, numer 49. Na szczęście Jasek Koper, kiedy załatwiał lokum dla swojej rodziny, nie miał pojęcia o tym, co wydarzyło się przed kamienicą. Dwa dni wcześniej około pierwszej w nocy przed domem zatrzymał się samochód, z którego wysiedli trzydziestoparoletni mężczyzna i dwaj niemieccy oficerowie. Niemcy pozwolili mężczyźnie odejść kilka kroków, a potem do niego strzelili. Mężczyzna jeszcze żył.

Dobili go dwiema kulami. Następnie zadzwonili do drzwi kamienicy i rozkazali stróżowi zabrać zwłoki. Stróż zawlókł trupa do bramy. Rano zabrano ciało. Nie wiadomo, kim był ten człowiek. Ale ani Henia, ani Josek, ani mama Heni, ani ojciec nie widzieli tej sceny. Na szczęście stróż i mieszkańcy kamienicy milczeli. Pan Bóg też milczał. Padający gęsto śnieg przykrył ślady krwi. Nowolipie na moment zamieniło się w dziecięcą szklaną kulę wypełnioną srebrzystymi pyłkami.

Mieszkanie było czyste. W pokoju stał kaflowy piec. Przedsiębiorczy Josek Koper zaopatrzył go w niewielką ilość węgla, niewielką, ale wystarczającą, by dziecko nie zmarzło po porodzie. Umówił już zaufaną akuszerkę, pielęgniarkę ze szpitala na Czystem i kupił najpotrzebniejsze medykamenty w aptece „Północnej” na Zamenhofa. Josek Koper był mężczyzną racjonalnym, tak jak wymagała bankowa profesja, ale jak niektórzy finansiści był odrobinę przesądny. Toteż wyznaczył przeprowadzkę w sylwestra.

– W sylwestra? – zdziwił się pan Aron.

Pan Aron Pejsach Rochman, ojciec Heni, również mocno stąpał po ziemi. Był przecież nie tak dawno współwłaścicielem garbarni na Przyokopowej, która produkowała siodła, uprząże i cały skórzany sztafaż dla wojska. Ale w duszy pana Arona nie było ani szczypty zamiłowania do przesądów.

– Tak, *tate*. W sylwestra będzie najlepiej – zapewnił Josek teścia.

Pan Aron spojrzał na zięcia i spytał po chwili z odrobiną ironii:

– Bo będzie wesoło?

– Tak, *tate* – odpowiedział Josek Koper. – Nowy rok, nowe życie.

– Nowe... – Aron Rochman chciał coś dopowiedzieć, ale zamilkł.

Henia i jej matka Sara nie odzywały się. W zielone oczy dziewczyny wplątał się odblask śnieżnej poświaty, która przesiąkała przez okno zaklejone na krzyż papierowym przylepcem. Sara milczała, bo taki miała zwyczaj. Sara Rochman miała silne spojrzenie. I to spojrzenie posłane mężowi wystarczyło, by pan Aron przytaknął:

– Jak nowe życie, to nowe życie. *Zal es zejn azoj*<sup>[2]</sup>.

A zatem przeprowadzili się z Nalewek na Nowolipie trzydziestego pierwszego grudnia roku tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego. To była środa. Zerwana kartka z kalendarza mądrzyła się maksymą Hegezjasza, że „człowiek mądry posiada przewagę nad innymi nie tyle w wybieraniu rzeczy dobrych, co w unikaniu rzeczy złych”. Czy dzień i nowy adres wybrane przez Joska Kopera były dobrymi, czy złymi decyzjami? Na to może odpowiedzieć tylko Pan Bóg, ale on skrył się w niebie.

Cały dobytek zmieścił się na wózku, a wózek był podobny do tego, którym wieziono Deborkę na cmentarz przy Okopowej. Z tym, że tamta podróż była nieco łatwiejsza, bo na ulicach nie leżał śnieg. Tym razem koła wózka grzęzły w nieprzyjaznym puchu, więc Jasek Koper pomyślał, czy to nie jest zły omen, czy to Nowolipie 49, czy to dobra decyzja, czy dziecko przeżyje poród, bo, by niemowlę przeżyło, musiałby się zdarzyć cud. Jasek Koper był odrobinę przesądny, ale wierzył, że zły los można pokonać niezłomną wolą. Zatem chwycił za dyszel wózka i pomógł wynajętemu tragarzowi go ciągnąć. Koła zabuksowały, złapały twardszy grunt i wózek z dobytkiem ruszył. Brnęli Gęsią, minęli dom pod numerem 9, gdzie przed wojną mieścił się bank Joska, przez Zamenhofs, Nowolipkami i Karmelicką. Wózek zatrzymał się przy kamienicy na Nowolipiu 49.

Był poniedziałek, piątego stycznia roku tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego. Słońce weszło tuż po godzinie ósmej. Jasek Koper otworzył oczy i pocałował Henię na dzień dobry. Henia wtuliła się w ramię męża. Henia kochała wtulać się w silne, męskie ramię. Czuła ciepło i spokój. Świat nie był spokojny. Mieszkanie było zimne. Jasek wstał z łóżka, zszedł do piwnicy i zmartwił się, bo zostało już niewiele węgla. Kiedy tak stał i się martwił, z góry dobiegł krzyk Heni. Jasek zostawił swoje zmartwienie na kupce węgla i wbiegł po drewnianych skrzypiących schodach na piętro.

Przy łóżku, na którym leżała Henia, stali pan Aron i pani Sara. Pan Aron trząsał się z emocji. Pani Sara poprawiła szajtł<sup>[3]</sup> na głowie, spod którego wypadł niesforny kosmyk siwych włosów. Pani Sara zdecydowanym ruchem schowała kosmyk pod rantem czepka i posłała stanowcze spojrzenie w stronę zięcia. Wyrzekła dwa słowa, które były w jej przypadku istną szczodrobliwością:

– Wody odeszły.

Josek Koper podszedł do kredensu, na którym stał telefon. Wykręcił sześciocyfrowy numer.

– Tu Josek Koper. *Szojn*<sup>[4]</sup>, pani Birmanowa.

Akuszerka mieszkała na Dzielnej. Była na Nowolipiu 49 już po dwudziestu minutach. W tym czasie Sara Rochman i Josek Koper przygotowali wszystko, co należy przygotować do porodu. Pan Aron stał i się trząsał. Kiedy pulchna pani Birmanowa weszła do mieszkania, kiedy przekroczyła próg pokoju, rozkazała:

– *Ale gejen awek*<sup>[5]</sup>.

Wszyscy wyszli według rozkazu. Najpierw pani Birmanowa ujęła dłoń Heni. Dłoń była zimna i mokra.

– Wszystko będzie dobrze, *mejn kind*<sup>[6]</sup>.

Następnie pani Birmanowa zmierzyła rozwarcie i uśmiechnęła się, bo było podręcznikowe. Potem pani Birmanowa rozkazała po swojemu:

– Przyj, moje dziecko, przyj.

Wtedy Pan Bóg wyjrzał z nieba, uśmiechnął się złościście jak pani Birmanowa i sfrunął na ziemię tam, gdzie getto okolone murem, popłynął nad Nowolipkami, które pachniały śmiercią, nad ulicą Nalewki, gdzie rosła samotna mirabelka, nad Wałową, gdzie jeszcze stała kamienica Friedmana, nad placem Muranowskim usianym nędznymi kramami, nad ulicą Stawki, nad Umschlagplatzem i stanął w chłodnym pokoju przy Nowolipiu 49. Wyciągnął przed siebie dłoń, na której spoczywał mały włochaty stworek i rzekł:

– Lubię cię, stworku. Bardzo cię lubię. Nawet cię kocham. – Na chwilę Pan Bóg wstrzymał oddech. – Ciekawe, co zrobisz z tą miłością?

Jest we wszechświecie taka długa zjeżdżalnia, po której na ziemię spływają nowe dzieci. Jedno z nich wylądowało przy Nowolipiu 49 sprószonym srebrnym śniegiem.

To była dziewczynka.

## 5.

Eliszewa znaczy „Bóg mą przysięgą”. Dziadkowie dziewczynki chcieli, by wnuczka tak miała na imię. Rodzice byli innego zdania. Pragnęli, by córka nazywała się Elżbieta. Pan Bóg nie wtrącał się do sporu między

Joskiem i Henią a Sarą i Aronem, czy dziewczynka ma nosić żydowskie miano, czy też spolszczone. Sara twardo optowała za Eliszewą i swoje krótkie zdania przykuwała nieznoszącym sprzeciwu spojrzeniem. Aron wahał się. Bo Aron Pejsach Rochman lubił Polaków, a zaczytany tomik *Pana Tadeusza* leżał na szafce nocnej obok siduru<sup>[7]</sup>. Aron chował w sercu tylko jeden żal do Polski, bo musiał mieć goja za współnika garbarni, jako że Wojsko Polskie nie chciało kupować skórzanych produktów wyłącznie od Żyda. Na szczęście polski współnik okazał się szlachetnym, uczciwym człowiekiem, przyjacielem. Sara była bogobojną córką Abrahama, nosiła się nadzwyczaj tradycyjnie, a w duszy miała wyrytą halachę<sup>[8]</sup> i sześćset trzynaście przykazań jak należy i jak nie należy postępować. Patrzyła ze smutkiem na zięcia, który nie wkładał chałatu, nosił modne garnitury od Zaremby. Sara ciężko wzdychała, widząc, jak jej ukochana córka staje się pod wpływem męża nowoczesną Żydówką. Jednak w końcu dobra i bogobojna Sara ustąpiła, bo uważała, że najgorszą rzeczą w rodzinie są swary, że miszpucha<sup>[9]</sup> stanowi opokę, na której można zbudować całą świątynię Salomona. Mądra i rozważna Sara znalazła cudowny kompromis. Ano ponoć usłyszała kiedyś z ust rabina Steinberga na Tłomackiem, iż zdrobnienie „Elżunia” jest bardzo żydowskim imieniem. Zatem zawarto kompromis. Dziewczynka została Elżunią.

– Elżuniu...

Henia przystawiła pierś do warg dziewczynki. Henia poczuła błogość w ciele i duszy. Bo Pan Bóg stworzył kobietę bardziej po to, by czuła błogość w sercu i duszy, gdy karmi dziecko, niż po to, by karmiła mężczyznę jabłkiem zerwanym z drzewa wiadomości dobrego i złego. Lecz cóż zrobić, gdy w piersi zabraknie pokarmu? Tego widocznie Pan Bóg nie domyślił.

– Josek?

– Tak, Heniu?

– Chyba jestem pusta.

Josek przystanął w drzwiach. Koper w ostatnich tygodniach wychudł, zrobił się już nie taki barczysty, jakim jeszcze był niedawno. Opadły mu ramiona pod zniszczonym paltem.

– Jak to jesteś pusta?

– Straciłam pokarm.

W tej chwili, w tym miejscu opowieści, niemowlę powinno się rozpłakać. Ale Elżunia nie rozpłakała się. Spojrzała swoimi granatowymi oczami gdzieś ponad pierś matki. Nie wiadomo, czy dostrzegła Pana Boga stojącego w drzwiach, obok zeszywniałego z niepokoju Joska. Pan Bóg minął mężczyznę i wyszedł z kamienicy przy Nowolipiu 49, skręcił w Karmelicką i zniknął w przedwiosennej mgle.

By odzyskać pokarm w piersiach, należy przystawiać niemowlę do ssania jak najczęściej. I tak Henia robiła.

– *Zojgn*<sup>[10]</sup>, Elżuniu, pij, kochanie.

Dziewczynka była posłuszna i ssała pustą pierś. Henia już nie odczuwała błogości w ciele i duszy. Stawała się coraz bardziej pusta.

W końcu dziecko zaczęło płakać z głodu. Jasek próbował zdobyć pokarm dla córeczki w stacji „Kropla Mleka”, ale dostawy do getta były nieregularne, a niemowlę coraz częściej płakało z głodu. Wtedy Henia zaczęła karmić Elżunię chlebem rozmoczonym w wodzie. Bardzo uważała, by chleb nie był spleśniały. Pamiętała, co zdarzyło się Deborce leżącej przy Okopowej w zbiorowym grobie. Chleb w getcie bywał często spleśniały albo miał w sobie piasek. Chleb był racjonowany. Jasek kupował przydzieloną rodzinie rację w piekarni na Lesznie 56. Kromkę przeznaczoną dla Elżuni moczył w słoiku. Wtedy piasek opadał na dno szkła. Następnie Henia i Sara wzbogacały chlebowy miąższ cukierkami. Cukierkami, bo prawdziwy cukier był drogi, kosztował na czarnym rynku trzydzieści złotych za kilogram, a rodzina miała już coraz mniej oszczędności. Na Siennej przy Sosnowej mieścił się kiosk z prasą. Obok kiosku z gazetami stał sprzedawca cukierków i papierosów. Cukierki były mieszaniną melasy i sacharyny, owinięto je w papierki z gwiazdą Dawida. Kosztowały trzydzieści groszy za sztukę. Rozpuszczony cukierek Henia i Sara mieszały z rozmoczonym chlebem, wkładały w lnianą szmatkę i Henia przytykała ów smoczek do płaczących ust Elżuni.

– *Zojgn, kochanie, ssij.*

Wtedy Pan Bóg znów pojawiał się na Nowolipiu i dziewczynka przestawała płakać. Elżunia nabierała siły.



Pewnego dnia – a było to na przedwiośniu, kiedy za murem getta paki w Ogrodzie Krasińskich szykowały się do życia – Jasek Koper zajrzał do walizki. Pod drugim dnem znajdowała się skrytka. Tajny schowek Jasek wyszukiwał według wskazań teścia, jeszcze zanim rodzina została przesiedlona do getta. Aron znał się przecież na rymarskim fachu i wiedział, jak sporządzić drugie dno w skórzanej walizce. W tejże skrytce przemycono trochę majątku w gotówce, złocie i srebrze. Tu Jasek gromadził topniejące z miesiąca na miesiąc raty za dzierżawę garbarni w Wołominie. Wśród zasobów znajdowała się srebrna łyżeczka. Gros apanaży poszło na znalezienie i wynajęcie mieszkania na Nowolipiu, gdzie miała się bezpiecznie urodzić Elżunia. Reszta rozeszła się na życie. Życie po żydowskiej stronie muru było drogie: ceny szmuglowanej żywności przewyższały o pięćdziesiąt procent te po aryjskiej. Życie po żydowskiej stronie muru było tanie: wystarczyło nosić brudną opaskę z gwiazdą Dawida, wystarczyło założyć ją na lewe ramię, wystarczyło nie tak spojrzeć na Niemca, by życie stracić.

A zatem pewnego dnia Jasek Koper otworzył drugie dno w skórzanej walizce i zmartwiało. Niewiele już zostało z majątku. Jasek podniósł kartkę, gdzie z buchalteryjną precyzją były zapisane ołówkiem kopiowym wszystkie wydatki. Kilka razy sprawdził kolumny cyferek i zamyślił się. Potem przeliczył, czy starczy jeszcze na czynsz, żywność, naftę, karbid, lekarstwa dla Sary i Arona, bo rodzice Heni coraz częściej zapadali na zdrowiu. Panią Sarę męczyła astma i traciła wzrok. Majątek zgromadzony w skrytce nie był jedyną finansową ostoją rodziny. Jasek pracował w szopie Bernarda Hallmana, w zakładzie stolarskim, niedaleko dawnego lokum, bo na ulicy Nowolipki 66. Izrael Koper był teraz stolarzem, nie był już przecież finansistą. Płaca u Hallmana była nędzna.

– Jasek?

– Tak, kochana?

Henia lubiła tę nocną chwilę, kiedy Elżunia już spała. Mogła bezkarnie wtulić się w coraz bardziej chude ramię męża. Chude, ale ciągle silne. Uwielbiała zapach drewna, który Jasek przynosił ze sobą ze stolarni. A Jasek uwielbiał zielone oczy Heni, w których odbijał się siny blask karbidówki. Henia ciągle była piękna. Piękna i zgrabna. Żadna kobieta na Nowolipiu nie miała takich nóg. Henia, mimo karcących spojrzeń Sary, nosiła spódnicę do pół łydki. Widok

posągowych kształtów wzbudzał zachwyty przechodniów, nawet Niemców, co doprowadzało Joska do wściekłej zazdrości. Ale gniew gasł, kiedy leżeli wtuleni w siebie na ciasnym łóżku, opatuleni kocem i zapachem drewna. Było im ze sobą dobrze.

– Tak, kochana? – powtórzył szeptem Josek.

– Pójdę do pracy – odrzekła Henia.

Odblask karbidówki prześliznął się po zmarszczonym czole mężczyzny.

– Do pracy?

– *Jo, mejn tejere*<sup>[11]</sup>. Będzie nam lżej.

Josek zwinął pięści. Zaciśnięte, chropawe palce wyglądały dziwnie w półmroku. Dwie pięści zamieniły się w niezgrabne, trochę żałosne kule.

– Gdzie?

– W szopie Többensa – odrzekła ze spokojem Henia. – Będę krawcową.

Josek podniósł się na łokciu. Na twarzy zajaśniał gniew.

– Nie ma mowy.

– Dlaczego?

– Wiesz, ile tam płacą?

– Wiem.

Głos Joska był twardy. Przyjemny zapach drewna wchłonęła ciemność.

– Ile?

– Dwa złote, dziesięć groszy za godzinę.

– Ile? – powtórzył Josek głośniej.

Zielone oczy Heni pociemniały.

– Ciszej, bo dziecko obudzisz.

– Właśnie.

– Co: właśnie?

– *Wos wet pasirn mit Elżunia?*<sup>[12]</sup>

Zieleń w oczach Heni jeszcze bardziej pociemniała.

– U Többensa jest ogródek jordanowski dla dzieci.

Josek spojrzał na córkę leżącą w wiklinowym koszu.

– Niemcy założyli ogródek jordanowski dla żydowskich dzieci?!

– Ciszej, Josek, ciszej.

– I co? Niemowlę będą szwaby huścić na huśtawkach?

Henia zamilkła na moment. Josek nie poddawał się, cedząc słowa:

– Pytam: co zrobisz z dzieckiem? Ojciec słabuje, a *mame* jest chora.

Usta Heni zamieniły się w wąską kreskę. Zawsze tak było, gdy jej łagodny charakter zamieniał się w chłód, z uroczego i odrobinę tajemniczego uśmiechu robił się kaprys.

– Coś wymyślę.

W tym momencie Elżunia przewróciła się z boku na bok i zapłakała. Chropawe pięści Joska rozwiązały się, mężczyzna wstał z łóżka, pochylił się nad dzieckiem i wyszeptał:

– *Was iz geszen, mejn lib?*<sup>[13]</sup> Co tam ci się przyśniło, córeczko?

I Jasek ujął w swoją wielką dłoń małą różową piąstkę, jakby chciał dziewczynkę gdzieś poprowadzić. I dziecko przestało płakać.

## 7.

Z kamienicy na Nowolipiu do warsztatów Többensa było dwa tysiące czternaście kroków. Wzdłuż Nowolipia na północ. W prawo Karmelicką wzdłuż muru, potem znowu w prawo, ulicą Leszno po parzystej stronie, mijając fabryczkę tekstylną, skład artykułów żelaznych, warsztat stolarski w głębi podwórka, zakład rymarski pod siedemdziesiątką, by wreszcie dotrzeć do ziemi obiecanej, do „dużego Többensa”. Można by przejść krótszą drogą, ale skrót przez Żytnią zagrażał mur. Henia odliczyła dokładnie kroki. Ta rachuba była niezbędna ze względu na Elżunię. Ale żeby dostać pracę w warsztacie szyjącym mundury, płaszcze wojskowe i gumowe, czapki oraz bieliznę, Henia musiała najpierw udać się do „małego Többensa”. Tym razem nie liczyła kroków, bo było to zbyteczne.

Nad Warszawą niebo wisiało nisko i wydawało się, że chce przygnieść świat swoją szarością. Henia musiała dostać się z dużego getta do małego, bo tak podzielili „dzielnicę zamkniętą” pedantyczni Niemcy. Całkiem niedawno wzniesiono nad ulicą Chłodną kładkę, by Żydzi bez zakłócania ulicznego ruchu mogli przejść z jednej części getta do drugiej. Kładkę szybko nazwano „mostem westchnień”. Jak trafna była to nazwa, Henia mogła się przekonać przechodząc pierwszy raz nad Chłodną. Stała na moment przy barierce. Dołem przejeżdżała właśnie „szesnastka”. I Henia nagle zamarzyła, by znaleźć się w tym tramwaju, przejechać kilka przystanków, spojrzeć na niedostępną Warszawę. Lecz

ktos ją potracił i szare niebo przygniotło Henię. Poprawiła plecak na ramionach i zeszła z mostu.

Po kilkunastu minutach była już na Prostej 14, gdzie mieścił się „mały szop Többensa”. Tam przed bramą czekała na nią zniecierpliwiona kobieta, którą Henia nazwała w duchu „paniusią”. Paniusia miała pomalowane paznokcie na wściekle czerwony kolor. W palcach żarzył się papieros, włosy ufryzowane na hollywoodzką falę, miała karminowe wargi, na ręce spoczywała złota omega, na którą paniusia ostentacyjnie rzucała umalowanym okiem. Paniusia była żoną policjanta, zajmowała się rekrutierungiem nowych pracowników. Fuknęła:

– Pani się spóźniasz, pani Koper.

Henia spuściła wzrok.

– Przepraszam.

– Pani nie przepraszaj, pani Koper. Pani jesteś kapcan. U pana Többensa się nie spóźnia – rugała paniusia. – U pana Többensa nie ma spóźniania. U pana Többensa wszystko jest na zicher.

– Ja... Pierwszy raz... Pierwszy raz... do małego getta...

– Każden pierwszy raz może być ostatni, kochana.

Henia nie spuszczała wzroku z jakiegoś przywianego papierka, który leżał na chodniku. Paniusia obrzuciła Henię nieprzyjemnym spojrzeniem.

– Masz pani próbkę szycia?

– Tak.

– *Wajzn*<sup>[14]</sup>.

– Już, już pokazuję.

Henia posłusznie zdjęła z ramion plecak i wyjęła zeń niemowlęce śpioszki.

– Co to jest?

– Śpioszki.

Paniusia uwolniła wypielegnowaną dłoń od papierosa i przydeptała go obcasem. Uszminowane usta wyduły się.

– Pani masz niemowlę, pani Koper?

– Nie... To dla sąsiadki... Uszyłam ręcznie... Z koca...

Paniusia wyjęła śpioszki ze sztywnej dłoni. Obejrzała dokładnie.

– Ścieg maszynowy – tłumaczyła Henia.

– Przecież widzę. Całkiem równy. Ale w szopie nie szyjemy igłą. Umiesz na maszynie? – Paniusia swobodnie przeszła na „ty”

– Tak.

– No – paniusia oddała śpioszki. – Żadnych mi niemowląt.

Henia zamarła. Paniusia trajkotała:

– Pan dyrektor przyjmuje na arbeit kobiety z dziećmi, ale z tymi od trzech lat. Na „dużym szopie” jest...

– ...ogródek jordanowski. Wiem – przerwała Henia.

Paniusia skrzywiła się, bo nie lubiła, kiedy jej się przerywało. Poprawiła nonszalanckim gestem opaskę z gwiazdą Dawida.

– To mam szansę? – spytała cicho Henia.

Paniusia spojrzała na Henię i ważyła coś w myślach.

– Jesteś laleczka.

– Słucham?

– Pan dyrektor lubi popatrzeć na ładne laleczki.

Przez ciało Heni przebiegł ostry prąd. Chciała się odwrócić i odejść, ale w tym momencie paniusia wyjęła z kieszeni jakiś przedmiot. Był to kolorowy kwiat. Bo u Többensa robiono sztuczne kwiaty ze ścinków mundurów i bielizny.

– Jak ma na imię to niemowlę sąsiadki?

– Elżunia.

Paniusia podała Heni kolorowy sztuczny kwiat i zniknęła za bramą szopu. Na odchodne rzuciła ponad rozkołysanym ramieniem:

– Jutro w „dużym szopie” piętnaście minut po godzinie policyjnej. Musisz załatwić arbeitserlaubnis<sup>[15]</sup>.

## 8.

Owego dnia promienie wschodzącego słońca czały się za murem, by rozpędzić niskie niebo. W sinym powietrzu – prócz słodkawego odoru stęchlizny i gryzącego zapachu węglowej zawiesiny – wisiały powiewy wiosny. Pani Sara dusiła kaszel, udając, że jej płuca są jeszcze do rzeczy. Pochyliła się nad Elżunią i walcząc z zadyszką, wyszeptwała modlitwę:

*Stanęły nogi nasze w bramach twoich, Jeruzalem.  
Jeruzalem, tak zbudowane, żeś jest miasto całe zwarte w sobie.  
Dokąd wstępują plemiona, plemiona Pańskie, aby  
na świadectwo Izraela wystawiać Pańskie*

*imię.  
Gdzie ustawione są krzesła sądu, trony domu Dawidowego.  
Proście o pokój dla Jeruzalem, niech będą bezpieczni miłujący  
ciebie...<sup>[16]</sup>*

Nad wiklinowym koszykiem, w którym leżała Elżunia, stali: Henia Koper, Jasek Koper, Aron Pejsach Rochman i Sara Rochman powstrzymująca kaszel modlitwą o powrocie do Jerozolimy. Pod ścianą stał Pan Bóg. Pan Bóg ukrył melodię w dłoniach i przeniósł ją nad murem na aryjską stronę.

*...Niech będzie pokój w basztach twoich, pokój w pałacach twoich.  
Gwoli braciom i towarzyszom moim życzę tobie pokoju.  
Gwoli domowi Pana, Boga naszego, błagam o pomyślność dla  
ciebie<sup>[17]</sup>.*

Dziewczynka miała wciąż otwarte oczy i to bardzo niepokoiło Henię. Pani Sara nie przerywała modlitwy, choć szeptała ją z coraz większym trudem. W końcu dziecko usnęło. Nie mogło być inaczej: Elżuni podano luminal. Jasek załatwił krople w aptece „Północnej” na Zamenhofs. Luminal kosztował złotą monetę, „świnkę” wyjętą z walizkowego skarbca.

Kiedy dziewczynka usnęła na dobre, Henia przewinęła dziecko w suchą bawełnianą pieluchę. Sara poradziła krótko:

– Załóż jej podwójną – poprawiła się: – Nie. Potrójną.

Henia wykonała szorstkie polecenie. Następnie w milczeniu, ostrożnie i delikatnie umieściła śpiące niemowlę w plecaku. Założyła drelichową kurtkę. Założyła plecak na ramiona. Poczwała na swoim ciele ciepło córki. Elżunia poruszyła się. Potem znieruchomiła. Henia stanęła na progu. W prostokącie drzwi wyglądała jak pastelowa figura na oprawionym w ramy obrazie. Światło wstającego dnia rozproszyło się pod jej stopami niczym jasna aureola. Henia otworzyła usta i powiedziała:

– *Zej gezunt*<sup>[18]</sup>.

Jasek chciał podejść do żony, objąć ją ramieniem na do widzenia, ale tego nie uczynił. Powiedział:

– *Zej gezunt.*

– *Zej gezunt* – rzekł cicho Aron.

– *Zej gezunt* – rzekła, łapiąc oddech, Sara.

Henia odwróciła się i wyszła z mieszkania. Pan Bóg wyszedł za Henią.

Odliczała w duchu każdy krok:

...trzysta siedemdziesiąt sześć, siedemdziesiąt siedem...

W prawo, Karmelicką, wzdłuż muru. Pan Bóg szedł za nią krok w krok.

...czterysta czterdzieści jeden, czterysta czterdzieści dwa...

W prawo, ulicą Leszno, po parzystej stronie. Pan Bóg za nią.

...pięćset osiemnaście, pięćset dziewiętnaście...

Minęła fabryczkę tekstylną. Niemowlę poruszyło się w plecaku. Henia przystanąła. Pan Bóg przystanął. Ruszyła. Pan Bóg ruszył.

...tysiąc trzysta sześćdziesiąt trzy, tysiąc trzysta sześćdziesiąt cztery...

Minęła skład artykułów żelaznych, Pan Bóg szedł za nią.

...tysiąc siedemset czterdzieści...

Warsztat stolarski w głębi podwórka.

...tysiąc osiemset dwadzieścia dwa...

Zakład rymarski.

...tysiąc dziewięćset piętnaście...

Elżunia zapłakała. Umilkła. Henia chciała zajrzeć do plecaka. Ale nie zajrzała.

...dwa tysiące czternaście.

Leszno 74. Stała przed bramą „dużego Többensa”. Poprawiła delikatnie plecak. Znow poczuła na sobie ciepło dziecka. Strażnik kiwnął palcem. Podeszła. Pan Bóg nie podszedł.

– *Ausweis und Papiere*<sup>[19]</sup>.

Podawała w milczeniu ausweis i resztę dokumentów. Zrobiła wszystko, by dłoń jej nie zadrżała. Strażnik uważnie zlustrował kobietę. Najpierw zatrzymał wzrok na zgrabnych nogach, potem na plecaku.

– *Was ist in deinem Rucksack?*<sup>[20]</sup>

Postarała się, by głos jej nie zadrżał.

– W plecaku? Sweter i chustka. I takie tam...

Strażnik spojrzał podejrzliwie spod rantu hełmu. Wyciągnął dłoń, nakazując, by się nie ruszała. Spostrzegła, że Niemiec ma bardzo ładne piwne oczy i jeden odrobinę niedogolony policzek. Strażnik stanął za jej plecami. Chciała się odwrócić, ale nie mogła. I dobrze, bo lepiej by tego nie widziała: strażnik sięgnął po bagnet wiszący u paska.

*...Gwoli domowi Pana, Boga naszego, błagam o pomyślność dla ciebie...*

Ostrze przeszło plecak. Henia poczuła kolejny raz na sobie ciepło ciała córki. Bagnet przebił się o dwa milimetry obok głowy dziecka. Pan Bóg odwrócił się i odszedł wzdłuż ulicy Leszno, po parzystej stronie.

– *Komm herein*<sup>[21]</sup> – rozkazał strażnik.

Przekroczyła bramę warsztatów Többensa. Naocznym świadkiem powyższej sceny była niejaka Regina Kukułka.

## 9.

Maszyny do szycia były pierwszorzędne, elektryczne i niemiłosiernie turkotały. Ów hałas wbijał się w mózg Heni jak gwóźdź. Nakarmione luminalem niemowlę spało w plecaku. Plecak leżał obok żelaznego stelaża podtrzymującego maszynę. Po prawej stronie było okno i Henia od czasu do czasu chciała zerknąć przez szybę, by oderwać myśli od strachu. Lecz szyba była tak brudna, że nie można było dojrzeć świata na zewnątrz. Dziecko spokojnie spało. Plecak miał dziurę po bagnecie. Henia postanowiła jej nie zaszywać. Uznała to rozdarcie za szczęśliwy omen. Jasek nie zauważył dziury w plecaku.

Praca w szopie trwała od ósmej rano do siódmej wieczorem z przerwą na obiad. O wpół do ósmej – śniadanie: kubek zbożowej kawy i kawałek chleba z marmoladą. Na obiad: obiecano dwa talerze wodnistej zupy, ale nie dotrzymano obietnicy. Pracowano taśmowym systemem. Jeden podawał robotę drugiemu. W sali maszynowej pracowały głównie kobiety. Mężczyzna o mocnych dłoniach i złamanym nosie kładł przed Henią stertę materiału wykrojonego na spodnie, który trzeba było starannie zszyć. Henia je zszywała, a sterta rosła. Nazwała w duchu tego mężczyznę „Bokserem”. Bokser chciał się przedstawić, ale Henia nie mogła tracić czasu. Trzeba było się śpieszyć. Dzienna norma kontyngentu musiała się zgadzać co do jednej pary. Potem wojskowe mundury wędrowały do magazynu, skąd jechały na front. Henia kilka razy zastanawiała się, ilu ludzi zabije żołnierz Wehrmachtu w uszytych przez nią spodniach. Z czasem przestała o tym myśleć. Z czasem przestała także pragnąć widzieć, jak wygląda świat za matową szybą. Obchodziły



ją tylko ścięgi i dziurawy plecak, w którym spała jej córka, z którą za nic w świecie nie mogła się rozstać. Któregoś dnia Bokser zniknął i zastąpił go chłopak o delikatnych dłoniach. Trudno mu było nimi dźwigać stertę materiału. Henia nie spytała, co się stało z Bokserem. Nikt nie pytał o Boksera. Jedni ludzie znikali, drudzy ludzie woleli nie pytać. Dlaczego Elżunia nigdy nie rozplakała się w plecaku – wie tylko Pan Bóg. A Pan Bóg nigdy się nie pojawił w szwalni. Z czasem Henia przywykła do tego, iż obok prawej stopy leży w dziurawym plecaku jej dziecko. Warkot maszyn do szycia już nie wbijał się w mózg niczym gwóźdź. Choć wydaje się to niemożliwe, Henia czuła przez prawą stopę emanujące ciepło ciała córki. I wtedy była szczęśliwa.

Lecz raz zdarzył się nieoczekiwany przypadek. W szwalni pojawił się dyrektor Walter Caspar Többens. Był to mężczyzna po trzydziestce. Miał na sobie dwurzędowy garnitur, odznakę ze swastyką wpiętą w lewą klapę, wydatna dolna warga i wyłupiaste oczy były jego znakami szczególnymi. Dyrektor Többens okolił wzrokiem pracujące przy maszynach szwaczki. Gdy się przechadzał z uśmiechem wzdłuż rzędu, każda z kobiet wstawiała na baczność i schylała głowę. Dyrektor Többens był cztery stanowiska od Heni. Potem trzy, następnie dwa, jedno. Kiedy nieuchronnie zbliżał się, Henia poczuła, że nie może wstać. Gdyby to zrobiła, zerwałaby niewidzialną nitkę, która łączyła jej prawą stopę z córką śpiącą w dziurawym plecaku. Ale dyrektor Többens zatrzymał się przy Heni i Henia wstała na baczność, opuszczając głowę. Niewidzialna nitka naprężyła się.

– *Name?*<sup>[22]</sup> – spytał dyrektor Többens, uśmiechając się słonecznie.

– Henia Koper, *Herr Direktor*<sup>[23]</sup>.

Wypukłe spojrzenie dyrektora Többensa przesunęło się wzdłuż ciała Heni. Od zielonych oczu, w dół. Zatrzymało się na zgrabnych łydkach.

– Henia, Henia... – mamrotał Niemiec.

Pomyślała:

– Mam dziś spuchnięte nogi. Boże, mam dziś spuchnięte nogi. Boże spraw, żeby mi jeszcze bardziej spuchły...

Niewidzialna nitka między prawą stopą a córką śpiącą w plecaku napięła się jeszcze bardziej.

– *Wie alt bist du?*<sup>[24]</sup> – spytał dyrektor Többens, nie gasząc uśmiechu.

– Dwadzieścia cztery. Mam dwadzieścia cztery lata, *Herr Direktor*.

– Chodź ze mną.

Niewidzialna nitka napięła się jak struna. Henia spojrzała na plecak.

– To możesz zostawić. No chodź.

Dyrektor Többens wskazał kierunek. Henia zatoczyła spojrzeniem koło po szwalni, jakby chciała poszukać ratunku, ale nic nie ujrzała.

– *Komm mit mir*<sup>[25]</sup>.

Niewidzialna nitka naprężyła się, ale nie pękła. Plecak z Elżunią leżał pod maszyną do szycia, pod brudnym oknem. Chwila trwała wieczność. Wszyscy zerkali ukradkiem na Többensa i Henię. O dyrektorze różnie się mówiło w getcie. Naruszenie czystości rasy mogło się dla dyrektora źle skończyć, ale dyrektor Walter Caspar Többens widocznie się tym nie przejmował. Kobiety, które zapraszał do swojego gabinetu, najpierw płakały, a po paru dniach znikwały.

– Rusz się – warknął Többens, gasząc uśmiech.

– Nie mogę.

– *Warum?*<sup>[26]</sup>

Henia poszukała odpowiednich słów. Znalazła tylko takie:

– Bo mam spuchnięte nogi.

Oczy Többensa zrobiły się jeszcze bardziej okrągłe. Henia zastanawiała się, czy wydała na siebie wyrok, czy za parę dni zniknie. Ale dyrektor Többens tylko machnął ręką i wrócił do swojego gabinetu. Gabinet był jasny, mimo iż meble były ciemne. Górowało dębowe biurko z niewielkim, nienachalnym popiersiem Führera. Za czystym oknem świeciło wiosenne słońce. Többens usiadł za biurkiem. Wyjął z kieszeni marynarki srebrną papierošnicę. Otworzył ją z delikatnym trzaskiem. Papieros, który Többens przypalił, miał złoty ustnik. Többens zamyslił się.

Henia usiadła za maszyną. Plecak był na swoim miejscu pod stelażem. Dziewczyna przysunęła doń prawą stopę i znów poczuła pulsujące ciepło.

– Zostaw Elżunię w domu – powie Sara.

– *Nejn*<sup>[27]</sup> – odrzeknie Henia.

Pewnego dnia – a było to w maju, kiedy za murem liście kasztanowców w Ogrodzie Krasińskich wyrwały się do życia i kiedy Elżunia już z trudem mieściła się w plecaku – pan Aron postanowił odwiedzić Pana Boga w domu modlitewnym mieszczącym się na rogu Nowolipia i Karmelickiej. Zaledwie kilkaset metrów od kamienicy, w której dziewczynka przyszła na świat. Kilkaset metrów było trudne do pokonania, bo pan Aron Pejsach Rochman tracił siły. Lecz Aron chciał się koniecznie pomodlić. Jak już wiadomo, to pani Sara była wyznacznikiem pobożności w małżeństwie. Karciała męża przenikliwym spojrzeniem, gdy Aron łamał zasady zapisane w halasze. Zdarzało się przed wojną, iż marnotrawny małżonek potrafił wymknąć się spod żelaznych skrzydeł żony i ze swoim polskim współnikiem udawali się na niekoszerną wódkę i całkiem niekoszerną golonkę. Ale w getcie mało było niekoszerniej wódki, o golonce nie ma co mówić. W getcie były: racjonowany chleb, szarość, głód i trwoga. Jak trwoga, to do Boga, więc rozchwiana dusza Arona stawała się pobożna. A zatem owego pięknego majowego dnia pan Rochman wetknął sobie pod ramię sidur, zawiniątko z filakteriami<sup>[28]</sup> oraz tałesem<sup>[29]</sup> i ruszył, by porozmawiać z Panem Bogiem, dlaczego ten stworzył świat takim, iż jego wnuczka musi być ukrywana w plecaku. Pani Sara ogarnęła męża spojrzeniem i uśmiechnęła się, co było z jej strony istnym dobrodziejstwem. Ale jasność na twarzy kobiety tak szybko zgasła, jak się pojawiła.

– *Iber was iz das?*<sup>[30]</sup> – spytał zaniepokojony pan Aron.

Sara swoim zwyczajem wytrzymała milczącą pauzę.

– O co ci chodzi, kochanie? – powtórzył jeszcze bardziej spięty pan Rochman.

A pani Sara nicowała męża spojrzeniem na wylot. Wreszcie odezwała się:

– „O co chodzi, o co chodzi?” Broda.

– Co: broda?

– Potargana. Nie możesz iść się modlić z taką zmierzwioną brodą.

Pan Aron machnął ręką i odwrócił się na pięcie. – *Genug!*<sup>[31]</sup>

– Czeka! Aron, powiedziałam: czeka!

Nie było, o co walczyć. Aron zatrzymał się grzecznie w progu. Pani Sara podeszła do chybotliwego stoliczka, który Josek starał się naprawić, ale mu nie wyszło. Pogderała pod nosem, że żaden z zięcia stolarz,

sięgnęła po leżący na stoliczku szylkretowy grzebień. Podreptała do męża. Zakaszłała. Rozkazała:

– *Sztejn sztil*<sup>[32]</sup>. Nie ruszaj się.

Szylkretowy grzebień wędrował wzdłuż kosmyków siworudej brody, która w odblasku majowego słońca wydawała się utkana ze szczerego złota. Następnie troskliwa pani Sara Rochman strzepnęła pyłki z ramion małżonka, poprawiła sterczący pod ramieniem sidur i pomyślała, jak bardzo kocha męża. Nakazała szorstkim tonem:

– No już. Możesz iść. Tylko nie pomył modlitw.

– *Gut, gut*<sup>[33]</sup>.

Pan Aron pokwękał i poszedł na róg Nowolipia i Karmelickiej, by spytać Pana Boga, dlaczego stworzył świat takim, jakim jest.

Pan Aron nie pomylił modlitw. Kiedy Aron Rochman wyszedł z domu modlitewnego przy Nowolipiu i Karmelickiej, zdarzyła się rzecz następująca...

Otóż po przeciwnej stronie ulicy stało trzech niemieckich żandarmów i dwóch żydowskich policjantów. Najmniejszy z żandarmów, ale widocznie najważniejszy, kiwnął palcem na pana Arona. Pan Aron obejrzał się za siebie, ale akurat nie miał nikogo za plecami, więc rozkaz był skierowany do niego.

– *Komm, komm her, Jude*<sup>[34]</sup>.

Aron ruszył w stronę Niemca. Czuł, jak bruk pod stopami rozstępuje się i wylewa jakąś smolistą maź. Pan Aron stanął przed Niemcem. Niemiec chwycił pana Arona za brodę. Może to wyglądało komicznie, bo kurdupel-żandarm stanął na palcach, żeby lepiej i mocniej szarpać siworudy zarost, ale to nie było komiczne. Przez policzki Rochmana przebiegł straszliwy ból. Oczy napuchły łzami, sidur z modlitwami upadł na chodnik. Pan Aron poprosił w duchu Pana Boga, by ani jedna łza nie popłynęła mu z oczu, ale Pan Bóg go nie wysłuchał i z oczu pociekły dwie stróżki, wsiąkając w brodę. Niemieccy żandarmi śmiali się. Żydowskie policjanci nie śmiali się.

– *Schere*<sup>[35]</sup> – rozkazał żandarm, ten niski.

Jeden z policjantów podał nożyczki. Niski żandarm znów się wspiął na palce i zaczął ścinać panu Aronowi brodę. Ciągnął i ścinał. Ciągnął i ścinał. Włosy spadały, a część ścinków pokryła modlitewnik leżący na trotuarze. W pewnym momencie ostrze nożyczek skaleczyło twarz

pana Arona. Żandarmi się zaśmiali, policjanci nie zaśmiali się. Koszmar dobiegł końca. Twarz pana Arona była upstrzona nierównomiernymi kępkami włosów, łzami i krwią. Jeden z Niemców chciał kopnąć czubkiem buta sidur, ale nie zdążył, bo pan Aron podniósł modlitewnik i odszedł. Słońce nad Nowolipiem pochyliło się ku zachodowi, pan Aron Pejsach Rochman szedł wyprostowany.

Kiedy pan Aron stanął w drzwiach mieszkania w kamienicy przy Nowolipiu 49, pani Sara o nic nie pytała. Usunęła się z progu i wpuściła męża do domu. Henia i Jasek byli jeszcze w pracy. Pani Sara wzięła męża pod ramię, odebrała modlitewnik, zawiniątko z tałesem i filakteriami położyła na szafce przy łóżku. Następnie zaprowadziła pana Rochmana do ciasnej kuchni, podsunęła taboret i rozkazała:

– *Zitsn arop*<sup>[36]</sup>.

Pan Aron posłusznie usiadł na taborecie. Pani Sara wrzuciła do paleniska wyliczone bryłki węgla i postawiła na fajercie wodę w garnku. Zakaszła. Następnie przygotowała pędzel, brzytwę, pocerowany ręcznik i Iniany woreczek z reszkami wykwinetnego mydła Savon de Marseille. Owa pachnąca dawnym czasem „mydelniczka” była schowana skrzętnie niczym skarb w najwyższej szufladzie kredensu. Leżała obok srebrnej łyżeczki. Pani Sara kazała mężowi wyjąć pasek ze spodni, ale panu Aronowi trzęsły się dłonie, więc sama to zrobiła. Powiesiła pasek na klamce i naostrzyła brzytwę. Potem namydliła pachnidłem twarz męża i ogoliła resztki nieobciętej brody. Robiła to dokładnie, precyzyjnie, omijając ranę na policzku. Wtedy kolejny raz w swoim szlachetnym życiu pani Sara Rochman uprzytomniła sobie, jak bardzo kocha męża.

Położyli się do łóżka wcześniej, jeszcze przed przyjściem Heni i Joska z szopów. Milczeli. Panią Sarę dręczył kaszel. W pewnym momencie pan Aron wstał, sięgnął po filakterie i tałes.

– *Was tustu?*<sup>[37]</sup> – spytała pani Sara.

– Będę się modlić – odpowiedział pan Aron.

Po czym przygotował się do modlitwy i sięgnął po sidur. Chciał znaleźć odpowiedni rozdział.

– Maariw<sup>[38]</sup> jest na końcu – poradziła pani Sara.

– Szukam innej modlitwy.

– Jakiej?

Pan Aron nie odpowiedział. Odłożył sidur i zaczął się w duchu modlić po swojemu. Jaka to była modlitwa, wie tylko Pan Bóg.

## 11.

I tylko Pan Bóg wie, jak to się stało...

Otóż pewnego dnia – a był to początek czerwca i w nocy rozstrzelano kilkudziesięciu szmuglerów – Henia Koper i Regina Kukułka spotkały się o siódmej trzydzieści w stołówce Többensa. Dzień jak co dzień, kawa zbożowa i kromka z marmoladą. Marmolada była bardziej kwaśna niż słodka. Słodko-gorzkie było spotkanie. Regina i Henia były kuzynkami. Padły sobie w ramiona i tak stały objęte przez dobrą chwilę. Nie wiadomo, czy za plecami kobiet tkwił Pan Bóg, może tak, może nie. W każdym razie losy i ramiona kobiet widocznie musiały się spleść. Nie należy przytaczać pierwszych słów i zdań powitania, bo są słowa i zdania, które trzeba ominąć w tej opowieści. Jest taki rodzaj zdań i słów, które, mimo iż tchną banałem i trywialnością, są tajemnicą czasu przeszłego. I niech sobie tam pozostaną. Zatem, ominąwszy pierwsze wyrazy czułości, zatrzymajmy się i odmalujmy taki oto obraz:

Henia odkłada ciężki plecak, ale blisko, jak najbliżej swojej stopy. Regina patrzy na plecak, uważnie przywołuje z pamięci scenę sprzed bramy warsztatu, kiedy strażnik przebił sak bagnetem, ale nie komentuje zdarzenia. Henia Koper pochyla się nad dziewczynką, którą w tej chwili Regina Kukułka trzyma za lewą dłoń. Dłoń dziewczynki jest zimna. Henia pyta:

- Jak masz na imię?
- Szyfra – odpowiada dziewczynka.
- Ślicznie. Ile masz lat?

Dziewczynka podnosi lewą rękę i pokazuje na palcach, że ma trzy lata. Ten gest trwa dwie sekundy, bo Szyfra musi natychmiast schować dłoń w dłoni matki.

- Słyszałam, Heniu, że ty też...
- Henia nie daje dokończyć zdania kuzynce:
- Tak – ucina.
- Kiedy?...

- W styczniu. Dziewczynka.
- Żyje?
- Żyje.
- Jak ma na imię?
- Elżunia.

Regina otwiera usta:

- A gdzie?...
- Tu.

Henia nie ma pojęcia, dlaczego wypowiedziała to słowo. Po prostu wypadło jej z krtani samoistnie. Nawet nie spojrzała, czy nikt ich nie podsłuchuje. Na szczęście – nikt. Oczy Reginy robią się okrągłe i szkliste.

- Jak to: tu? W ogródku? Półrocze?...

Teraz już Henia rzuca spojrzeniem w bok. Nienachalnie. Pracownicy przy stołach. Pochyleni nad smętnym śniadaniem.

- Tu.

Henia ledwie zauważalnym gestem wskazuje dziurawy plecak. Krew w żyłach Reginy zamienia się w ołów. Kobieta wstrzymuje oddech. Chce zadać pytanie:

- Ale jak... że się nikt?...

- Nie wiem. Nie mam pojęcia. Cud... Nie mogę się z nią rozstać... Po prostu... nie mogę...

Henia nie kończy zdania. Regina odpowiada:

- Aha.

Jeszcze raz Henia i Regina splatają się ramionami. Siadają w milczeniu przy długim stole i piją kawę zbożową łyk po łyku. Tego dnia ani jedna, ani druga nie będzie mogła przełknąć chleba z marmoladą. Tego dnia Regina nie zostawi córki w ogródku jordanowskim, który pan dyrektor Többens w swej łaskawości założył dla dzieci szwaczek, by im nie przeszkadzały w pracy. Regina Kukułka ukryje Szyfrę pod spódnicą. Tego dnia dzieci bawiące się w czerwcowym słońcu, tylko do południa będą zjeżdżać ze zjeżdżalni, będą huśtać się na huśtawkach i będą robić babki z piasku. Tego dnia pod szop Többensa podjedzie ciężarówka marki Blitz i wywiezie dzieci z ogródka jordanowskiego w nieznane. Szyfra ocaleje pod spódnicą matki.

To była pierwsza tak upalna noc tego roku. Toteż pani Sara poprosiła Joska, by otworzył okna w sypialni i kuchni. Do mieszkania przy Nowolipiu 49 wlał się przyjemny przeciąg i ożywił suchy oddech Sary.

Po incydencie przed domem modlitwy na Karmelickiej róg Nowolipia, pan Rochman zrobił się jakby silniejszy, a jego pochylona sylwetka nieco się wyprostowała. Broda pana Arona zaczęła odrastać. Ani Josek, ani Sara, ani Aron nie skomentowali wieści, które Henia przyniosła z pracy. Pani Sara odwróciła się od córki i udała, że kaszle, a nie płacze. Pan Aron owinął się filakteriami, otulił się tałasem i rozpoczął swoją rozmowę z Panem Bogiem. Josek położył się obok Heni. Między małżonkami leżała rozgaworzona Elżunia. W pewnej chwili Josek ujął dziewczynkę pod rękę i położył ją sobie na piersiach. Przymknął powieki i zanucił:

*Już nie mów nic, na próżno tłumaczyłbyś  
Już rób, co chcesz, nie ściągaj tak brwi  
Przebaczasz mi? Nie, już nie przebaczyłbyś  
Za dużo już wiesz, a zresztą, za późno  
Nikt, tylko ty  
Nikt inny nie był tak potrzebny  
Kochany, złoty, cudny, srebrny  
Nikt, tylko ty...<sup>[39]</sup>*

Dziecko zasnęło bez luminalu. Powiew wpłynął do ciasnego mieszkania i Heni wydało się, że razem z chłodną strugą ktoś unosił się w gęstym powietrzu. Pani Sara na moment przestała kasłać. Weszła do kuchni i otworzyła górną szufladę kredensu, gdzie obok skrawków francuskiego mydła leżała srebrna łyżeczka.

## 12.

Niebo było kapryśne i złośliwe. Nie chciało się dostosować do brudnych kolorów duszących Nowolipie, Nalewki, Zamenhofa, Dzielną, Leszno, Stawki i resztę getta. Gryzło w oczy błękitem, zapraszało słońce do drwiny ze świata odgradzonego murem. W Ogrodzie Krasińskich kasztanowce już wybuchły zielenią, a pyłki lip w tamtym roku przedwcześnie zaczęły wirować w powietrzu. I one kpiły sobie z ludzi, bezkarnie przepływając ponad murem, za nic sobie mając uzbrojoną wachę. Jedna biała drobinka frunęła nad ulicą Gęsią, gdzie



wyprowadzano z więzienia stu dziesięciu mężczyzn i ładowano ich na ciężarówkę. Będą rozstrzelani w Babicach. Ale ta egzekucja odbędzie się na północny wschód od getta, zaś pyłek pofrunął w przeciwną stronę, w kierunku Nowolipia i wpadł do mieszkania na pierwszym piętrze. Przepłynął nad sześciomiesięczną dziewczynką leżącą w wiklinowym koszyku, nad dwudziestoparoletnią dziewczyną o zielonych oczach i wylądował na obłupanym stole w kuchni. Przy stole tkwiła zamyślona kobieta w zniszczonym czepku, spod którego wysmyknął się siwy kosmyk włosów. Sara Rochman, jak już wiemy, była bogobojna, ale nie goliła głowy i nie zasłaniała jej peruką. Nosiła czepkę. Właściwie nie wiadomo, dlaczego nie nosiła peruki. Jej mąż, Aron Pejsach Rochman, były współwłaściciel garbarni, wielokrotnie pytał o to żonę, Sara zbywała go krótkim *wejl nejn*. „Bo nie”. I tyle. Sara Rochman była upartą kobietą, ten upór wielu ludzi wyprowadzał z nerwów, ale z panią Rochman nie można było walczyć. Tamtego wczesnolipcowego dnia upór wypełnił ciało i duszę Sary. Pyłek wzniósł się znad zniszczonego stołu i zawirował wokół spranego czepka pani Rochman. Wtedy, gdzieś z niewiadomej głębi, przypłynęła do głowy kobiety myśl. Nieugięta, nieprzejednana, niewzruszona myśl. Sara zakaszła, otworzyła górną szufladę kredensu i wyjęła z niej srebrną łyżeczkę. Trzymała ją przez dłuższy czas. Czuła, jak srebro nasiąka ciepłem jej dłoni. Potem Sara wyszła z kuchni, a obojętny pyłek umknął, nie wiadomo dokąd.

Sara stanęła nad koszem, w którym Elżunia gaworzyła, wpatrując się w Henię. W pierwszej chwili pani Rochman chciała się odwrócić, bo widok córki rozmawiającej sylabami z wnuczką ścisnął jej serce, lecz upór i postanowienie były mocniejsze. Tak mocne, jak uścisk dłoni na srebrnej łyżeczce. Henia przestała rozmawiać z dzieckiem, podniosła wzrok i spytała:

– *Was iz geszen, mame?*<sup>[40]</sup>

– Nic, nic.

Henia spojrzała na zaciśniętą dłoń matki.

– Po co ci ta łyżeczka?

Sara wytrzymała pauzę, potem otworzyła lekko zdrętwiałe usta i rzekła:

– Tak nie może być.

– Jak? – spytała Henia i natychmiast do oczu dziewczyny napłynęło przerażenie.

– Mendelsonowie... – odpowiedziała Sara, ale nie dokończyła zdania, jakby się na jego dalszej części potknęła.

Przez ciało Heni przepłynął gwałtowny prąd, od pięt po ściśniętą krtani.

– Co: Mendelsonowie?

I wtedy do uszu Heni dobiegły słowa, których nigdy nie chciałyby usłyszeć:

– Mendelsonom udało się wyprowadzić Hanię... – Sara znów potknęła się na słowach.

Henia zamarła.

– Mamo.

– Słucham.

– O czym ty mówisz?

Sara pozbierała myśli, które rozsypały się w jej głowie jak zerwane paciorki. Wydusiła z krtani:

– W Judenracie mówią straszne rzeczy.

– Jakie?

– Że będą likwidować getto.

Ciało Heni zrobiło się sztywne.

– Plotki. Mamo, to są plotki.

Płuca Sary zapadły się, ale kobieta powstrzymała kaszel. Jej głos był równy, ton nieustępliwy:

– Trzeba ratować Elżunię. Skoro będą likwidować getto, to i nas będą „likwidować”

Henia chciała uciec wzrokiem od oczu matki, ale nie mogła. Chciała spłonąć, ale nie spłonęła. Chciała zamienić się w słup soli, ale nie zamieniła się. Chciała zniknąć, ale trwała. Nieruchoma, zdrętwiała, nadaremna.

– Mam się pozbyć dziecka?

Usta Sary były suche. Słowa także:

– Masz je uratować. – Poprawiła się: – Musimy ją ocalić.

Następnie Sara odwróciła się od córki pochylonej nad wiklinowym koszykiem, wróciła do kuchni i udawała, że ma atak kaszlu.

Kiedy Sara wychodziła z mieszkania, Jasek tkwił z nadzieją w tłumie do stacji „Kropla Mleka” po pokarm dla córki, zaś Aron był w pracy. Pan

Aron mógł już nie pracować, bo miał ponad sześćdziesiąt lat, ale po zdarzeniu przed domem modlitwy, jakby na przekór losowi, odzyskał siły. Zatrudnił się u Schultza jako kopacz fundamentów pod nowy magazyn położony poza gettem. Tym sposobem pan Aron mógł choć przez dziesięć godzin oddychać powietrzem z tamtej strony muru i wesprzeć rodzinę mizernymi pieniędzmi. Ale zostawmy Arona przy dole na Pradze, podążajmy za Sarą na ulicę Dziką, tuż obok Umschlagplatzu.

Słychać dzwonek trącony drzwiami. Jesteśmy w małym zakładzie grawerskim. Z zaplecza wychodzi mężczyzna w ubrudzonym fartuchu.

– *Gut margn*<sup>[41]</sup>.

– *Gut margn* – odpowiada Sara.

Kobieta kładzie przed mężczyzną w brudnym fartuchu srebrną łyżeczkę. Szttywnym gestem, bez słowa.

– Ładna rzecz – szacuje grawer. – Dam dobrą cenę. Ile pani życzy?

– To nie jest na sprzedaż.

– *Zicher, zicher*<sup>[42]</sup>. A co ma być?

– Pod spodem data: piąty stycznia, tysiąc dziewięćset czterdzieści dwa.

– *Zicher, zicher*.

– Na wierzchu, o tu, pochyłymi literami ma być wypisane: Elżunia.

– *Zicher, zicher*. Elżunia. A nazwisko gdzie?

– Nigdzie.

## 13.

A było to tak:

Hania Mendelson, córka państwa Mendelsonów, miała dobry wygląd. To znaczy, że miała niebieskie oczy i jasne włosy. Musiała się na wszelki wypadek nauczyć modlitwy do Matki Boskiej, a że była nadzwyczaj zdolną dziewczynką i nie unikała zabawy z polskimi koleżankami, oprócz dobrego wyglądu, miała dobrą wymowę. „Zdrowaś Maryjo, łaskiś pełna...” recytowała bez zarzutu.

Pani Izabela Kuczkowska nie musiała mieć dobrego wyglądu, bo była Polką. Młoda i ładna. Pracowała w warszawskim oddziale Opieki Społecznej, toteż miała specjalną przepustkę ze wszystkimi

wymaganymi pieczęciami i mogła przekraczać legalnie w dwie strony granicę getta. Izabela Kuczkowska była córką pana Trzaskalskiego, a pan Trzaskalski współpracował z ojcem Hani, panem Mendelsonem. Pan Trzaskalski był krawcem. Pan Mendelson miał przed wojną sklep z galanterią. Pan Mendelson i pan Trzaskalski byli przyjaciółmi. Pani Kuczkowska, córka pana Trzaskalskiego, była przyjaciółką pani Ireny Sandlerowej. Pani Sandlerowa zajmowała się organizacją ratowania żydowskich dzieci. A zatem traf chciał, że na końcu tego łańcuszka przyjaźni znalazła się Hania Mendelson.

Tamtego dnia – a właściwie był to poranek – pani Kuczkowska zapukała do drzwi mieszkania państwa Mendelsonów przy ulicy Nalewki. Nie. Lokal przy ulicy Nalewki nie był mieszkaniem jedynie państwa Mendelsonów. Stłoczono tam cztery rodziny. Państwo Mendelsonowie postarali się, by wizyta pani Kuczkowskiej odbyła się w czasie, gdy reszta lokatorów będzie w pracy. Hania była przygotowana. Miała zaplecione warkocze, pani Mendelsonowa ubrała Hanię w kretonową białą sukienkę. Pani Kuczkowska zmartwiła się w duchu, bo jasny kolor przyciąga wzrok, ale jakoś nie miała odwagi poprosić panią Mendelsonową, by przebrała Hanię w coś mniej ryzykownego. Natomiast zaprotestowała w innej sprawie: wyjęła z dłoni dziewczynki tekturową walizeczkę i odstawiła pod ścianą. Następnie bez specjalnych wyjaśnień zawiesiła na szyi Hani złoty krzyżyk na złotym łańcuszku. Ten szczegół był wcześniej przemyślany i przygotowany. Pożegnanie Hani z rodzicami odbyło się w milczeniu. Pani Bela Mendelson chciała umrzeć. Pan Mendelson bez słowa wetknął córce w dłoń garść koralików, które wcześniej nosił w kieszeni. To były koraliki z przedwojennego sklepu z galanterią. Po chwili milczenia pan Mendelson powiedział, że to są koraliki na szczęście. Hania nie płakała, ścisnęła koraliki w prawej dłoni, a lewą podała pani Izabeli Kuczkowskiej. Następnie razem wyszły z mieszkania. Pani Mendelson chciała umrzeć po raz drugi.

Pani Kuczkowska i Hania Mendelson, która od tego momentu nazywała się Paprocka, bo tak miała zapisane w sfalszowanym dokumencie, zbliżyły się do bramy przy Ogrodzie Krasińskich, tej z napisem „obszar zagrożony tyfusem”. Pani Kuczkowska miała przygotowane tłumaczenie dla wartownika:

„Dziewczynka jest moją siostrzenicą, a jej matka choruje na anginę, więc dała mi dziecko pod opiekę”

Pani Kuczkowska mocniej chwyciła Hanię za dłoń, ale zaraz ją uwolniła, by wyjąć z torebki dokumenty. Wartownik o nic nie pytał. O nic. Pokazał gestem, że droga wolna. Hania i pani Kuczkowska przeszły pod szlabanem, bo w tym momencie zapora uchyliła się, przepuszczając jakąś niemiecką ciężarówkę. Kobieta i dziewczynka były już po drugiej stronie świata.

Pod Arsenalem stała grupka mężczyzn. Palili papierosy. Kiedy ujrzeli kobietę i dziewczynkę wychodzące z getta, jeden z mężczyzn oderwał się od reszty. Biała sukienka biła w oczy. Mężczyzna przydeptał papierosa. Podszedł do pani Kuczkowskiej i Hani. Zatrzymał je gestem ręki. Mężczyzna miał żółte palce od nikotyny. Nic nie mówił, tylko patrzył. Wtedy dłoń Hani otworzyła się i kolorowe koraliki wysypały się na bruk. Hania pomyślała, że opuściło ją szczęście. Chciała odmówić modlitwę *Zdrowaś Maryjo*, lecz nie miała odwagi. Mężczyzna nadal nic nie mówił, tylko patrzył. Potem żółtymi palcami odpiął z szyi Hani złoty łańcuszek z krzyżykiem i schował go w kieszeni spodni. Wrócił do grupki mężczyzn. Pani Izabela Kuczkowska i Hania Paprocka poszły dalej wybrukowaną ulicą, wzdłuż torów tramwajowych.

Chotomów leży dwadzieścia sześć kilometrów na północ od Warszawy, dwadzieścia dwa kilometry od ulicy Nalewki. W Chotomowie znajdują się kościół i parafia Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny oraz klasztor Zgromadzenia Sióstr Narodzenia Najświętszej Maryi Panny. Siostra przełożona miała jasną twarz, być może nie tak jasną jak Henia Koper, siostra Beli Mendelson, która była żoną pana Mendelsona, który był przyjacielem krawca Trzaskalskiego, który miał córkę Izabelę Kuczkowską, która wraz z Ireną Sendlerową przeprowadzała żydowskie dzieci na aryjską stronę, na lepszą stronę świata.

A pani Sendlerowa miała przyjaciółkę. Nazywała się Stanisława Bussoldowa. Pani Bussoldowa była akuszerką. Przyjmowała porody ukrywających się żydowskich matek. Pani Bussoldowa miała równie jasną twarz jak Henia Koper, matka Elzuni. Któregoś dnia Pan Bóg przyjrzał się obydwu kobietom i zaczął o czymś myśleć. A może to była dziecięca wyliczanka.

## 14.

Lipiec był już w pełnym rozkwicie. Pani Sara coraz częściej i coraz mocniej zanosila się kaszlem, jej oczy stawały się coraz bardziej wyblakłe, ale gdy kobieta patrzyła na wnuczkę, nabierały barwy i blasku. Po chwili lśnienie stawało się wilgotne. Wtedy pani Sara szła do kuchni, wspinała się z coraz większym trudem na palce, otwierała górną szufladę kredensu i wyjmowała z niej srebrną łyżeczkę leżącą obok skrawków pachnącego francuskiego mydła. Wpatrywała się w wygrawerowany napis. Na awersie: „Elżunia”. Na rewersie: „5-I-1942”. Następnie pani Sara otwierała niższą szufladę, gdzie leżał pliczek rodzinnych dokumentów. Na wierzchu spoczywała metryka urodzenia wnuczki, sporządzona w koncesjonowanym biurze „Formalność”, mieszczącym się na ulicy Mariańskiej. Obok, w papierowym woreczku spoczywała butelka z kroplami luminalu. Któregoś dnia pani Sara wpadła na pomysł, żeby przełożyć srebrną łyżeczkę do tej dolnej szuflady. Powody były dwa. Po pierwsze nie musiałyby się wspinać na palce, a po drugie – pomyślała – że może byłoby logiczniej, by te dwa świadectwa urodzenia leżały w komplecie. Jednak srebrna łyżeczka wróciła do górnej szuflady. Leżała obok pachnącego francuskiego mydła, zaś metryka urodzenia – w dolnej.

Pani Sara miała rację: „likwidacja” getta nie była plotką. Piętnastego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku, w słoneczny dzień, w budynku przy ulicy Żelaznej 103 pojawiła się ekipa kilkunastu esesmanów i gestapowców. Mieli zorganizować w getcie przedsięwzięcie Einsatz Reinhardt. To był kryptonim akcji wymordowania dwóch milionów Żydów z Generalnego Gubernatorstwa i Okręgu Białostockiego. Wiadomość o dziwnych przybyszach rozeszła się po północnej dzielnicy. W warsztacie Többensa rozpoczęły się wśród nadzorców dziwna krzątanina i nerwowość. To samo w stolarskim szopie Hallmana, gdzie pracował Jasek. Plotka stawała się realnością, choć mieszkańcy miasta za murem jeszcze łudzili się, że nie czeka ich śmierć. Mądra pani Sara Rochman nie miała złudzeń.

Była ciepła noc. Henia wyplątała się z ramienia męża. Nie lubiła odtrącać Joska, nawet gdy trzeba było wstać do płaczącego dziecka.

Podniosła się z łóżka i przewinęła córkę w suchą pieluszkę.

– *Ćśśś... Ćśśś... Śpij... Szlof, mejn libe...*<sup>[43]</sup>

Elżunia zasnęła. Henia poszła do kuchni napić się wody. Jej uwagę przykuła niedomknięta górna szuflada w kredensie. Henia otworzyła ją szerzej. Dostrzegła srebrną łyżeczkę. Kiedy przeczytała wygrawerowane inskrypcje, musiała oprzeć się lewą ręką o blat stołu. Po trzydziestu sekundach uspokoiła emocje i wyjęła z dolnej szuflady metrykę córki. Czytała każde słowo kilka razy. Wpatrywała się w wypisaną atramentem każdą cyfrę daty urodzin, jakby pierwszy raz trzymała w dłoniach ten dokument, choć znała go na wylot. Odłożyła metrykę do szuflady.

Henia stanęła nad śpiącymi rodzicami, trzymając srebrną łyżeczkę w dłoni. Aron cicho chrapał przez sen. Sara otworzyła oczy. W pierwszym momencie przestraszyła się zjawy, która nad nią tkwiła z jakimś lśnieniem w dłoni. Ale pani Sara nie była strachliwa. Wyrzuciła z duszy resztkę snu i odezwała się krótkim:

– *Was iz das?*<sup>[44]</sup>

Henia wykrzywiła usta w grymasie.

– To ja pytam: co to jest?

– łyżeczka.

Pani Sara stłumiła kaszel. Henia dalej pytała:

– Tu. To. Ten napis?

Sara spojrzała na męża, by sprawdzić, czy się nie obudził. Aron coś szepnął przez sen i dalej cicho chrapał. Pani Sara wróciła spojrzeniem w stronę córki. Karcący błysk w jej oczach złagodniał.

– To jest jej data urodzin i imię.

– *Ich ze*<sup>[45]</sup>. Pytam: po co?

Sara nie odpowiedziała. Milczała. Długo. Bardzo długo. Wreszcie:

– To będzie jej metryka.

– Metryka leży w szufladzie w kredensie.

Sara znów milczała. Wreszcie:

– Papier może spłonąć. To będzie metryka na całe życie.

Henia otworzyła usta, by coś odpowiedzieć, ale nie mogła wyłuskać z gardła ani jednego słowa. Odwróciła się. Stanęła nad koszykiem z niemowlęciem. Trzymała w dłoni łyżeczkę. Wróciła do kuchni. Wspięła się na palce i schowała srebrny przedmiot w górnej szufladzie. Następnie

usiadła na taborecie i zgięła się w pół. W tak bolesnej pozie Henia Koper przesiedziała w kuchni całą noc.

Szepty w mieszkaniu przy Nowolipiu 49 wydawały się nierealne. Na ścianach tańczyły w jakimś powolnym rytmie cienie, blask karbidówki odbijał się na twarzach Joska, Heni, Sary i Arona. Przysłuchajmy się strzępom rozmowy rozrywanej ciszą.

Josek:

– ...ta Kuczkowska, która Hanię do zakonnic...

Aron:

– ...ale jak?...

Henia milczy. Sara:

– ...podobno jest jakaś kobieta, akuszerka...

Henia milczy. Josek:

– ...ona ma pasierba, który wywozi cegły z getta...

Henia milczy. Aron:

– ...ale jak?...

Henia milczy. Sara:

– ...między cegłami...

Henia milczy. Aron:

– ...ale jak?...

Henia milczy. Josek:

– ...w skrzynce...

Henia milczy.

Następnego dnia, tuż po świcie, Josek wyjmie z kieszeni spodni składany żółty centymetr stolarski i dokładnie zmierzy córkę. Elżunia będzie miała sześćdziesiąt centymetrów i pięć milimetrów wzrostu. Zatem Josek będzie musiał zbić skrzynkę metrową. Nie za dużą, by pudełko z dzieckiem można było ukryć między cegłami, ale i nie za małą, żeby dziecko się nie udusiło. Trzeba także wywiercić otwory w deskach, potrzebne do wentylacji. Kiedy Josek będzie zbijał z desek skrzynkę, Henia będzie milczeć.



## 15.

Kiedy już skrzynka była gotowa, trzeba było Elżunię do niej przymierzyć. Chciała to zrobić Sara, ale Jasek wyjął dziecko z rąk kobiety, mówiąc krótko:

– *Nejn*<sup>[46]</sup>.

Po czym umieścił delikatnie córkę w drewnianym pudełku. Henia milczała i miała zdrętwiałe ręce, dlatego nie mogła uczestniczyć w próbie. Dziecko pasowało do skrzynki. Aron stał w głębi pokoju, zanurzony w sinym cieniu i drżał. Sara pokręciła głową.

– Czy nie będzie jej za ciasno?

Bez dalszych pytań wyjęła wnuczkę ze skrzynki i odwinęła dziecko z jednej warstwy pieluszek. Dziewczynka miała na sobie trzy pieluchy. Pani Sara odwróciła się do Heni, ogarnęła ją wzrokiem i spytała:

– Tak będzie lepiej?

Ale Henia nie odpowiedziała. Sara zastanowiła się, jakie jeszcze może zadać córce pytanie, by ją wyrwać z odrętwienia, lecz nie znalazła odpowiednich słów. Poprawiła fałdę na śpioszkach i na powrót włożyła dziewczynkę do skrzynki.

– Teraz będzie dobrze. – Zastanowiła się. – Hm. *Niszt gut*<sup>[47]</sup>. Zmoczy się i zacznie płakać. Mamy jeszcze luminal?

Jasek odwrócił się do żony z pytaniem:

– Mamy?

Henia nie odpowiedziała, więc Jasek poszedł do kuchni i sprawdził, czy w szufladzie z dokumentami jest butelka luminalu. Była. Jasek na moment zamarł. Wyjął z szuflady metrykę córki i przez minutę na nią patrzył. Odłożył papier na plik dokumentów, zamknął szufladę i wyszedł z kuchni. Wrócił do pokoju. Powiedział:

– Jest jeszcze trochę.

– Wystarczy? – spytała Sara.

– Jeśli się wybierze najkrótszą drogę – odpowiedział Jasek.

Dziewczynka zasnęła w skrzynce. Jasek chciał na próbę przyłożyć wieko, już miał to zrobić, ale spojrzał na Henię i odłożył pokrywę. Pan Aron nadal drżał w cieniu. Henia milczała. Pan Bóg też milczał.

Paweł zarządzał po aryjskiej stronie przedsiębiorstwem budowlanym. Wydębił w Arbeitsamcie<sup>[48]</sup> specjalne pozwolenie na wywóz cegieł z getta. Co prawda dzielnica północna jeszcze nie była morzem ruin, którym się niedługo stanie, ale tu i ówdzie zlegały góry cegieł. Niektóre domy w getcie były niezdatne do zamieszkania. Niemcy wyrzucali mieszkańców na bruk, a domy przeznaczano do wyburzenia. Paweł wywoził z getta ocalałe cegły. Paweł był pasierbem pani Bussoldowej. Jak już wiadomo, pani Bussoldowa przyjmowała porody Żydówek ukrywających się po aryjskiej stronie, prowadziła także razem z Ireną Sandler pogotowie opiekuńcze dla dzieci potajemnie przemycanych z getta. Pani Sandlerowa była przyjaciółką pani Kuczkowskiej, zaś pani Kuczkowska wyprowadziła z getta córkę siostry Heni Koper. Tym razem na końcu tego „łańcuszka szczęścia” miała się znaleźć Elżunia.

Wóz z ceglami zajechał na Nowolipie 49 od podwórka. Paweł zaparkował tak, by występ oficyny zasłonił furmankę. Otrzeptał dłonie z rudego pyłu, poprawił kilof i łopatę, wszedł tylnymi drzwiami do kamienicy. Przeciągnął wzrokiem po zliszajonych ścianach klatki schodowej i z przyzwyczajenia oszacował okrutny stan kamienicy. Rozejrzał się, szukając numeru mieszkania. Zapukał do drzwi na pierwszym piętrze. Otworzył Jasek, wpatrywał się w mężczyznę w podartym kaszkiecie. Paweł chrząknął i powiedział:

– Ja po resztki.

To było hasło. Może zbyt okrutne, ale wiarygodne. „Resztkami” nazywano w getcie wyprzedawane kosztowności. W tym wypadku jedyną kosztownością było sześciomiesięczne niemowlę. Paweł przemycił je za darmo.

– Proszę.

Jasek ustąpił z progu i poprowadził Pawła do pokoju. Każdy krok ważył tonę. Paweł zdjął kaszkiet i powiedział:

– Dzień dobry.

Mężczyzna natychmiast zdał sobie sprawę, jak źle zabrzmiało to powitanie. Paweł nie wiedział, co ma zrobić z rękami, więc zmiął w dłoniach kaszkiet. Spojrzał na milczącą wychudłą kobietę o zielonych oczach, która stała nad wiklinowym koszykiem. W koszu gaworzyło niemowlę. Na stole leżała drewniana skrzynka wyścielona jakimś złotawym materiałem. Obok spoczywało wieko z wywierconymi otworami. Pokrywa miała cztery drewniane klinowe zatrzaski. Paweł

o czymś pomyślał, nie wiedział, co ma powiedzieć, więc chrząknął. Josek spytał:

– Jak pan będzie jechał?

– Najkrótszą drogą na Pragę. Kałuszyńska pięć. Będzie lepiej, kiedy zapomnicie o tym adresie.

Sara kiwnęła głową. Aron przymknął powieki. Henia wpatrywała się w córkę, ale jej oczy sięgały gdzieś dalej, w głąb zamazanej przestrzeni.

– Czyli przez wschodnią bramę przy Ogrodzie Krasieńskich? – spytał Josek.

– Czyli przez wschodnią bramę – potwierdził mężczyzna i spojrzał na zegarek.

– Jak długo będzie pan jechał? – spytał Josek.

Paweł westchnął, chciał jeszcze raz spojrzeć na zegarek, ale nie spojrzał. Odpowiedział krótko:

– Może jakie pół godziny, jeśli wacha mnie na dłużej nie zatrzyma.

– Aha – odpowiedział Josek.

Mijały sekundy. Josek, pani Sara i pan Aron pragnęli, by tych sekund był milion. Trudno powiedzieć, czego pragnęła Henia. Mężczyzna wyprostował kark i przerwał milczenie:

– Mam nadzieję, że dziecko nie będzie płakać.

– Nie będzie – odpowiedziała Sara.

Pani Sara udała się do kuchni. Wyjęła z dolnej szuflady butelkę z luminalem, z górnej srebrną łyżeczkę. Wróciła do pokoju. Odłożyła łyżeczkę na stół, już miała odkorkować butelkę, gdy odezwała się Henia. Pierwszy raz od kilku dni z jej ust wydobyły się jakiegokolwiek słowa.

– *Wart a minut*<sup>[49]</sup>.

Wszyscy patrzyli, jak Henia wyjmuje z koszyka dziecko i niesie je do kuchni. Josek zatrzymał gestem Sarę. Henia usiadła na taborecie, ugięła się w łuk, wyjęła pierś i podała ją córce. Dziewczynka ujęła ustami sutek. Ale pierś była pusta. Henia tkwiła w dziwnie wygiętej pozycji. W tym czasie Paweł trzy razy spojrzał na zegarek. Cisza trwała pięć minut, po czym Henia wróciła z dzieckiem do pokoju. Trzymała córkę w objęciu. Sara sięgnęła po łyżeczkę, naląła na nią odpowiednią porcję luminalu i nakarmiła nim niemowlę. Następnie Henia włożyła córkę do skrzynki. W tym miejscu powinien nastąpić opis:

„Dziewczynka chwyciła małą dłoń dłoń matki”

Albo:

„Josek pochylił się nad skrzynką i rzekł:

– „...wybrałeś i nas wyróżniłeś ze wszystkich ludów”..

Albo:

„Przez okno wśliznęła się smuga i oświetliła twarz dziecka”

Nic takiego nie nastąpiło. Sara wytarła szmatką srebrną łyżeczkę, podała Aronowi, Aron podał Joskowi, Josek Heni. Henia Koper położyła łyżeczkę w stopach córki. Niemowlę zasnęło. Następnie rozległ się suchy trzask zamykanego wieka. Paweł ostrożnie uchwycił skrzynkę i starał się ją nieść w poziomie. Josek otworzył mu drzwi. Należało rozejrzeć się, czy nikt nie widzi mężczyzny z drewnianą skrzynką, ale Josek Koper tego nie zrobił. Paweł powiedział:

– Do widzenia.

I natychmiast zdał sobie sprawę, jak źle zabrzmiało to pożegnanie.

Furmanka ze skrzynką ukrytą w ceglach jechała Nowolipiami, w lewo Karmelicką, w prawo Dzielną, w lewo Zamenhofa, w prawo Gęsią, znów w prawo Nalewkami. Po kwadransie drewniana skrzynka ukryta w ceglach wywożonych z getta minęła bez przeszkód bramę przy Ogrodzie Krasieńskich, tę z napisem „obszar zagrożony tyfusem”. Czy na ceglach przysiadł Pan Bóg? Nie wiadomo.

## 16.

Nie wiadomo, czy Pan Bóg towarzyszył ludziom wysiedlanym z getta. To się zaczęło dwudziestego drugiego lipca, w środę. Wokół murów ustawiono uzbrojone oddziały, by nikt nie prześliznął się na zewnątrz. Padał drobny deszcz. Szyba była mokra. Oczy Heni były suche. Henia stała przy oknie i patrzyła na żebraka, który siedział na wilgotnej gazecie po drugiej stronie ulicy. Kobieta podniosła wzrok. Zielone spojrzenie poszybowało daleko i wsiąkło w chmurę. Oczy pozostały suche i puste. Bo widok z okna na Nowolipiu 49 prowadził spojrzenie Heni Koper na północ, a ulica Kałuszyńska na Pradze była po wschodniej stronie świata. Tam także rosł deszcz.

I nagle stała się rzecz niesłychana. Gdy Henia tak stała przy oknie, szukając jakiegokolwiek znaku z nieba, z ziemi, z piekła, poczuła, że jej piersi wzbierają jakimś dziwnym bólem. W pierwszej chwili Henia

pomyślała, że to po prostu tęsknota. Kobieta wyłuskała ukradkiem pierś ze stanika. Nacisnęła delikatnie sutek opuszkami wskazującego palca i kciuka. Wypłynął szaromleczny płyn. Henia schowała pierś i znów popatrzyła na świat przez mokrą szybę. Gdybyśmy zajrzeli do myśli Heni Koper, usłyszelibyśmy krzyk, błaganie, by północ świata stała się wschodem. Wtedy spojrzenie mogłoby ulecieć w stronę Pragi. Poszybowałoby przez Wisłę i przysiadłoby przy mokrym oknie na Kałuszyńskiej pod numerem piątym. Może udałoby się przyłgnąć do szyby, może dałoby się cofnąć czas o jeden dzień, żeby ujrzeć dziewczynkę wyjmowaną z drewnianej skrzynki.

Pani Bussoldowa pochyliła się. Ujęła niemowlę lewą dłonią, kładąc rękę pod główkę, prawą wsunęła pomiędzy nóżki dziecka, tak, by ciało ułożyło się na przedramieniu. Kobieta powoli uniosła dziewczynkę i wyjęła ją z drewnianej skrzynki. Pani Bussoldowa zrobiła to fachowo, była przecież położną. Podnosiła nowo narodzone dzieci setki razy. Koszyk wyścielony miękkim bawełnianym kocym czekał na dziecko w głębi pokoju. Koszyk był prawie taki sam, jak ten w getcie, wiklinowy, ale mniej zniszczony. Dziewczynka przebudziła się i zaczęła płakać. Pani Bussoldowa ukołysała dziecko, wyjęła z garnka podgrzaną butelkę mleka. Upuściła jedną kroplę na przedramię, by sprawdzić, czy mleko nie jest za gorące. Było akurat. Niemowlę po chwili przestało płakać i usnęło w wiklinowym koszyku. Kobieta odwróciła spojrzenie. Uśmiechnęła się do Pawła, który międlął swój zniszczony kaszkiet. Ale kiedy przerzuciła wzrok na skrzynkę, uśmiech zgasł, niczym zdmuchnięty płomyk.

– Co to jest?

W skrzynce leżała srebrna łyżeczka.

– Tam jest napisane, na tej łyżeczce... Tam coś ważnego... – płacząc się słowa Pawłowi. – I... może przeczytam...

– Nie.

Pani Bussoldowa wyciągnęła dłoń, jakby chciała go gwałtownie uciszyć. Pani Stanisława była kobietą stanowczą. Miała pięćdziesiąt sześć lat. To wystarczy, żeby posiadać ustalone poglądy nawet w najdrobniejszych szczegółach. Pani Stanisława Bussoldowa miała twardy charakter, ale miękkie serce. Toteż, kiedy podniosła srebrną łyżeczkę i dostrzegła wygrawerowane na niej wpisy, jej dłoń lekko

zadrzała. Pani Bussoldowa odłożyła srebrny przedmiot na krawędź kredensu i pochyliła się nad śpiącym dzieckiem. Szepnęła:

– Elżunia.

Pani Stanisława wyprostowała się. Ton jej głosu znów przybrał chropawą barwę:

– Paweł?

– Tak.

Mężczyzna swoim zwyczajem międlit w dłoniach kaszkiet.

– Co tak stoisz?

– No, a co mam robić?

– Możesz już iść.

Paweł lekko skłonił głowę.

– No mogę. To do widzenia.

Na chwilę przystanął, jakby czekał na coś jeszcze. Doczekał się:

– Dziękuję.

– Proszę.

Paweł kiwnął głową i zniknął za drzwiami. Pani Bussoldowa znów podniosła do oczu srebrną łyżeczkę i z pietyzmem schowała ją w fajansowym puzderku. Pochyliła się po raz kolejny nad dziewczynką. Sprawdziła, czy śpi. Weszła do kuchni. Przyklękła na jedno kolano, by mieć łatwiejszy dostęp do skrytki, która była umieszczona na dole kuchennej szafki. Wyjęła zniszczony notes. Przerzuciła kartki, gdzie były zapisane adresy. Przy niektórych widniały numery telefonów, przy innych jakieś tylko znane pani Stanisławie znaczki, gwiazdki, krzyżyki. Na dole listy był zapisany adres: Nowolipie 49 i sześciocyfrowy numer telefonu. Pani Stanisława zapamiętała go. Ukryła notes. Wróciła do pokoju, bo dziewczynka zaczęła płakać. Pani Bussoldowa pochyliła się nad dzieckiem. Sprawdziła pieluchę.

– No i cała jesteś zsikana – dodała po chwili: – Elżuniu.

To było poprzedniego dnia. Teraz Henia stoi przy mokrej szybie i błaga Pana Boga, by zamienił strony świata, by jej myśli miały łatwiejszą drogę na ulicę Kałuszyńską numer 5. Ale widocznie Pan Bóg jest głuchy na prośby Heni Koper.

Tego dnia Henia nie będzie już liczyć kroków od domu do szopu Többensa. Od tego dnia nie będzie nosić ciepła córki w dziurawym plecaku. Henia będzie się zastanawiać, ile kroków musiałaby zliczyć

na ulicę Kałuszyńską, lecz droga na zewnątrz „dzielnicę zamkniętą” jest od tego dnia podwójnie zamknięta: murem i uzbrojonymi oddziałami.

Kiedy Henia wróciła z pracy, znów stanęła przy mokrej szybie. Patrzyła, jak po przeciwnej stronie ulicy służba porządkowa okłada pałkami żebraka, jak policjanci ciągną go po chodniku. Henia zapadła się w swoich myślach. Z odrętwienia wyrwał ją dźwięk telefonu. Sara chciała podnieść słuchawkę, ale Henia ubiegła matkę.

– Halo?...

Z drugiej strony świata odezwał się głos. Rzeczowy, konkretny:

– Pani Koper?

– Tak. Henia Koper.

– Wszystko w najlepszym porządku. Proszę się nie martwić. Proszę posłuchać.

W słuchawce rozległo się gaworzenie niemowlęcia. To była krótka i ryzykowna chwila. Pani Bussoldowa musiała szybko odłożyć słuchawkę na widełki. Henia poczuła, że jej piersi boleśnie pęcznieją.

## 17.

Henia, jeśli tylko mogła, wyrywała czasowi jak najdłuższe chwile, by stanąć przy oknie i patrzeć w przestrzeń. W czwartek deszcz rozpadał się na dobre. Opróżniono więzienie na Gęsiej, zablokowano ulice Zamenhofa, Miłą i Muranowską, zlikwidowano dom uchodźców przy placu Grzybowski. W piątek było zimno, pochmurno i wiał silny wiatr. Henia trzy razy odciągnęła pokarm z bolących piersi. Na Karmelickiej wysiedlenie. Krzyki Niemców dochodziły z sąsiedztwa, z Nowolipia 25. Tym razem przy oknie, oprócz Heni, stanęli: Sara, Aron i Josek. Czekali. Na Nowolipiu 49 na razie nikt nie krzychał *raus mit dir!* [50]. W sobotę pokazało się słońce. Blokady na Nowolipkach i Karmelickiej. Niedziela. Upał. Na Nowolipiu gorąco. Likwidują numery 10 i 12... We wtorek na Nowolipie znów wraca piekło, choć jest zimno. Henia musi cztery razy odciągnąć pokarm z bolących piersi.

Zebrawali się wokół stołu. Zajaśniała karbidówka. Zduszone szepty przetykały półmrok.

Josek:

– *Zejt ruig...*<sup>[51]</sup>. Nic nam nie zrobią.

Henia przebija męża wzrokiem. Josek wyjmuje z tylnej kieszeni spodni skrawek papieru. Czyta:

– „Wyłączani z przesiedlenia są: wszyscy Żydzi zatrudnieni w firmach przynależących do Rzeszy Niemieckiej, mogący przedstawić na to odpowiedni dowód”

Josek odkłada pomięte obwieszczenie na stół. Sine światło karbidówki rzeźbi twarze. Wyglądają jak maski.

Sara:

– Ja nie jestem zatrudniona w żadnej „firmie przynależącej do Rzeszy Niemieckiej”

Josek:

– *Mame* – Josek Koper podnosi skrawek obwieszczenia. – Tu jest napisane, że żony i dzieci Żydów pracujących w niemieckich firmach też nie będą wysiedlani.

Sara:

– *Umzin!*<sup>[52]</sup> I ty nagle uwierzyłeś w te bzdury? – pani Sara powstrzymuje kaszel. – To... po co zbijałeś... skrzynkę dla Elżuni?

Josek nie potrafi odpowiedzieć, nie umie wytłumaczyć, skąd ten nagły przypływ nadziei. Może Josek uległ mrzonce, która rozlała się wśród mieszkańców getta, że nie czeka ich masowa eksterminacja, bo przecież tak trudno uwierzyć w katastrofę, bo tak trudno uwierzyć w śmierć. A może Josek nasłuchiwał się irrealnych zapewnień niejakiego inżyniera Edgara Bischoffa, któremu wydzierzawił garbarnię w Wołominie, że: „panie Koper, Niemcy to racjonalny naród, przecież nie będą zabijać Żydów, z którymi mogą robić interesy”. Inżynier Bischoff wiedział, co mówi. Inżynier Edgar Bischoff był folksdojczem i zrobił z Żydem świetny interes: wydzierzawił od Joska nowoczesną garbarnię. Owszem przekazywał mu potajemnie na Lesznie w Sądach smętną ratę – za którą teraz można było kupić sześć bochenków chleba – ale po cichu liczył, że Josek Koper niedługo już nie będzie właścicielem fabryki. Josek przemilczał argument folksdojczka i wypluł z siebie kolejną desperacką bzdurę:

– Anglicy i Amerykanie nas wyzwolą, odzyskamy Elżunię i będziemy znów wszyscy razem.

Henia gwałtownie wstaje od stołu, patrzy na męża z wyrzutem. Jej twarz znika w ciemności.



Josek:

– *Mejn lib*<sup>[53]</sup>... Dokąd?...

Henia:

– Do łazienki. Muszę odciągnąć pokarm.

Środa. Chłodno. Wysiedlenia z ulicy Kupieckiej i części Nowolipek. Czwartek. Do piętnastej pada deszcz. Ogrodowa, Waliców, Grzybowska. Piątek. O godzinie trzynastej ulewa. Nowolipki 52...

Faktycznie, praca w niemieckich szopach chroni Henię, Joska i Arona przed deportacją. Ale czy miecz Damoklesa nie spadnie na rodzinę – wie to tylko Pan Bóg, który gdzieś się zapodział. Może nie chce patrzeć na transporty odchodzące z Umschlagplatzu do Treblinki.

U Többensa trzeba było wypracowywać kontyngent, już bez zapłaty. Pensją było tymczasowe darowanie życia. Za talerz wodnistej zupy plus osiemnastodekagramową porcję chleba trzeba było płacić z własnej kieszeni. Ulice w getcie zmieniły się. Wyludniane rejony tchną cichym przerażeniem. Zaś od szóstej rano do ósmej słychać tumult ludzi zbierających się w grupy maszerujące do warsztatów. Rozlegają się gwizdki, krzyki rozkazów, głucho uderzenia pałek werkschutzu<sup>[54]</sup>. Henia szyje kontyngent za kontyngentem od siódmej rano do siódmej wieczorem. Piersi puchną i bolą.

Sobota. Powietrze dość ciepłe, ale nie gorące. Ciało Heni rozpalone bólem. Henia wstaje od maszyny, by udać się do wychodka i tam uwolnić pokarm z palących sutków. Słyszy za sobą warknięcie strażnika:

– *Wo?!*<sup>[55]</sup>

– Za potrzebą.

– Siadać.

– Ale...

Na plecy Heni spada pałka. Teraz będą boleć piersi i plecy.

Tego wieczoru zadzwonił telefon. Henia czekała, aż w słuchawce rozlegnie się gaworzenie córki, lecz nie doczekała się. Pani Bussoldowa poinformowała krótko:

– Śpi.

– Rozumiem – odrzekła Henia.

Potem ze słuchawki padło pytanie, na które ciężko było znaleźć odpowiedź:

– Jak?

– Jeszcze do nas nie doszli.

– Rozumiem.

– Muszę nakarmić dziecko – powiedziała Henia przeraźliwie szorstkim tonem.

Cisza. Po chwili, z tamtej strony świata:

– To niemożliwe.

– Muszę, inaczej ja coś...

Henia nie kończy zdania. W uszach pani Stanisławy Bussoldowej słowa „inaczej ja coś...” dźwięczą głuchym echem. Pani Bussoldowa słyszała już tę frazę z ust ukrywającej się Żydówki, której w getcie odebrano syna. Miała na imię Estera. Estera chciała za wszelką cenę odzyskać dziecko wywiezione w nieznane. Powtarzała jak katarynka „inaczej ja coś..., inaczej ja coś...”. Estera nie odzyskała syna. Wyskoczyła z trzeciego piętra kamienicy, w której się ukrywała.

– Rozumiem – mówi pani Bussoldowa przez telefon. Pyta: – Ma pani legitymację na konny tramwaj w getcie?

– Chyba mam.

– Dobrze. W poniedziałek. Dziewiąta rano. Niestety, musi się pani zwolnić z pracy. Proszę wziąć dużą chustkę. Przy bramie proszę ją przewiesić przez lewą rękę. – I na koniec zwięźle: – Będziemy czekać przy zachodniej bramie na Lesznie.

## 18.

Poniedziałek. Od rana ciepło, a nawet gorąco. W getcie będą wysiedlać z Gęsiej, Pawiej, Smoczej i z Lubeckiego. Na Pradze spokój. Pani Bussoldowa wstała wcześniej rano, by przygotować dziecko do podróży. Zrobiła to sprawnie, sprawnie wydobyła ze skrytki tajny notes. Obok notatnika spoczywał plik pieniędzy. Pani Bussoldowa odliczyła sumę, zapisała ją ołówkiem. Następnie wyjęła dziewczynkę z koszyka, sprawdziła, czy jest odpowiednio opatulona, czy nie przegrzeje się w beciku, bo zapowiadał się upał. Wyszła z kamienicy. Odkłoniła się dozorczyńni, która posłała jej uprzejmie:

– Dzień dobry, pani Bussoldowa.

Kobieta z natrętną ciekawością rzuciła okiem na becik, ale zamknęła gębę na kłódkę. Pani Bussoldowa była właścicielką kamienicy przy Kałuszyńskiej, więc lepiej trzymać język za zębami. W bramie rozległ się cichy stukot korkowych sandałów. Przed kamienicą czekała zamówiona riksza. Podróż na lewą stronę Wisły przez most Poniatowskiego, na ulicę Wronią zajęła pół godziny. Rikszarz monologował jak najęty, że ktoś ważny w getcie popełnił samobójstwo, i że „Żydki sami sobie winne, że ich gdzieś tam wywożą”. Pani Bussoldowa kazała zamknąć się mężczyźnie.

Zajechali na Wronią. Pani Stanisława odliczyła sumę za kurs i za postój, nie dała napiwku, kazała czekać rikszarzowi, poprawiła smoczek w ustach dziecka. Skręciła w lewo, w Leszno. W perspektywie ulicy widać już było zachodnią bramę getta. Pani Bussoldowa ukryła w beciku plik banknotów. Pomyślała, czy tysiąc złotych to wystarczająca cena za wyjście z getta. Można było to zorganizować inaczej. Miała przepustkę. Mogła zatem wejść za mur z dzieckiem, nakarmić dziewczynkę piersią matki, a potem wyprowadzić Elżunię na aryjską stronę. Nie, tym razem to by się nie udało. Nie można grać z Panem Bogiem w ruletkę.

Henia wstała tego dnia trochę później niż zwykle. Joska już nie było. Pewnie przekraczał bramę szopu Hallmana na Nowolipkach. Henia dotknęła dłonią poduszkę Joska, by odnaleźć ślad ciepła. Poduszka była chłodna. Henia przez moment tkwiła w nieruchomej pozie i myślała, jak bardzo kocha męża. Aron stał w progu mieszkania. Wychodził do pracy. Pochylony i milczący. Sara siedziała w kuchni na taborecie. Pochylona i milcząca. Gdzieś z oddali dobiegł dziwny dźwięk, jakby głuchy pomruk, rumor, chrzęst. Nie wiadomo, co to było. Sara wzdygnęła się. Henia nie drgnęła. Otworzyła dolną szufladę kredensu. Poszukała legitymacji upoważniającej do jazdy tramwajem konnym. Na środku dokumentu widniała gwiazda Dawida. Henia na moment zatrzymała spojrzenie na metryce córki. Zamknęła szufladę. Rozległ się dźwięk podobny do tego za oknem, tylko bardziej cichy. Sara drgnęła.

- Powinnaś już być w pracy.
  - Dziś nie idę do pracy – odrzekła Henia.
- Sara nie miała siły podnieść oczu na córkę.
- Heniu.
  - *Ja, mame*<sup>[56]</sup>.

– Mogą cię za to rozstrzelać.

– *Ja, mame.* – I Henia dodała po chwili: – Idę nakarmić Elżunię.

Sara już się nie odzywała. Tkwiła w oczekiwaniu na ów głuchy dźwięk zza okna.

Drogi nielegalnego wyjścia z getta na wolność były różne. Niektórzy – jak Aron – pracowali poza murami. Trzeba było tylko śmiertelnie zaryzykować, odłączyć się od grupy, zdjąć opaskę i uniknąć kuli wartownika. Co dalej począć z wolnością, to już inna sprawa. Na takich śmiałków dybali szmalcownicy. Innym sposobem było przejście w Sądach na Lesznie. Tam, gdzie inżynier Edgar Bischoff co miesiąc wypłacał ratę Joskowi za dzierżawę garbarni. Trzeba było tylko wiedzieć, w które wejść drzwi i jak dać w łapę odźwiernemu. Przechodzono także przez mur cmentarny. I przez tunele wydrążone w piwnicach. I kanałami. Ale tamtego dnia pani Bussoldowa zorganizowała wyjście przez zachodnią bramę na Lesznie. Wacha już była przekupiona. Czy tysiąc złotych wystarczy? Wartownik ma przepuścić na aryjską stronę kobietę, która będzie miała przewieszoną chustę na lewym ramieniu i pokaże legitymację na tramwaj konny.

Henia znowu liczy kroki. Mija opustoszałe, wysiedlone, głuche kamienice na Nowolipiu. W upalnym powietrzu unoszą się kłębki pierza i Nowolipie mogłoby znów przypominać szklaną kulę z dziecięcym widoczkiem, gdyby nie walające się jak wiotkie trupy resztki ubrań. Na bruku leżą roztrzaskane meble. Nowolipie śmierdzi kwaśno-gorzkim odorem. Na jednej z rozbitych szyb pozostały smugi krwi. Wyrwane wrota bramy chciałyby krzyczeć, lecz pozostają nieme. Henia skręca w Karmelicką. Ulica jest równie kaleka jak część Nowolipia. Na Lesznie trochę lepiej, ale Henia nie odrywa wzroku od chodnika. Nie czuje bólu w nabrzmiałych piersiach, choć ból nie ustał. Kobieta mija warsztat Többensa, gdzie powinna teraz siedzieć przy maszynie i wyliczać się z kontyngentu, ale Heni tam nie ma. Może za to zapłacić życiem. Henia myśli, że zaraz zobaczy córkę i w tym momencie gubi rachubę. Już nie liczy kroków. Widzi szlaban. Nogi zamieniają się w dwa głązy. Usta robią się zwęglone. Henia staje przed wartownikiem. Na lewym ramieniu ma przewieszoną chustę. Podaje tramwajową legitymację. Mówi:

– *Bitte*<sup>[57]</sup>.

Wartownik spogląda uważnie na dokument z gwiazdą Dawida. Patrzy na chustkę. Otwiera usta pełne zepsutych zębów. Henię za chwilę ogarnie czerń, a daleki, nierozpoznany głuchy dźwięk zmiażdży czaszkę. Wreszcie przekupiony Niemiec wskazuje lufą karabinu aryjską stronę.

– *Los! Ab!*<sup>[58]</sup>

W cieniu stoi niewysoka kobieta z becikiem w ramionach. Jakiś zimny promień przesywa ciało Heni. Idą w milczeniu w stronę Wroniej. Wchodzą do ciemnej bramy, gdzie czeka odwrócona do góry dnem skrzynka po jabłkach, a może po brukwi. Henia siada na skrzynce, wyłuskuje pierś. Podaje ją dziecku. Ból mija. Potem druga pierś. Henia czuje, że musnął ją jakiś cień. Rozgląda się zamglonym wzrokiem. Kto to był?...

Bussoldowa mówi cicho:

– Może pani tam nie wracać. Znajdziemy coś dla was.

Henia nie odpowiada. Spogląda na dziecko i zamyka w pamięci obraz. Oddaje córkę. Pęka na zawsze niewidzialna nitka. Elżunia patrzy na dwie twarze. Jedna kobieta ma zielone oczy, druga piwne. Dziewczynka nie ma jeszcze pojęcia, że to są jej dwie matki. W bramie znów pojawił się cień.

## 19.

Wtorek. Rano pochmurno i wieje zimny wiatr. Potem trochę się wypogadza, a wieczorem wiatr cichnie i robi się ciepło. Wysiedlenia z Muranowskiej, parzyste numery, Nowolipki 45, Gęsia i Zamenhofa. Z Umschlagplatzu wywieziono tego dnia sześć tysięcy pięćset sześćdziesiąt osiem osób. Henia, Jasek, Sara i Aron to cztery osoby więcej. Ale na nich jeszcze nie spadł miecz Damoklesa.

Henia podnosi się od maszyny i staje na baczność przed aufsiehtem<sup>[59]</sup>. Nadzorca nazywa się Balode, jest bardzo niski, sięga poniżej ramienia Heni. Balode to Łotysz. Balode wolałby patrzeć na kobietę z góry, a nie z dołu, ale regulamin wymaga, by Henia stanęła przed nim na baczność, a niemieckich zarządzeń trzeba przestrzegać. Więc absurdalnie Henia niby góruje nad aufsiehtem.

– Dlaczego nie była wczoraj w pracy?

– Byłam chora.

Nadzorca Balode odruchowo, na jedną sekundę, wspina się na palce. Otwiera duży zeszyt oprawiony w marmurkową okładkę. Wyjmuje zza ucha ołówek i celuje jego ostrzem w rubrykę, gdzie jest zapisana liczba uszytych kontyngentów.

– Musi nadrobić.

– Tak jest, *Herr* Balode.

– Razem, wczoraj, dziś i za karę, będzie dwieście.

Henia ma mgłę przed oczami. Nie jest możliwe, by uszyła jednego dnia dwieście mundurów.

– Tak jest, *Herr* Balode.

Czubek ołówka przesuwają się w kierunku nazwiska Heni. Nadzorca sylabizuje:

– Ko-per.

– Tak jest, *Herr* Balode.

Balode wczytuje się w odręczną adnotację przy nazwisku. Henia chciałaby zerknąć na treść notatki, ale nie jest to możliwe. Turkot maszyn wypełnia mózg. W tym momencie do hali wchodzi dyrektor Többens. Idzie między rzędami, jakby płynął wzdłuż podnoszącej się fali. Pracownicy kornie wstają, schylają głowy. Többens zatrzymuje się przed Henią. Patrzy na kobietę. Nic nie mówi. Zerka przez ramię Balodemu na zapis w zeszycie. Idzie dalej. Heni wydaje się, że ogarnia ją mroźny powiew. Ale to złudzenie. Owszem jest chłodno i wieje zimny wiatr, ale bez przesady. Na Muranowskiej, na Nowolipkach, na Gęsiej i na Zamenhofszykują się blokady. Do Treblinki wywiozła we wtorek sześć tysięcy pięćset sześćdziesiąt osiem osób.

Środa. Ciepło, a nawet gorąco. Wywieziono dzieci z sierocińców na Twardej i Śliskiej. Czwartek. Chłodno. Dalsza część Nowolipek. Na Ogrodowej 17 zastrzelono mężczyznę. Nie doczekał transportu do Treblinki. Na Pradze, na Kałuszyńskiej 5 spokojnie. Pani Bussoldowa wyszła z bramy przed dziesiątą. Prowadziła przed sobą dziecięcy wózek. Niski, z dykty, na niewielkich kółkach, z otwieraną budką i Inianą zasłonką. Na bokach – namalowane słodkie różyczki.

– Dzień dobry, pani Bussoldowa.

– Dzień dobry.

Pani Stanisława Bussoldowa odskłoniła się dozorczyńni. Nie mogła znieść natarczywego spojrzenia tamtej. Zatrzymała się. Poprawiła

zasłonkę w budce i wyjaśniła krótko:

– To jest dziecko kuzynki. Właśnie je odwożę.

Dozorczyni zamilkła, więc pani Bussoldowa dodała:

– Trzeba sobie pomagać.

– Oczywiście – odrzekła kobieta i kontynuowała sprzątanie bramy.

Pani Bussoldowa pchnęła wózek. Przystanąła w smudze światła. Sprawdziła, czy w nogach dziewczynki leży zawiniątko. To była srebrna łyżeczka uścielona w bawełnianej chusteczce. Pani Stanisława spojrzała jeszcze raz na dozorczynię i posłała jej uprzejmy uśmiech, który po chwili zamienił się w groźny grymas.

Z Kałuszyńskiej na Ząbkowską idzie się dwadzieścia minut piechotą. Pchając wózek z cudzym dzieckiem – około pół godziny. Na Ząbkowskiej mieszkała pewna kobieta. Tę kobietę wyznaczyła Irena Sendler jako zastępczą matkę dla Elżuni. Kobieta była bezdzietna i bardzo chciała mieć córeczkę. Owa bezdzietna kobieta znalazła się na liście potencjalnych matek zastępczych. Lista rodzin, które mogły dać schronienie i życie żydowskim dzieciom, była relatywnie długa i ściśle tajna.

Kiedy kobieta z listy zobaczyła dziewczynkę, najpierw się rozpląkała ze szczęścia, a potem przytuliła dziecko. Pani Bussoldowa rozejrzała się. Mieszkanie było schludne, ale ciemne. Pani Stanisława zajrzała do łazienki. Łazienka do przyjęcia. Kuchnia także. Po wystroju mieszkania można było się zorientować, że przyszła matka może nie jest bardzo bogata, ale wystarczająco majątna. Prowadziła stragan z warzywami na Kercelaku. Kiedy Pani Bussoldowa wróciła do salonu, kobieta jeszcze mocniej tuliła niemowlę. Pani Stanisława wyjęła z zawiniątka srebrną łyżeczkę.

– Tak? Co to jest? – spytała kobieta.

– Powiedzmy, że metryka.

Kobieta pochyliła się i odczytała:

– Elżunia... Pięknie...

Odwróciła łyżeczkę i wpatrywała się w wygrawerowaną datę narodzin dziecka. Do oczu kobiety napłynęły łzy, a z gardła wyrwał się kaszel. Bussoldowa zamarła.

– Pani jest chora.

– Ale skąd... Jestem zdrowa...

– To jest suchotniczy kaszel.

Pani Stanisława odebrała dziecko z ramion kobiety.

– To jest... To jest... Ja jestem wzruszona... Po prostu wzruszona... – zaszlochała zastępcza matka. – To nie jest gruźlica.

Głos kobiety brzmiał jak rozdarty pergamin. Rozpaczliwie, żałośnie i bezradnie. Pani Bussoldowa chciała coś powiedzieć, czegoś zażądać, coś jeszcze wyjaśnić, ale uznała, że to strata czasu.

– Niech pani mi tego nie robi... Ja już tak bardzo ją pokochałam...

Z Ząbkowskiej na Kałuszyńską jest dwadzieścia minut piechotą. Z córką w wózku – jakieś pół godziny.

## 20.

Pędzą ich przez ulicę Stawki na Umschlagplatz. Tam na bocznicę czekają bydłce wagony. Tam zaczyna się podróż bez powrotu. Tam wrzaski i świst nahajek, tam płacz i krzyki pękającego życia. Tam zbiegają się kamienie, a każdy kamień będzie odmawiał kadisz<sup>[60]</sup>. Tam szeleści śmierć. Tam gruchoczą kości. Tam z nieba znikają gwiazdy przysłonięte czarną chmurą, oślepięte ogniem. Tam czeka już dym z rozwianymi po ziemi prochami. Tam schował się Pan Bóg za węglem i czeka, aż zostaną pożarci przez korzenie sosen. Gdzie jesteś? – pytają wpychani, ugniatani. Ale dlaczego jest wśród nich Josek Koper? Przecież miał być ocalony, bo pracował w szopie Hallmana. Było tak...

Gorąco, już od świtu nie było czym oddychać. Czwartek. Blokada w szopie Oschmana-Leszczyńskiego na Nowolipiu. Siedzieli przy stole i wsłuchiwali się w ten głuchy rumor podobny do wbijania wielkiej drzazgi w żywe mięso. Nie mieli odwagi stanąć przy oknie. Nie chcieli patrzeć, co się dzieje na ulicy. Być może nie chcieli ożywić świata swoimi oczami. Josek wstał od stołu. Sara spytała ledwo słyszalnym szeptem:

– *Wau gejestu?*<sup>[61]</sup>

– Do pracy.

Josek poprawił szelki. Josek Koper nie cierpiał, kiedy ze spodni wystawała koszula. Uśmiechnął się nikłym grymasem i skierował kroki do drzwi.



– *Wartn*<sup>[62]</sup>. – Henia spróbowała zatrzymać męża. – Jeszcze czas do pracy.

Josek przystanął w progu. Powtórzył jak echo:

– Jeszcze czas.

Henia dostrzegła, że dłoń Joska naciska klamkę.

– Czekaaj.

Josek zamarł w progu. Aron tego dnia był zwolniony z kopania dołu pod fundamenty na Pradze. Nie wiadomo dlaczego. Nie wszystko na tej ziemi jest wytłumaczalne. Teraz Aron patrzy, jak jego zięć stoi w drzwiach, Aron nie słyszy rumoru za oknem. Widzi, jak jego córka ujmuje męża za dłoń i gdzieś prowadzi.

Josek nie lubi kłaść się w ubraniu na łóżku, ale tym razem wykonuje prośbę żony. Henia kładzie się obok. Leżą w milczeniu. Henia czuje, jak ciepło policzka męża rozlewa się na poduszce. Henia pragnie, by zostało tam na zawsze. Mija kilka minut, a może kilkanaście.

Josek wstał z łóżka i wyszedł z mieszkania. Ślad ciepła jego głowy promieniował na poduszce.

Na Nowolipkach, nie dochodząc do meblarskiego szopu Hallmana, Josek Koper został wepchnięty do kolumny gonionej na Umschlagplatz. Z początku coś tłumaczył żydowskiemu policjantowi, ale dostał pałką w kark. Kiedy znalazł się na placu przeładunkowym, jeszcze raz chciał coś wytłumaczyć, tym razem strażnikowi, pokazał przepustkę od Hallmana, lecz strażnik uderzył go kolbą karabinu i wepchnął do wagonu. Wtedy Josek zaczął krzyczeć, że nie zostawi rodziny i córki, próbował wyrwać Niemcowi karabin. Drugi strażnik zastrzelił Joska strzałem w potylicę. Ciepły ślad na poduszce zupełnie zniknął.

Niedziela. Noc chłodna, ale szykuje się straszny upał. Na Kałuszyńskiej 5 pani Bussoldowa przewinęła i nakarmiła Elżunię. Dziewczynka uśmiechnęła się. Kobieta pomyślała, że trzeba wyrobić dziecku rzetelne dokumenty, a przede wszystkim ochrzcić. Może na razie niech to będzie chrzest z wody. Myśl długo chybotwała się w głowie i w sercu pani Stanisławy. Dziwna fala gorąca przelała się po jej ciele, kiedy wpatrywała się w inskrypcję wygrawerowaną na srebrnej łyżeczce. W pierwszej chwili pani Bussoldowa pomyślała, że odezwała się jakaś resztką klimakterium, ale to oczywiście absurd. Pani Bussoldowa miała już szósty krzyżyk na karku. Kiedy fala gorąca odpłynęła, kobieta odłożyła łyżeczkę do fajansowego puzderka i oparła dłoń na słuchawce

ebonitowego telefonu. Jej dłoń nie drżała. Dłonie pani Bussoldowej nie mogły drzeć, przecież pani Stanisława przyjmowała tymi dłońmi dzieci przychodzące na świat. A zatem lewa dłoń pani Bussoldowej podniosła słuchawkę, a wskazujący palec prawej dłoni wykręcił na tarczy sześciocyfrowy numer. Pani Stanisława pomyślała, że wystarczy sześć cyfr, by przekroczyć linię oddzielającą dwa światy.

– Tak? Halo? – odezwał się stłumiony głos z tamtego świata.

Pani Bussoldowa przez kilka sekund zastanawiała się, co ma odpowiedzieć. Wybrała najprostszą wersję:

– To ja.

Osoba po tamtej stronie kaszlnęła.

– Tak... Rozumiem... To pani.

Z ust Bussoldowej wypadło zdanie:

– Jest u mnie bezpieczna. Będzie u mnie – dodała.

– To dobrze.

I znów pani Stanisława na moment zamilkła, by po chwili zadać pytanie, na które można znaleźć tysiące odpowiedzi:

– Jak?

W słuchawce zaległa ciężka cisza. Myśli pani Bussoldowej rozkruszyły się. Kobieta powstrzymała emocje i odezwała się równym tonem:

– Rozumiem.

– My... pewnie już niedługo – odpowiedziała pani Sara z tamtej strony świata.

Znów krótkie milczenie z tej strony. Potem:

– Szykujemy się – oznajmiła Bussoldowa.

– Tak? – Oddech. – Do czego się szykujecie? – spytała kobieta z tamtej strony świata.

Pani Bussoldowa nie miała z góry przygotowanej odpowiedzi. Odezwała się szybko, prawie bez zastanowienia zadała pytanie:

– Czy zgodzicie się państwo na krzyżyk?

Odpowiedź była równie szybka:

– Tak.

– Proszę może uzgodnić z...

– Nie trzeba. Zgadza się. Tak będzie najlepiej – odrzekł głos. – Tylko... – głos zawiesił się. – Tylko chciałabym... Chcielibyśmy... Mąż chciałby jeszcze zobaczyć wnuczkę.

To był koniec rozmowy. Tamten świat pozostał na swoim miejscu. Ten na swoim. Dopiero teraz dłonie pani Bussoldowej zaczęły drżeć.

Były jeszcze dwa sekretne połączenia telefoniczne. Ryzykowne. Ustalono, że ktoś od pani Bussoldowej odwiedzi miejsce pracy pana Arona, tam, gdzie na Pradze pan Rochman kopie dół pod fundamenty magazynu Schultza. Łączniczką miała być niejaka Janina Morawska. Pani Bussoldowa musiała wynająć nianię do opieki nad dzieckiem – była zapracowaną i wziętą akuszerką. Opiekunka zamieszkała na Kałuszyńskiej na stałe. I to ona wybrała się z Elżunią na spotkanie z dziadkiem dziewczynki. Janka miała rozpoznać mężczyznę po siworudej brodzie, tak było ustalone. Pan Aron rozpoznał Jankę po słomkowym kapeluszu, pchającą dziecięcy wózek, który na bokach miał wymalowane różyczki, tak było ustalone. Jak pan Aron zdołał przekupić wartownika pilnującego kopaczy, nie wiadomo. Wachter<sup>[63]</sup> udawał, że przysypia na worku cementu. Aron rozejrzał się, oddalił się na kilkanaście kroków od grupy i podszedł do niani. Spotkanie musiało być krótkie. Ograniczone do kilku gestów i kilku słów. Janka spojrzała prosto w oczy mężczyzny. Na ich dzień tonął żal. Niania delikatnym ruchem odkryła zasłonkę. Pod budką spała dziewczynka. Aron Rochman zamarł i modlił się, by ta chwila trwała wiecznie. Ale chwila nie trwała wiecznie. Może pięć, może siedem sekund. Trzeba się śpieszyć. Pan Aron wyjął z naddartej kieszeni spodni jakieś papierowe zawiniątko. Wetknął je ukradkiem w dłoń Janki. Szepnął:

– Tu jest nazwisko i adres mojego brata. Nazywa się Mał. Gdybyśmy nie przeżyli, proszę mu oddać Elżunię.

– Ale... – niania próbowała o coś spytać, lecz Aron nie dał jej dokończyć:

– Mał mieszka w Ameryce. W Ameryce. W Ameryce – powtarzał jak zaklęcie.

Janka wyczuła palcami, że w zawiniątku spoczywa jakiś twardy przedmiot. Błyskawicznie wrzuciła pakunek do torebki. Chciała na powrót zakryć dziecko zasłonką.

– *Nejn, bite*<sup>[64]</sup> – poprosił Aron.

Pan Rochman pochylił się nad Elżunią. Jeszcze raz chciał przebłagać Pana Boga, by ta chwila była nieskończonością. Ale dziewczynka obudziła się, zobaczyła nad sobą siworudą brodę i zaczęła płakać.

Wachter już nie mógł udawać, że ziewa przez sen. Aron wycofał się do grupy i dalej kopał dół. Nie patrzył w stronę oddalającego się wózka z różyczkami. Janka odeszła na bezpieczną odległość. Rozwinęła pakiecik. Na kartce wyrwanej z zeszytu napisano: „Max Richman”, pod spodem adres w USA. W papier zawinięto złoty krzyżyk na łańcuszku. Jak Aron go zdobył? Nie wiadomo.

Kiedy pan Rochman wróci do ocalałej kamienicy na Nowolipiu, usiądzie zgarbiony przy stole. Obetrze pot z czoła, bo upał i żal pali tego dnia okrutnie, spojrzy blado na żonę i córkę, powie:

– Ona już nie nasza.

W tym samym czasie Janka patrzy, jak pani Stanisława zanurza dłoń w wodzie i znaczy krzyż na czole córki:

– Elżbieto – poprawia się: – Elżuniu. Ja ciebie chrzczę, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen.

## 21.

Dawno, dawno temu Pan Bóg pojawił się nad Warszawą. Wybrał sobie cząstkę stworzonego przez siebie świata. Pan Bóg wzniósł się ponad dzielnicę okoloną murem, nad zdławionym gettem, popłynął nad bramą przy Ogrodzie Krasińskich, której napis w dwóch językach wieścił, iż za murem jest obszar zagrożony tyfusem, lecz już mało kto mógł być tu nosicielem tyfusu, chyba że trupy leżące na bruku, Pan Bóg uniósł się nad poczerniałą ulicą Nalewki, gdzie samotna mirabelka chciała wyrwać się z korzeniami, by uciec nie wiadomo dokąd, nad Wałową, gdzie stała pusta kamienica Friedmana, nad placem Muranowskim, gdzie po straganach została zaśmiecona pustka, nad ulicą Stawki, w którą wdeptano płacz, nad Umschlagplatzem, gdzie zgrzyt kół bydlęcych wagonów był ostatnim westchnieniem trzystu tysięcy ludzi. Pan Bóg chciał się wznieść do swojego nieba, ale usłyszał czyjś szept:

*Stanęły nogi nasze w bramach twoich, Jeruzalem.  
Jeruzalem, tak zbudowane, żeś jest miasto całe zwarte w sobie.  
Dokąd wstępują plemiona, plemiona Pańskie, aby  
na świadectwo Izraela wystawiać Pańskie*

*imię.  
Gdzie ustawione są krzesła sądu, trony domu Dawidowego.  
Proście o pokój dla Jeruzalem, niech będą bezpieczni miłujący  
ciebie...<sup>[65]</sup>*

Pan Bóg zaciekał się i popłynął w stronę zduszonego głosu. To nie była ani pieśń, ani modlitwa, ani błaganie, ani płacz. To była myśl, która niczym drzazga tkwiła w głowie samotnej kobiety stojącej przed pustą kamienicą na Nowolipiu. Kobieta zwykle dbała o to, by jej srebrne włosy były przykryte czepkiem, nawet jeśli szajtl podniszczyła nędza, ale tym razem jej całkowicie posiwiłe włosy były wystawione na szydercze spojrzenie człowieka w szarym mundurze, z karabinem na ramieniu. Człowiek w szarym mundurze zdjął karabin z ramienia i wycelował nim w kobietę. Warknął:

– *Wo?*<sup>[66]</sup>

– Szukam męża – odrzekła kobieta po chwili.

Kobieta o srebrnych włosach nie mogła już odnaleźć męża. Jej mąż został zastrzelony na Pradze. Jego ciało zległo w dole, drażonym pod fundamenty. Kobieta chciała ruszyć przed siebie, człowiek w szarym mundurze zarepetował karabin. Kobieta o srebrnych włosach zaciekała się. Dotychczas prześladował ją nieznajomy, głuchy rumor. Ten dźwięk jednak był inny, przypominał łamanie kości.

– *Kein Schritt!*<sup>[67]</sup> – warknął tamten człowiek.

Kobieta o srebrnych włosach spróbowała się uśmiechnąć.

– Ja tylko idę – rzekła.

– *Wo?!*

– Muszę odnaleźć zięcia. Może pan go widział? Ma szerokie ramiona i pachnie drewnem, bo pracuje w szopie Hallmana. Tu niedaleko, na Nowolipkach. Muszę tam pójść.

Kobieta zrobiła jeden krok. Człowiek potrząsnął karabinem i naprężył palec na spuście.

– *Halt!*<sup>[68]</sup>

– I jeszcze córka. Blondynka z zielonymi oczami. Na pewno pan ją widział.

Sara Rochman zrobiła drugi krok. Trzeciego już nie zrobiła. Na piersi kobiety o srebrnych włosach zakwitła krwawa róża. Kobieta o srebrnych

włosach drgnęła, przysiadła na krawężniku przed kamienicą o numerze 49 i umarła.

Pan Bóg zaciekał się. Nie miał pojęcia, co stało się z Henią Koper, więc postanowił to sprawdzić.

Poniatowa leży sto sześćdziesiąt kilometrów od Warszawy, czterdzieści kilometrów od Lublina. W Poniatowej był obóz, do którego deportowano w bydłym wagonie Henię Koper razem z pracownikami od Többensa. Tu, w Poniatowej Henia nadal szła niemieckie mundury. Ale nie była już szwaczką. Była niewolnicą. Umieszczono ją w hali pofabrycznej, gdzie stłoczono osiem tysięcy ludzi. Potem Henia została przeniesiona do baraku. Czteropiętrowe prycze. Smród, ciasnota, głód. Henia jadła łupiny wykradzione z kuchni. Mogła kupić na lewo wyniesiony z magazynu chleb. Ale bochenek kosztował trzysta złotych, a Henia Koper nie miała już ani grosza, więc patrzyła w nadgniły drewniany sufit baraku i myślała o chlebie. I o jajku. Wykradzione jajko kosztowało dwadzieścia złotych. Ale głównie myślała o córce, której obraz kryła pod powiekami. Henia coraz bardziej opadała z sił, a jej zielone oczy zrobiły się mętne. Posiwiiała. Dzień roboczy rozpoczynał się od porannego apelu. Sprawdzenie stanu osobowego. Krzyki, bicie przez kapo – tak formowano komanda robocze. W południe przerwa. Potem praca. Powrót komand do obozu. Apel wieczorny, na którym ponownie sprawdzano stan osobowy. Kary za przewinienia. Bicie przez kapo i vorarbeiterów<sup>[69]</sup>. Szczególnie gorliwy był pewien wachter, którego Henia w duchu nazwała „Królik”, bo miał króliczą twarz.

Pewnej chłodnej nocy obóz został okrążony przez jednostki SS. Spędzono wszystkich więźniów do kilku baraków. Zmuszono do oddania cennych przedmiotów, pieniędzy. Henia nie miała ani pieniędzy, ani żadnego cennego przedmiotu. Królik kazał rozebrać się do naga. Henia rozebrała się. SS-mani ustawili szpaler, przez który pędzono bite kobiety, mężczyzn i dzieci. Grupami po pięćdziesiąt osób. Nad wykopany rowem czekały komanda egzekucyjne. Każdą grupę ustawiano na krawędzi dołów i rozstrzeliwano. Na warstwę trupów kładła się następna warstwa rozstrzelanych. Henia stanęła na krawędzi rowu. W uszy wdarła się muzyka puszczana z głośników. Dziarski marsz zagłuszał krzyki i strzały. Henia spojrzała na czarne niebo. Nie było tam Pana Boga. Może martwy Pan Bóg leżał w rowie.

## 22.

Dawno, dawno temu... Nie. To było całkiem niedawno. Zadzwonił do mnie z Ameryki przyjaciel, Andrzej Krakowski, reżyser, producent, scenarzysta, pedagog, autor książek „Pollywood. Jak stworzyliśmy Hollywood” i „Pollywood II. Uciekinierzy w raju”. Słyszę ciepły głos zza oceanu:

– Nazywa się Elżbieta Ficowska. Mówi się do niej „Bieta”. Spotkajcie się. Może będzie z tego książka.

Nie lubię narzucanych tematów. Ale lubię wyzwania. Spotkaliśmy się. Już po kwadransie rozmowy wiedziałem, że czeka mnie podróż. Trudna, wyczerpująca, bardzo zagmatwana emocjonalnie. Dlaczego? Nie wiem, kto kieruje naszymi ścieżkami. Według Biety to Pan Bóg, który kazał małemu stworkowi urodzić się pewnego mroźnego dnia w getcie warszawskim na ulicy Nowolipie 49. Według Biety, Pan Bóg obdarzył stworka miłością. Potem Pan Bóg uchronił kilkumiesięczną dziewczynkę ukrytą w drewnianej skrzynce, uśpioną luminalem. Oczywiście Pan Bóg sam nie uratował dziecka. Musiał mieć pomocników. Znaleźli się ludzie z tej i z tamtej strony muru. To byli dziadkowie, ojciec i matka, po której Bieta odziedziczyła blond włosy, zgrabne nogi i piękne zielone oczy. Jak naprawdę w szczegółach wyglądała Henia Koper, już się nie dowiemy, nie została się ani jedna fotografia dziewczyny, która przecięła niewidzialną nitkę i oddała córkę za mur, w obce ręce. Powtórzę: matka oddała własne dziecko. Ta, która ofiarowała córce życie, ofiarowała jej nieznaną los. A potem zginęła. Zginął Jasek, zginęła Sara, zginął Aron i tłumna część narodu, bo tak „wybrałeś i wyróżniłeś ich ze wszystkich ludów”, Panie Boże. Jaki był w tym Twój zamysł? Jaki miałeś plan, obdarzając małego stworka ocaleniem? Sprawiliś, że po drugiej stronie muru pojawiła się druga matka. Nie miała blond włosów i zielonych oczu. Miała oczy piwne, a siwiznę przykrywała ciemną farbą. Druga matka pokochała Elżunię bardziej niż własne dzieci. Ktoś miał plan, by „twoje matki obie nauczyły cię tak nie dziwić się wcale kiedy mówisz *J e s t e m*”<sup>[70]</sup>.

Ująłem w palce srebrną łyżeczkę z wygrawerowanymi imieniem i datą urodzin, jedynym materialnym łącznikiem z tamtym czasem, tamtą przestrzenią i tamtymi ludźmi. I wtedy rozpoczęła się podróż

po niewidzialnej okolicy. Bo to moja przestrzeń. Jestem pisarczykiem z Muranowa. Wychowałem się w kamienicy zbudowanej z ocalonych cegieł getta. Dom, w którym żyłem, i w którym zmarła moja matka, stoi na gruzach spalonego miasta. Tu rosła mirabelka, drzewko ocalałe z Zagłady. Gdyby wyjrzeć przez okno w mieszkaniu z mojego dzieciństwa, można by dostrzec po drugiej stronie niewidzialną kamienicę Nalewki 27, gdzie mieszkała Henia z rodziną i gdzie prawdopodobnie Elżunia została poczęta. Teraz żyję trzysta metrów dalej, na ulicy Stawki. Przez moje mieszkanie przebiega niewidzialny mur, oddzielający getto od aryjskiej strony. Niedaleko jest Umschlagplatz. Tam na niewidzialnej kolejowej bocznicy został zastrzelony ojciec Biety. Całkiem blisko, na dawnej Gęsiej pod numerem 9 stoi niewidzialny Spółdzielczy Bank Kupiectwa Włókienniczego, którego udziałowcem był Jasek Koper. I wreszcie – brama przy Ogrodzie Krasieńskich, przez którą dziewczynka została przewieziona na drugą stronę świata. Przez tę niewidzialną bramę przechodziłem bezkarnie tysiące razy. Mam nawet zdjęcie zrobione w tym miejscu: mama i ja. Uśmiechnięci i szczęśliwi. W późnym wieku dowiedziałem się, że mój pradziadek był Żydem. Gdyby nie zmarł przed wojną, może byłby mieszkańcem getta, a mnie nie byłoby na świecie.

Jaki więc miałeś zamysł, Panie Boże, by spotkać mnie z Bietą i jej historią? Ty, który być może istniejesz, jeśli nie zmarłeś w rowie, gdzieś pod Poniatową. Przymykam oczy, wkradam się do dalszego losu zielonookiej dziewczynki przemyconej w drewnianej skrzynce, chciałbym rozwikłać Twój plan...

## 23.

To było w Paschę, gdy Machabeusze podjęli walkę o godną śmierć. Getto stanęło w ogniu. Płonęła część świata, który stworzył Pan Bóg, ale czy świat ogrodzony murem był aby jego dziełem, czy dziełem ludzi? Dobre pytanie. Chciałbym zajrzeć w oczy ognistemu potworowi, ale mnie tam nie ma. Nie jestem godny być świadkiem. Staję przed niewidzialnym murem, przy niewidzialnej bramie obok Ogrodu Krasieńskich i patrzę w wiosenną przestrzeń. Jest pogodny wieczór.



Opodal słyszę echo jakiejś katarynkowej melodii. Takiej, jaką można usłyszeć w wesołym miasteczku. Czy to śmiechy? Jeden dziewczęcy, drugi chyba chłopaka. Radosne dźwięki przykrywa głuchy pomruk. Teraz już wiem, co to był za ton, który drażnił uszy i przerażał mieszkańców Nowolipia 49. To była z a p o w i e d ź. Wyciągam przed siebie dłoń, bo w powietrzu, ponad niewidzialnym murem płynie jakiś czarny latawiec. Chcę go uchwycić, by dowiedzieć się, kto z drugiej strony muru trzyma go na sznurku. Lecz latawiec rozpada się. Lecą z ognistego nieba zwęglone strzępy niczym konfetti. Chcę uchwycić czarny płatek, ale śmiertelny wiórek kruszy się w palcach na miliony atomów. A ja wiem, jestem pewien, że to cząstka spalonego dokumentu, to jest metryka urodzenia, sporządzona w koncesjonowanym biurze „Formalność”, mieszczącym się na ulicy Mariańskiej. To jest ów kwitek schowany w szufladzie kredensu na Nowolipiu 49. Świadectwo urodzenia, potwierdzenie życia, do którego nie dorosła śmierć. Nie ma już tej kamienicy, nie będzie po niej śladu, mury zapadną się w ziemię przeobrażając Muranów w Pompeje, a na gruzach wyrośnie nowe miasto, tu, gdzie teraz stoję.

Przenoszę spojrzenie na Pragę i widzę nieruchomą twarz pani Bussoldowej w oknie przy ulicy Kałuszyńskiej 5.

Stała przy szybie i wpatrywała się w rosnące ku niebu dymy po drugiej stronie Wisły. Pani Bussoldowa odwróciła wzrok, spojrzała na Jankę. Niania pochyliła się nad łóżeczkiem. Elżunia miała już prawie półtora roku i zielone już oczy.

– No i znowu się zsiakałaś.

Janka westchnęła i zmieniała dziewczynce pieluchę, a pani Stanisława nie mogła oderwać wzroku od dziecka. Jakby ktoś przywiązał ją do dziewczynki niewidzialną nicią. Pani Bussoldowa bała się, że jeśli odwróci oczy w stronę okna, nic pęknie na zawsze. Zatem pani Bussoldowa nie odwróciła się, podeszła do dziewczynki, sprawdziła wprawnym gestem, czy pielucha jest zawiązana jak trzeba. Była zawiązana jak trzeba, na gładko, bez ani jednej fałdki. Gdyby było inaczej, Jankę czekałaby rzeczowa reprymenda. Ale widocznie coś było nie tak, bo dziewczynka zaczęła płakać. Pani Stanisława ujęła Elżunię pod ramiona, uniosła ku sobie i mocno przytuliła.

– No już, mama jest przy tobie.

Janka spojrzała na Bussoldową. Nic nie powiedziała. Podeszła do okna i patrzyła na dymy niosące zły zapach z drugiej strony rzeki. Westchnęła:

– Ciociu... Oni tam... – nie dokończyła zdania.

Janka była prostą kobietą, ale nie z tego powodu zabrakło jej słów. Pani Morawska była daleką krewną Bussoldowej. Dobrą, prostolinijną. Nie umiała pojąć sensu dymów i istoty zapachu śmierci. Są ludzie, którzy mają tak dobre serce, że trudno im zrozumieć barbarzyństwo i absurd rzeczywistości. Do tych ludzi należała niania.

Pani Bussoldowa ciągle stała przy łóżeczku, ciągle odwrócona do okna plecami, ciągle tuliła dziewczynkę w ramionach. Mała dziewczynka, dojrzała dziewczyna, dorosła Bieta nie będzie pamiętać tego gestu, ale ciepło dotyku z tego dnia zostanie w niej na zawsze. Spójrzmy: nieduża kobieta trzyma w mocnych rękach córkę, która jeszcze przed chwilą nie była jej dzieckiem. Ale w tym kwietniowym dniu, kiedy płomienie i dymy zamieniały tamtą stronę świata w popiół, kiedy nad murem frunęły zwęglone szczątki, odwrócona plecami do okna pani Stanisława Bussoldowa powtórzyła słowa niczym przysięgę:

– No już, mama jest przy tobie. Na zawsze.

Potem położyła Elżunię w łóżeczku, dotknęła ciepłą dłońią policzek dziewczynki.

– Śpij.

Dziewczynka zasnęła, nie mając pojęcia, że po drugiej stronie rzeki spłonął jej świat. Na zawsze. Pani Bussoldowa przemogła się. Odwróciła wzrok. Niewidzialna nitka nie pękła, więc pani Stanisława stanęła obok Janki przy oknie. Dwie kobiety patrzyły w przestrzeń. Wiatr niósł ze sobą zapach wiosny i płonącego miasta.

To się wydarzyło wcześniej, jeszcze przed Wielkanocą. Pani Bussoldowa przyjęła pod swój dach siedmioletniego żydowskiego chłopca. Nazwijmy go „Andrzejek”. Andrzejek był żywym dzieckiem. Nadzwyczaj żywym. Podczas zabawy na podwórku wyrwał córce dozorczyńni kolczyk z ucha. Dziewczynka wydarła się wniebogłosy:

– Ty parszywy Żydzie! Ała!

Trzeba było natychmiast wyrobić chłopcu papiery i umieścić go w bezpiecznym miejscu. Lecz od tego momentu wścibska dozorczyńni zaczęła już patrzeć na wyprowadzaną w wózku Elżunię nie z ciekawością, ale z nienawiścią.

Był maj. Powstanie w getcie jeszcze trwało. Dymy popielonego miasta raz dolatywały na Pragę, raz – kiedy zmieniał się kierunek wiatru – dawały o sobie zapomnieć. I to wydarzyło się właśnie w taki pogodny dzień, w niedzielę, drugiego maja. Pani Bussoldowa akurat tego dnia nie odbierała porodów. Mogła zatem pójść z córką na mszę do kościoła na Kamionku. Janka miała wychodne. Pani Stanisława pojawiła się w ciemnej bramie z dziecięcym wózkiem. Przykryła budkę Inianą zasłonką, bo słońce przy wyjściu na ulicę mogło dziecko oślepić. Pani Bussoldowa zrobiła to w gruncie rzeczy odruchowo. Jakby chciała Elżunię ukryć przed światem. Nie. Nie ukryć – uchronić przed światem. Kolorowe różyczki na bokach wózka wesoło zakołysały się. Przy krawędzi bramy stała dziewczyna z plastrem na uchu, córka dozorczyń.

– Dzień dobry, pani Bussoldowa – powiedziała dziewczyna z plastrem na uchu. Jej głos był kopią głosu matki, tylko bardziej piskliwy.

– Dzień dobry, Zosiu.

Dziewczyna zajrzała do wnętrza wózka, ale zasłonka kryła skutecznie Elżunię. Pani Stanisława chciała ominąć wścibską Zosię, ale ta zastąpiła drogę. Gdyby wzrok pani Bussoldowej mógł przebijać, to przebiłby Zosię na wylot.

– Tak? – spytała przez zęby pani Stanisława.

– A czy ta, jak dorośnie, też mi będzie urywać ucho?

Pani Bussoldowa odpowiedziała krótkim:

– Nie.

Pani Stanisława chciała wyjść z bramy, a Zosia swoje:

– Bo one tak mają, że zawsze źle robią.

Dłonie Bussoldowej zacisnęły się na kabłąku wózka tak mocno, że aż zbieleły kłykcie.

– Jakie „one”?

– Żydy.

Prawa dłoń Bussoldowej rozwija się i ląduje z mocą na twarzy dziewczyny. Echo kłaśnięcia roznosi się po bramie.

## 24.

Kościół na Kamionku był szary. Myśli pani Bussoldowej były czarne:

Dlaczego mnie poniosło? Dlaczego naraziłam Elżunię? Ale przecież nie mogłam tego zostawić: „Bo one tak mają, że zawsze źle robią. Żydy”. I co teraz będzie? Będzie donos. Będzie gestapo. Odbiorą mi dziecko. Co zrobią z moją córką? Ja wyląduję na Szucha albo na Pawiaku. Tak będzie. Tak będzie. Będzie przesłuchanie, będzie bicie, a potem będzie Auschwitz. Czy ja wytrzymam bicie? Nie mogę zdradzić... Nie mogę.

Pani Stanisława zerknęła na wózek. Dziewczynka spała. Bussoldowa odruchowo zakryła dziecko Inianą zasłonką. Podniosła wzrok i wpatrywała się w obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem. Pani Stanisława nie zgrała się z wiernymi, którzy wyznawali wiarę.

*Credo in unum Deum,  
Patrem omnipotentem,  
factorem caeli et terrae,  
visibilium omnium et invisibilium...*

Pani Bussoldowa wyznawała wiarę swoimi własnymi słowami, nie spuszczać oczu z ołtarza:

Nie opuścisz mnie, prawda? Powiedz mi, co mam robić? Ty wiesz najlepiej. Jesteś matką. Słyszysz mnie? No, usłysz mnie! Usłysz i powiedz, co mam robić?!

Ale nikt się nie odezwał. Ani Matka Boska, ani sam Pan Bóg.

*...Et exspecto resurrectionem mortuorum,  
et vitam venturi saeculi.  
Amen.*

Droga z kościoła na Kamionku do domu trwa piechotą dziesięć minut. Z córką w wózku piętnaście. W tym czasie pani Bussoldowa opracowała plan. Kiedy pojawiła się w bramie, na jej skraju stała dozorczyńca. Odświętnie ubrana, bo to przecież niedziela, ale pani Stanisława pomyślała, że kobieta wystroiła się, żeby pokazać właścicielce kamienicy, kto tu teraz rządzi. Bo faktycznie, nie trzeba iść na gestapo, wystarczy pójść na posterunek granatowej policji i powiedzieć: „Bussoldowa Stanisława, właścicielka kamienicy przy Kałuszyńskiej pięć, ukrywa żydowskie dziecko” i już Bussoldowa nie będzie właścicielką kamienicy. Będzie krwawą miazgą.

A zatem dozorczyńni stała na skraju bramy, trzymała za rękę zapłakaną Zosię i wlepiła nienawistny wzrok w panią Bussoldową. Ani przez sekundę nie spojrzała na wózek, gdzie za Inianą zasłonką pani Stanisława ukryła żydowskie dziecko. Kobieta nie musiała tam patrzeć. Wszystko było jasne. Nie, wszystko było czarne. Czarne i niedorzeczne. Pani Stanisława otworzyła usta, żeby poprosić dozorczyńnię, by ustąpiła z drogi, ale tamta ją ubiegła:

- Tak nie będzie, pani Bussoldowa.
- Jak? - spytała twardym tonem pani Stanisława.
- Już pani wie „jak”, pani Bussoldowa.
- Proszę mnie przepuścić.

Dopiero teraz dozorczyńni spojrzała na wózek. Malowane na bokach różyczki uśmiechały się do świata, jak gdyby nigdy nic. Kobieta na dwie sekundy wydeła policzki, ustąpiła z drogi, lecz nie omieszkała warknąć za plecami pani Stanisławy:

- Ale ja pani nie przepuszczę. Pani jeszcze zobaczy, pani Bussoldowa.

Bussoldowa nie odpowiedziała, nie odwróciła się, by przeszyć na wylot wzrokiem skrzeczącą kobietę. Miała na głowie inne, ważniejsze sprawy. Trzeba było natychmiast sięgnąć do skrytki po notatnik z adresami i spalić go w zlewie. Trzeba było przewinąć Elżunię, bo pielucha na wylot przemoczona. Trzeba było zagrzać butelkę z mlekiem, wyparzyć smoczek, bo wypluty. Trzeba było utulić dziecko, poczekać, aż się córeczce zdrowo odbije. Trzeba było poczekać pięć minut, aż dziewczynka zaśnie. Trzeba było nacieszyć oczy - niemowlę przybrało na wadze i Elżunia już wygląda jak pączek w maśle. Trzeba było szepnąć nad jej głową:

- Mama cię nie opuści. Nigdy.

Trzeba było wykręcić numer na tarczy telefonu, ale Irena Sendlerowa nie podniosła słuchawki. Więc trzeba było zdjąć znad łóżka obraz Matki Bożej Nieustającej Pomocy i powiesić nad łóżeczkiem z gaworzącą córką, a potem usiąść na krześle i trzeba było czekać.

Mijały minuty. Wsłuchuję się razem z panią Bussoldową w tykanie zegara i patrzę na święty obraz, który do dziś wisi nad głową Biety w jej mieszkaniu na Mokotowie. Czekamy z panią Stanisławą na to, co ma się wydarzyć. Mijają godziny, ale nie słycać walenia do drzwi. Słycać tylko tykanie zegara, który swoim wahadłem kroi czas. Wreszcie rozlega

się chrobot zamka. Niania wraca z randki. Uśmiecha się. Chyba jest szczęśliwa. Patrzy na śpiącą Elżunię. Pyta:

– Nakarmiona?

Pani Bussoldowa odpowiada ze spokojem:

– Przewinięta, nakarmiona, śpi. Jak się obudzi... – głos Stanisławy zachybotał. – Jak się obudzi, nakarm ją.

– Ciocia gdzieś wychodzi? Zaraz godzina policyjna.

– Mam przepustkę.

– A, racja.

Stanisława mówi cicho:

– Ale nigdzie nie wychodzę.

Dopiero teraz Janka dostrzega, że pani Bussoldowa jest blada jak papier.

– Ciociu... Coś się stało? Co tak tu?... Paliło się coś?

Pani Stanisława nie odpowiada. Wstaje z krzesła. Jej twarz na moment znika w półmrocznym cieniu. Pani Bussoldowa pochyła się nad córką. Sprawdza delikatnie pieluchę. Odwraca się. Podchodzi do telefonu. Oczy Janki robią się coraz bardziej okrągłe.

– Do kogo ciocia dzwoni?

– Do Sendlerowej.

Ale w telefonie słychać tylko sygnał. Stanisława odkłada słuchawkę na widełki. Twarz kobiety nie jest już blada. Jest popielata.

– Ciociu...

Pani Bussoldowa zastanawia, się czy wyznać Jance prawdę. Postanawia zamknąć słowa w milczeniu na tak długo, jak się da. Podchodzi bliżej, by zajrzeć w okrągłe od strachu oczy niani.

– Posłuchaj. Posłuchaj mnie uważnie, Janeczko.

– Tak, ciociu.

– Jeśli nic się nie wydarzy...

– Co się ma wydarzyć?

– Nie przerywaj mi. Jutro z samego rana zabierzesz Elżunię do Michalina. Będziesz mówić wszystkim, że to ze względu... – Pani Bussoldowa na moment milknie. – ...że tam jest lepsze powietrze dla dziecka. Bo Elżunia niby ma koklusz. Zaraz dam ci klucz.

Niania czuje, że drętwieją jej usta.

– Co się ma wydarzyć, ciociu?

Pani Bussoldowa nie odpowiada. Patrzą razem z nią na ikonę: Matka Boska trochę przekrzywiła głowę, zerka z czułym smutkiem w dół, w lewą stronę. Ujmuje prawą wiotką dłońią dłoń dziecka. Lewą podtrzymuje syna. Po obu stronach obrazu wznoszą się dwa niewielkie anioły, Michał i Gabriel. Pan Jezus spogląda na tego po lewej stronie. Nic się nie wydarzyło.

## 25.

To pewnie nadużycie, ale pani Bussoldowa uważała, że to Matka Boska Nieustającej Pomocy sprawiła, iż w istocie nic straszego się nie stało. Pani Stanisława była osobą wierzącą. Nie bigotką, nie wygniatała kolanami klęcznika przed ołtarzem. Po prostu afirmowała postawę, iż dobro jest częścią świata i że trzeba ten skrawek rzeczywistości wspomagać swoimi czynami. Ot, prostolinijne myślenie, rzadkie, ale najuczciwsze, bez sofistycznych dywagacji. Kiedy należy – pomagać, kiedy należy – sprzeciwiać się, a kiedy należy – dać w pysk. A ponieważ pani Bussoldowa była kobietą spontaniczną i nie dzieliła włosa na czworo, Zosia, córka wścibskiej dozorczyńni, dostała w pysk. Bo powiedziano: „Niech wasza mowa będzie: *Tak, tak; nie, nie*. A co nadto jest, od Złego pochodzi”<sup>[71]</sup>. No, ale Złe mogło się zemścić nie tylko na szlachetnej akuszerce, ale i na Bogu ducha winnej żydowskiej dziewczynce. Trzeba było się ratować z opresji. Bunt to nie była pierwszozna w życiu pani Bussoldowej.

Urodziła się w 1886 roku w ziemiańskiej rodzinie, która trzymała nad dziewczyną okrutnie ścisłą kuratelę. Zabraniano Stasi samodzielnie wychodzić z domu, kontrolowano każdy krok. Więc szesnastoletnia Stasia chciała się wyzwolić z obskuranckich pęt i wyszła na chybcika za mąż za o wiele starszego mężczyznę. Którego nie kochała, któremu urodziła córkę i syna. Pewnego dnia Stasia doszła do wniosku, że małżeństwo bez miłości jest kolejną niewolą. Wetknęła w dłoń małżonka obrączkę, założyła futro i fora ze dwora. Zrozpaczony mąż chciał dziewczynę zatrzymać, chwycił za kołnierz. Stasia ostatecznie wyzwoliła się z uścisku, niekochany ślubny został z rozpaczą, z futrem w garści oraz z córką i synem. To był pierwszy mąż pani Bussoldowej.

Stanisława musiała się jakoś usamodzielić. Skończyła szkołę położnych i felczerów. W owych czasach akuszerki były na wagę złota, bo kobiety rodziły w domach. Pani Stanisława dorobiła się majątku, który pomnożyła, grając w karty i w ruletkę. A ponieważ nie do końca była pozbawiona wyrzutów wobec dzieci, posyłała im obfite alimenty. Los gnał od czasu do czasu nonkonformistkę do Rosji, gdzie w petersburskich kasynach pani Stanisława szukała fortuny i gdzie ją zastała rewolucja. Wtedy przeszła błyskawiczny kurs, na którym poznała podstawowe zasady komunizmu.

Otóż podczas rozruchów do hotelu pani Stasi wpadły dwie rewolucjonistki. Miały na sobie sukienki uszyte z pluszu, takiego na zasłony, skrojone z godnym zamiarem, ale z katastrofalnym skutkiem. Cóż więc się dziwić, że pierwszą rzecz, jaką zrobiły panie pragnące ruszyć z posad bryłę świata, to rozwarły na oścież szafę. W środku wisiało sobolowe futro.

– *Czej eto mech?*<sup>[72]</sup> – spytała jedna z rewolucjonistek.

– *Moj*<sup>[73]</sup> – odrzekła z godnością pani Stanisława.

– *Eto budiet sejczas moj*<sup>[74]</sup> – stwierdziła rewolucjonistka i chapsnęła sobole.

Polska dama wróciła do Warszawy. Wyszła za mąż drugi raz, za pana Bussolda i owdowiała. Pani Bussoldowa przyjmowała w znoju na świat kolejne dzieci, mając niebotyczną renomę i dorobiła się kamienicy na warszawskiej Pradze oraz domu w podwarszawskim Michalinie. Niemcy napadły na Polskę i nastał czas Złogo, któremu trzeba było powiedzieć: „nie, nie”

Teraz w maju 1943 roku zacna pani Stanisława Bussoldowa patrzy na swoją przybraną córkę, którą los wetknął w jej mocne ramiona, modli się cicho do ikony, by nic strasznego się nie wydarzyło. Pani Stanisława wierzy w moc świętego wizerunku, lecz nie wie, że Matka Boża Nieustającej Pomocy ma drugie imię: „Cierpiąca”

Jednak pani Bussoldowa wymodliła. Różne są zagadki ludzkiego sumienia. Nie wiadomo, co tknęło wścibską dozorczynię. Obawa, resztki rozumu, okruch dobra, który zapodział się w zaśmieconym sercu? W każdym razie babsztyl nie poszedł z donosem ani na gestapo, ani na komisariat granatowej policji. Lecz – jak przyrzekła – nie przepuściła. Udała się do sądu grodzkiego z pozwem i skargą, że niejaka Bussoldowa



Stanisława pobiła jej córkę Zofię. Miała nadzieję na sute odszkodowanie. Ale sędzia nałożył jedynie na obwinioną karę – pięćset złotych na rzecz powodzian.

Spotkały się w bramie. Jak zwykle. Tym razem pani Stanisława nie prowadziła dziecięcego wózka. Elżunia była już w Michalinie. Pani Bussoldowa przystanęła, zajrzała we wścibskie oczy dozorczyńni. Miała już na końcu języka słowo „dziękuję”, ale jakoś to nie przeszło przez usta pani Stanisławy. W zamian spytała:

– Jak ucho Zosi?

– Lepiej.

Pani Bussoldowa pokiwała głową.

– To dobrze. I niech je przykłada tam, gdzie należy.

Nie wiadomo, czy dumny babsztyl zrozumiał przytyk. Pies z nią.

Michalin tonie w zieleni. Ta letniskowa miejscowość leży mniej więcej dwadzieścia kilometrów od Warszawy. Tam pod opieką niani Elżunia jest bezpieczna. Pani Bussoldowa przyjeżdża odwiedzać córkę w każdą niedzielę. W tygodniu odbiera porody. Nie muszę przymykać oczu, by wyobrazić sobie dom przy Słonecznej 23. Piętrowy budynek z mansardową nadbudówką stoi do dziś. Jest tylko nieco przerobiony, nie ma tarasu, który w tej opowieści odegra jeszcze istotną rolę. Gdyby przenieść się w czasie, ulecieć nieco nad ziemię i zajrzeć przez podłużne okno do mieszkania, można by ujrzeć dziewczynkę o zielonych oczach. Jest niedzielne jesienne popołudnie. Amarantowa poświata wlewa się leniwie przez półotwarte okno. Dziś całkiem ciepło jak na październikową porę. Lekki wiatr kołysze kordonkową firanką. Mieszkanie wypełnione jest sosnowym zapachem. Zegar spokojnie tyka. Pospolita scena. Czyżby? Jednak nie do końca. Nie, nie chodzi o to, że mała nie chce jeść i odsuwa niegrzecznym ruchem rękę niani. Zaglądam przez ramię Janki i widzę srebrną łyżeczkę. Tak, tę „metrykę” z wygrawerowanym imieniem i datą urodzin. Dziewczynka kręci głową, nie chce otworzyć buzi usmarowanej kaszą. I, broń Boże, nie ma w tym geście żadnego wydumanego, fałszywego symbolu. Po prostu, Elżunia ma dosyć kaszy manny. Jest zwyczajnie niegreczna. Zaraz się rozryczy i będzie machać nogami na krzeselku tak skutecznie, że omal nie kopnie talerza. Janka ma anielską cierpliwość, ja takiej nie mam, chciałbym umknąć, ale przecież muszę zostać, by opisać ciąg dalszy tej niby banalnej sceny.

– Kochanie. Ostatnia łyżeczka.

Teraz niania powinna powiedzieć „za mamusię”, ale taka symboliczna figura byłaby łzawym kiczem, więc niech Janka powie:

– Otwórz buzię, no.

Elżunia kręci głową, by uniknąć ostatniej porcji i zaciska usta na złość niani. Tym zmaganiom przygląda się stojąca w progu pani Bussoldowa. Zaglądam w jej myśli i znajduję w nich spokój: oto powszedniość, zwyczajne – a jednak – życie. Pani Stanisława uśmiecha się delikatnym grymasem, wyciera ręce w ścierkę, bo przed chwilą zmywała naczynia w kuchni. Przewiesza ścierkę przez oparcie krzesła.

– Daj, ja ją nakarmię.

Patrzę na minę niani. Janka jest niechętna. Tak łatwo ma się poddać? Przecież to ona co dzień zajmuje się dzieckiem. Pani Bussoldowa przyjeżdża do Michalina na niedziele. Właściwie jest tu odświętnym gościem. To ona, Janka, bardziej kocha Elżunię, ma prawo ją nakarmić do końca, nawet jeśli Elżunia zaraz kopnie talerz, nawet jeśli Elżunia kopnie ją w brzuch.

Patrzę na minę pani Bussoldowej. Na twarzy maluje się łagodny upór. Jeszcze chwila, jeszcze sekunda i bez słowa odbierze Jance talerz i łyżeczkę. To ona ma prawo nakarmić dziecko, przecież przyjeżdża stęskniona do Michalina raz w tygodniu. Elżunia jest jej córką, a pani Stanisława kocha to dziecko nad życie. Na pewno bardziej niż Janka. Dosyć.

– Janeczko, powiedziałam, że ją nakarmię.

Dziewczynka wrzeszczy wniebogłosy.

– Janka. Czy ja coś mówię?

– Ciociu, ona już jest przejedzona.

– Daj.

Pani Bussoldowa stanowczym ruchem odbiera talerz i łyżeczkę. I co? I Elżunia przestaje płakać. Zjada nie jedną, nie dwie, nie trzy, a cztery łyżeczki. Janka kiwa głową. Nie muszę zaglądać w jej myśli. Gorzka mina mówi wszystko: tym razem przegrała. Pani Stanisława podnosi dziewczynkę z krzesła, wyciera buzię, tuli. Elżunia chwytła dłonią ufryzowaną falę na głowie pani Bussoldowej. Koafiura była wczoraj ułożona z pietyzmem przez fryzjerkę, ale Elżunia może potargać, co zechce. Po chwili dziecko trafia w ramiona niani, a potem zasypia w łóżeczku. „Pojedynek na czułość” skończony.

Pani Bussoldowa wraca z brudnym talerzem i łyżeczką do kuchni. Myje dokładnie srebro. Wyciera w ścierkę do sucha, z pietyzmem. Patrzy na inskrypcję i odkłada łyżeczkę do szuflady kredensu, razem z innymi sztuczkami, ale jakby trochę osobno.

Wycofuję się z domu przy Słonecznej 23 w Michalinie. Zostawiam pospolite coniedzielne sprawy takimi, jakimi są.

## 26.

Pytam:

– Bieta, jakie jest twoje pierwsze wspomnienie? Pierwsze, najbardziej pierwsze?

Bieta mówi, ja słucham. To i owo dopowiadam swoją wyobraźnią, ciągle szukając sensu ocalenia. Przenoszę się znów do Michalina na Słoneczną. Jak słabo ta promienna nazwa ulicy pasuje do sceny, która ma się za chwilę rozegrać...

To była chyba zima czterdziestego piątego roku. Tak, według mnie to musiała być zima tamtego roku. Naukowcy twierdzą, że nasza pamięć sięga wspomnieniami do czasów, kiedy mieliśmy trzy lata. Dziewczynka o zielonych oczach miała zatem trzy lata. Armia Czerwona stała już na prawym brzegu Wisły i czekała, aż Warszawa do końca rozsypie się w proch. Widzę, jak łązik z sowieckimi żołdatami pędzi w stronę Falenicy. Słychać rosyjskie pokrzykiwania i przekleństwa. Ich słaby odgłos dochodzi do uszu Janki. Niania staje przy oknie, ale trudno cokolwiek dostrzec. Rozlega się chrzęst hamulców, krzyki wzmagają się, po chwili słychać strzały. Co tam się dzieje? Nie wiadomo. Może dziać się wszystko. Może na ulicy Uroczej zastrzelono niemieckiego konfidenta, może na Rozkosznej gwałcą, może na Dobrej łupią. Janka stoi przy oknie. Pulchne ciało niani lekko sztywnieje, myśli rozpadają się. Jeśli Sowietci szukają konfidentów, to na Słonecznej ich nie znajdą, ale jeśli łupią i gwałcą?

Odwróciła się od okna, ale zaraz spojrzenie z powrotem pobiegło za szybę, bo znowu rozległy się strzały. Tym razem Elżunia obudziła się. Dziwnie wygląda świat z poziomu dziecięcego łóżeczka. Niby rzeczywistość odgradzona siatką przypomina areszt, ale ta siatka daje

poczucie bezpieczeństwa. Obraz jest jeszcze zamazany, jeszcze jawę przykrywa warstewka ciepłego, pachnącego snu, ale zaraz przestrzeń przeszyje gwałtowny dźwięk. Huk, warkot, wycie. Dziecko widzi, jak siatka bezpieczeństwa opada. Pochyliły się czyjeś ramiona. Czyje? Ktoś obcy czy bliski? Ach, to niania. Można ją rozpoznać po słodkim zapachu. Lecz ta miła woń przykryta jest czymś nierozpoznanym, jakąś nutą lęku. Elżunia rozplakała się.

– Już, już dobrze, kochanie.

Janka wydobyla dziewczynkę z łóżeczka, spojrzała na obraz Matki Bożej Nieustającej Pomocy. Niania odrobinę za mocno przycisnęła dziecko do siebie. Dziewczynka zaczęła rozpaczliwie płakać.

– Ćśś... Przepraszam. Już, już.

Trzeba się śpieszyć, bo alarm narasta. Trzeba się chronić. Janka rozejrzała się. Nie było czasu na przebranie dziecka. Owinęła dziewczynkę szarym pledem. I tak jak stała, wybiegła z domu, bez pałta. Elżunia na moment przestała płakać. Zaciekawiał ją siny obłoczek, który wypływał rytmicznie z ust niani. Gdzieś w dali narastał huk wybuchów i przykrywał skrzywienie kroków na śniegu. Biegnę razem z nimi. Z ludźmi sunącymi w jednym kierunku. Nie mam pojęcia, gdzie w Michalinie był schron. Na Granicznej? Na Cichej? Niech będzie – na Szkolnej. Betonowymi schodami w dół. Chłód stęchlizny przemieszany z oparami oddechów. Półmrok. Z sufitu zwisa naga żarówka upstrzona czarnymi kropkami. Janka przyciska dziecko owinięte pledem do siebie. Znow za mocno. Elżunia znow płacze. W dali odgłosy wybuchających bomb. Ciepło ramion. Co trzyletnia dziewczynka o zielonych oczach będzie pamiętać z mglistej przeszłości?

Dawno, dawno temu skończyła się wojna. Armia Czerwona odczekała na prawej stronie Wisły, aż Warszawa polegnie w Powstaniu i zamieni się w kamienny ocean. Zapanował nowy porządek rzeczy i obcy stan ducha. Na gruzach spalonych Pompei zaczęło powoli zmartwychwstawać miasto. Życia dawnych mieszkańców dzielnicy północnej nie zwrócono. Ich los zamienił się w popiół, który należało na nowo odczytać. „Muranów góruje na warstwach umierania fundament wsparty o kość piwnice w wyrwach opróżnionych z krzyku<sup>[75]</sup>”, napisze poeta. Ale jeszcze na spopieliałe szczątki getta nie wprowadzili się nowi mieszkańcy, by wrosnąć korzeniami w cmentarzysko.

Po drugiej stronie rzeki tonie w sosnowym zapachu Michalin. Dziewczynka o zielonych oczach nie ma pojęcia, że jest dziedziczką popiołów. Elżunia bawi się czerwoną drewnianą ciężarówką. Kręcąc kierownicą, jeździ po kuchni, może wozi niewidzialne cegły na budowę. W podłodze jest kłapa do piwnicy. Do piwnicy prowadzą schody. Na schody wspina się niania. Trzyma w koszu słoiki z przetworami. Dziewczynka podjeżdża samochodem do krawędzi. Może trzeba zwieźć do piwnicy cegły, może trzeba podążyć niani z pomocą, bo słoiki są ciężkie. A może po prostu dziewczynka o zielonych oczach jest po swojemu niegrzeczna.

– Nianiu?

– Tak?

Janka podnosi ciepłe spojrzenie ku górze. Na głowę spada ciężarówka z zielonookim kierowcą i niewidzialnymi cegłami.

– Jezu!

– Co ty robisz?! Córeczko!

W progu kuchni stoi matka.

*Sprawa o ustanowienie opieki nad nieletnią.*

*18.IV.1945 rok*

*Adwokat Ludwik Gutmacher*

*Wniosek*

*Wnioskodawczyni moja jest faktyczną opiekunką nieletniej Elżbiety Koppel<sup>[76]</sup> urodzonej 5.I.1942 r., córki Izraela i Heny małż. Koppel. Rodzice zginęli podczas okupacji niemieckiej wzgl. są nieobecni i nieznani z miejsca pobytu.*

*Wobec powyższego proszę na mocy art. 372 i 373 i ust. K.C.P. o zwołanie Rady Familijnej i ustanowienie opieki nad nieletnią.*

*Na członków Rady Familijnej proszę powołać:*

<i>St. Bussold A.</i>	<i>Ziółkowski</i>
<i>Ed. Adamski</i>	<i>Z. Bussold</i>
<i>Blimbaum</i>	<i>R. Kukiełka</i>

*Protokół posiedzenia Rady Familijnej*

*4.V.1945 r.*

*Rada Familijna uchwaliła:*

*St. Bussold jest opiekunem głównym, opiekunem przydanym jest Regina Kukiełka.*

*R. Familijna upoważnia St. Bussold do wystąpienia przed sądami odnośnie majątku nieletniej.*

## 27.

Dziewczynka o zielonych oczach, która kiedyś była stworkiem trzymanym przez Pana Boga na dłoni, dziewczynka, która była noszona przez matkę w plecaku do zakładów Többensa, bo jej matka nie mogła zerwać niewidzialnej nici między nią a dzieckiem, dziewczynka o zielonych oczach, ta, która została wywieziona z getta w drewnianej skrzynce, uśpiona luminalem, by nie dawała oznak życia, bo mogła to życie stracić, a więc dziewczynka o zielonych oczach miała już pięć lat, ale nie mogła wiedzieć, kim jest naprawdę. Dziewczynka o zielonych oczach czuła się bezgranicznie kochana przez matkę, ale nie mogła wiedzieć, że to nie jest jej prawdziwa matka. Dziewczynka o zielonych oczach czuła, że jest nieskończenie kochana przez nianię, ale jeszcze nie mogła wiedzieć, co to jest miłość.

– Nianiu?

– Tak, Elżuniu.

– A co to znaczy „uchylić nieba”? Dlaczego mama tak wczoraj powiedziała, że gdyby mogła, nieba by mi uchylila.

– To znaczy, że mama chce dla ciebie szczęścia.

– To w niebie jest szczęście?

– Tak.

– To dlaczego, jak ktoś umiera, to inni płaczą?

– Bo tęsknią.

– A czy śmierć boli?

– Chyba tak.

– A jak ludzie umierają, to idą do nieba?

– Tak. Jeśli są grzeczni.

– A dlaczego idą do nieba?

– Bo tam jest Pan Bóg.

– Skąd wiesz, że jest?

– Bo w niego wierzę.

– I to wystarczy, żeby wierzyć i wtedy już Pan Bóg jest? Dlaczego?

Niania zamieszała kakao. Smakołyk zawitał na Słoneczną w unrowskiej paczce<sup>[77]</sup>.

- Kochanie. Pij kakao, bo ostygnie.
- Nie rozumiem.
- Czego, kochanie, nie rozumiesz?
- To Pan Bóg jest dobry?
- Bardzo dobry.
- To dlaczego wymyślił śmierć, która boli, i żeby zabierać ludzi do nieba, i żeby inni po nich płakali?
- Pij kakałko.
- Powiedz mi natychmiast, dlaczego Pan Bóg jest dobry.
- Bo cię kocha.
- A ciebie?
- Mnie też.
- A mamusię?
- Mamusię też.
- I jak umrzecie, to pójdziecie do nieba?
- Tak. Jeżeli będziemy dobre.
- Ale ja nie chcę, żebyście umarły. Bądźcie niedobre i lepiej tu zostańcie. I niech sobie Pan Bóg siedzi w swoim niebie i niech mi wtedy mamusia nieba nie uchyła. Wolę być tu z wami.
- Pij kakao, bo już całkiem wystygło.
- A ty nie chcesz kakaa?
- Nie.
- Dlaczego?
- Bo nie lubię kakaa.
- Dlaczego?

Tak. Dziewczynka o zielonych oczach wkroczyła w męczący epistemiczny etap życia pod tytułem „Dlaczego?”, którym to pytaniem zadreńca się otoczenie. Aha: Janka skłamała. Nie chodzi o kwestię Pana Boga. Chodzi o kakao. Niania uwielbiała kakao, ale unrowski przysmak był tylko dla Elżuni. Dla Elżuni była reszta smakołyków ze „zrzutów”, jak potocznie nazywano paczki przesyłane przez charytatywną organizację United Nations Relief and Rehabilitation Administration. Pamiętam, w moim domu trzymało się cukier w puszcze po przecierze pomidorowym z pieczętką UNRRA. Ale Elżuni przynależały się cenniejsze smakowitości i skarby niż przecier pomidorowy: czekolada, cukierki, bakalie, klocki, mięsne konserwy, szyfonowy materiał, z którego specjalna krawcowa szyła dla dziewczynki szykowne sukienki. Elżunia wyglądała w nich jak



królewna z bajki, nie, raczej jak choinkowa bombka albo malowana lala umieszczona w szyfonowych fałdach. Siedziała, nieszczęsna, na tarasie i patrzyła jak na dole umorusane dzieci obrzucają się piaskiem. Największym cierpieniem był widok przysmaku, który dzieci zajadały. A był to chleb namoczony w wodzie, posypany cukrem.

– Nianiu?

– Tak, kochanie?

– A ja też tak chcę.

– Nie, Elżuniu.

– Dlaczego?

– Bo ty masz bułeczkę z masełkiem i szyneczką.

I zielonooka królewna z lukrowanej bajki z niesmakiem jadła bułeczkę z masełkiem i szyneczką, marząc o pajdzie chleba namoczonego wodą, posypanej cukrem. Nie wiedziała, że jej nowa mama nie jest prawdziwą matką, choć pani Stanisława była już oficjalną opiekunką. W biurku, na dnie szuflady spoczywała nowa metryka: „Elżbieta Bussold. Urodzona 5 stycznia 1942 roku w Warszawie. Córka Stanisławy i Józefa”. Rzecz dziwna i niespotykana: otóż drugi mąż pani Bussoldowej – czyli „ojciec” Elżuni – zmarł dwa lata przed urodzeniem córki. Ale gdyby żył, także z pewnością kochałby córeczkę, bo Elżunię wszyscy kochali. I rozpuszczali królewnę jak dziadowski bicz. Gdyby zmierzyć miłość, którą dziewczynka była otoczona przez nową rodzinę, zabrakłoby miarki.

Przenoszę się w czasie i czuję zapach rosołu, smaczną woń pieczonego kurczaka, słodki aromat szarlotki. Coniedzielnny obiad. Przy długim stole zasiada rodzina. Oprócz gospodyni i niani widzę dorosłe dzieci pani Bussoldowej z pierwszego małżeństwa – Bronkę i Mundka, dwóch pasierbów pani Stanisławy, jednego już znamy, to Paweł, ten który między cegłami wywiózł Elżunię z getta. Bronka jest bezdzietna i nieszczęśliwa. Okupację spędziła w obozie w Austrii. Wróciła do Polski, obdarowując swoją przyrodną siostrzyczkę uczuciem i prezentami. Będzie śpiąca lalka z zamykanymi oczami, taka, co mówi „mutter”. Będzie nawet fortepian, ale Elżunia nie zechce na nim grać. Pani Bussoldowa umyśliła, by Bronka przejęła po jej śmierci opiekę nad Elżunią. Jak już wiemy, pani Stanisława była osobą praktyczną, przypuszczała, że może wcześniej umrzeć niż jej córka, więc trzeba było zawczasu przygotować opiekę nad przybranym dzieckiem. Bronka tak

mocno wczuła się w rolę potencjalnej matki, że przedstawiając Elżunię obcym, mówiła:

– To jest moja córka.

Wtedy Elżunia pąsowiała ze złości.

– Nie jesteś moją mamusią! Moja mamusia jest w domu!

Wtedy Bronka pąsowiała z żalu. Cóż, gdyby pani Stanisława odeszła z tego świata, Elżunia miałaby trzecią matkę. Ale na razie jest, jak jest: rodzinny obiad, rosół z lanymi kluskami, pieczony kurczak z sałatą w śmietanowym sosie i z ziemniaczanym purée, szarlotka posypana cynamonem. Dzieci mają swój stoliczek, dorośli swój stół. Dorośli wiedzą, że metryka Elżuni leżąca na dnie szuflady mówi nieprawdę. Prawdę mówi srebrna łyżeczka, która leży obok talerza zielonookiej królowej, czekając na deser.

Tymczasem Elżunia kończy obgryzać udko kurczaka i zbędne kości odkłada na talerz Krzysia, syna Pawła, tego od cegieł.

– Córciu – mama Bussoldowa wychyla się od stołu z reprimendą. – Dlaczego kładziesz kostki na talerzu Krzysia?

– Bo mi przeszkadzają.

## 28.

Zrobiło się za słodko od szarlotki i rodzinnego lukru? To posypimy opowieść goryczą.

Było lato. Lipiec. Michalin, Józefów, Falenica pokryły się zieloną kołdrą. W powietrzu krążyły białe pyłki niczym ulotne płatki śniegu. Świat jeszcze raz zamienił się w szklaną kulę z dziecięcym obrazkiem. Były tam letniskowe domki rozsiane po lesie, drogą jechała furmanka zaprzęgnięta w kasztanowego konika, gdzieś z dali nadjeżdżała podmiejska kolejka. Już było słychać miarowe echo stukotu kół. A wszystko to skąpało słońce złotym blaskiem. Zielonooka królowa przystanęła, by złapać białą drobinę. I nagle coś mignęło w zielonych oczach. Białe pyłki zamieniły się w czarne szczątki płynące po niebieskim niebie. Obraz pojawił się na ułamek chwili i na szczęście zgasł. Już po sekundzie dziewczynka o nim zupełnie zapomniała. Zwęglone konfetti odpłynęło w niebyt.

Janka prowadziła Elżunię drogą wzdłuż kolejowych torów. Dobrze było czuć bezpieczne ciepło dłoni. Zbliżały się do niewielkiego sklepiku. Przed budką wystawiono skrzynki z owocami i warzywami. Dziewczynka zatrzymała się przy truskawkowych kobiałkach, zamachała dłonią, by zagarnąć słodki zapach. Pyszniące się obok czereśnie nie miały takiej smacznej woni, ale kusiły połyskliwą czerwienią. Niania i Elżunia weszły do środka warzywniaka. We wnętrzu panował chłodny półmrok. W wielkich kamionkach kisiły się ogórki małosolne, w dębowych beczkach ugnieciono kiszoną kapustę. Nad wielkim blokiem marmolady bzyczały osy, które próbował odgonić papierową torbą pan Wawer. Pan Wawer był właścicielem sklepiku. Z radia na zapleczu dobiegały żwawe dźwięki Orkiestry Mandolinistów Edwarda Ciukszy. Twarz pana Wawra zajaśniała na widok dziewczynki.

– Elżunia.

– Dzień dobry, panie Wawer – skinęła głową dziewczynka.

– Dzień dobry, panie Wawer – powtórzyła jak echo niania, wyjęła z torebki sznurkową siatkę i kartkę z zapisanymi maczkami zakupami. – Poprosimy tak... Kobiałkę truskawek...

Ale pan Wawer przerwał Jance w pół zdania:

– A byli tu ludzie, co pytali się o ciebie, Elżuniu.

Niania otworzyła usta, by zadać pytanie, lecz dziewczynka ją ubiegła:

– Jacy ludzie?

– Z Ameryki.

Usta Janki zostały otwarte, ale kobieta nie była w stanie zaczerpnąć tchu. Elżunia dalej pytała:

– Jak to: z Ameryki?

– No z samej Ameryki. Ale mówili po polsku. I pytali, gdzie mieszkasz.

Janka odzyskała oddech.

– I pan im powiedział, panie Wawer?

– No jeszcze co.

Dziewczynka poczuła mocny uścisk dłoni na swoich palcach. Janka szarpnęła rękę. Już przekraczały próg sklepiku.

– Idziemy.

– Ale, nianiu...

– Pani Morawska, truskawki! – zawołał za odchodzącymi pan Wawer.

Lecz Janka i zielonooka dziewczynka były na zewnątrz. Słońce uderzyło dziecko w twarz. Białe pyłki zawirowały w obłędzie. Stukot kół narastał. Kolejka dojechała do krawędzi szklanej kuli i rozbiła ją na kawałki.

Janka i pani Bussoldowa zamknęły się w kuchni, długo i nerwowo szeptały. Stoje obok Elżuni, tak jak ona chce wyłowić choćby kilka skrawków szeptanki. Na nic. Rozmowę zza drzwi skutecznie zagłusza podkręcone radio, z którego dobiega niewesoła piosenka, o tym, że spadła cicho kartka z kalendarza, że znów bez ciebie minął jeden dzień, że serce me o tobie tylko marzy...

Elżunia podchodzi do radia i ścisza je do zera. Zielone magiczne oko gaśnie. W tym momencie otwierają się drzwi kuchni. Pani Stanisława jest uśmiechnięta, ale blada jak ściana. Pochyliła się nad córką.

– Dlaczego wyłączyłaś radio?

– Bo to smutna piosenka.

Janka wychynęła z kuchni. Oparła się ramieniem o framugę. Dziwnie to jakoś wygląda, poza przypomina trąconą rzeźbę. Oczy szkliste. Pani Bussoldowa ujmuje dłoń dziewczynki, prowadzi do salonu. Siada na sofie i sadza Elżunię na kolanach. Gładzi po policzku, próbuje się uśmiechnąć.

– Elżuniu. Chcę ci coś powiedzieć.

– Tak, mamuś.

Dziewczynka stara się nie poruszyć. Kolana mamy są ciepłe, ale niewygodne.

– Od dziś nie będziesz sama wychodzić z domu.

– A na podwórko?

– Na podwórko też. Przyrzeknij.

– Ale...

– Przyrzeknij.

– I nawet do piaskownicy?

– I nawet do piaskownicy. Przyrzeknij.

Zielonooka królewna zaciska usta. Czuje na policzku dotyk pocałunku. Pod powiekami puchną łzy.

– Ale ja chcę się bawić z dziećmi w piaskownicy.

– To jest hołota.

– Ale...

– Coś wymyślimy.

– Co, mamusiu?

Matka nie odpowiada. Zdejmuje sztywnym gestem córkę z kolan. Włącza radio, z którego wycieka smutek, a „serce zabije mocno, i perły wspomnień znów się rozłocą”<sup>[78]</sup>...

Królewna o zielonych oczach od dziś będzie patrzeć na bawiące się dzieci tylko z tarasu, jak z wysokiej wieży. Niania będzie nosić na piętro w wiadrze piasek, żeby królewna mogła z niego na tarasie robić babki.

Elżunia bawi się w domowej piaskownicy. Przy Słonecznej 23 zbiera się konsylium „ciotek”. Panie o czymś deliberują szeptem. Najgoręcej dyskutuje „ciocia” Sandlerowa. Królewna nie ma pojęcia, o czym kobiety zawzięcie cicho radzą.

## 29.

Gdzie to mogło się odbyć? Bo przecież nie w Michalinie. O, jak najdalej od Elżuni. Może umieściłbym spotkanie w kawiarni na MDM-ie? Nie, socrealistyczny plac Konstytucji był jeszcze w budowie. Dobrze, niech będzie Hotel Polonia, który cudem zachował swój przedwojenny szyk. Biało-złota Sala Ludwikowska. Zresztą nieważny anturaż, ważna esencja potajemnej rozmowy.

Pani Bussoldowa ma na sobie letni elegancki kostium z jasnej czeczuci, spod uchylonego filuternie słomkowego kapelusza wystaje grzywka typu rulon, delikatny makijaż, niewysokie szpilki, torebka i rękawiczki z cielęcej skóry, idealnie zharmonizowane z kolorem kostiumu. Pani Stanisława umie swoim wyglądem rozmiękczać męskie serca. Balzakowski wiek nie ma tu nic do rzeczy. Faktycznie – spojrzenia dwóch mężczyzn, którzy zajęli stolik w skrajnej części sali, robią się miękkie na widok damy. Wstępny cel osiągnięty. Pani Bussoldowa zmierza równym, stanowczym krokiem w stronę azymutu. Znakiem rozpoznawczym jest *Życie Warszawy*, leżące na blacie stolika. Panowie podnoszą się z krzeseł, jak nakazuje grzeczność. Gaszą chesterfieldy w kryształowej popielniczce. Przedstawiają się, całując dłoń. Pani Stanisława nie uchyla rantu rękawiczki. To zamierzony, wypróbowany trik – tym sposobem Bussoldowa zdobywa przewagę nad przeciwnikiem. Niejednokrotnie stosowała podobne zabiegi przy grze

w pokera. Pomińmy nazwiska obcych mężczyzn, bo są zmyślane, nazwijmy ich „Blondyn” i „Szpakowaty”. Szpakowaty ma na sobie dwurzędowy szary garnitur, Blondyn nosi podniszczoną skórzaną szoferską kurtkę. W głowie pani Stanisławy błyskawicznie świta myśl:

Elegant to rozum. Szoferak to łapska.

Pojawia się kelner z usługowym ukłonem i z „czego sobie szanowna pani życzy”, ale pani Bussoldowa zbywa go:

– Niczego sobie nie życzę.

Jakby na podkreślenie tych słów, pani Stanisława zerka na zegarek. Zegarek jest złotą Geneve. Blondyn i Szpakowaty zamawiają kawę i wodę sodową. Kelner zniża ukłon i umyka.

– Naprawdę niczego sobie pani nie życzy? – pyta Blondyn, uśmiechając się uwodzicielsko. Ale ten uprzedzający grymas nie robi na pani Bussoldowej najmniejszego wrażenia.

– To ja ośmielę się zapytać: Czego panowie sobie życzą?

Teraz Szpakowaty uśmiecha się szarmancko.

– Chcieliśmy pani podziękować.

– Za co?

– Za ocalenie dziecka.

Bussoldowa wytrzymuje pauzę, jej oczy robią się wielkie i naiwne.

– Za takie rzeczy się nie dziękuje.

Szpakowaty dalej mówi. Blondyn będzie milczał do końca spotkania. Będzie milczał i nakłuiwał spojrzeniem Bussoldową jak ćmę na szpilkę. Już nie będzie się uśmiechał.

– Pani Bussold...

– Bussoldowa – pani Stanisława poprawia szorstko Szpakowatego.

– Pani Bussoldowa – mężczyzna chrząka. – Dziecko jest Żydówką. Chcielibyśmy, by tak zostało.

– Czyli jak?

– Chcielibyśmy odzyskać dziecko dla naszego narodu.

– A kim wy jesteście, że zapytam?

Szpakowaty chrząka po raz wtóry. Wyciera serwetką usta i mówi:

– Reprezentujemy ZOA<sup>[79]</sup>.

– Słucham?

– Zionist Organization of America. Ale nieważna jest organizacja.

– A co?

Pani Bussoldowa czuje, że krew w jej żyłach zamieni się zaraz w ołów. Mężczyzna nabiera w płuca ciężki łyk powietrza.

– Pani Bussoldowa. Dobra, szlachetna, szanowna, kochana pani Bussoldowa. Wymordowano nam sześć milionów obywateli. W tym dwa miliony dzieci. Każde ocalone życie jest dla nas wielkim skarbem. Dziecko, które pani uratowała, to roślinka, szczepka, którą trzeba zasadzić, tam, gdzie jest jej prawdziwa ziemia.

– Czyli gdzie?

– W Palestynie.

– To Palestyna jest teraz w Ameryce? Bo panowie są, zdaje się, z Ameryki, prawda?

– Tak. Mamy już dla dziecka nową rodzinę w Nowym Jorku, ale jak tylko powstanie Państwo Izrael, dziecko razem z rodziną zostanie tam przeniesione.

– Dosyć. – Oczy pani Stanisławy nabiegają krwią. – To „dziecko” nie jest ani przedmiotem, którym się mebluje świat, ani liczbą w pańskiej tragicznej buchalterii, ani roślinką, ani szczepką. To „dziecko” ma imię. Nazywa się Elżunia. To „dziecko” ma nazwisko: Bussold. To „dziecko” ma już rodzinę. To „dziecko” ma już matkę. Tak, taką jak się pan wyraził: dobrą, szlachetną, szanowną i kochaną. Kochaną przez jej córkę. I ta matka, zapewniam pana, kocha swoją córkę ponad życie.

Może i pani Bussoldowa chciałaby coś jeszcze dodać, ale słowa ugrzęzły w ściśniętym gardle. Szpakowaty długo milczy, wyciera powtórnie usta, dłoń mu lekko drży. Szpakowaty odkłada zmiętą serwetkę na stolik. Wzdycha, zerka na Blondyna. Ten rozgląda się, wyjmując z kieszeni kurtki grubą kopertę. Kładzie ją przed Bussoldową.

– Co to jest?

– Dziesięć tysięcy dolarów.

– Za co?

– Za uratowanie dziecka i za...

Pani Stanisława nie pozwala, by słowa wybrzmiały w ustach Szpakowatego.

– Proszę pana. Panu dobrze z oczu patrzy. Jest pan z pewnością dobry, szlachetny, szanowny i kochany. Więc niech pan śledzi uważnie moje usta, bo coś panu powiem: miłości ani się nie kupuje, ani nie sprzedaje.

Pani Bussoldowa patrzy na zegarek. Wstaje i wychodzi.

## 30.

Mama Bussoldowa długo tuliła zielonooką królową. Nigdy tak nie tuliła swoich dzieci. Była zbyt młodą matką, gdy urodziła Bronkę i Mundka. Była niedojrzała, jeszcze bez instynktu macierzyńskiego. Teraz jest sześćdziesięcioparoletnią kobietą i dopadły ją nieznane wcześniej uczucia. Gdyby coś się stało, gdyby Elżunia zniknęła z jej życia, spłonąłby cały świat. Ale...

Ale co będzie, gdy córeczka kiedyś się dowie, że mama Bussoldowa nie jest jej prawdziwą matką?

Czy jednak nie robię jej krzywdy, odbierając prawdziwą tożsamość? Może miałyby lepsze życie, tam, za oceanem? Może powinnam przekazać ją Maksowi, temu bratu prawdziwego dziadka dziewczynki? Mam na kartce jego adres. Może jestem już za stara na macierzyństwo? Co będzie, kiedy umrę? Czy Bronka nieba jej uchyli? Czy będzie ją kochała tak, jak ja? Może powinnam dać Elżuni wolność? Może źle robię, wydziedziczając ją z rodzinnej wiary? A może Bóg jest ten sam dla wszystkich, mimo że modlimy się do Niego innymi słowami? A może Bóg nie istnieje? Może tak byłoby lepiej? Wtedy i tak modlitwy byłyby plewami na wietrze? Może... Może... Może... Co będzie?... Co będzie?... Co będzie?... – myślała pani Bussoldowa, wpatrując się w srebrną łyżeczkę.

– Nie, kochanie. Najpierw dotykamy prawą rączką czółko i mówimy „w imię Ojca”

– Dlaczego?

– Bo Pan Bóg jest naszym Ojcem, tatusiem, i jest w naszych myślach, a myśli są w twojej głowie.

– Ale ja nie znam mojego tatusia, bo umarł.

Twarz pani Bussoldowej na moment znieruchomiała.

– Dlatego Pan Bóg go zastępuje, kochanie. Potem paluszki posuwają się w dół, tak jak stoi krzyż, do serca, wtedy mówimy „i Syna”

– Czyli Mundka? Dobrze, że Mundek żyje.

– „I Syna” to znaczy Pana Jezusa.

– A Pan Jezus żyje?

– Umarł na krzyżu za nasze grzechy, ale potem wstał z grobu.



– Aha. I pilnuje naszych grzechów, i pewnie będzie musiał znów umrzeć na krzyżu?

Pani Bussoldowa jakoś nie znajduje na to odpowiedzi.

– Potem paluszki wędrują na lewo i mówimy „i Ducha Świętego”

– Co to znaczy?

– Duch Święty kieruje wszystkim. Więc paluszki wędrują z lewej na prawą stronę.

– Rozumiem.

– W ten sposób robimy znak krzyża...

– Na którym umarł Pan Jezus i jeszcze raz będzie musiał na nim umrzeć?

Pani Bussoldowa znowu nie znajduje odpowiedzi.

– Potem już możemy się pomodlić. „Aniele Boży, strózu mój”..

– „Aniele Boży, strózu mój”..

– „Ty zawsze przy mnie stój”..

– „Ty zawsze przy mnie stój”..

Matka Boża Nieustającej Pomocy patrzy w lewą stronę, nad głową Syna. Fruną gdzieś aniołowie Michał i Gabriel.

Zielonooka królowa została ochrzczona sakramentalnie w Józefowie, w kościele pod wezwaniem Matki Bożej Częstochowskiej. Dziewczynka szła do chrztu na własnych nogach. Kościół przypominał smaczny i piękny tort, a do tego był okolony soczystą zielenią, dlatego Elżunia była zachwycona. A w dodatku chrztu udzielał znajomy pani Stanisławy, sympatyczny ksiądz Rek, który z satysfakcją uznał, że Elżunia wzorowo żegna się krzyżem. Ponadto wewnątrz kościoła tajemniczo pachniało kadzidłem i chełpiło się bajecznie kolorowymi witrażami. Zatem dusza królowy została zabezpieczona. Teraz mama Bussoldowa musiała się zająć zabezpieczeniem bytu córki, bo przecież gdyby pani Bussoldowa przedwcześnie odeszła z tego świata, jej córka nie mogła zostać ubogą sierotą.

Kancelaria mecenasa Woltegera mieściła się przy ulicy Koziej. Kozia sąsiadowała z ruinami Starego Miasta, nad którymi unosił się jeszcze powojenny zapach spalonych cegieł. Mecenasek Wolteger wyznaczył niezbyt fortunny termin prawnej porady. Owego dnia Janka wybłągała u pani Stanisławy wychodne. Niania poszła na randkę z panem Peciakiem, w którym była od jakiegoś czasu śmiertelnie zakochana.

Chcąc nie chcąc, mama Bussoldowa zabrała Elżunię do mecenasa Woltegera. Sytuacja była niebywale niekomfortowa, bo meritum sprawy dotyczyło odzyskania garbarni w Wołominie, której zielonooka królowna była potencjalną dziedziczką. Jak tu rozmawiać o sprawach dotyczących prawdziwych rodziców Elżuni w obecności ich dziecka. Chyba półgłosem. Mecenase usadził dziewczynkę przy stoliku, położył przed nią kartkę, ołówek i powiedział:

– Narysuj, kochanie, Warszawę.

Elżunia przytaknęła, zabrała się do rysowania, a pan mecenas Wolteger i mama Bussoldowa zabrali się do odzyskiwania jej majątku, czyli garbarni w Wołominie, własności Joska Kopera vel Koppela, ojca dziewczynki, która rysowała na kartce ruiny.

Niania długo tuliła zielonooką królowną. Janka kochała Elżunię jak własne dziecko. Niania wiedziała, że nie będzie miała własnego dziecka, bo już na to było za późno. A przecież nadarzyła się nadzwyczajna okazja, bo w życiu Jany pojawił się pan Peciak i niania zakochała się w panu Peciaku. Ale...

Ale co będzie, kiedy wyjdę za mąż? Co będzie z moją Elżunią, kiedy będę musiała zamieszkać z mężem? Chyba mi serce pęknie. Może zerwać z narzeczonym? Może on mnie zawczasu rzuci i nie będzie problemu? Cóż, wtedy chyba mi serce pęknie z tęsknoty za Peciakiem. Co będzie, jak już do końca życia zostanę starą panną? Co będzie, jak nikt mi na starość nie poda szklanki wody? Może Elżunia, jak dorośnie, nie zapomni o swojej niani? Może... Może... Może... Co będzie?... Co będzie?... Co będzie?... – myślała niania, wpatrując się w srebrną łyżeczkę.

– W imię Ojca i Mundka... I Syna, i Ducha Świętego, amen. Panie Boże spraw, żeby moja niania nie wyszła za mąż. Żeby została ze mną. Żeby mnie dalej kochała. A jeśli już wyjdzie za mąż, to spraw, żeby ją Peciak bił, żeby był pijakiem. I wtedy niania do mnie wróci.

Niania wyszła za Peciaka, ale nie opuściła swojej ukochanej zielonookiej królowej. Zamieszkała z mężem w przybudówce, na terenie odzyskanej garbarni. Codziennie dojeżdżała z Wołomina na Słoneczną. Przyklękała przed królową i zawiązywała jej buty, nakładała sobie na lewe ramię tekturowy tornister, podnosiła granatowy worek z kapciami, sprawdzała, czy włosy królowej nie są w nieładzie, czy kołnierzyk jest śnieżnobiały, czy fartuszek nie ma żadnych zagnieceń, mówiła „daj, Elżuniu, łapkę” i odprowadzała królową do szkoły. Dziewczynka lubiła iść z nianią za rękę, mogła wtedy zadawać pytania.

- Nianiu?
- Tak, złotko?
- A po co jest szkoła?
- Żeby być mądrym.
- Ale ja jestem mądra.
- Będiesz jeszcze mądrzejsza, jak skończysz szkołę powszechną.
- I co?
- Potem pójdziesz do liceum.
- Po co?
- Żebyś była jeszcze mądrzejsza.
- I co?
- Potem zdasz maturę i pójdziesz na studia.
- Po co?
- Żebyś była jeszcze bardziej mądra.
- A ty skończyłaś te studia?
- Nie.
- A tę liceę.
- Liceum.
- Skończyłaś?
- Nie.
- A maturę?
- Nie.
- A powszechną?
- Sznurowało ci się rozwiązało. Daj, Elżuniu, to ci zawiążę.
- Nie chcę chodzić do szkoły. Chcę być taka jak ty.
- Czyli jaka?
- Kochana.

Przystanąłem w jesiennym cieniu i śledzę przymrużonymi oczami jak dwie sylwetki – duża i mała, ta duża w szarym palcie, ta mała w różowym płaszczyku zapinanym na trzy kościane guziki – znikają w perspektywie ścieżki. Zaraz niania ujmie mocniej dłoń dziewczynki, bo trzeba będzie przejść przez kolejowe tory. Idę ostrożnie za nimi, przechodzę przez szyny, szybko, bo słyhać syrenę nadjeżdżającej kolejki. Rozpoznaję to miejsce. Dziwne, ale tak się złożyło, że przez rok chodziłem do tej samej szkoły, do której uczęszczała Bieta. To było wtedy, gdy moi rodzice się rozwodzili i z musu oraz z przezorności mojej matki byłem umieszczony w pensjonacie dla dzieci znajdujących się w trudnej sytuacji. Ale nie o mnie jest ta opowieść, a o zielonookiej dziewczynie, którą Pan Bóg ocalił, a potem gdzieś się zagubił.

Szkoła powszechna mieściła się w Józefowie. Drewniany budynek położony w sosnowym lesie. Zapach pasty do podłóg, kwaśna woń kredy zmieszanej z odorkiem wilgotnej ścierki i specyficzny aromat atramentu. Siadało się w drewnianych ławkach. Na pochyłym, obłupanym i niemiłosiernie poźłobionym pulpicie była wydrążona dziura na kałamarz. Ławki stały w trzech rzędach, klasy były liczne. Do oddziałów kooptowano sieroty z okolicznych sierocińców. Po wojnie było dużo sierot i dużo mężczyzn kuśtykających o kulach, i dużo inwalidów bez rąk, z podwiniętym rękawem zapinanym na agrafkę. Nikt w klasie nie wiedział, że dziewczynka o zielonych oczach jest również sierotą. Nikt nie wiedział i, broń Boże, nie mógł się dowiedzieć.

– Bietko, co ty robisz?

Elżunia, Elżbietka, Elżbieta została „Bietą”. W klasie było siedem Elżbiet, więc trzeba je było jakoś od siebie odróżnić. Bieta jest do dziś wyróżniającą się Bietą.

– Bussoldówna, co ty robisz, dziecko?

Pani Szolenberger jeszcze raz strofuje dziewczynkę. Głos pani Szolenberger jest łagodny, ale stanowczy. A niby jaki ma być? Bieta odwróciła się plecami do tablicy i nie chce za nic w świecie uczestniczyć w lekcji. No bo jak długo można zaprzętać sobie głowę, że „Ala ma Asa”, że „to Ala i Ola. Ala stoi. I Ola stoi. I lala Oli stoi. Ta lala to Lola. A to As i osa. As stoi. A osa lata. Ta osa lata i lata”..

Co za głupoty?! Co za głupoty?! I co za głupoty?!

Więc Bietka nie chce się odwrócić przodem do tablicy i nie będzie się uczyć o Ali, która stoi i o lali Oli, która też stoi, i o osie, co lata i lata. Jest

tylko jeden szkopuł: nie chcąc uczyć się o Ali, Oli i lali, Bieta odwróciła się plecami do portretów Józefa Wissarionowicza Stalina oraz Bolesława Bieruta.

Mama Bussoldowa została wezwana do szkoły. Smutna twarz pani Szolenberger zakryła się cieniem.

– Pani wie, co z tego może być, pani Bussoldowa?

– Co?

Pani Szolenberger odkłada dziennik na półkę. Domyka drzwi pokoju nauczycielskiego. Kobiety są same i lepiej, by nikt im nie przeszkadzał.

– No niech jakieś dziecko wygada się w domu, że Bietka, no wie pani... – nauczycielka nie dopowiada reszty.

– Chce pani powiedzieć, że moja córka ma ustrój gdzieś z tyłu, poniżej pleców?

– Boże broń, tego nie chcę powiedzieć. Broń Panie Boże. Ale są różne uszy i różne języki.

Pani Bussoldowa wzrusza ramionami.

– No są.

Za oknem rdzewieje jesień. Głos pani Szolenberger jest równie smutny jak aura na zewnątrz:

– Bieta jest trudnym dzieckiem.

– To znaczy?

– Jest jakby... – pani Szolenberger szuka słów, znajduje: – obca.

Pani Bussoldowa zaciska wargi. Na skroniach pęczniają sine żyłki.

– Obca? Co to znaczy?

– No... taka... zbuntowana.

– To źle?

– Szkoła wymaga dyscypliny. Poza tym siedzenie tyłem do tablicy to nie jest jedyne jej dziwne zachowanie.

– A jakie jeszcze jest dziwne?

Nauczycielka przymyka oczy, podnosi zmęczone powieki, patrzy na drzwi z obawą, czy aby się nie uchylą. Jeszcze bardziej zniża głos:

– Bietka pocałowała Kazia Płatka. W krzakach.

– Raz. Wiem. Mówiła mi o tym.

Oczy pani Szolenberger napełniają się zdziwieniem.

– Mówiła?

– My niczego przed sobą nie ukrywamy. Kazio był smutny, Elżunia chciała go pocieszyć. No i pocałowała. Co w tym złego?

– No... w zasadzie nic. Ale ten bunt, to odwracanie się tyłem do nauczyciela i do portretów...

Mama Bussoldowa nie daje dokończyć nauczycielce:

– Proszę pani. Bieta miała bardzo, bardzo – pauza – bardzo trudne... – znowu pauza. – Ona jest... – znów pauza. – Pólsierotą. Mój mąż zmarł przedwcześnie.

– W klasie jest osiem sierot, pani Bussoldowa – wtrąca nauczycielka.

Żyłki na skroniach pani Stanisławy robią się jeszcze bardziej sine.

– Ale nie takich jak moja córka. Proszę mi wierzyć: nie takich.

## 32.

*Stalinowskie jasne słońce*  
*Opromienia cały świat*  
*Pozdrowienia śle dziś Polsce*  
*Cała młodzież Kraju Rad...<sup>[80]</sup>*

Zapłakana zielonooka królewna biegnie ze szkoły przez las. Zapłakana, bo zgąsło „stalinowskie jasne słońce”. Mama Bussoldowa ociera łzy dziewczynce ostrą reprimendą:

– Trzeba się cieszyć. Może nadejdą lepsze czasy. Przestań płakać. Już.

– Ale, mammo... W szkole mówili, że to ojciec postępowej części ludzkości!

– Bieta. Natychmiast proszę się uspokoić.

– Ale on był potężny, dobry i uśmiechnięty.

– Taki on dobry ojciec postępowej części ludzkości, że ma krew na rękach. Jaki on potężny? Kurdupel z dziobami na twarzy. Uśmiechnięty? Zęby przegnite od tytoniu. Potężny, dobry i uśmiechnięty to jest Pan Bóg, moja droga.

– W radiu mówią, że Pana Boga nie ma.

Mama Bussoldowa wyprostowuje się niczym napięta struna.

– Zapewniam cię, że jest.

– Gdzie?

– Wszędzie.

– Jakoś Go nie widzę.

Przez usta pani Stanisławy przebiega dziwny, ledwo zauważalny uśmiech. Bardzo ciepły i tkliwy. Myśl pani Bussoldowej jest równie przelotna, ciepła i tkliwa:

Żebyś ty, dziecko, wiedziała, żebyś ty wiedziała, że jesteś dowodem na Jego istnienie.

– Mamuś, dlaczego tak dziwnie na mnie patrzysz?

Żeńskie Liceum Sióstr Felicjanek mieściło się w Marysinie Wawerskim przy ulicy Azaliowej, mniej więcej dziesięć kilometrów od Michalina. Czyli niedaleko. Tam zielonooka królowna będzie się uczyć. Ale nie dlatego, że szkoła była położona stosunkowo blisko domu, i że Bieta pilnie uwierzyła w obecność Pana Boga. Po prostu królowna naczytała się książek Lidiji Aleksiejewny Czarskiej. A szczególnie oczarował ją *Pamiętnik pensjonarki* i królowna zapragnęła być pensjonarką. A ponieważ w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej nie było pensji, mama Bussoldowa, chcąc choćby w minimalnym stopniu spełnić zachciankę Elżuni, znalazła szkołę w przybliżeniu przypominającą tę z lektury autorstwa pani Czarskiej. Miłość do literackiego wyobrażenia zmaterializowała się w trzypiętrowym szarym budynku, przypominającym bardziej koszary niż pensjonarskie mrzonki. Tu trzynastoletnia Bieta miała zamieszkać w internacie pod srogą kuratelą siostry Boromei. Siostra Boromea, która zawiadywała dziewczętami umieszczonymi w bursie, często darzyła świat i ludzi uśmiechem, ale nie zawsze był to ciepły uśmiech. Siostra Boromea w cywilu nazywała się Przeździecka i miała hrabiowskie pochodzenie. Jej łagodny uśmiech odznaczał się naturalnym dostojeństwem i wyuczoną dystynkcją. Od swoich podopiecznych bezwzględnie wymagała dobrych manier. Zatem z Elżbietą Bussoldówną mogło być różnie w tym względzie. Bo Bieta była zarówno królowną na ziarnku grochu i buntowniczką, i dzieckiem o niezwykłej przeszłości. Właśnie...

Nie wiem, co robić. Czy być świadkiem rozmowy w cztery oczy między siostrą Boromeą a panią Bussoldową, czy wyjść z gabinetu razem z Bieta.

– Kochanie, chciałam porozmawiać z siostrą.

Siostra Boromea częstuje dziewczynę swoim uśmiechem nadmiernie ociekającym słodyczą. Mówi przyjemnym niskim tonem:

– Poczekaj przed gabinetem, dobrze?

– Dlaczego? – stroszy się królowna.

Przesłodka uśmiech znika z kształtnych ust felicjanki. Zastępuje go sroga kreska. Ale na Biecie nie robi to specjalnego wrażenia. Bieta już darzy zakonnice sympatią. Stanowcza poza siostry, pod którą skrywana jest jakaś trudna do określenia jasna aura, urzeka dziewczynę. No, ale przede wszystkim Bussoldównie podoba się habit zakonnicy, a najbardziej to, że spod welonu przepasanego białym paskiem wystają zalotnie włosy. Zielone oczy błyszczą zauroczone.

– Dlaczego mam wyjść za drzwi? Macie jakieś tajemnice? – pyta Bieta.

Miodowy uśmiech znów dryfuje na usta Boromei.

– Musimy z twoją mamą ustalić pewne rzeczy, które nie są dla twoich uszu.

– A dla czyich? – czupurzy się królowna.

Nerwy pani Bussoldowej uwalniają się z postronków.

– Proszę wyjść i sprawdzić, czy drzwi są zamknięte z tamtej strony.

– No dobra, dobra.

Królowna wzrusza ramionami i wychodzi z gabinetu. Odprowadza ją dystyngowane spojrzenie siostry Boromei i zakłopotany wzrok mamy Bussoldowej. A ja? Mam zostać i podsłuchiwać sekretną rozmowę, czy przeniknąć na drugą stronę drzwi? Idę za Bietą. Jeszcze tylko słyszę przyciszony głos pani Stanisławy:

– Moja córka jest bardzo...

Nie dane mi wyłowić reszty zdania. Wiem jedno: rozmowa zaważy pewnie na pobycie dziewczyny w szkole. Tymczasem patrzę na Bietę. Królowna chciałaby przyłożyć ucho do drzwi i podsłuchać, co tam w gabinecie knują mama i dystyngowana zakonnica. Jednak nie może tego zrobić, bo jest pilnie obserwowana przez grupkę uczennic wbitych w sztywne granatowe mundurki. Bieta odbija ciekawskie spojrzenia pytaniem:

– No co tam? Czego się gapiacie?

Nie podobają się dziewczynie zadarte z wyższością nosy.

– Koleżanka jest nowa?

Bieta poczuła, że coś aż się ścisnęło w żołądku od tego oficjalnego tonu.

– A koleżance co do tego? – ripostuje nowa.

Tamta wzrusza ramionami.

– Nic nam do tego.



Mogłyby sobie już pójść „zadarte nosy i nadęte buzie”, ale nie. Stoją jak widły w gnoju. O, i jeszcze jedna ciekawska się raczy wtrącić:

– A rodzice koleżanki kim są?

Bieta odpowiada bez zastanowienia:

– Matka jest praczką, a ojciec gówna wywozi.

– Ahaaa – prawie chórem odpowiadają zadarte nosy i oddalają się z niesmakiem w stronę dal korytarza.

Bieta chce w duchu porównać powyższe zdarzenie z jakąkolwiek sceną spisaną przez Lidiję Aleksiejewną Czarską w *Pamiętniku pensjonarki*, ale nie znajduje analogii. Nagle za plecami dziewczyny słychać przyjazny głos:

– Nie przejmuj się. One są zawsze tak nadęte, że im gumki w majtkach kiedyś z hukiem pękają.

Bieta odwraca się i widzi zadziorną pieguskę z rudawymi warkoczami. Tak ją będę malować. Dziewczyna wyciąga dłoń:

– Ewa.

– Bieta.

## 33.

Zaprzyjaźniły się. Jakże mocna może być pierwsza dziewczęca fascynacja. Trudno było nie pałać do Ewy sympatią. Oczywiście zadarte nosy nie lubiły pieguski, bo trzeba posiadać choćby odrobinę polotu i fantazji, by docenić niebanalną osobowość. Dziewczyna nosiła w sobie dziwne światło – była z jednej strony powściągliwa, inteligentna, rozsądna, ale w jej źrenicach paliły się ogniki szelmowskiego buntu. Taki piegowaty aniołek z różkami. Pomieszenie naiwnej Ani z Zielonego Wzgórza z waleczną amazonką. Słowem – bratnia dusza zielonookiej królowej. Lecz w gruncie rzeczy Ewa była tajemnicza. Była córką lekarki, ale niewiele mówiła o swoim domu, rodzicach i przeszłości. Za to uwielbiała snuć marzenia dotyczące czasu przyszłego.

– Będę milionerką.

– W Polsce nie ma milionerek – skorygowała Bieta.

– Ale ja nie będę milionerką w Polsce.

– A gdzie?

– Będę bogata na Zachodzie. Bogata i piękna. Patrz.

Pieguska wyjęła spod poduszki jakieś pogniecione kolorowe pismo. Scena rozgrywa się w dormitorium, zbiorowej sypialni, sześć dziewczynek w sali. Ów zaczytany magazyn nosi tytuł *Vogue*. Z bajecznie kolorowych zdjęć biją blaskiem dostatek, modny szyk i elegancja, rzeczy nieznane w powojennej Polsce. Z okładki patrzy na nas przepiękna rudawa modelka o niebieskich oczach, w zielonogranatowej chustce, kusząco udrapowanej na głowie. Kobieta jest bliźniaczo podobna do Ewy, tylko oczywiście starsza. Patrzę na datownik magazynu: sierpień 1955. Miesiąc i rok moich urodzin. Ewa odczytuje napis wybity na okładce:

- „Ha! tu mejk jorselb biutiful”
- Co to znaczy?
- Jak się zrobić piękną.
- Pokaż!
- Pokaż!
- Pokaż!
- Pokaż!

Cztery zadarte nosy zapałały nagłą sympatią do pieguski, widocznie też chcą być piękne. Bieta ubiega ciekawskie, przeskakuje ze swojego łóżka do łóżka przyjaciółki, jest pierwsza, by przyjrzeć się z bliska rudej piękności z zagranicznej okładki.

- Ale ona nie ma piegów – stwierdza jeden zadarty nos.
- Właśnie – przytakuje drugi zadarty nos.
- No właśnie. Nie ma piegów – potwierdza trzeci zadarty nos.
- A ty masz piegi – wbija szpilę czwarty zadarty nos.

Bieta lekko wydyma wargi.

– No i co z tego? Ta na okładce ma zeza.

– No co ty? – obrusza się Ewa. – Będę taka jak ona: piękna i bogata. Będę miała furę pieniędzy.

– Skąd będziesz miała furę pieniędzy? – pyta zielonooka.

– Jak to skąd? Z portfela.

– A ty, Bieta, kim chcesz zostać? – pyta jeden z zadartych nosów.

I zaraz dodaje: – Bo ja to będę dyrektorem.

– Ja będę leczył ludzi – odpowiada Bieta.

I w tym momencie drzwi dormitorium otwierają się, staje w nich siostra Boromea.

– A co to? – pyta zakonnica, bezceremonialnie wyjmując z dłoni Ewy kolorowy magazyn.

Nie gaśnie dystyngowany uśmiech na ustach siostry, ton głosu jest równie suchy. Zakonnica nie ma zamiaru oddać Ewie rudej i zapewne bogatej piękności z okładki. Do oczu pieguski napływa wilgoć.

– Śpimy – rozkazuje zakonnica. – Pacierz odmówiony?

– Tak, odmówiony, siostro Boromeo! – odpowiada chór.

Jeden głos się wyłamuje. Ewa ma zaciśnięte usta. Ale uśmiechnięta siostra Boromea tego nie zauważa. Gasi światło. Wychodzi z sypialni. Teraz słyszeć w ciemności ciche chlipanie. Ewa odwraca się plecami do świata, marząc o pięknie i bogactwie. Po chwili słyszeć szept Biety:

– Ewa...

– Co tam?

– Jesteś piękna z piegami.

To było w dzień Wszystkich Świętych. Pani Bussoldowa zabrała córkę na cmentarz Bródnowski, by odwiedzić rodzinny grób Bussoldów. Bieta lubiła dzień Wszystkich Świętych, mimo że zazwyczaj pogoda w tym czasie kaprysiła. Mokre igiełki deszczu wbijały się w policzki, lecz nie było to przykre uczucie. Przyjemny był także zapach stearyny i widok puszystych chryzantem. Dziwnie urzekający był widok płomyków, które przypominały, że życie jest wieczne, jeśli się pamięta o duszach zmarłych. A poza tym od dnia Wszystkich Świętych było już tak blisko do Bożego Narodzenia. No i na przycmentarnym straganie można kupić pańską skórkę albo miód turecki. Pani Stanisława kryła się czujnie pod parasolką, raz po raz strofując królową:

– Chodź tu, córciu, do mnie bliżej, bo zmokniesz.

Bieta niechętnie kryła się blisko matki pod parasolką, bo wtedy kapelusz pani Bussoldowej był skazany na deszcz. A pani Bussoldowa bardzo dbała o swoje eleganckie nakrycia głowy i utyskiwała, że obowiązkowe noszenie kapeluszy wychodzi z mody. Ale groźba przemoknięcia ukochanej córeczki była silniejsza niż mokry kapelusz. Stały przy rodzinnym grobowcu, przeżegnały się, pomodliły na przywitanie zmarłych. Zapaliły na wstępie po jednym zniczu i zabrały się za porządkowanie grobowca. Chryzantemy ofiarują duszom po sprzątaniu. Trzeba zgarnąć zwilgotniałe liście, przeczyścić litery...

– Mamuś?

– Tak, kochanie.

– Kiedy ja się urodziłam?

Mama Bussoldowa zamarła. Krew spłynęła do pięt. Szpileczki deszczu zamieniły się w bolesne igły.

– Tak... jak... na twojej łyżeczce jest wygrawerowane: piątego stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku.

– A tu pisze, że tatuś umarł w czterdziestym roku.

– Nie mówi się „pisze”, tylko „jest napisane”

Mokra ziemia umyka spod stóp mamy Bussoldowej. Kobieta zaraz zachwieje się, czuje, że jakaś gorąca chmura wypełnia jej płuca.

– To tatuś umarł dwa lata przed moim urodzeniem? – nie ustępuje Bieta.

– Kamieniarz się pomylił. Trzeba by zmieniać cały pomnik. Khm. Zgarnij jeszcze te liście z lewej strony. O, tak. I postaw chryzantemy. Tylko nie porysuj płyty doniczką.

Cmentarz Bródnowski wiruje. Płomyki świec wdzierają się pod czaszkę. Ale gdy słyhać spokojny głos córki, wszystko wraca na szczęście do swojego porządku.

– Tak będzie dobrze, mamuś?

– Tak, córeczko. Tak jest wspaniale.

## 34.

Widzieliście jakąkolwiek królową chodzącą na rękach? A zielonooka tak właśnie przemierzała długi korytarz Żeńskiego Liceum Sióstr Felicjanek. Gdyby królowa nosiła koronę, pewnie spadłaby jej z głowy i poturlała się pod stopy siostry Boromei. Zakonnica zapewne podniosłaby koronę i ze sztywnym uśmiechem spytałaby:

– Co ty robisz, Bussoldówna?

– Chodzę... na... rękach – wystękałaby królowa.

– Proszę natychmiast stanąć na nogi.

Bieta staje na nogach według rozkazu. Korona już znika z dłoni siostry Boromei, bo przecież nigdy jej tam nie było. Ale ta scena wydarzyła się w rzeczywistości, więc spróbuję ją odmalować. Zapomnijmy o koronie.

– Dlaczego chodzisz na rękach? – pyta zakonnica, nie gasząc uśmiechu, ale utrzymując surowy ton.

- Bo chcę zobaczyć, jak wszystko wygląda do góry nogami.
- Czy ty, dziecko, wszystko musisz robić na opak? Och, ta twoja natura...

Dziwnie zabrzmiała ta kwestia w półuśmiechniętych ustach siostry Boromei. To nie była jedynie przygana, słyszę pobrzmiewanie jakiejś cierpkiej aluzji. Czy aby zakonnica nie robi ekskursu do prawdziwej tożsamości Biety? Wiadomo – Żydzi czytają i piszą „na opak”. Z prawej do lewej strony. Ale może jestem nazbyt wyczulony. Słuchajmy dalej słów siostry Boromei. Zakonnica lustruje dziewczynę od stóp do głów.

- A dlaczego, Bussoldówna, chodzisz w spodniach, a nie w spódnicy?
- Bo jakbym założyła spódnicę, to jakbym chodziła na rękach, to...
- To co?
- No to by mi było widać majtki, proszę siostry, a poza tym...
- Co poza tym?
- Poza tym noszę spodnie, bo to fajnie być po chłopacku.

Do ust zakonnicy już nie klei się uśmiech.

- Odnajdziesz, Bussoldówna, księdza kapelana i natychmiast się wyświadcisz.
- Z czego?
- Z grzechów, Bussoldówna, z grzechów.

Ksiądz kapelan chodził sobie po szkolnym ogrodzie i modlił się z brewiarza. Królewna podbiegła i wyrwała duszę kapłana z responsorium.

- Księżę kapelanie! Księżę kapelanie!

W pierwszej chwili ksiądz kapelan nie dostrzegł dziewczynki. Musiał zmienić okulary z plusów na minusy. Te ze szklami poprawiającymi dalekowzroczne widzenie były oklejone plastrem, ponieważ ksiądz kapelan często je łamał, siadając na nich swoją ciężką pupą.

- Co tam, kochanie?
- Bo siostra Boromea kazała mi się wyświadczać z grzechów.
- No, a jakie ty masz grzechy?
- Chodzę w spodniach. Na rękach.
- Aha. I to wszystko?
- Tak. Więcej grzechów nie pamiętam, za wszystkie serdecznie żałuję i poprawę obiecuję.
- Aha. No to ja cię, dziecko, rozgrzeszam.
- A pokuta, księżę kapelanie?

- Aha. Pokuta.
- No właśnie.
- To za pokutę będziesz chodzić przez dwa tygodnie na nogach w spódnicy. Ego te absolvo.

Ksiądz kapelan robi szybciotki znak krzyża, jakby odganiał muchę i wraca do responsorium w brewiarzu, trochę zdziwiony, że mu się święte litery rozmazują. No bo trzeba zmienić minusy na plusy.

*...Święta Maryjo, – módl się za nami.*

*Święta Boża Rodzicielko,*

*Święta Panno nad pannami,*

*Matko Chrystusowa,*

*Matko Kościoła,*

*Matko miłosierdzia...*

Rytm wersów *Litanii loretańskiej do Najświętszej Maryi Panny* wznosi się w majowym powietrzu razem z wonią kadzidła i przekracza czas przeszły, witając się z terażniejszością. Wtedy wspomnienia otwierają bramę kościoła przy klasztorze sióstr felicjanek. To niedaleko szkoły. Nabożeństwo majowe. Uroczyste, bo zakonny kościół wizytuje biskup ze świtą. Pomysł, by Bieta Bussoldówna reprezentowała liceum w poczcie sztandarowym, zakwitł w głowie siostry Boromei tydzień wcześniej. Uśmiechnięta zakonnica z pewnością chciała w ten sposób utemperować rogaty charakter zielonookiej buntowniczkii. Czasami marchewka lepsza od kija.

- Dobrze, ale będę w poczcie razem z Ewą – zadysponowała niewdzięczna królowa.

Siostra Boromea spróbowała po swojemu uśmiechnąć się, ale wyszedł z tego uśmiechu kompletnie kwaśny grymas.

- Nie ty będziesz dyktować warunki, Bussoldówna.

- To nie będę trzymać sztandaru przed biskupem.

Fala gorąca przelała się przez ciało zakonnicy.

- Czy ty wiesz, jakie to jest wyróżnienie? Jaka nagroda?

- Za to, że nie chodzę na rękach i nie mam już natury na opak?

Och, gdyby królowa widziała, jak tą nieświadomą ripostą trafiła w sumienie kordialnej siostry Boromei. Właściwie zakonnica powinna powiedzieć: „w tył zwrot, Bussoldówna, nie to nie”, lecz siostra Boromea miała w uszach i sercu sekret, który powierzyła jej pani Bussoldowa,

przybrana matka Elżuni. Więc zakonnica ukłuta wyrzutem sumienia wobec dziecka naznaczonego tragiczną przeszłością – ustąpiła.

Teraz Bieta Bussoldówna przepasana biało-niebieską szarfą trzyma dumnie szkolny sztandar. Po lewicy królewny stoi rudzielec, po prawicy jeden z zadartych nosów, prymuska, wściekła, że to nie ona dzierży drzewiec, a ta rozrabiara, co chodzi na rękach. Kujon nadstawia gumowe ucho, podsłuchuje, co tam pieguska i Bussoldówna do siebie półgębkiem szepczą.

- Ewa?
- Mhm.
- Widzisz tego kleryka, który stoi obok biskupa?
- Mhm.
- Ładniutki, co?
- Mhm.
- Spróbuj go wyrwać wzrokiem.
- Mhm.
- Coś ci nie idzie.
- Mhm.
- To ja go wyrwę.
- Mhm.
- Patrz, zrobił się czerwony jak pomidor.
- Mhm...

*...Panno roztropna,  
Panno czciogodna,  
Panno wsławiona...*

## 35.

Rodzinny dom w Michalinie był oddalony od internatu zaledwie o dziesięć kilometrów, ale tęsknota za nianią, mamą, widokiem z tarasu i zapachami niedzielnych obiadów była tak dojmująca, jakby bursę i ulicę Słoneczną dzielił ocean. Bieta niecierpliwie wypatrywała końca tygodnia, kiedy można było dostać promesę na wyjście do domu.

- Hm. Zobaczmy, co tam słyhać w dzienniku. O, dwója z geografii, dwie z biologii, trzy z fizyki i trzy z matematyki. I ty chcesz,

Bussoldówna, iść na medycynę z takimi ocenami?

– Poprawię, siostrze.

Teraz siostra Boromea przerzuca kartki dzienniczka. Szczupłym palcem celuje we wpisy uwiecznione różnymi charakterami pisma.

– No tak: „Uczennica permanentnie chodzi w spodniach na rękach” – czyta zakonnica własną uwagę.

– Ksiądz kapelan zadał mi pokutę, że mam tylko dwa tygodnie chodzić na nogach.

– „Uczennica zachowywała się niestosownie wobec kleryków podczas majowej wizytacji jego eminencji biskupa”

Zakonnice na moment zatkało.

– Co to ma znaczyć?

– A co ja poradzę, że jeden kleryk czerwienił się jak pomidor na mój widok?

Ani grama uśmiechu nie widać na ustach siostry Boromei. Zakonnica zamyka dzienniczek z głośnym klapnięciem.

– Bussoldówna. Nie możesz być zwolniona do domu na niedzielę. Nie możesz opuszczać bursy.

– A mogę uciec?

– Możesz.

– To niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Królewna wspina się na mur z szarych cegieł okalający szkołę. Wraca do internatu w poniedziałek. I nic się nie dzieje. Siostra Boromea tylko uśmiecha się po swojemu.

Zatem mimo chronicznej recydywy, mimo powtarzających się uwag w dzienniczku i dwój, królewna o zielonych oczach miała niewytłumaczalne fory w liceum. Czy to skutek sekretnej rozmowy kwalifikacyjnej, podczas której pani Bussoldowa ujawniła całą prawdę o swojej adopcyjnej córce? Być może.

To było szkolne przedstawienie pod tytułem *Kwiatki świętego Franciszka*. Bieta Bussoldówna grała w nim świętą Klarę, czyli, wiadomo, wielką platoniczną miłość świętego Franciszka. W rolę biedaczyny z Asyżu wcieliła się prymuska z wyniośle zadartym nosem, ta, która pragnęła być dyrektorem, kiedy dorośnie. Zielonooka królewna uknuła skomplikowaną intrygę, by główną partię zagrała piegowata Ewa, ale nic z tych zachodów nie wyszło. Trudno, przyjaźń czasami musi przejść przez próbę ognia. Jak wiadomo, bohater opowieści o kwiatkach



był utracjuszem, którego dosięgnął bicz Boży, wtedy Franciszek postanowił rozdawać swoje dobra biednym i żyć w ubóstwie na chwałę Boga, w czym go wspomagała miłością święta Klara. Franciszek ofiarował się Wszechmogącemu i bliźnim. Kochał naturę i zwierzęta. W ten sposób dawny lekkoduch stał się świętym. Bieta nie mogła się pogodzić z myślą, że główna aktorka – ta, która marzyła, by kiedyś zostać dyrektorem – miała doznać świętości. Trzy rzeczy rozpałały wyobraźnię, serce i duszę Bussoldówny w związku z *Kwiatkami świętego Franciszka* odgrywanymi w szkolnej sali gimnastycznej. Po pierwsze – opowieść o bezgranicznej miłości. Po drugie – rozdawanie bogactwa biednym. Po trzecie – sceniczny kostium świętej Klary. Bieta była odziana w habit klaryski.

– Mamuś?

– Tak, słoneczko?

– Już nie chcę być lekarką.

– A kim chcesz być, kochanie?

– Klaryską. Chcę pójść do zakonu i nosić habit.

Jezus Maria, Boże Wszechmogący! Nigdy, przenigdy! – rozległ się niemy krzyk w głowie mamy Bussoldowej.

Pani Stanisława modliła się, by zdarzyło się coś, co zniweczy świętobliwe plany córki. I wymodliła.

Pogoda była pod psem, wilgotno, zimno i obrzydliwie. A wiadomo, że kiedy jest wilgotno, zimno i obrzydliwie, to fruwają wirusy i szerzą się choroby. W Żeńskim Liceum Sióstr Felicjanek zapanowała epidemia grypy. Chore dziewczęta zamykano na klucz w izolatce. Trafiło się to i Ewie. Bietę grypa jakoś oszczędziła, natomiast nie oszczędziła królewnej tęsknota za pieguską. Jak się dostać na parter, do izolatki, skoro przyjaciółka jest zamknięta na cztery spusty? Można zjechać z drugiego piętra po czterech związanych węzłem płaskim prześcieradłach. Prosto na głowę siostry Boromei. No i wreszcie kropla przebrała miarkę.

Tym razem nie będę towarzyszył Biecie, która siedzi na ławce przed gabinetem siostry Boromei, będę podsłuchiwał rozmowę mamy Bussoldowej i zakonnicy. To chyba jeden z niewielu momentów w życiu hrabianki Przeździeckiej, kiedy nie darzy świata i ludzi uśmiechem. Reasumuję te wszystkie wyrazy twarzy siostry Boromei i nie znajduję w nich ani joty fałszu. Uśmiech tej nobliwej kobiety w felicjańskim habicie jest jakąś odpowiedzią na zły los i kaprysy tego świata. Być

może to maska, pod którą kryje się jakieś niewytrawione w pamięci i sercu nieszczęście. Może miłosny zawód. Nie mam prawa zrywać tej maski i zaglądać do duszy Boromei. Są tajemnice, których nie należy odkrywać. Patrzę na nieruchome, kształtne usta i czekam, aż wypłyną z nich słowa. Milczenie jest długie, a ja w tym czasie robię rachunek ze swojej misji. Pytam sam siebie:

Gdzie się podział Pan Bóg, który obdarzył małego stworka miłością? Czy nie zmartwychwstał z dołu w Poniatowie, tam, gdzie rozstrzelano Henię Koper? Czy zamilkł na zawsze?...

Wreszcie smutne usta siostry Boromei odzywają się miękkim, złamanym tonem:

– Pani Bussoldowa... Elżbieta jest...

– Wiem, kim jest Elżbieta – wtrąca mama Bussoldowa. – Bieta jest moim ukochanym dzieckiem. Czasami nieznośnym, czasami dobrym, czasami kapryśnym, czasami szczodrym w uczuciach, czasami wahlwym. Czasami niepokodzonym i zagubionym. Tak, siostrze, taka jest moja córka.

Siostra Boromea czuje, że gorzki skurcz przytrzymuje jej usta. To samo drżenie związuje krtań. Zakonnica przewalcza dygot.

– Bieta jest moją ukochaną uczennicą. Bieta jest...

Jednak emocja bierze górę i reszta słów grzęźnie w ściśniętym gardle.

– Siostrze. Ja się cieszę, że ją od was zabieram. Nie, proszę mi nie przerywać. Nie mam na myśli, że to nieodpowiednie miejsce dla mojej córki. Wręcz przeciwnie. Ale...

– Ale?

W oczach Boromei zabłyśły jakieś nikłe iskierki. Nagle oczy dojrzałej, surowej kobiety zrobiły się dziewczęce, jakby uległe, oczekujące na niezawinioną naganę.

– Ale – kontynuuje Bussoldowa spokojnym głosem i wolnym ruchem poprawia toczek na głowie. – Ale widocznie Pan Bóg planuje dla niej inną drogę.

To zdanie pani Bussoldowej konotuję z uwagą. O, gdyby mój wzrok był na tyle dorzeczny i bystry, gdybym mógł Go dostrzec w półmroku kryjącym szkliste oczy siostry Boromei. Ale Go nie widzę. Nie stanął w kącie gabinetu, nie przysiadł na thonetowym krześle przy drzwiach. Na krzyżu wiszącym centralnie na ścianie też Go nie ma. A może

niedowidzę, może jestem ślepy, więc czas się wynieść z gabinetu nasiąkniętego smutkiem dobrej siostry Boromei.

Teraz stoję przy ławce, na której obok zielonookiej królowny przysiadła jej piegowata przyjaciółka. Patrzą na siebie.

– Wiesz co, Bieta?

– Wiem.

Ich dłonie splatają się w uścisku.

– Na zawsze – przysięga Ewa.

– Na zawsze – przysięga Bieta.

Są przyjaźnie, które, mimo że ich drogi rozchodzą się na zawsze, na zawsze pozostają.

## 36.

Z hukiem spadł wielki kamień z serca pani Bussoldowej – Elżbietka nie będzie zakonnicą, nie będzie nosić habitu klaryski. Świątobliwe marzenie wywietrzało z głowy królowny z Michalina. Ale niepokój o los Biety pozostał i zatruwał sumienie pani Stanisławy:

Czy ja jej nie rozpieszczę do imentu? Cackam się z nią, bo brak mi męskiego wsparcia, silnego ramienia, może i twardej męskiej ręki? O nie! Jezu Chryste najmiłszy! Chyba bym umarła, gdyby ktoś podniósł dłoń na moją Bietkę. Ale co z tego krnąbrnego charakteru wyrośnie? Boże jedyny, jak ja ją kocham. Mam ją samą zostawić na świecie?

Takie oto egzaltowane udręki kołowały w sercu i głowie starzejącej się warszawskiej akuszerki, pani Stanisławy Bussoldowej. Ale w istocie było się, o co martwić. Z zielonookiej królowny na ziarnku grochu mógł wyrosnąć rozpieszczony i rozwydrzony egzemplarz. Pomiąłem w niniejszej wiwisekcji sceny z wczesnego dzieciństwa, kiedy to królowna rzucała się w histerii na podłogę albo kiedy waliła głową w szafę, jeśli coś układało się nie po jej myśli. Albo kiedy śmiertelnie obrażona na nianię, pakowała walizeczkę, brała lalę pod pachę i trzymając obligatoryjnie nocnik, wybierała się pełna złości na koniec świata. Trzeba było rozpaskudzoną królownę ściągać ze stacji kolejowej. A teraz ku uciesze mamy Bussoldowej zielonooki „egzemplarz” został wywalony z zakonnego liceum. Co robić? – spytałby czytelnik w liście

do rubryki porad w tygodniku *Na przełaj*. Ale mama Bussoldowa nie potrzebowała gazetowych recept.

Będę ją kochać najmocniej, jak tylko umiem. I chronić. Aż do mojej śmierci. Moja Elżunia, moja Bietka, moje szczęście...

I faktycznie trzeba być dzieckiem szczęścia, by trafić do tej szkoły. Otwock. Koedukacyjne liceum mieści się w okazałym neoklasycystycznym budynku. Majestat portyku cieszy oko. Dawniej było tu kasyno, przed wojną kręcono film *Manewry miłosne* z Tolą Mankiewiczówną i Aleksandrem Żabczyńskim. Po wojnie uznano, że tak zacy budynek nie będzie służył żadnym kapitalistycznym breweriom i ulokowano w nim Resort Bezpieczeństwa Publicznego, gdzie więziono żołnierzy podziemia. W końcu usadowiła się w nim szkoła, do której uczęszczali między innymi: pisarka Hanna Krall, aktor Ignacy Gogolewski, poeta Piotr Sommer, piosenkarz Grzegorz Markowski, wiele, wiele indywidualności, w tym i krnąbrna Elżunia.

Rzuca Bieta zielonym spojrzeniem na zdjęcie szkoły, które znalazłem w Internecie.

– Moja klasa to ostatnie okno na piętrze po prawej stronie.

Z Michalina do Otwocka jedzie się kolejką dziesięć minut przez Józefów i Świder. Niedaleko, ale zielonooką królową może spotkać po drodze coś złego.

– Nie, nianiu, nie będziesz mnie odprowadzać do szkoły. Już jestem dorosła.

– Jeszcze nie jesteś dorosła.

– Prawie jestem!

Gdyby Bieta mogła, to tupnęłaby nogą. Bieta ma już szesnaście lat i raczej nie wypada, żeby tupnęła nogami jak rozwydrzony bachor. Ale też nie wypada, by niania nosiła królowie teczkę.

– A jak ci się coś stanie?

– Co niby?

– Stoją łobuzy na stacji w Otwocku.

– Dam sobie radę.

– Elżuniu...

– Dam sobie radę, powiedziałam.

Stoją. Stoi banda żuli w poczekalni na stacji w Otwocku. Jest ich może dziesięciu. Może trochę mniej, a może trochę więcej. Najwyższy, czarniawy jest chyba hersztem ferajny, nosi skórzaną kurtkę z demobilu,

zniszczonej, ale zawsze. Ma wytatuowaną kropkę pod lewym okiem. Reszta nosi się skromnie. Przykrótkie jesionki w jodełkę, na głowach oprychówki, spodnie w kancik. W dziobach szluga marki Sport. Butelka taniego bełta wędruje z graby do graby, z gardła do gardła. Robaczywe uśmiešky kleją się do długich nóg królowny. Już wjechała żółtoniebieska kolejka na peron. Już pneumatyczne drzwi otworzyły się z syknięciem. Królowna wysiada z pociągu, zmierza do poczekalni. I już banda żuli zastępuje dziewczynie drogę do wyjścia.

– Suńcie się, panowie.

– Panowie to na wojnie wyginęli – rzecze herszt.

Nic nie jest w stanie zbić królowny z pantałyku, więc dziewczyna powtarza:

– Suńcie się.

Niechętnie, ale się sunęli. Tylko jeden z nich zawołał, wypluwając kiepa z ust:

– Lala, bucik ci się rozpierdala.

– Powoli, powoli i tobie się rozpierdoli – odszczekuje królowna.

Gdyby to usłyszała Pani Bussoldowa... Ale nie usłyszała. Królowna wychodzi ze stacji. Herszt wlepia maślane gały w Bietę. Dziewczyna robi zeza i pokazuje mu język na odchodne. Tak, Bussoldówna raczej nie będzie klaryską.

Ale może coś z misjonarskich zapędów jednak pozostanie? Poczekajmy, zobaczymy. Na razie królowna uparła się, by bez asysty niani samotnie wysiadać na kolejowej stacji z podmiejskiego pociągu. I nawet powieka jej nie drgnie na zaczepki żuli, którzy na okrągło, dzień w dzień raczą się bełtem o nazwie „Wino słodkie owocowe” i zaczepiają swoimi lepkiemi spojrzeniami długonogą, zielonooką blondynkę. Najbardziej namolne są czarne oczy herszta bandy. I tak ta kołomyja trwa przez parę miesięcy. Aż wreszcie zza szarych chmur wychyla się wiosna, robi się ciepło, chce się żyć i nie chce się chodzić do szkoły, bo pierwsze promienie słońca kuszą i namawiają do wagarów.

Tego dnia Bieta urwała się z lekcji. Chciała zobaczyć, jak do wiosny budzi się rzeczka Świder. Odwiedziła pustą plażę, tę na granicy Otwocka i Józefowa. Daleko jeszcze do chwil, gdy w tafli przegląda się nadbrzeżna zieleń. Jeszcze nad Świdrem nie wybuchły świeżością lasy otwockie, jeszcze nie unosiły się nad wodą kolorowe ważki, jeszcze warszawiacy nie rozłożyli koców na piasku wzdłuż rzecznych zakoli, jeszcze dzieciarnia

nie pluskała się w płyciźnie. Było cicho i leniwie, ale już krew raźniej krążyła w żyłach na widok żółtych forsycji. Można więc było w ciszy i w błogiej nudzie pomyśleć, że trzeba się uwolnić spod skrzydeł niani, bo przecież w kinach grają *Rio Bravo* z cudnym Rickym Nelsonem. Królowa wybierze się z chłopakiem z równoległej klasy do Atlantycu, zmyli tropy, ucieknie opiekunce, chwyci za rękę tego, z którym w ciemnej sali kinowej będzie się całować. No to co, że on nie tak słodki jak kowboj Ricky Nelson.

Jest problem: czy aby królowa nie zaszła w ciążę od pocałunku z chłopakiem z równoległej klasy? Za namową koleżanki zdezynfekuje sobie usta spirytusem salicylowym.

Wracamy nad przedwiosenny Świder. Ktoś chwycił królową za pośladek. To nie jest Ricky Nelson. Nawet gdyby to był kowboj, dostałby z półobrotu z liścia, z plaskacza, otwartą dłoń w policzek. A czyj to policzek? Z oczu herszta ferajny sypią się iskry. Co się teraz stanie? Zaraz żul wyciągnie z kieszeni sprężynowy nóż i dźgnie bohaterkę tej opowieści prosto w serce. „Nad Świdrem znaleziono zwłoki siedemnastoletniej dziewczyny!”, „Trwają poszukiwania mordercy z Otwocka!”, „Nożownik terroryzuje prawobrzeżną Warszawę!” – zakrzyczą tytuły w *Expressie Wieczornym*. A ja skończę pisanie powieści o zielonookiej królowie, zamordowanej pod Otwockiem.

Ale nie: herszt wyciąga rękę.

– Sztama.

– Że co?

– Jesteś git cizia.

– Tylko nie „cizia”

– A jak?

– Bieta.

– Wiem, wiem. Niech będzie „Bieta”. Jestem Bodzio.

– Niech będzie „Bodzio”

– No to sztama?

– Sztama.

Otwockim żulom o mało nie powypadały szlugi z ust: ich herszt niesie teczkę tej długonogiej pyskatej cizi i grzecznie odprowadza dziewczynę pod same pneumatyczne drzwi kolejki. Raz – obleci, drugi raz – można to jeszcze rozumem jako tako ogarnąć, ale trzeci, czwarty, piąty raz nosić teczkę?

- Ty, Bodzio?
- No?
- Ty się zabujałeś?
- A, kurwa twoja mać, mam ci zęby pięścią policzyć?

Nie wiadomo, czy czarnooki bandyta – ani trochę niepodobny do Ricky’ego Nelsona – zakochał się w zielonookiej królownie z Michalina. W każdym razie Bieta poczuła misjonarskie powołanie i kazała całej stacyjnej zgrai iść do wielkanocnej spowiedzi. Dopilnowała skrzętnie, czy wszyscy będą klęczeć przy kratkach konfesjonału. Więc jednak coś zostało w Bussoldównie z misjonarskich zapędów. Nie, los chciał inaczej. Otóż otwockie liceum zorganizowało szkolną zabawę, na której banda Bodzia wszczęła burdę. Żule powybijali szyby w oknach. Bieta została wezwana do dyrektorki i dowiedziała się, że jest prowodyrką chuligańskiej ferajny. Teraz już na dobre Bussoldówna nie będzie klaryską. Cóż, wkrótce królowna z Michalina dowie się, kim jest naprawdę.

## 37.

To było tak:

Piegowata Ewa, najbliższa przyjaciółka od felicjanek, odwiedziła królownę w Michalinie. A był lipiec, wakacje. Po raz kolejny w tej opowieści białe puszkki kwitnących lip wirują w powietrzu, niczym sztuczny śnieg w szklanej, dziecięcej kuli. Patrzą, jak Bieta i Ewa czule witają się na peronie. To przywilej dziewcząt, tak urzekająco okazywać uczucia. My, faceci, kryjemy emocje za szorstkimi gestami i gruboskórnymi odzywkami. One – jeśli tylko chcą – potrafią ramionami objąć cały świat. Zgarniają ku sobie przyjaźń, nadzieję, wzruszenie, tęsknotę. Nie widziały się długie dwa lata. Kiedy uwolnią wreszcie ramiona, chwycą się za dłonie i Bieta poprowadzi rudą przyjaciółkę do swojego królestwa, na ulicę Słoneczną 23. A białe pyłki będą fruwały nad ich głowami jak w bajecznej przestrzeni. Potem w pustym domu zasiądą w kuchni przy stole, Bieta zrobi kakao i przegadają, co u jednej i drugiej słyhać, czy zadarte nosy są już mniej wyniosłe, że przecież w przyszłym roku matura i po wakacjach skończy

się laba, a czy kujonka ma wciąż zamiar zostać dyrektorem?, i czy już się całowałaś?, czy siostra Boromea nadal klei do twarzy dystyngowany uśmiech. Właśnie...

– Bieta, a dlaczego mi nie powiedziałaś, że jesteś Żydówką?

– Co?

– No, dlaczego mi nie powiedziałaś, że jesteś Żydówką?

Jakich słów, jakiej frazy powinienem teraz użyć? Że „się ziemia rozstała pod stopami Biety”? Że „spadł grom z jasnego nieba”? Że „dziewczynie zrobiło się ciemno przed oczami”? Nic z tych rzeczy. Bieta wybuchnęła perlistym śmiechem.

– Zwariowałaś, Ewka?!

– No, nie.

– Kto ci to powiedział?

– Siostra Boromea.

– Siostra Boromea?

– No tak.

– Na głowę upadła? – i Bieta na jednym oddechu, bez pauzy, bez zastanowienia, bez żadnych emocji zadaje płynnie pytanie z zupełnie z innej beczki: – A ksiądz kapelan schudł chociaż?

– Przytył.

Już nie wraca kwestia wbita jak cierń w skroń. Kakao wypite, plotki przegadane, marzenia omówione, łzy tęsknoty otarte. Czas na powrót Ewy do Warszawy. Znów dwie dozgonne przyjaciółki idą, trzymając się za ręce, a białe pyłki wirują jak w szklanej kuli. Słyszą stukot i syrenę nadjeżdżającego pociągu. Dłonie w górze na pożegnanie. Żółtoniebieskie wagony znikają na srebrzystych torach. Odbijają się w nich krople słońca. Bieta wraca do domu.

Przepłynął pierwszy pyłek nad głową zielonookiej królowej.

...Coś mówią o garbarni w Wołominie. Mecenas sadza dziewczynkę przy stoliku, kładzie przed nią kartkę i ołówek:

– Narysuj, kochanie, Warszawę.

Elżunia przytakuje, zabiera się do rysowania ruin, a pan mecenas Wolteger i mama Bussoldowa kontynuują rozmowę o odzyskaniu garbarni w Wołominie, własności jakiegoś pana Joska, ojca jakiejś żydowskiej dziewczynki...

Przepłynął drugi pyłek nad głową zielonookiej królowej.

... – To tatuś umarł dwa lata przed moim urodzeniem?



– Kamieniarz się pomylił. Trzeba by zmieniać cały pomnik. Khm. Zgarnij jeszcze te liście z lewej strony. O, tak. I postaw chryzantemy. Tylko nie porysuj płyty doniczką...

Przepłynął trzeci pyłek nad głową zielonookiej królowny.

... – Dlaczego mam wyjść za drzwi? Macie jakieś tajemnice?

Uśmiech dryfuje na usta siostry Boromei.

– Musimy z twoją mamą ustalić pewne rzeczy, które nie są dla twoich uszu...

Przepłynął czwarty pyłek nad głową zielonookiej królowny.

... – Czy ty, dziecko, wszystko musisz robić na opak? Och, ta twoja natura... – siostra Boromea milknie, jakby reszta zdania ugodziła zakonnicę w krtań...

Przepłynął piąty pyłek nad głową zielonookiej królowny i zamienił się w płonący płatek. Potem zwęglony pył przylgnał do szkła. Kula pękła z nieludzkim brzękiem. Świat wylał się na zewnątrz z potwornym chlustem. A potem rzeczywistość powróciła do lipcowego blasku i Bieta o wszystkim zapomniała.

Zapomniała, ale na krótko. Bieta budziła się w nocy zrana zimnym potem. Wpatrywała się w siną smugę nocnej poświaty, która wędrowała po suficie, ścianie, podłodze, by dosięgnąć Bietę swoim światłem. Jakby ten blask chciał coś dopowiedzieć, poskarżyć się, ujawnić jakąś tajemnicę. Wtedy zielonooka dziewczyna podnosiła wzrok ku ikonie Matki Boskiej i w cichości ducha zadawała tej od Nieustającej Pomocy dziesiątki pytań, które można streścić dwoma słowami: „kim jestem?” A potem dziewczyna sięgała po książkę leżącą na nocnej szafce. Otwierała cicho szufladę i wyjmowała z niej latarkę. Żółty snop światła na krótko wnikał w twarz cierpiącej matki od Nieustającej Pomocy. Matka uparcie milczała, trzymając dziecko w smukłych ramionach. Więc skoro nie chciała odpowiedzieć na pytania, nie śpieszyła z pomocą, światło latarki wędrowało ku książkom. To były *Obcy* i *Upadek Alberta Camusa*. Bieta wracała do stron o zagiętych rożkach, tam, gdzie były podkreślone ołówkiem trzy cytaty. Pierwszy wywoływał zimny dreszcz i rozdmuchiwał przykre myśli: „Człowiek zawsze ma przesadne wyobrażenie o tym, czego nie zna”<sup>[81]</sup>. Drugi był radą: „Żeby przestano w nas wątpić, musimy przestać istnieć, po prostu”<sup>[82]</sup>. A trzeci cytat, mimo że kojący, wywoływał łzy: „Człowiek nie jest nigdy zupełnie

nieszczęśliwy”<sup>[83]</sup>. Wtedy Bieta zanurzała twarz w poduszce i tonęła w lęku, na który nie miała pocieszenia ikona wisząca nad łóżkiem królowny. Jeszcze tylko dziewczyna cicho wzywała na ostatek Pana Boga ku pomocy, ale Pana Boga nie było, Pan Bóg zniknął, tak jak wyparował z książek leżących na kołdrze. Bieta wyłączała latarkę, kładła się na plecach i patrzyła, jak obca sina smuga wędruje po suficie i znika za oknem, wsiaakając w noc. Dziewczyna nie potrafiła powstrzymać łez, a ja nie mam takiej mocy, by ją pocieszyć. Jestem tylko świadkiem i narratorem. Na szczęście w progu pojawia się niania, tej nocy nie wróciła do męża, do Wołomina. Kobieta przysiadła na krawędzi łóżka, chwytła chłodną dłoń królowny i szepcze:

- Już, już, moja kochana. To tylko zły sen.
- Nianiu. Dziękuję ci, że chociaż ty jesteś.
- Jestem i będę przy tobie. Zawsze.
- A jak umrzesz?
- Też będę przy tobie, Elżuniu.
- „Elżuniu”..

Chłodna dłoń Elżuni staje się ciepła. Oddech uspokaja się. Królowna zasypia. Niania może wrócić do swojej sypialni.

Mijają suche minuty i nagle Bieta otwiera oczy dźgnięta jakimś koszmarem. Wstaje z łóżka. Idzie do kuchni. Otwiera szufladę ze sztućcami. Wyjmuje srebrną łyżeczkę z wygrawerowanym imieniem „Elżunia”. I długo, długo wpatruje się w inskrypcję swego imienia.

- Bietko?

Nerwowy głos pani Bussoldowej dobiega z kuchni.

- Tak, mamuś?

Bieta podnosi powieki ciężkie od snu.

- Gdzie jest łyżeczka?

- Jaka łyżeczka, mamuś?

Głos mamy Bussoldowej drży:

- Jezu Chryste... No twoja łyżeczka, srebrna, z „Elżunią”!

- Nie wiem.

- Boże najmilszy!... Janka!

Szukają. Niania ma łzy w oczach. Z twarzy mamy Bussoldowej sypią się iskry. Nigdzie nie ma łyżeczki. W kuchni. W pokojach. W korytarzu. Pod tapczanem. Pod szafką. Nigdzie. Bieta leży na łóżku i patrzy w sufit.

Ale sinej smugi już tam nie ma. Zastąpił ją nachalnie rzeczywisty blask poranka. Dziewczyna wstaje. Wolno ubiera się.

– Jest! – woła niania. – Jest! Tu, pod poduszką Bietki!

– Bieta...

– Tak, mamuś.

– Co robi łyżeczka pod twoją poduszką?

– No... leży...

– Czy ty nie wiesz, gdzie jest jej miejsce? – Krzyk: – W szufladzie! Razem z innymi sztućcami! Dlaczego łyżeczka leży pod twoją poduszką?!

– Nie wiem. Widocznie chciałam ją mieć przy sobie.

Twarz mamy Bussoldowej wykrzywia rozpacz.

– Czy ty wiesz, że to jest... Tam jest jej miejsce...

Słowa dławią się. Nagle Bussoldowa wybucha niekontrolowanym żalem:

– Co z tobą jest nie tak?! Że ty wszystko musisz robić na opak?!

Bieta nie odpowiada. Ucieka z domu.

## 38.

Biegnę za Bieta. W dali słycać przerażający stukot kół pociągu. Dziewczyna jest coraz bliżej stacji. Bliżej torów. Przyśpieszam kroku. Staram się uchwycić jej myśli. Pękają jak roztrzaskane lustro. Okruchy szkła wbijają mi się w źrenicę. Niech się wbijają. Może zobaczę rozkruszony obraz...

... – A byli tu ludzie, co pytali się o ciebie, Elżuniu.

– Jacy ludzie?

– Z Ameryki.

Niania nie jest w stanie zaczerpnąć tchu. Elżunia dalej pyta:

– Jak to: z Ameryki?

– No z samej Ameryki. Ale mówili po polsku. I pytali, gdzie mieszkasz.

Janka odzyskała oddech.

– I pan im powiedział, panie Wawer?

– No jeszcze co.

Mocny uścisk dłoni. Bieta czuje szarpnięcie. I już przekracza próg sklepienia, i...

...I biegnie w stronę stacji. Bliżej torów. Stukot robi się coraz bardziej metaliczny. Koła wybijają rytm, myśli terkoczą jak kołatka:

Kim jestem?

Moja matka nie jest moją matką.

Oszukano mnie.

A tak bardzo ją kocham.

Mam jej nie kochać?

Dlaczego?

Kim jest moja prawdziwa matka?

Kto mnie urodził?

Mam ślad po niej: pępek.

Więc Bóg nie istnieje?

Więc Bóg istnieje?

„Udziela dziś łaski istotom przez siebie stworzonym, zsyłając im nieszczęście”<sup>[84]</sup>.

Dlaczego?

Dlaczego mam być „na opak”?

Dlaczego jestem inna?

Dlaczego?

Dlaczego: „Wszystko albo Nic?”

Dlaczego jestem jakąś Żydówką?

To znaczy – kim?

Kim jestem?

Jestem córką swojej matki.

Której matki?

Mam matki obie?

Chcę mieć jedną matkę.

Tylko jedną...

Biegnę za Bieta. Słyszę kolejny potworny trzask. Rozpryskują się do końca kryształki lustera, w którym przeglądał się jej świat. Rzeczywistość rozpadła się na oślepiające atomy. Nic nie widzę. Słyszę potworny rumor nadjeżdżającej kolejki. Wyjmuję okruch z oka. Co widzę? Tory. Koła. Słyszę stukot. Nie. Na szczęście Bieta wsiada do wagonu. Pneumatyczne drzwi zamykają się z hukiem. Żółto-niebieski pociąg odjeżdża. Dokąd? Zostaję sam na peronie. Rozglądam się po pustej stacji. Pytam: gdzie jest Ten, który „udziela dziś łaski istotom przez siebie stworzonym, zsyłając im nieszczęście”?

Zielonooka ukryła się w piwnicy. W domu koleżanki, w Świdrze. To była urocza willa, jedna z tych, które nazwano „świdermajerami”. Drewniane, kształtne cacko zdobione sztukaterią, rzeźbieniami i fantazyjną barwą. Dom osadzony na niewielkim wzgórk, w środku pachnącego, sosnowego lasu. Jakby wyjęte z baśniowej opowieści schronienie. Kompletnie nieprzystające do dramatu, który się w nim rozgrywa. Bieta ukryła się w zamykanej na ciężką klapę ciemnicy, do piekła prowadziły cztery drewniane skrzypiące schodki. Czy to nie jakiś szyderczy paradoks? Ile ofiar jeszcze nie tak dawno ukrywało się w ciemnych norach odgradzonych od świata ciężką klapą. A teraz ta, która ocalała z Zagłady, skryła się przed światem w piwnicy. Bieta dziś nie pamięta, ile czasu tam spędziła. Parę dni, tydzień, może nawet dwa tygodnie. Nie chciała wyjść z kryjówki. Chciała zniknąć. Może chciała umrzeć, nie uzyskawszy odpowiedzi na pytanie: „Dlaczego?”

– Bieto, tak nie można.

Rodzice koleżanki nie wiedzieli, co robić, co się stało. Jaka krzywda dotknęła dziewczynę. Jaka potworność wydarzyła się w rodzinnym domu.

- Tak nie można.
  - Można.
  - Wyjdź stamtąd, prosimy.
  - Nie.
  - Zjedz coś.
  - Nie chcę.
  - Zupa jest na stole.
  - Dziękuję. Nie wyjdę.
  - Bieto. Porozmawiajmy.
  - Nie.
- Nikt nie miał dostępu.

W tym czasie mama Bussoldowa umierała z żalu. I ona zadawała sobie pytanie: „Dlaczego”?

Dlaczego mnie to spotyka? Dlaczego? Dlaczego powiedziałam jej, że wszystko robi „na opak”? Nie proszę o pomoc. Sama ją odzyskam. Sama ją znajdę.

Mama Bussoldowa odłożyła srebrną łyżeczkę do szuflady, tam, gdzie było jej miejsce – razem z innymi sztućcami, ale jakby trochę osobno. Zastanowiła się. Włożyła łyżeczkę do torebki, wyjęła z ramki fotografię Elżuni i ruszyła na stację.

- Czy widziała pani może tę dziewczynę?
- Nie.
- A pan? To jest moja córka.
- Niestety, nie mam pojęcia.
- Niech pani przyjrzy się fotografii. Bardzo proszę. Michalin. Józefów. Otwock. Świder. Rozpacz.
- Nie widziałam. Ładna dziewczyna.
- To moja córka.
- Niech się pani nie martwi. Znajdzie się. Dzisiejsza młodzież tak ma.
- A może pani ją widziała?
- Nie.
- Szkoda. To jest moja ukochana córka.
- Moja córka zaginęła.
- Zaginęła moja córka.

– Może pani widziała moją córeczkę?

Jakaś dziewczyna stoi na peronie. Podchodzi do pani Bussoldowej.

– Pani Busoldowa. Bieta jest u nas w piwnicy.

Słychać skrzypnięcie schodków. Zielonooka wynurza się z głębi, z ciemności, z grząskiej czerni.

– Córeczko.

– Mamo.

## 39.

Zielonooka królewna wyszła z ciemnicy, wróciła na Słoneczną 23, bo to był jej dom, prawdziwe schronienie. Widzę, jak w półmroku siedzą w kuchni. Na stole leży cerata zdobna w rysunek fioletowych kwiatów. Pani Stanisława Bussoldowa wodzi palcem po ich konturach. Ten gest wydaje się znakiem bezradności, nie przystającym do mocnego charakteru warszawskiej akuszerki. Na szczęście i jedna, i druga – i siedemdziesięcioletnia, lekko już przygarbiona kobieta, która coraz częściej myśli o śmierci, i siedemnastoletnia piękna dziewczyna, której życie dopiero otwiera swoje drzwi – potrafią patrzeć sobie prosto w oczy. Było cicho, podniośle, dławiąco. Bez pretensji, tyrad i wyjaśnień. Zwięzłe zdania ograniczały się do kwintesencji, ostrych i bolesnych. Reszta utonęła między słowami, w milczeniu, gestach i spojrzeniach.

– Kim jest moja matka?

Pani Bussoldowa odrywa opuszek palca od wydrukowanego kwiatu na ceracie.

– Nazywała się Henia. Henia Koper.

Zielone oczy Biety są suche i szeroko otwarte.

– Nie żyje?

– Z pewnością.

Bieta milczy. W tym czasie pani Bussoldowa delikatnie kreśli kontury kwiatu, jakby tam na ceracie zgromadził się ból, który trzeba rozbroić dotykiem.

– Jak umarła?

– Nie wiem.

Dziewczyna chowa dłonie pod blatem stołu, pragnie ukryć ich drżenie.

– Czyli nie ma swojego grobu?

Pani Bussoldowa patrzy prosto w oczy Biety.

– Nie, córeczko.

Ostatnie słowo drgnęło w krtani Bussoldowej.

– Tatuś... Ten tatuś, który leży na Bródnie, to nie jest mój tatuś?

– Nie.

Jakiś cień przemknął i zniknął za progiem kuchni. Kwiaty na ceracie są na swoim miejscu. Wszystko pozornie wydaje się na swoim miejscu.

– Jak miał na imię mój prawdziwy tatuś?

– Izrael. Mówiło się na niego Josek.

Oczy Biety są nadal suche i szeroko otwarte.

– Też umarł?

– Umarł – Bussoldowa uprzedza następne pytanie Biety: – Nie wiem, jak.

– Czyli rodzice umarli? Jak umarli? Niemcy ich zabili?

– Tak. Ale ty żyjesz.

Znów te cikliwe kwiaty na ceracie. Znów ukryty w nich ból.

– Jak to się stało, że żyję?

– Paweł cię wywiózł z getta ukrytą w ceglach. W drewnianej skrzynce.

– Co to jest getto?

Dłoń pani Bussoldowej zaciska się na ceracie.

– To była żydowska dzielnica zamknięta murem. Ucieczka za mur... – oddech – groziła... – oddech. – Nie można było uciec za mur. Teraz jest tam Muranów.

– Czy wszyscy Żydzi z getta zginęli?

– Niektórym się udało przeżyć. Tobie się udało.

– Jestem Żydówką?

Rysowanie opuszką palca po ceracie jest niepotrzebne.

– Tak. Oczywiście.

– A podobno ci Żydzi piszą i czytają z prawej strony do lewej. N a o p a k.

Twarze dziewczyny i kobiety to zatapiają się w półmroku, to zeń się wynurzają.

– Podobno – mówi cicho pani Bussoldowa. Coś dławi ją w gardle.

– Tak czy nie? – pyta głośno Bieta.



– Tak.

– Czy ja jestem „na opak”, bo jestem tą Żydówką?

Bussoldowa przez pięć, a może dziesięć sekund nie może wydobyć z siebie słowa. Chciałaby wstać i objąć dziewczynę ramionami, ale nie potrafi.

– Córciu... Moja córciu... Moja kochana...

Bieta wydaje się niewzruszona, ale to może pozór. Bo oczy dziewczyny nie są już suche. Tli się w nich współczucie dla zgarbionej kobiety, która siedzi naprzeciw niej w półcieniu.

– Ile lat miała moja mama, kiedy ją zabili?

– Podobno dwadzieścia cztery.

– Jak wyglądała?

– Była taka, taka, jak ty.

– To znaczy?

Pani Bussoldowa znów wpatruje się w ceratę. Sztuczny kwiat jest tam, gdzie był. Ból wrócił.

– Miała bardzo ładne zielone oczy.

Milczą. Patrzą na siebie. Po chwili Bieta lekko uśmiecha się.

– Ty masz też ładne oczy.

Bussoldowa już ani na moment nie ucieka wzrokiem.

– Zrobić ci kakao, córciu?

– Tak. Dziękuję. – I powtarza z naciskiem: – Dziękuję, mamo.

Mama Bussoldowa wstaje z krzesła, zostawia ból wsiąknięty w ceratowy kwiat. W milczeniu robi kakao. Stawia kubek przed córką.

– Trzeba zamieszać, kochanie.

Pani Bussoldowa wyjmuje z torebki srebrną łyżeczkę. Podaje Biecie. Dziewczyna przez dłuższy moment trzyma ją w dłoni. Bussoldowa mówi ledwo słyszalnym szeptem:

– Była wtedy z tobą w skrzynce.

– Tu jest moje imię i data urodzin. To jest moja metryka. To jestem ja. Jestem.

– Tak. Jesteś.

– Oni jej dotykali.

– Tak.

– Ich nie ma? Czy oni też są?

Bieta trzyma srebro w zaciśniętej dłoni.

Profesor Zbigniew Minakowski był polonistą w otwockim liceum. Był wybitnym polonistą. Miał dobre, lekko skośne oczy. Bardzo dobre. Twarz profesora Minakowskiego zdobił prawie zawsze przychylny uśmiech. Życzliwy uśmiech zniknął, gdy ktoś robił błędy językowe i kiedy obrazek z Mickiewiczem wisiał na ścianie przekrzywiony. Profesor Minakowski był nauczycielem, o którym jego dawni uczniowie będą pamiętać do śmierci. Też miałem takich. Istnieją w naszym życiu osoby obce, a bliskie. Bez ich mądrości, erudycji, życzliwości i łagodnej perswazji nasze głowy pozostałyby bezrozumnymi pustymi beczkami. Nie oszukujmy się, są i tacy nauczyciele, którzy wpędzają uczniów w rozpacz i gniew. Takich nie będziemy wspominać z sympatią aż do śmierci. Ale profesor Minakowski nie należał do tej kategorii belfrów.

Profesor był także opiekunem szkolnej biblioteki. Tam odbyła się jedna z najważniejszych rozmów w życiu zielonookiej. Bieta rzuciła pytanie od progu, bez wstępu, bez ceregieli, bez zbędnych przeprosin, że odrywa uwagę profesora od bibliotecznego katalogu:

– Panie profesorze, kim są Żydzi?

Profesor zdjął okulary, nie zdejmując życzliwości z twarzy, popatrzył na dziewczynę i odpowiedział:

– Według Biblii, moja Bieta, Żydzi są narodem wybranym przez Boga.

– Na moment zawiesił głos. – I przez to los skazuje ich na permanentną próbę. Bo widocznie Pan Bóg tak sobie umyślił.

Następnie profesor Minakowski, nie zadając ani jednego pytania, mówił bez przerwy przez dwie godziny.

O chwałcach Jedynego Boga zamieszkujących ziemię Kanaan. O patriarchach Abrahamie, Izaaku, Jakubie. O głodzie, który zmusił Izraelitów do wędrówki ku Egiptowi. O Mojżeszu, który wyprowadził swój naród z egipskiej niewoli i wędrował z nim przez czterdzieści lat po pustyni. O powstaniu Tory i o dziesięciu przykazaniach otrzymanych od Boga na górze Synaj.

O tym, jak Izraelici zamieszkali w Ziemi Izraela. O ich pierwszym królu imieniem Saul. O Jerozolimie, stolicy królestwa Dawida. O świątyni Salomona, gdzie wyrósł duch narodu żydowskiego. O podziale królestwa na Izrael i Judę. O wygnanych i zaginionych Dziesięciu Plemionach Izraela. O tym, jak Juda została zdobyta przez Babilonię. O zburzeniu Jerozolimy i Pierwszej Świątyni. O wygnaniu

z ojczyzny. O powrocie z niewoli babilońskiej i odbudowaniu Świątyni. O podboju przez Aleksandra Wielkiego. O powstaniu Machabeuszy. O niepodległości królestwa Hasmoneuszy. O zdobyciu Jerozolimy przez Pompejusza. O rzymskich rządach i o Herodzie. O Jezusie, synu żydowskiego narodu. O buncie przeciwko Rzymowi. O zniszczeniu Jerozolimy i Drugiej Świątyni. O powstaniu przeciwko Rzymowi w Masadzie i powstaniu Bar Kochby. O skodyfikowaniu prawa Miszny. O panowaniu bizantyjskim. O Talmudzie Jerozolimskim. O najeźdźcach perskich i panowaniu arabskim. O wyprawach krzyżowych i łacińskim Królestwie Jerozolimy. O Mamelukach. O rządach otomańskich. O kodeksie żydowskiego prawa *Szulchan aruch*. O tym, jak Żydzi szukali swego szczęścia na świecie, a potem masowo wracali do swej ojczyzny, co nazwano aliją. O krwawych prześladowaniach w Europie i o pogromach. O masakrze w Hebronie dokonanej przez arabskich terrorystów. O tym, że dwa narody – żydowski i palestyński – walczą o prawo do swojej ziemi. O tym, że od wieków naród żydowski jest niesprawiedliwie nienawidzony przez złych ludzi i to się nazywa antysemityzm. O tym, że Hitler chciał wymordować wszystkich Żydów. O Auschwitz. O gettach. O Treblince. O desperackim zrywie w getcie. O tym, że państwo Izrael znalazło swoje miejsce na mapie świata. O tym, że Żydzi mają prawo do swej ziemi, życia, miłości i szczęścia, tak jak każdy naród jest wybrany przez los albo Pana Boga do życia, miłości i szczęścia.

Profesor Minakowski mówił. Nie zadał zielonookiej dziewczynie ani jednego pytania, a Bieta słuchała.

## 40.

Żydowski Instytut Historyczny mieści się w budynku wzniesionym w latach 1928–1936. Przed wojną sąsiedował z Wielką Synagogą na Tłomackiem. Bóżnica była świętym miejscem warszawskich Żydów. Podwoje świątyni otwarto w Rosz ha-Szana<sup>[85]</sup>, 26 września 1878 roku. Kat warszawskiego getta SS-Gruppenführer Jürgen Stroop wysadził osobiście w powietrze synagogę na znak zakończenia „likwidacji” getta 16 maja 1943 roku. Miejsce po świątyni długie lata pozostawało puste.

Pamiętam z dzieciństwa jakąś ułomną instalację przykrytą butwiejącą papą. Mówiło się, że na ten kawałek ziemi została rzucona rabinacka klątwa, by nic w tym miejscu nie powstało. Nie mam pojęcia, czy tak było, nie wiem, czy klątwa została zdjęta, ale po dwudziestu kilku latach na działce po Wielkiej Synagodze wzniósł się studwudziestometrowy biurowiec zwany Błękitnym Wieżowcem. Budynek całkowicie zasłonił fasadę Żydowskiego Instytutu Historycznego. Trzeba się przeciskać drożynką dla pieszych odgradzającą świat polskiego wczesnego kapitalizmu od żydowskiej historii. W ŻIH-u znajduje się po lewej stronie od wejścia Dział Genealogii, gdzie odnalazłem swoje odcięte żydowskie korzenie. Ale to było parę lat temu. A lat sześćdziesiąt cztery wstecz...

Zielonooka dziewczyna idzie przez plac, nad którym góruje pomnik Feliksa Dzierżyńskiego. Dziewczyna nie wie, że stąpając po chodniku, stawia kroki po niewidzialnej świątyni, w której modlili się jej rodzice i dziadkowie. Bieta z trudem naciska klamkę ciężkich drewnianych drzwi, wchodzi po schodkach i zagaduje portiera:

– Gdzie mogłabym się dowiedzieć czegoś o?...

Bieta zawiesza głos, bo nie wie, jak ma dokończyć zdanie. Po co właściwie tu przyszła? Odszukać ślady tożsamości? Odczytać znaki czasu przeszłego? Wyczytać coś z popiołów? Może znajdzie się jakiś wizerunek matki? Może zdjęcie ojca? Może jakiś zapisek? Może list niewysłany? Jakiś strzępek pamięci? Cokolwiek. Ale jak to określić w jednym zdaniu, gdy portier przekuwa dziewczynę spojrzeniem.

– No? Czego, panienska, chce się dowiedzieć?

Gdzieś z radia wycieka cicha piosenka o biednej dziewczynie z ulicy Hożej, która patrzy w okno i łka z tęsknoty. Bieta kiwa głową na znak przeprosin, odwraca się na pięcie i chce odejść. Już nie ma żadnego pragnienia, już niczego nie chce się dowiedzieć. Wtem za jej plecami rozlega się głos:

– Zapraszam panią do siebie.

To głos szczupłego, siwego mężczyzny w staromodnym dwurzędowym garniturze. Bieta nie wie, jak się zachować, jeszcze raz niezręcznie kiwa głową, ale już nie ma zamiaru skierować się do wyjścia. Mężczyzna uprzejmie uchyla drzwi z napisem „Dyrektor”. W gabinecie unosi się śliwkowa woń fajczanego tytoniu. Sina mgiełka otula sześcioramienny świecznik stojący na biurku. Na ścianie wisi gwiazda Dawida

nieokreślonego koloru. Na biurku wznoszą się Himalaje teczek, książek i dokumentów. Mężczyzna wskazuje krzesło. Bieta ostrożnie na nim przysiada. Jest spięta, ale łagodny wzrok dyrektora rozbraja nerwy.

– Czego się chciałaś, dziecko, dowiedzieć?

Bieta zbiera myśli.

– Chciałam... Chciałam się... Chciałam się dowiedzieć, czy... jestem... Żydówką.

– Ach tak.

Łagodność odpływa z twarzy mężczyzny.

– A z jakiego to powodu?

W zielonych oczach już nie widać lęku i skrępowania. Bieta zbiera się na odwagę:

– Nazywam się Elżbieta Bussold. Ale to nie jest moje prawdziwe nazwisko. Moi rodzice nazywali się Koper albo Koppel. Henia Koper i Josek Izrael Koper zginęli. Wychowała mnie – w tym miejscu głos dziewczyny lekko się zachwiał – pani Bussoldowa. Nie wiem, co stało się z moją prawdziwą mamą. – Dodaje po chwili: – I tatą.

Siwy mężczyzna w niemodnym garniturze zdejmuje z nosa okrągłe okulary. Otwiera szufladę. Bieta ma nadzieję, że mężczyzna wyjmie za chwilę z szuflady odpowiedź na wszystkie pytania. Ale nie, dyrektor wyławia z niej szarą ściereczkę i bardzo wolno przeciera nią szkła. Okulary wracają na nos, tam, gdzie ich miejsce. Mężczyzna patrzy na zielonooką przez krystalicznie czyste szkła.

– Dlaczego chciałybyś to wszystko wiedzieć?

– Dowiedziałam się niedawno, że nie jestem tym, kim jestem. Może chciałabym zostać Żydówką.

On milczy przez kilka sekund, nie odrywając wzroku od dziewczyny. Wreszcie:

– Kim jest dla ciebie pani Bussoldowa?

– Wychowała mnie.

– Pytam: kim jest dla ciebie pani Bussoldowa? – powtarza dyrektor z naciskiem.

– Mamą.

Mężczyzna znów otwiera szufladę i chowa w niej szarą ściereczkę.

– Widzisz, moje dziecko, lepiej będzie, jak zapomnisz o tym wszystkim, czego niedawno się dowiedziałaś. Być Żydem, bycie

Żydówką jeszcze nigdy nikomu nie przyniosło szczęścia. Niech ci się wydaje, że to wszystko to film albo książka. I zapomnij o tym.

Do zielonych oczu napływa furia. Bieta wstaje z krzesła. Szybko. Gwałtownie.

– Do widzenia.

Królewna wysiadła na stacji Michalin wściekła, zła, załamana. Ale z każdym krokiem w stronę domu złość mijała. W domu na Słonecznej czekała mama. Wszystkie pytania i wirujące w głowie lęki odpływały metr po metrze. Furtka – ta sama co zwykle. Schody – te same. Sosnowy zapach – ten sam. Woń perfum „Być może” – ten sam. Radiowy sygnał z wieży Mariackiej – ten sam. To samo zawołanie niani – „O! Bietka! Co tam w Warszawie? Pałac Kultury jeszcze stoi?” Ta sama reprimenda mamy Bussoldowej – „Janeczko, ten żart ma już długą brodę”. Na stole czeka kubek kakao – jak zwykle. Ale jeszcze zostało w głowie ostatnie pytanie:

– Mamuś, a czy jakaś rzecz oprócz tej łyżeczki po nich została?

Pani Bussoldowa zdrewniała. Patrzy na Jankę. Janka patrzy na Bussoldową. Kobiety patrzą na siebie i długo nic nie mówią. Po dłuższej chwili wypełnionej południowymi wiadomościami szmerzącymi z radia – że do Polski przybywa z przyjacielską wizytą Nikita Chruszczow, a minister handlu wprowadza „beźmięśny poniedziałek” – w kuchni rozlega się ciche wyznanie mamy Bussoldowej:

– Twój dziadek dał przed śmiercią Jance adres swojego brata w Ameryce.

– Jak dziadek miał na imię?

– Aron.

– A brat dziadka?

– Max. To jego amerykańskie...

– Mogę zobaczyć ten adres?

– Miałam go na karteluszk.

– I?

– Miałam tę kartkę w torebce.

– I?

– Ukradli mi torebkę. W pociągu.

## 41.

Ukradli, nie ukradli – do dziś nie wiadomo. Max, brat dziadka pozostał po nieodkrytej stronie rzeczywistości. Aron, Sara, Jasek i Henia byli już w równoległym świecie, jeśli taki w ogóle istnieje. Czy Bieta czuła ich obecność? To dziwne, ale ja przeczuwam ich istnienie, jeśli to nie jest metafizyczna uzurpacja. Piszę tę opowieść najlepiej, jak umiem, chodzę śladami ich obecności w getcie. Przedwczoraj była osiemdziesiąta rocznica Powstania. Bieta spotkała się z prezydentem Niemiec. Patrzyli sobie prosto w oczy. Może gdzieś z boku stanęła dwudziestoczteroletnia zielonooka dziewczyna i przysłuchiwała się, co też ma do powiedzenia najważniejszemu Niemcowi jej osiemdziesięcioletnia zielonooka córka. Dziwne... Wczoraj udałem się na spacer po moim kwitnącym Muranowie. Tam – na miejscu dawnej kamienicy przy dawnych Nalewkach 27, tam, gdzie mieszkała rodzina Biety, tam, gdzie królowa prawdopodobnie została poczęta – rozkopano ziemię. Zwyczajny wykop pod wymianę rur. Rozrzucano resztki cegieł, strzępki dawnego spalonego domu. Zabrałem dwa rude skrawki dawnej obecności. Jeden dam Biecie, drugi zostawię dla siebie. Zastanawiam się tylko, czy ten zwęglony szczątek zostawić sobie, czy ofiarować królowi. Zastanawiam się, jak wyglądała Henia, jak wyglądali Jasek i Aron, i Sara. A Bieta patrzy w lustro i myśli, jak wyglądała jej matka. Nie zostało po Heni ani jedno zdjęcie...

W owych czasach Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Żydów w Polsce mieściło się na ulicy Nowogrodzkiej, przy Brackiej. Wojenni rozbitkowie, przeważnie starsi mężczyźni, gromadzili się tam, by zagłuszyć samotność, pogadać w swoim języku, bardziej o tym, co pozostało w szczątkach, co być może jeszcze się zdarzy, rzadko o tym, co się zdarzyło. Pewnego słonecznego dnia w drzwiach przy Nowogrodzkiej stanęła zielonooka blondynka i zasłoniła swoją sylwetką złotą smugę. W pomieszczeniu zrobiło się ciemniej. Cień dziewczyny przylepił się do zniszczonej dębowej podłogi. Wszyscy zwrócili wyblakłe spojrzenia w tamtą stronę, ale najbliżej drzwi usadowił się chudy, łysawy mężczyzna w wytartej brązowej marynarce. Odłożył *Fołks-Sztyme*<sup>[86]</sup> na blat stolica, gdzie

stała szklanka z kawą-plujką i uśmiechnął się do dziewczyny zasłaniającej słoneczne światło.

– Niech panienka wejdzie.

Bieta wkroczyła do środka, a za nią wsunęła się jasna smuga. Dziewczyna ukłoniła się lekkim skinieniem głowy.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry – odrzekł chudy mężczyzna. I uśmiechnął się. Reszta bywalców patrzyła. I nie uśmiechała się. Chudy mężczyzna wstał z elegancją z krzesła. Nadal się uśmiechał.

– Panienka jakoś się nazywa?

– Bieta. To znaczy Elżbieta, ale mówi się na mnie „Bieta”.

– Ładnie – odrzekł chudy mężczyzna. – To jakby skrót od „kobiety”: „ko-Bieta”.

Zielonooka tylko przytaknęła głową, bo już wiele razy słyszała to banalne skojarzenie. Ale odwzajemniła uśmiech. Mężczyzna przedstawił się:

– Na mnie mówi się Wasner.

– Też ładnie.

– Bo ja wiem. Ale niech będzie ładnie, skoro się podoba. Można wiedzieć, po co tu przyszłaś? – spytał pan Wasner.

– Chciałam zobaczyć, jak wyglądają Żydzi.

– No i?

– Normalnie wyglądają – odpowiedziała Bieta.

– No, a niby jak mamy wyglądać?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Nie wiem – ukłoniła się. – To ja już sobie pójdę.

– Czeka.

Zatrzymała się w progu i znów zasłoniła sobą żółty prostokąt otwartych drzwi. Twarze bywalców znieruchomiały.

– Tak?

Pan Wasner uśmiechnął się po swojemu. Stoję gdzieś w kącie i nagle zdaję sobie sprawę, że w tej opowieści bardzo często ludzie uśmiechają się do Biety. Ta repetycja to nie jest literacka ułomność, tak po prostu jest. Do dziś Bieta wyzwala swoją obecnością ciepły wyraz twarzy. Może dlatego, że sama lubi się uśmiechać. Trochę zalotnie, odrobinę nieśmiało, z aprobującym skinieniem głowy. Trudno jej nie odpowiedzieć tym samym. A zatem i ja się uśmiecham niewidzialnym



grymasem i słucham, co też ma do powiedzenia pan Wasner dziewczynie, która zaślania sobą słońce.

– Jadłaś kiedyś rybę po żydowsku?

– Nie.

– A chcesz spróbować?

– Tak.

– To chodź.

Dziewczyna ustępuje z progu i znów do wnętrza wkrada się żółty błysk. Starzy mężczyźni odprowadzają przymglonymi spojrzeniami pana Wasnera, który prowadzi Bietę do baru. Na ustach starców zawitała mgiełka uśmiechu.

– Pani Gieniu, raz fisz.

Pani Gienia wygląda jak wszystkie bufetowe świata: korpulentna, na głowie wycyzelowany kok, na ustach szminka. No i obowiązkowo nazywa się „Gienia”.

– No, a pan, panie Wasner?

– Ja nie będę dzisiaj jadł. Ja będę dzisiaj patrzył.

I pan Wasner tego dnia nie będzie wyjątkowo jadł rybę po żydowsku. Będzie patrzył, jak słoneczna, zielonooka dziewczyna je rybę po żydowsku. Będzie patrzył w milczeniu, będą patrzeć na Bietę wszyscy samotni starzy rozbitkowie. Pan Wasner nie będzie o nic pytał.

– Mamuś?

– Tak, złotko?

– Poznałam pana Żyda.

Mama Bussoldowa odwiesza ściereczkę. Wygładza ją dłonią. Pani Stanisława – jak wiadomo – nawet na Inianej ścierce nie lubi zagnieć, pani Bussoldowa lubi, kiedy wszystko wygląda tak, jak powinno wyglądać. Wszystko ma swoje miejsce i swój czas: srebrna łyżeczka powinna być w szufladzie, porcelanowa zastawa w serwantce, narzędzia akuszerskie w sterylnej szafce, tamże guma do przewiązywania przedramienia, gdy się robi dożylnie zastrzyki, rodzinny obiad powinien być w niedzielę, a Bieta nie powinna poznawać obcych mężczyzn. Wszystko ma być pod czułym okiem i czułą kontrolą.

– I co z tym panem Żydem, córeczko?

– Jest bardzo samotny.

– Tak?

W progu kuchni staje niania. Słyszała rozmowę, teraz zaciekawiona i zaniepokojona wymienia znaczące spojrzenie z panią Stanisławą.

– A ile ma lat ten pan?

– Jest stary.

Spojrzenia Janki i Bussoldowej nasiąkają ulgą.

– To zaprosz pana Żyda do nas.

O, i wszystko będzie pod kontrolą.

Tak się stało. Samotny wujcio Wasner będzie częstym gościem w Michalinie. Razem z rodziną będzie uczestniczył w niedzielnych obiadach. Po deserze będzie zasiadał w fotelu zanurzony we śnie i odrobinie szczęścia, bo już nie będzie przeraźliwie samotny. A kiedy nadejdą święta Bożego Narodzenia, kiedy w salonie na Słonecznej stanie choinka, zielonooka królowa wpadnie na pewien pomysł:

– Mamuś?

– Tak, córeczko?

– A może byśmy zaprosili jeszcze innych panów Żydów na Wigilię.

– Elżuniu... Żydzi nie obchodzą Bożego Narodzenia.

– Ale oni są samotni.

– To nie jest ich święto. Będzie im smutno.

– Nie będzie im smutno.

Siedmiu starym, samotnym mężczyznom nie było smutno podczas Wigilii na ulicy Słonecznej 23. Pierwszy raz od dawna nie było im smutno.

## 42.

Całkiem niedaleko od siedziby Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów w Polsce było sobie mieszkanie. W owym mieszkaniu gromadzili się poeci. Poeci palili papierosy, pili wódkę, rozprawiali o poezji, polityce, o egzystencjalizmie, bezsensie życia i o miłości. Znajoma jednego z poetów, nazwijmy ją dla potrzeb tej opowieści – „Basia”, była kuzynką mamy Bussoldowej i kochała poezję. Przepastne uczucie do liryki zaprowadziło Basię na polonistykę, a także do zadymionego papierosowym dymem mieszkania, gdzie gromadzili się poeci. Właściciel ciasnego lokum był wybitnym lirykiem, podczas wojny nosił

na ramionach małą Basię i pocieszał dziewczynkę, że wszystko skończy się dobrze. To było w schronie, gdzie ukrywali się ludzie przed śmiercią. W ten sposób Basia poznała poetę, który pisał wspaniałe awangardowe utwory. Pewnego dnia Basia przeczytała Biecie wiersz poety, który podczas wojny nosił ją na barana i pocieszał, że wszystko się dobrze skończy. Ów wiersz zaczynał się tak:

*łodyga snu z flamingiem złączona paradnie  
w anadiomeńskich pianach wezbrana jak akord  
rytmem orfickiej strofy nad sennym petrarką  
trześnio lauro sarenną rozkwietnioną dla mnie...*<sup>[87]</sup>

W tenże sposób królowa też zakochała się w poezji. Zielonooka bardzo, bardzo chciała poznać autora powyższych wersów, więc poprosiła Basię:

– Poznaj mnie z poetą.

Basia zastanowiła się. Była co prawda tylko nieco starsza od Biety, ale już umiarkowanie odpowiedzialna.

– Tam, w mieszkaniu poety pije się wódkę.

– No to co? – odrzekła królowa.

– I pali się tak dużo papierosów, jest tak gęsto od dymu, że można siekierę powiesić.

– No to co? – odrzekła królowa.

– Oni, ci poeci, bywają nieodpowiedzialni.

– No to co? – odrzekła królowa.

– Twoja mama będzie niezadowolona.

– No to co? – odrzekła królowa.

Basia nie miała na podorędziu żadnych innych argumentów, więc zaprowadziła królową do zadymionego mieszkania. I w ten sposób Bieta na zawsze zbratała się z poezją. Oczywiście wszyscy poeci zakochali się w zielonookiej królowie, a gospodarz wbrew swojej wrodzonej naturze zapalał do dziewczyny najżarliwszym uczuciem i pisał dla niej apolińskie wiersze. Niestety, Bieta gdzieś zapodziała owe erotyki, więc, z braku laku, pozwolę sobie zacytować inne miłosne strofy tegoż poety, by odmalować zmysłową aurę. Może na przykład taki oto upojny, olśniewający sonet:

*branko mych ramion biała w nagiej korze*

*znak twojej mocy moich warg koranem  
chylę się tobie niespełnionym dzbanem  
spełń moje gliny w spełnienia jeziorze*

*struno dźwięcząca męskich jarów orzech  
noc między nami strąciła cyklamen  
i towarzyszy koronkowym pianem  
łzie zatrzaśniętej w ognistej komorze*

*nimfo ze złotych ogrodów hesperyd  
nawo miłosna tobie zachwyty szczery  
za kształt i kunszt w miłosnym duecie*

*po strunach róży słowikiem szesana  
bądź pozdrowiona kapłanko różana  
w anadiomeńskich gołębic sonecie<sup>[88]</sup>*

Na szczęście miłosne wycieczki w stronę królowny były jedynie platoniczne i żaden z oczadzonych poetów nie ważył się tknąć zielonookiego i długonogiego blond dziewczęcia. Nie częstowano nieletniej wódką, co do papierosów – nie wiadomo. Tak oto Bieta – jak się rzekło – wsiąkła na amen w poezję, stała się nie tylko muzą bohemy, ale sama postanowiła zostać poetką. To, co napisała, pokazała jednemu z bywalców owej lirycznej jaskini. Ów mistrz pióra i słowa, lekko wcięty, ukląkł przed królowną, zakrzyknął: „Cicho tam, wasza mać!” i na głos czytał. Zacytuję fragment poezji:

*Stara cerkiew kopulasta  
świeci w pełni jak cebula,  
spływa na nią słońca łaska,  
cień fioletem ją otula.  
Panna skłania ku swym licom  
dziecię wyrzeźbane w drewnie.  
Przenajświętszą cyrylicą  
kopcą świece modlitewnie.*

*A-a-a – cerkiew śpi nawiedzona,  
a do świec, zgasłych świec idą diabły,*

*idą diabły stadami cieni!  
Wszyscy święci, już wam na ikonach  
twarze pobladły  
jako w niebie, tak i na ziemi.*

*W starej cerkwi jak we skrzyni  
więdnie wieków złota jesień,  
białe chmury jak pielgrzymi  
ciągną do niej po niebiesiech.  
I zawodzi na trombitach  
połonińskie prawosławie.  
Wezmę sobie stąd muzykę,  
wszystkich świętych tu zostawię<sup>[89]</sup>.*

Mistrz pióra i słowa wstał z klęczek i zakrzyknął:

– To jest prawdziwa poetka! Jeszcze o niej usłyszycie!

Następnie sławny literat poczynił wszelkie i usilne starania, by wiersz ukazał się drukiem bodaj w *Życiu Literackim* lub w *Nowej Kulturze*. Wtedy królowa pokazała wydrukowany utwór mamie Bussoldowej i rzekła:

- Mamuś?
- Tak, słonko?
- Nie będę już więcej chodzić do szkoły.
- Tak? Co ty powiesz. A to dlaczego?
- Bo mam już zawód.
- Jaki?
- Jestem poetką – oznajmiła królowa.

Na to mama Bussoldowa:

- Podaj mi czarną gumkę, słonko.

Chodziło o tę gumkę do przewiązywania przedramienia, gdy się robi dożylny zastrzyki. Następnie królowa dostała lanie za siedem dwój na koniec roku i niedopuszczenie do matury. Czarna gumka sprawiła, iż Bieta tymczasowo nie została zawodową poetką. Ale czarna gumka nie do końca była antidotum na poezję. I poetów.

Mama Bussoldowa ciężko przeżyła lanie, które sprawiła córce. Ale to ciało i dusza pani Bussoldowej napełniły się bólem, jakby sama sobie sprawiła manto. Pewnej nocy mama Bussoldowa miała sen: przyśniło się jej własne serce. Wynurzyło się z ciemniejących dymów, które pachniały wiosną i śmiercią. Stała przy oknie na Kałuszyńskiej 5 i patrzyła, jak umiera część miasta po drugiej stronie rzeki.

– Ciągle tu stoisz – zagadnęło serce.

– Tak – odrzekła pani Bussoldowa. – Nie mogę przestać patrzeć.

Serce stanęło obok pani Stanisławy.

– Umierają – rzekło.

– I płoną – przytaknęła pani Bussoldowa.

– Nie możesz nic na to poradzić – westchnęło serce. – Zrobiłaś wszystko, co można było zrobić. Przecież nie uratujesz całego świata. Wiesz, że kto ratuje jedno życie...

– Wiem, wiem – zachnęła się pani Bussoldowa. – Czasami myślę, że to wyświechtany banał.

– Nie – zaprzeczyło serce. – To nie jest banał. To jest matematyka.

– Co ty bredzisz? – oburzyła się pani Stanisława. Jej głos przybrał szorstką barwę, znamy już ten ton nieznoszący sprzeciwu. – Życie i śmierć, to nie jest buchalteria.

– Czyżby? Wszystko jest policzalne, moja droga. Każdy uczynek będzie wpisany do rejestru.

– Mówisz jak Pan Bóg.

Serce zadrżało i wydobyło z siebie jęk:

– Och, ten Pan Bóg...

Pani Bussoldowa chciała sięgnąć wzrokiem na drugą stronę rzeki, ale spojrzenie było za słabe, by dotrzeć do płonącego miasta. Zwinęło się w kłębek napełniony strachem i utonęło w Wiśle. A rzeka była pełna krwi. Serce zakołatało, mama Bussoldowa zaczęła tracić oddech. Chciała wyrzucić z siebie myśli o córce, którą zbiła czarną gumą do przewiązywania przedramienia, gdy się robi dożylnie zastrzyki, o córce, która w istocie nie jest jej dzieckiem, o jej prawdziwej matce zagubionej w czarnej przestrzeni, o świecie, którego nie można uratować, choć się uratowało jedno życie. Serce dalej kołatało w rytm wyrzutów. Wściekłe, złe na siedemdziesięcioletnią kobietę. I narzekało, wyduszając z siebie słowa:

– Nie rób... mi... tego... Jestem... już... stare...

- Dlaczego zrobiłam jej krzywdę? Dlaczego? Mogłam się powstrzymać.
- Przestań!
- Nie przestanę. Mówisz przecież, że wszystko będzie policzone.

Serce pani Bussoldowej nie mogło już tego słuchać. Uniosło się ponad ulicę Kałuszyńską i popłynęło w stronę płonącego miasta.

- Mamo! Mamuś!

Nad nieprzytomną mamą Bussoldową pochylała się Bieta.

- Mamo. Co ci jest?

- Zadzwoń po karetkę.

To było migotanie przedsionków. To było migotanie myśli. Migotanie wyrzutów sumienia. Mama Bussoldowa już bez żadnych pobocznych wtrętów zdała sobie sprawę, że wszystko jest policzone. Jej dni także. Co będzie, kiedy umrze? Niania także zaczęła się nieuchronnie starzeć. Bronka – córka z pierwszego małżeństwa – też już była niemłoda. Kto zatem mógłby otoczyć czułością i troską, kiedy stare serce warszawskiej akuszerki rozpadnie się na kawałki?

Miał na imię Wojtek, był studentem politechniki i był nadzwyczajnie dobrym chłopcem. Oprócz tego miał przepiękne niebieskie oczy i jasnoblond włosy. Aha – i miał dziewiętnaście lat. Bieta miała lat osiemnaście, właśnie nie zdała do maturalnej klasy. Ślub odbył się w kościele w Józefowie, tam, gdzie królowna była ochrzczona i gdzie sypała kwiatki podczas procesji Bożego Ciała. W uroczystości uczestniczyło prawie całe otwockie liceum. Jednak zaślubiny Bussoldówny pozostaną dziwnym zrzędzeniem, jedynie tajemnicą poliszynela, nie będzie się o nich na głos rozpowiadać w szkole. W tamtych czasach młodociane uczennice-mężatki miały zakaz wstępu w licealne progi. Jak się udało uchronić sekret i ukrócić plotki? Zielonookie królowny mają po prostu bajeczne szczęście. Ale małżeństwo nastolatków nie było szczęśliwe. Wojtek zakochał się w królownie na umór. Zaś królowna nadal była rozbestwionym dzieciakiem wychowanym na bułeczkach z szyneczką, rozpieszczoną do imentu jedynaczką, której ongiś niania urządziła na tarasie piaskownicę, dźwigając wiadra z piaskiem. Osiemnastoletnia Bietka była jeszcze niedojrzałym królewiatkiem z koroną na głowie. A w ślicznej główce ciągle buzował bunt podsycany zazdrością o mamę. Bo mama Bussoldowa nagle zapalała niewymowną sympatią do zięcia.

- Wojtusi, może ci zrobić kakao? Chcesz, kochanie?

– Dziękuję, mamó, bardzo chętnie.

„Wojtusiú?!” „Kochanie?” „Kakao?!” Ja tu jestem „Kochaniem”!  
„Mamo?!” To jest moja mama! Tylko moja!

– Wojtusiú, a nie jest ci aby za zimno? Przyniosę sweterek. I nie siedź w przeciagu.

Co?!

– Bietko, dlaczego otwierasz okno?

– Bo się zaraz uduszę od tej duchoty.

I jeszcze będzie mi zabierał mój stół do odrabiania lekcji!

– Bieta! Co ty, kochanie?! Dlaczego wylewasz Wojtusiúwi tusz na jego projekt?

– Niechcący mi się potraóilo.

– Chociaż przepros.

Akurat! Doczeka się przeprosin, ale po moim trupie. Po co jej ten sznurek?

– Bietko. Tu jest twoja połowa stołu. A tu połówka Wojtusiú. W małżeństwie musi być równowaga. I nie wolno ci przekraczać granicy wyznaczonej sznurkiem.

– A jemu wolno?

– Wojtuś nigdy nie przekracza granic.

Fakt. To Bieta przekraczała wszelkie granice. Młodociane małżeństwo nie miało za grosz równowagi. Pojechali nad morze junakiem. Wojtek posiadał wystrzałowy motocykl i to jeszcze królowna mogła jako tako znieść, bo byczo pędzić do Jelitkowa na wzbudzającym wszech-zachwytt junaku. Ale już nie było ani „byczo”, ani „klawo”, ani nawet romantycznie, kiedy zamieszkali na plaży. Bieta czekała, aż jej małżonek smacznie zaśnie, by wymknąć się z czułych ramion. Zamykała namiot na cztery spusty, zostawiała uwięzionego męża w klatce, a sama szła imprezować ze świeżo zapoznanym towarzystwem. Wojtuś znosił z pokorą wszystkie dokuczliwości, cierpliwie godził się na jarzmo. Kochał zielonooką zarazę. Przynosił Biecie potrójną porcję dorsza ze smaźalni.

– Ja to mam wszystko zjeść? – sarkała królowna.

– Tak, kochanie. Chcesz, to cię nakarmię.

– Nie chcę. Będę gruba. Chcesz żebym była gruba jak beka?

– Tak.

– Co???



Wojtek popatrzył, jak słońce gaśnie za horyzontem i rzekł rozmarzony, z nadzieją:

– Kiedy będziesz gruba jak beka, będę cię woził na wózku. I wtedy będziesz wreszcie moja.

Lecz królowna na ziarnku grochu nie chciała być żoną dobrodusznego studenta politechniki.

## 44.

Królowna, mimo rzetelnego lania czarną gumką, nadal była pasjonatką poezji, ale zachowała odrobinę rozsądku i zdała sobie sprawę, że trudno wyżyć z liryki. Bieta kochała mamę Bussoldową i nie chciała, by jej serce chorowało ze zgryzoty. Zatem nadrobiła szkolne zaległości. Ale co robić z życiem, tego zielonooka nie wiedziała. Być utrzymanką niekochanego męża – to nie wchodziło w rachubę. Królowna była dumna i niezależna. Wpadła na genialny pomysł...

– Mamuś?

– Tak, kochanie.

– Stanowczo nie chcę już być poetką.

– To świetnie. A kim chcesz być?

– Technikiem dentystycznym.

Mama Bussoldowa rozpromieniła się słonecznie. To zacny pomysł. Jak wiemy, pani Stanisława była położną i zawód medyczny uprawiany przez córkę byłby niejako kontynuacją jej pasji. Bieta ciągnęła żarliwie:

– I będę dużo zarabiać. Dentyści dużo zarabiają.

– Nie będziesz dentystką, kochanie. Będziesz technikiem dentystycznym. Gdybyś chciała zostać stomatologiem, musiałabyś skończyć medycynę.

Przez śliczną główkę królowny przebiegło błyskiem dawno wywietrzałe marzenie, by zostać lekarzem, ale mrzonka szybko z główki wywiała.

– Hm. Na medycynie trzeba się dużo uczyć – stwierdziła z niesmakiem zielonooka.

Mama Bussoldowa ciężko westchnęła w myślach: czy ona wreszcie dorośnie?

Jednak mimo wszystko pani Stanisława pozostała w optymistycznym nastroju i kontynuowała myśl w cichości ducha: kiedy Wojtuś zostanie inżynierem, a Elżunia wyuczy się na technika dentystycznego, będą mogła w spokoju zamknąć oczy.

Szczęśliwa mama Bussoldowa zaśmiała się perliście.

– Zrobię wam kakao.

– „Wam”? – Bieta podniosła buńczucznie głowę.

– Wojtusiowi i tobie.

Królewna zachnęła się:

– Jeśli już, to m n i e i Wojtkowi. – I szybko dorzuciła: – A najlepiej tylko mnie.

Po czym Bieta wyjęła z szuflady swoją srebrną łyżeczkę, uchwyciła ją w dłoń niczym berło i czekała, aż stanie przed nią kubek z gorącym kakao. Wojtek pojawił się w progu kuchni i posłał żonie tęskne spojrzenie. W dali przemknęła podmiejska kolejka, w oczach chłopaka przemknął bezbrzeżny smutek. W uszach odezwał się strzępek niedawnej, nocnej rozmowy:

... – Chociaż mnie pocałuj, kochana.

– Nie lubię się całować...

Tak się złożyło, że policealnym studium medycznym zawiadywała pani Irena Sendlerowa. Była dyrektorką Szkół Medycznych. Zatem królewna wykoncypowała sobie, iż egzamin do studium będzie dla niej błahostką, pstryknięciem palcami, że zaliczy trudny test po znajomości. W istocie do szkoły było bardzo ciężko się dostać. Na przyjęcie liczyły tłumy kandydatów. Mama Bussoldowa uprosiła przyjaciółkę, by ta przetestowała Bietę, czy dziewczyna w ogóle nadaje się na technika dentystycznego.

– Co mam robić, ciociu?

Kobieta, której w dużej mierze Bussoldówna zawdzięczała ocalenie, była przyszywaną ciocią. Ale to nie znaczyło, że ciocia przymknie oczy podczas egzaminu, technik dentystyczny to nie faramuszką.

– Tu masz, Bietko, modelinę.

– Aha. Jasne. Mam coś z niej ulepić?

– Właśnie.

– Co?

– Może na początek głowę Plastusia.

– A! To łatwe! Kulka i duże uszy.

Zaglądałam przez ramię i patrzę na dzieło ulepione przez palce królowny. Lepiej nie patrzeć na bezkształtną masę.

– Wiesz co, Bietko?

– Co, ciociu?

– Pójdź ty lepiej na jakieś porządne studia.

Zielonooka królowna zdała na Uniwersytet Warszawski. Na Wydział Psychologii i Pedagogiki.

A odrzucony Wojtek cierpiał. To cierpienie zaczęło uwierać królownę jak ziarnko grochu. Potwornie, nie do zniesienia, dojmująco. Pewnej nocy zielonooka spakowała się, napisała krótki list z przeprosinami, że tak dłużej nie może, że się tak nie da, że bardzo jej przykro, że łamie serce wszystkim, ale – nie!, po prostu – nie!, i nie wróci do domu, póki Wojtek się nie wyprowadzi. Mógłbym znów opisać sen mamy Bussoldowej, w którym pani Stanisława toczy dyskurs ze swoim popękany sercem, ale ominę tę sekwencję, bo ból i wyrzuty sumienia były tak oczywiste, że serce mogłoby doszczętnie rozpaść się na kawałki. Na szczęście tym razem Bieta zachowała się spokojnie i zawiadomiła matkę, że zatrzymała się u koleżanki ze studiów.

Niech w tej scenie złamane serce zastąpi załamany Wojtek. Przysiadam na taborecie, związuję dłonie palcami i przysłuchuję się rozmowie. Gdzie ten przykry dialog mógł się odbyć? Oczywiście w kuchni, bo takie rzeczy załatwia się przy kuchennym stole nakrytym ceratą z wydrukowanymi kwiatami. Po ich konturach można wodzić opuszką palca.

– To moja wina, Wojtusi.

– Mamo...

– Nie zaprzeczaj. – Ciężki oddech. – Wiesz... Ubzdurałam sobie, że kiedy mnie zabraknie, ty będziesz otaczał Bietę troską.

Mama Bussoldowa na moment zamilkła, zdając sobie sprawę z nadmiernego patosu powyższych słów. Ale w tej chwili inne nie przychodzą jej do głowy. Są takie momenty, kiedy patos nie brzmi fałszywą nutą. I z tym wzniosłym tonem współgra głos Wojtka:

– Zgodzę się na wszystko. Przecież przysięgałem...

– „Że nie opuścisz jej aż do śmierci”? Ale to była wymuszona przysięga, Wojtusi.

– Nieprawda.

– Prawda, Wojtusi, prawda. Zmusiłam was do ślubu. A małżeństwo z przymusu nie jest małżeństwem. Małżeństwo bez miłości jest nic niewarte.

Pani Stanisława Bussoldowa wie, co mówi. Jej pierwsze małżeństwo było pustym związkim. Dlatego zostawiła męża z obrączką i rozpaczą. Teraz ten kaprys losu zafundowała chłopcu, który w niczym tu nie zawinił.

– „Małżeństwo bez miłości”? – twarz Wojtka wykrzywia się gorzko. – Ja Bietę kocham.

Pani Bussoldowa przestaje wodzić palcem po ceratowym kwiecie, patrzy prosto i głęboko w szczere oczy.

– Wojtusi, ale ona cię nie kocha.

– Poczekam. Zrobię wszystko, żeby mnie pokochała.

– Nie doczekasz się. Nie można nikogo zmusić do miłości.

– Nieprawda.

Głos chłopca zachwiał się, potknął i upadł. Pani Bussoldowa, już bez żadnych patetycznych słów, ujmuje Wojtka za dłoń, mocno ją ściska i zagląda w zamglone źrenice.

– Co ja mam zrobić, mamo?

– Musisz dać jej wolność.

– Nie.

– Inaczej zafundujesz jej niewolę, a sobie cierpienie.

Wstaję z taboretu. Wychodzę z kuchni. Nie chcę słyszeć puenty tej sceny. A puenta jest piołunem.

Pani Bussoldowa otwiera szufladę. Wyjmuje z niej niebieską kopertę z czerwoną pieczętką i znaczkiem, na którym widnieje wizerunek mrówki. W środku koperty tkwi pozew o rozwód.

## 45.

Królewna całą winę dotyczącą rozpadu małżeństwa wzięła na siebie. Chciałbym zajrzeć w myśli nieszczęśliwego Wojtka. Jeśli byłbym dopuszczony do wnikięcia w głąb owej tajemnej nyży, pewnie ujrzalibyśmy szlachetną rozpacz. Bo Wojtek tak kochał zielonooką, że gotów był zaakceptować rozstanie. Żal mi tego dobrego chłopca.

Gdybym miał okazję zapukać do drzwi Wielkiego Scenarzysty, który snuje naszą fabułę i jeśli Mistrz otworzyłby mi podwoje, spytałbym, dlaczego tak perfidnie układa intrygę. Dlaczego szczęście w głównym wątku opowieści musi być okupione nieszczęściem w wątku pobocznym. Wojtek pewnie ułoży sobie życie po rozstaniu z Bieta, ale jest mi go po prostu żal. Kto kochał beznadziejnie, kto był odrzucony, kto doznał suchej tęsknoty, ten wie, o czym mówię. Niestety Wielki Scenarzysta nie otworzył mi drzwi, nie wytłumaczył się z fabuły. A może po prostu Pana Boga nie było za drzwiami. Może się na amen zaryglował. Może chce mieć święty spokój. Może rzeczywiście odszedł na zawsze z tego świata i pozostawił nas samych. Nie wiem, ale będę go dalej szukać.

Tymczasem muszę odnaleźć moją zielonooką główną bohaterkę. Jest. Zamieszkała u koleżanki ze studiów. Dziewczyna nazywa się Janeczka, a jej stancja to jednopokojowa dziupla, więc za pokój gościnny służy łazienka, a za łóżko wanna. Królowa leży w niej przykryta pledem, z jaśkiem pod głową, a głowa zanurzona w chmurze papierosowego dymu i postrzępionych myślach. Myśli buzują, barwią się na kolory buntu, żalu, złości i nieszczęścia. Bieta zdaje sobie sprawę, że skrzywdziła Wojtkę, lecz co ma zrobić z niechcianą miłością? Litować się nad nieszczęśliwym? Królowa wie, że kolejny raz zawiodła matkę, lecz ma się dać zamknąć na całe życie w wieży? Nigdy. Przenigdy nie pozwoli jej na to buntownicza, spontaniczna natura. Myśli rwą się, rozpryskują, zlepiają w amalgamat, kryją się za dymem z papierosa i toną gdzieś na dnie apatii.

W drzwiach łazienki pojawia się Janeczka.

– Wychodzimy, Bieta.

– Dokąd?

– Zobaczysz.

Bieta nie chce nikogo widzieć, niczego nie potrzebuje. Snuje myśli o sobie, o mężu, o polskiej matce, o matce żydowskiej, o niani, która coraz częściej choruje i już coraz rzadziej pojawia się w Michalinie i o srebrnej łyżeczce. Królowa chce tak leżeć w wannie pod pledem i zanurzać głowę w czerni.

– Wstajesz, czy nie? – ponagla Janeczka.

I wiecie co? Gdzieś z głębi ciasnego mieszkania dobiega pogodna piosenka o kolorowych parasolkach. Nie wiem, czy to za sprawą tej

jasnej melodii, czy za sprawą wyciągniętej przez przyjaciółkę dłoni, królowa wstaje z wanny, gasi papierosa w muszli klozetowej, idzie w nieznane.

Janeczka spotykała się z literatem Jaszą Zonszajnem. A Jasza Zonszajn bywał w Związku Literatów na Krakowskim Przedmieściu. Dzień wcześniej Janeczka przysiadła się do stolika, gdzie szacowni literaci pili kawę oraz palili papierosy. W pewnym momencie Janeczka przerwała zażartą dyskusję o dopiero co wydanej powieści polskiego autora. To beletrystyczna dysertacja dotycząca nieudanego kontaktu ludzkości z obcą formą inteligencji. Część bywalców uważała książkę za rozprawę filozoficzną, część za fantasmagorię.

– A ja mam na stacji koleżankę, która uciekła z domu i zamieszkała w wannie.

Krótki wtęret dziewczyny nie był fantasmagorią, ale zaiste mógłby stać się przyczynkiem do rozprawy filozoficznej. Literaci zamilkli. Jeden z nich zgniótł papierosa w popielniczce i rzekł:

– To ciekawe. Przyrowadź koleżankę.

O nieszczęsny Wojtku! Dlaczego twoje złamane serce stało się niezbywalnym przyczynkiem do największej miłości w życiu Biety. Owym literatem, który zaprosił królową zamieszkałą w wannie, był poeta Jerzy Ficowski.

Teraz zielonooka zbuntowana dziewczyna pojawia się przy zadymionym stoliku w Związku Literatów na Krakowskim Przedmieściu, na siłę prawie ciągnięta przez Janeczkę. I wita ją taki oto zachwyty płynący z ust pewnego rzeźbiarza:

– Panowie. Właśnie nadjechał rolls-royce.

Inny bywalec komplementuje królową tymi słowami:

– Pani nie panuje nad swoją urodą. Pani pozwoli, że jutro ją przedstawię moim kwiatom.

A ja siedzę samotnie obok i notuję zapatrzenie Ficowskiego. Poeta wpatruje się przenikliwym niebieskim spojrzeniem w buntowniczkę. Ustępuję, bo moje słowa nigdy nie dorównają słowom poety. Niech on sam mówi późniejszym wierszem.

*Tamci z przeciwka,  
mieszkańcy odstłoniętych okien,*

*składają się tylko z poruszeń.  
Tamci z góry,  
mieszkańcy lewej strony sufitu,  
składają się tylko z hałasu.  
Dziewczyny, które mijam,  
składają się z przelotnych oczu.  
Dziewczyny, które minąłem,  
składają się z nieustannych łydek.  
Tylko ty jesteś cała  
i nic, co jest tobą,  
ciebie mi nie osłania,  
gdy rozjarza cię nocą  
gwiazda pięcioramienna  
moich wszystkich zmysłów,  
gdy moim zamkniętym oczom  
zwierzają się twoje ręce  
z milczenia słów  
i z krzyku gestów<sup>[90]</sup>.*

Jeszcze ten wiersz nie powstał, jeszcze spoczywa w gąszczu lasu moreńskiego, jeszcze nie zakwitł miłością do Izoldy, jeszcze jest milczeniem słów, poeta musi poczekać, aż rozjarzy się nocą. Tymczasem poeta patrzy opiekuńczym spojrzeniem na piękną, wychudzoną dziewczynę, a z jego szczupłych ust spływa prozaiczne:

- Jesteś głodna?
- Tak.

Poeta prowadzi królowną schodami w dół do stołówki, by ją nakarmić abonamentowym obiadem. Będzie patrzył, jak zielonooka dziewczyna widelcem w drżącej dłoni kroi kluski śląskie skropione gulaszowym sosem. O nic nie będzie pytał, jeszcze nie będzie kochał, jeszcze będzie na nią tylko z zachwytem patrzył. Jeszcze wiersz będzie czał się za widnokręgiem. Spyta Jerzy:

- Studiujesz?
- Tak. Na Uniwersytecie – fuknęła królowna.
- To blisko.
- Tak.
- Przychodź tu po zajęciach.
- Dobrze.

Poeta podaje dziewczynie serwetkę, by otarła nią usta. Nie ma w tym geście jeszcze nic miłosnego. To zupełnie ojcowski gest. Jeszcze wiersz nie został napisany.

Wysoki Sąd spytał:

– Dlaczego chce się pani rozwieść?

Bieta odpowiedziała:

– Bo ja nie chcę być mężatką.

Sąd spojrział na dwoje niedojrzałych dzieci i dał im rozwód.

## 46.

Rozmawiali o wszystkim, tylko nie o miłości. Uczucie gromadziło się jeszcze gdzieś poza sercem. Poeta był dla królowny autorytetem, niczym cicerone wiódł po ścieżkach mądrości i wrażliwości. Sam ukąszony fascynacją dziełami Brunona Schulza, pragnął tym uwielbieniem zarazić zielonooką. Ze skutkiem: Bieta powoli wczytywała się w *Sklepy cynamonowe* i *Sanatorium pod Klepsydrą*. Poeta ujmował swą eteryczną dłonią dłoń dziewczyny i krok po kroku prowadził po meandrach „osobliwych a tyle nęcących sklepów, o których zapomina się w dnie zwyczajne”<sup>[91]</sup>. Tłumaczył czym bywają „rzeczy, które się całkiem, do końca, nie mogą zdarzyć”<sup>[92]</sup>. Królowna wkraczała coraz pewniej w ten metafizyczny świat, bezpiecznie trzymana za rękę. Poeta był kruchy ciałem, lecz mocarny duszą. Był żołnierzem w Powstaniu, był bezkompromisowy wobec tyranii, był chory, widząc niesprawiedliwość, był wrażliwy na ludzką krzywdę, był nieugięty wobec ludzkiego świństwa. Był niezłomny. W stalinowskich czasach ukrywał się przed bezpieką w cygańskim taborze. Tam odkrył dla świata romską poetkę Papuszę. Starszy o prawie dwadzieścia lat od Biety, był dla niej jak dobry ojciec. A królowna nie miała ojca, więc zamieniała się w słuch i tonęła w przenikliwym niebieskim spojzeniu.

Pewnego dnia Jerzy zapytał:

– Czy ty jesteś Żydówką?

– Bo?



Poeta otworzył zaczytany tom na pierwszym rozdziale i wyjął z niego cytat:

– „Oczekiwało się, że przed tę sień sklepioną z beczkami winiarza podjedzie w cieniu chwiejących się akacji osiołek samarytanina, prowadzony za uzdę, a dwóch pacholców zawlecze troskliwie chorego męża z rozpalonego siodła, ażeby go po chłodnych schodach wnieść ostrożnie na pachnące szabasem piętro”<sup>[93]</sup>.

– Nie rozumiem – odrzekła Bieta, bo w istocie nic z tego nie pojmowała.

Ficowski wyjaśnił lekko zachrypniętym głosem:

– Widzisz, dziecko, jeśli kiedyś będzie cię trzeba wnieść na „pachnące szabasem piętro”, to ja cię tam wniosę.

W tej chwili dziewczyna pojęła każde słowo z cytatu. Uśmiechnęła się z zakłopotaniem i odrzekła:

– Ale ja nie jestem Żydówką. – I dodała: – Choć ty jesteś samarytaninem.

Poeta nic nie odpowiedział. Pomyślał:

Poczekam.

Róg Oboźnej i Krakowskiego Przedmieścia. Klub Harenda, rzut kamieniem od Uniwersytetu, trzy rzuty kamieniem od Klubu Literatów. Ta sama papierosowa woń, ten sam smak wódki, odrobinę podobne dysputy, ale towarzystwo młodsze o jedno pokolenie. Inna moda. Zamiast tweedowych marynarek i wąskich krawatów, wyciągnięte czarne golfy i wyświechtane sztruksy albo podróbki dżinsów kupionych za uciulane złotówki na bazarze Różyckiego. No bo kogo stać na oryginalne levisy. Tam – pokieraszowani przez wojnę, tu – tknięci antymieszczańskim buntem i uroczo banalnym stwierdzeniem, że „człowiek to byt, który aspiruje do bycia Bogiem”<sup>[94]</sup>. Tylko zielonooka królowa ta sama. Bieta spędzała w Harendzie więcej czasu niż na wykładach.

Mówiło się na niego Pedro. Był bardzo męski, bardzo przystojny i bardzo oryginalny. Chodził po ulicy w teatralnym staromodnym tużurku, sztuczkowych spodniach, reniferach i meloniku. Chyba też czasami dla fasonu używał laski z kościaną gałką. W każdym razie, kiedy Pedro wychodził z bramy Uniwersytetu i kierował rozkołysany krok w stronę Harendy, ludzie przystawali z wrażenia na szarej ulicy, jakby

ujrzeli kolorowego ptaka. Był o trzy lata starszy od Biety, znali się jeszcze z otwockiego liceum, ale wtedy zielonooka była dla Pedra za smarkata, by zamienić z nią choćby dwa słowa. Teraz zasługiwała na więcej.

Musnęli się w drzwiach. Pedro obrzucił dziewczynę aksamitnym spojrzeniem. Z dołu do góry i z góry na dół. W jedną i drugą stronę nie można było ominąć długich nóg. Zagadnął:

– Otwock? Liceum? Klasa profesora Minakowskiego?

– Zgadza się.

– No to ta sama buda.

– No to teraz ten sam wydział – odpowiedziała Bieta i udała, że chce wejść do środka.

Udała, bo w istocie zapragnęła, by Pedro ją zatrzymał. I pragnienie się spełniło:

– Czekaj. Tu dziś jest cholernie nudno.

– A gdzie jest ciekawie?

– W budce babki Gawlikowskiej. Idziesz?

– Idę.

– Pedro – przedstawił się w końcu.

– Bieta.

– O, jak „ko-Bieta”

– Jeszcze raz użyjesz tego banału, to...

– To co? Jak mnie niby skarcisz? Jest ktoś, kto ci rączkę rozbuja?

Bieta pomyślała o niebieskookim samarytaninie. Ale myśl szybko rozmazała się i uciekła w stronę wiślanej skarpy.

Budka babki Gawlikowskiej mieściła się opodal. To był prząsny zieleniak z kartoflami, marchewką, szczypiorkiem i tak dalej. Prócz warzywnego asortymentu były jeszcze owoce, a wśród nich procentowe jabłka w płynie, czyli wino bardzo słodkie owocowe, zajeżdżające kwasem siarkowym, popularnie zwane alpagą. Wnętrze sklepiku było obwieszane obrazami, za które studenci pobliskiej Akademii Sztuk Pięknych nabywali drogą barteru wina bardzo słodkie owocowe. Budka była istną galerią sztuki awangardowej. Pedro zachował się jak prawdziwy dżentelmen – nie bez kozery nosił melonik, staromodny żakiet i sztuczkowe spodnie – poczęstował Bietę papierosem.

– Zajarasz?

– Co masz? A, sporty. Dzięki. Palę ekstra mocne. – Księżniczka dodała z wyższością: – Bez filtra.

No i to była blaga. Owszem, Bieta popalała, ale tylko w stresie i z nerwów. Jak wtedy w łazience u Janeczki, kiedy uciekła z domu przed Wojtusiem. W gruncie rzeczy królowna ciągle była grzeczną dziewczynką z dobrego domu, a nie chciała być już drobnomieszczańskim egzemplarzem, który Pedro wykpiwał z harendowymi buntownikami. Królowna już za nic w świecie nie chciała siedzieć na ziarnku grochu. Więc sięgnęła po nabytą przez Pedra butelkę wina bardzo słodkiego owocowego i rzekła z udaną wyniosłością:

– Nie wiem, jak się tu pije, ale u nas w Michalinie, łyka się działkę na raz.

– Ale pijemy po połowie – skorygował Pedro i uderzeniem pięści w denko odkorkował płynny owoc.

– Jasne. Sprawiedliwie, pół na pół.

Królowna podpatrzyła wcześniej technikę picia bełta, którą stosowali członkowie bandy Bodzia. Otóż sztuka polegała na wlaniu sobie bezpośrednio do gardła całej działki odznaczonej na flaszcze palcem. Chodziło o to, by ominąć kubki smakowe, które mogły nie wytrzymać kontaktu z siarką. Przez rozsądek, prosto do żołądka. Tak też Bieta uczyniła. Niestety, technika wlewu wymaga ćwiczeń, a takowej panienka z dobrego domu jeszcze nie posiadała. Zielone oczy królowny o mało nie wypadły z orbit. Ale tak czy owak, Pedro patrzył na koleżankę z Wydziału Psychologii i Pedagogiki spojrzeniem pełnym uznania, podziwu i fascynacji.

## 47.

– Kocham cię i chcę się z tobą ożenić – oświadczył pewnego słonecznego dnia Pedro.

I co na to zielonooka królowna? Przyjmie osobliwe oświadczyzny osobliwego księcia? Ano królowna pobiegła do swego mentora do Związku Literatów. Może nie w te pędy, ale raczej szybko, bo po co się ociągać z taką decyzją, prawda? Kiedy ma się dwadzieścia

jeden lat, miłość eksploduje jak muzyka pewnych czterech chłopaków z Liverpoolu. Bieta stanęła przed obliczem ojca duchowego i wyznała:

– Być może wyjdę za mąż.

Poeta otaksował królową czujnym spojrzeniem, zajrzał w buchające zielenią i afektem oczy. Rzekł ze stoickim spokojem:

– Za kogo?

– Za kolegę z „trasy”.

Wtręcik: „trasa” to była beztroska marszruta od Oboźnej, przez Harendę, budkę babki Gawlikowskiej, kawiarnię Telimena, wesoly akademik zwany Dziekanką, winiarnię U Hopfera i kilka jeszcze rozkosznych przybytków.

– A to ciekawe – zainteresował się poeta. – Jak się nazywa twój wybraniec?

– Pedro.

– A to jeszcze bardziej ciekawe – skonstatował poeta. – Możesz go tu przyprowadzić?

– Mogę.

Przyprowadziła. Poecie nawet spodobał się ekstrawagancki wygląd wybranka. Poeta lubił oryginałów, sam poniekąd był odrobinę surrealny, bo jakże można nie być surrealnym, gdy spędziło się długi czas w taborze cygańskim. Ale poeta chciał upewnić się, czy aby Pedro będzie w stanie ofiarować zielonookiej, słonecznej koleżance z „trasy” choćby minimum roztropności. Zatem zadał młodzieńcowi parę podstawowych pytań: Co Pedro sądzi o wspólnym życiu? Co Pedro sądzi o miłości? Co Pedro sądzi o podzielonym na pół żelazną kurtyną świecie? Poeta spytał nawet Pedra, czy podobał mu się film *Jak być kochaną* i co myśli o dożywotnim prezydencie Jugosławii Broz Ticie, i jaką ostatnio czytał książkę. O dziwo Pedro nie był skonfundowany tym egzaminem, ochoczo odpowiadał na pytania, zaciągając się nonszalancko sportem.

Następnego dnia poeta stwierdził, patrząc w rozkochane oczy królowy:

– Nie podoba mi się Pedro. Nie wychodź za niego.

Królowa nie posłuchała poety.

Ale ślub z Pedrem nie odbył się bez pewnych perypetii. Perypetia pierwsza:

Otóż nad Bieta rozciągali opiekę nie tylko mama Bussoldowa i Jerzy Ficowski. Czuje oczy pilnowały królową w Harendzie. Szpiegami były kelnerki. Życliwe dziewczyny zdobyły sobie tylko znanym sposobem adres pocztowy do Michalina i skreśliły donos do pani Bussoldowej, iż Elżbieta, porządna dziewczyna z dobrego domu, zadaje się w Harendzie z podejrzanym towarzystwem, a w szczególności kręci się wokół niej facet, który urwał się z operetki. Mama Bussoldowa przeczytała liścik, ubrała się elegancko, założyła na koafiurę wytworną kapelusz, wyposażyła się w parasolkę i ruszyła do Warszawy, by wyrwać córkę z jaskini zła, zwanej Harendą. W tym czasie królowa okupowała z dziesięcioma kumplami i swoim wybrankiem duży stolik tuż przy drzwiach. Na stole parowały dwie kawy. Dwie kawy na dwanaście gardeł, nie przelewki. Dyskutowano właśnie o tym, czy Bóg istnieje, czy, jak domniemywa Nietzsche, już umarł. Wtedy w progach Harendy pojawiła się elegancka dama w kapeluszu. Jedna z kelnerek-donosicielek – targana wyrzutem sumienia – nachyliła się nad uchem królowy z szeptem:

– Bieta. Tam, chyba to twoja mama.

Nie trzeba było dwa razy powtarzać. Królowa daje nura pod stół i siedzi tam jak trusia. Pedro nie wie, co robić. Zdejmuje irchowe rękawiczki, by się przedstawić przyszłej teściowej i poprosić ją o rękę córeczki. Lecz pani Stanisława nie daje chłopakowi dojść do słowa, omija przyszłego zięcia, który faktycznie wygląda, jakby urwał się z operetki, celuje parasolką pod stół.

– Bieta. Wyłaż stamtąd. Do domu.

W domu awantura. Mam ją opisywać? Chyba sobie daruję. Pani Bussoldowa nie wie jeszcze, że jej ukochana córka postanowiła wyprowadzić się z domu i wyjść za mąż za tego, który urwał się z operetki. Nie daj Boże, by się dowiedziała. Serce mamy Bussoldowej chyba by pękło na pół.

Perypetia przedślubna numer dwa:

Pewnego dnia Bieta umówiła się z wybrankiem serca pod uniwersytecką bramą. Duszę królowy wypełniały śpiewy anielskie, ciało świdrowały hormony szczęścia, w brzuchu fruwały motyle. Lecz kiedy Bieta ujrzała Pedra, motyle zdechły. Widziała już niejednokrotnie swego amanta w stanie upojenia, lecz tego dnia, w ostrości słonecznego światła i umysłu, ujrzała przyszłego męża w kompletnie innych

konturach niż zazwyczaj. „Close your eyes and I'll kiss you. Tomorrow I'll miss you” – śpiewali tego roku genialni chłopcy z Liverpoolu. Następnego dnia królowa spakowała manatki i nie bacząc na stan serca mamy Bussoldowej uciekła przed niechcianym księciem, gdzie pieprz rośnie, to znaczy do Wrocławia. Psim swędem i powalającym urokiem osobistym udało się Biecie dostać na Wydział Filozofii. Królowa już zaczęła jako tako urządzać się na dolnośląskiej ziemi odzyskanej, już uczucie parowało z jej serca, obraz ukochanego z wolna się rozpływał, aż tu nagle...

- Co ty tu robisz?
- Przyjechałem cię odnaleźć. I odnalazłem, kochanie.
- Wracaj. Nie będę twoją żoną.
- Nie wrócę. Będziesz moja.
- Nie będę.
- Będziesz.
- Nie.
- Ja ci mówię, że będziesz. A może byśmy tak najmiłsza...

Powyższa miłosna przekomarzanka rozegrała się w dworcowej kawiarni. Widzę to w szczegółach, spędziłem w czasach PRL-u dziesięć lat w ukochanym Wrocławiu, bywałem w tej dworcowej kawiarni. Utyłany obrus, kawa-plujka, znudzony kelner, pusta cukierniczka, aluminiowe łyżeczki, orzechowa lamperia pokryta beznadzieją, kwaśny zapach, megafonowe interludia – zapowiedzi pociągów. I kochankowie, którzy snują „rozmowę smutnie nie skończoną”<sup>[95]</sup>.

Perypetia numer trzy:

Bieta doznaje ataku kamicy i ląduje w szpitalu. Pedro jak wierny pies waruje przez trzy dni i trzy noce na trawniku przed szpitalem. Głoduje, bo nie ma już pieniędzy literalnie na nic. Królowa spuszcza biedaczynie na sznurku swoje porcje ze szpitalnej wieży. Czy królowa kocha księcia? Królowa w zasadzie kocha wszystkich ludzi i cały świat. Kocha po swojemu, szczerze. Na przykład zaprasza do hotelowego pokoju zabiedzoną, bezdomną kobietę. Kobieta odwzięcza się dobrym za nadobne i kradnie królowinie wszystko, co da się ukraść. Zatem czemu nie spuszczać na sznurku szpitalnego jedzenia głodnemu rycerzowi.

Królowa i Pedro wracają razem na gapę do Warszawy. Ale królowa jest uparta:

- Nigdy nie będę twoją żoną.

Na Słonecznej radość z powrotu marnotrawnej córki i rozpacz, bo niania doznała wylewu. W tę mieszaninę uczuć wkracza nieproszony rycerz. Doprawdy, tylko brakuje białego konia.

– Ślub za dwa tygodnie – oświadcza Pedro.

Perypetia numer cztery:

Ślub, owszem, ale nie z Bieta, tylko z koleżanką z prawa.

Perypetia piąta:

– Jednak chcę tylko z tobą się ożenić. Pojutrze. W Urzędzie Stanu Cywilnego na Nowym Świecie.

Bieta:

– Okej.

Jak o tym powiadomić mamę? Hm... Muszę przygotować lekarstwa na serce. Już nie wypada się wycofać. Ślub? Są gorsze rzeczy, na przykład głód w Afryce. Zawsze mogę się rozwieść.

## 48.

„I wanna hold your hand” – śpiewali nieustępliwi chłopcy z Liverpoolu. Zielonooka królowa oddała swą rękę księciu na Nowym Świecie, w Urzędzie Stanu Cywilnego, mieszczącym się w jak wyciętym z bajki pałacu Branickich, i wkroczyła w świat, którego nie znała. Stała się częścią „podstawowej komórki społecznej”. Na ślub, według Biety, przybyła połowa Uniwersytetu. Trudno w to uwierzyć, ale niech tak będzie. W każdym razie zabrakło najważniejszego gościa. Na ślubie Biety i Pedra nie było poety. Widocznie Wielki Scenarzysta tak to sobie wykoncypował. Może przyczaił się ze swoją pisaniną na jakiejś galaktyce i snuł zagmatwaną fabułę, może chciał ukraść miłosną frazę „Tylko ty jesteś cała i nic, co jest tobą, ciebie mi nie osłania”<sup>[96]</sup>, może Pan Bóg porzucił stukanie w klawisze i bawił się losem niczym grą w kości, a może w ogóle Go nie było, bo został przysypany piaskiem w rowie pod Poniatową.

Na weselu nie było już połowy Uniwerka, bo Harenda nie z gumy, nie pomieściłaby tylu gości. Ale państwa młodych zaszczyił swoją obecnością wszędobylski Jan Himilsbach. O nim za chwilę. Na razie

kelnerki wnoszą wódkę w emaliowanych wiadrach, w miskach sałatkę jarzynową i trzymają już donosicielskie buzie na kłódkę. Pani Bussoldowa zasiadła w odświętnej etoli przy weselnym stole i patrzy z przerażeniem, w jaki szemrany świat wkroczyła jej ukochana córka. Wódka leje się z wiader do kieliszków, pani Stanisława pozostaje przy lżejszym trunku. Po pierwszym łyku alpagi o mało nie oddaje ducha Bogu. Jeszcze na dodatek ów zachrypnięty jak zdarta płyta jegomość, Jan Himilsbach, wstaje od stołu i:

– Cisza, kurwa wasza mać!

Zadymiona po sufit Harenda milknie. Serce mamy Bussoldowej wali jak młotem. Jan Himilsbach kontynuuje toast:

– Pedro! Jeśli jej włos z głowy spadnie, to masz wpierdol i nawet Winnetou ci nie pomoże, skurwysynu!

Goście biją brawo, pani Bussoldowa czuje, że zaraz trzeba będzie wezwać karetkę. To jeszcze nie koniec fajerwerków. Pan Jan rusza w kurs wzdłuż weselnego stołu ze śmiałą reprzyzą:

– Pana wino?

– Tak.

– No to pana zdrowie.

Łaps za kieliszek gościa i chlup w zachrypnięte gardło. Następny:

– Pana wódzia?

– Tak.

– No to pana zdrowie.

Łaps i chlup w dziób.

Wreszcie schrypnięty i rozchwiany rozbitek dociera do szalupy.

– Szanowna pani mamusiu. Czy to pani wino?

Dosyć! Pani Bussoldowa zrywa się od stołu.

– Bieta. Idziemy do domu.

Panna młoda i jej mamusia wychodzą z jaskini. Pedro prawie wyje z rozpaczu:

– A ja?!

– Jak pan tam sobie chce.

Podobno goście pili zdrowie młodej pary na „trasie” jeszcze tydzień.

Młoda para przytuliła się w pokoiku w eleganckiej kamienicy na Żurawiej 24. Dom, w którym mieści się dziś modny golibroda, zawsze trzymał wykwintny sznyt, ale gniazdko Biety i Pedra wynajmowane na piątym piętrze było ubogim szurum burum. Młodożeńcy klepali



biedę, żyli bez pieniędzy, okrywali się cienką kołdrą i wątlą nadzieją. Jeszcze w PRL-u nie zakwitły dzieci-kwiaty, ale młodą parę z Żurawiej 24 można już nazwać prekursorami ery Wodnika. Żywili się papierosami, ziemniakami i słoniną, z których Bieta ugniatała codziennie w emaliowanej miednicy kopytka. Słuchali Ewy Demarczyk, Brela, napawali się *Satysfakcją* Stonesów z Radia Luxembourg. Było fajnie i szczęśliwie. A kiedy nie mieli na bilet do kina, by obejrzeć *Rękopis znaleziony w Saragossie*, szli do fotoplastykonu w Alejach Jerozolimskich. Jednak coś zaczęło się psuć.

Nie będę się o tym rozpisywać. W każdym razie Pedro skończył studia, poszedł do pracy, a Bieta zaczęła się czuć jak królowna zamknięta w wieży na ulicy Żurawiej. Do kogo udać się ze skargą? Znany nam już stolik w Związku Literatów na Krakowskim Przedmieściu. Stanę w oddaleniu, by tylko z ruchu warg dziewczyny odczytać zwierzenia wyszeptane poecie. Jerzy słucha cierpliwie jak na spowiedzi. Kiedy królowna stawia kropkę, poeta nie mówi: „amen”, a patrząc w oczy, w których zieleń zalewają łzy, radzi:

– Nie wracaj już tam, na Żurawią.

Posłuchała. Wróciła do Michalina, do mamy. Wniosła sprawę o rozwód. I tym razem wzięła także winę na siebie. Nie miała żadnych żądań. Bo nawet gdyby do podziału był kufer złota, a nie emaliowana miednica, materac i płyta Niebiesko-Czarnych, niczego by nie zabrała byłemu mężowi. Na rozprawie rozwodowej znów będzie połowa Uniwerka. Pedro powie:

– Wysoki sądzie. Jeżeli kobieta mojego życia chce się ze mną rozwieść, zgodzę się na wszystko i podpiszę, co mam podpisać. Ale... Ale z nadzieją, że Bieta do mnie wróci.

I podpisał.

Czy wróciła? Kiedy po wielu latach Pedro będzie umierał, poprosi Bietę, by towarzyszyła mu przy śmierci. Cóż, Wielki Scenarzysto... Jesteś tam, czy Cię nie ma?

## 49.

– Popatrz.

Poeta wyjmuje serwetkę z kawiarnianego pojemnika i kreśli na niej jakieś liczby.

– Ty masz dwadzieścia cztery lata. Ja czterdzieści dwa. To odwrotność cyfr. Ty się urodziłaś w czterdziestym drugim roku, ja w dwudziestym czwartym. Czy to nie magia?

Królewna przesuwając zielonym spojrzeniem po cyfrach: „24-42. 42-24” Nic nie odpowiada. A ja słyszę piosenkę Dżambli, którą puszczałem na okrągło. To słowa poety.

*Byłaś naga.*

*A ubrałaś się w szum klonu.*

*Powłóczyście ci w tej sukni i zielono,  
miękkim chłodem cię osłania od upału,  
jej tkanina oszeptowała cię całą...<sup>[97]</sup>*

Jest taki film nakręcony przez esbecką kamerę ślepiącą z okna naprzeciw kościoła Świętego Krzyża: marzec 1968. Studenci demonstrują przed drzwiami świątyni. Po chwili na schody wpadają tajniacy, pałują chłopców i dziewczyny. Studenci chronią się w kościele. Ten filmik jest zawsze pokazywany w telewizji w rocznicę Marca. To dla mnie swoiste *déjà vu*. Mam tamte kadry w oczach, wyraziście odegrane na żywo. Stałem wtedy na chodniku i wklejałem w pamięć scenę po drugiej stronie ulicy. Do dziś słyszę głucho uderzenia ciosów i krzyk dziewcząt. Ale to nie był ani krzyk rozpacz, ani bólu. To był bunt. Miałem wtedy trzynaście lat i jeszcze niewiele pojmowałem. Być może właśnie z tego powodu moja matka zabrała mnie przed Uniwersytet na demonstrację, bym cokolwiek zrozumiał. Powtarzała wtedy:

– Patrz, patrz, patrz.

Po chwili milicja przegoniła nas w stronę Nowego Świata. Okazało się, że w tym samym tłumie demonstrantów była Bieta. Miała wtedy dwadzieścia sześć lat.

A może było tak:

– Patrz, patrz, patrz – powtarza moja matka.

Po drugiej stronie ulicy tajniacy biją studentów. Po chwili milicja rusza szarżą w naszą stronę. Moja matka chwyta mnie za dłoń.

– Uciekamy! Już!

Przystaję. Widzę przez ułamek chwili zielonooką dziewczynę w kozaczkach i włóczkowej pilotce. To jest błysk czasu. Matka ciągnie mnie za rękę. Uciekamy w stronę Nowego Świata. Film się urywa.

Wezwali ją do Pałacu Mostowskich na przesłuchanie. Ona miała zielone oczy, to wiemy, ale tego dnia więcej było w nich gniewu niż zieleni. On patrzył wodnistym spojrzeniem. Był chudy i miał pociągłą twarz. Niemym gestem kazał usiąść na krześle. Przez zakratowane okno wdzierało się zimne słońce. Bieta usiadła, ale nie od razu, żeby sobie nie myślał, że machnięciem dłoni będzie jej rozkazywał. Na biurku leżała teczka. Zwyczajna tekturowa teczka, taka, jakiej używała do gromadzenia notatek potrzebnych na kolokwium. Ale zawartość tej leżącej na biurku nie była dokumentacją niezbędną do egzaminu z biomedycznych podstaw rozwoju i wychowania czy psychologii rozwojowej. To była teczka osobowa. Trzeba było zdać inny egzamin.

– Bussold Elżbieta. – Nie wiadomo, czy esbek stwierdził, czy zadał pytanie.

Bieta nie odpowiedziała. On wodził zimnym spojrzeniem po zawartości teczki. I dalej ciągnął bezbarwnym tonem:

– Pani jest Żydówką – wciąż nie wiadomo, czy to było pytanie, czy stwierdzenie.

– A co to ma do rzeczy, jestem o coś oskarżona? – pytanie Biety było dobitne i konkretne.

Słońce w zakratowanym oknie świeciło zimną barwą. Chłodna smużka oświetliła ramiona mężczyzny i Biecie zachciało się śmiać, bo marynarka esbeka była obsypana łupieżem jak śniegiem albo pyłkami ze szklanej kuli.

– Kiedy pani chce wyjechać? – tym razem nie było to stwierdzenie.

– Niby dokąd?

– Tam.

– Czyli gdzie?

– Tam, gdzie jest pani miejsce.

– Co to niby za miejsce?

Już Biecie nie chciało się śmiać. Wodnistooki poruszył ustami, jakby walczył ze słowem, które z trudem musiał wyłuskać:

– Izrael.

Bieta wstała z krzesła.

– Proszę usiąść. Nie skończyłem.

– Ale ja skończyłam.

Spojrzenie tamtego zrobiło się jeszcze bardziej przezroczyście.

– Siadać.

Bieta nachyliła się nad blatem biurka, na którym leżała tekturowa teczka.

– Nikt nie będzie mi rozkazywał, czy mam usiąść, czy nie. Czy mam wyjechać z Polski, czy w niej zostać. Nikt. Jasne?

I Bieta wyszła z pokoju o zakratowanym oknie. Łupież leżał na ramionach mężczyzny, słońce świeciło na zimno, teczka osobowa spoczywała w chudych dłoniach esbeka. Bieta szła długim korytarzem, nic nie widziała, nic nie słyszała, nie rozległ się żaden krzyk, nie rozległo się echo żadnych kroków za plecami dziewczyny. Nikt jej nie zatrzymał przy wyjściu z Pałacu Mostowskich. Słońce świeciło ciągle zimną barwą. Po drugiej stronie ulicy Nowotki, przy Ogrodzie Krasińskich widniała niewidzialna brama, przez którą kiedyś przewieziono w ceglach skrzynkę z niemowlęciem.

Tak, był dla niej jak ojciec: dobry, mądry, gotowy do pomocy, pociechy i porady. A nastał czas szary, straszny i brudny, więc pociecha i rada były jak łyk czystej wody. Pociągi z Dworca Gdańskiego wywoziły przyjaciół poety na zawsze. Królowa nie dała się wyrzucić ze swojego królestwa, ale inni nie mieli wyboru. Zabrano im życie, dorobek, skasowano miłość do kraju, w którym się urodzili, wyrwano kawałek duszy, chciano zatkać usta, by w ojczystym języku mówili jak najmniej, jak najciszej, a najlepiej, żeby nic nie mówili. Tak, był dla niej jak ojciec, lecz chciał także być jak mężczyzna. Jesienne słońce świeciło coraz bardziej zimną barwą, liście żółkły i usychały coraz bardziej, w kawiarni Związku Literatów robiło się coraz bardziej pusto, coraz gęściej i smutniej robiło się na peronie Dworca Gdańskiego. Dworca kolejowego położonego o kilkaset metrów od Umschlagplatzu, skąd wyprawiano mieszkańców getta na śmierć, gdzie zastrzelono ojca Biety. Poeta siedział przy stoliku, wściekły, zbuntowany, gotów rozetrzeć na proch władzę, która wyrzucała z Polski jego żydowskich przyjaciół. Ale kiedy zjawiała

się ona, zielonooka, poeta uśmiechał się i kolejny raz kreślił na serwetce dwie mistyczne liczby: „24-42”. Wreszcie powiedział, że ją kocha. Kocha najbardziej na świecie. Miał dłużej milczeć?

*...Milczę.*

*Szept by mógł twą suknię spłoszyć z ciebie,  
w którą klon cię bezustannie przyobleka.*

*I leżałabyś pod klonem:*

*naga rzeka<sup>[98]</sup>.*

– Jerzy?

– Słucham.

– Jestem w ciąży.

Cisza.

– Będę miała córeczkę. Wiem o tym. Czuję. To jest dziewczynka.

– To będzie też moja córeczka. Weźmiemy ślub.

## 50.

Ale najpierw poeta musiał poprosić przyszłą teściową o rękę królowny. Ogromny bukiet róż.

– Proszę pana, ale nie wiem, czy pan zdaje sobie sprawę, że Bietka nic nie umie.

– Nie szkodzi.

– Kto będzie wam gotował?

– Ja.

– Kto będzie sprzątał?

– Ja.

– A kto będzie prasować?

– Ja.

– A kto będzie zajmował się dzieckiem?

– Ja.

Oczywiście poeta nie będzie gotował, sprzątał, prasował i zajmował się dzieckiem. Bo nie będzie umiał. Poeta umiał jedynie pięknie pisać.

Ślub odbył się w Urzędzie Stanu Cywilnego w Józefowie. Brukowana uliczka nosiła wówczas imię i nazwisko komunisty Ludwika

Waryńskiego, opodal stał sklep ochrzczony przez mieszkańców nazwą „Prądnica”. Szwarc, mydło i powidło. Obok – widzę – niewielki warzywniak i bazar, gdzie handluje się prosto z furmanek. Otwieram szerzej oczy i dostrzegam nowożeńców. Poeta Jerzy Ficowski i jego wybranka w szafirowej garsonce, w widocznej ciąży. To drugi ślub poety. Owocem poprzedniego małżeństwa są dwie córki. Czy królewna jest przerażona, tym co ma się za chwilę wydarzyć? Chyba tak. Rozglądam się, chcę dostrzec panią Bussoldową. Nie widzę jej. Nie umiem jej wypatrzyć, czy też pani Stanisławy nie ma na ślubie, bo jest już ciężko chora?

Bieta spędza długie godziny przy umierającej. Układam w głowie słowa rozmowy matki i córki, by odtworzyć ostatnie wyznania choćby w strzępkach, ale nie znajduję żadnej frazy, moja wyobraźnia jest ułomna. Wycofuję się za zmrożone okno i tylko przez szybę zamalowaną srebrnymi wzorami śledzę, jak zielonooka przysiadła na krześle obok łóżka. Ciepłe światło nocnej lampki głaszcze bladą twarz, która z dnia na dzień przemienia się w śmiertelną maskę. Pojawia się i Jerzy, coś szepcze do ucha dziewczyny, Bieta z początku przytakuje, ale po chwili kręci głową. Ujmuje wiotką dłoń chorej w swoje ciepłe palce. Za oknem mroźnie, ale wytrzymam kłujący ziąb. Chcę śledzić przez szybę zielonooką. Widzę teraz, jak się krząta, usilnie, nerwowo, niecierpliwie. Nadchodzą święta Bożego Narodzenia, bez wątpienia ostatnie święta w życiu warszawskiej akuszerki. Bieta stroi choinkę, stawia drzewko na fortepianie, w zasięgu wzroku matki. Ale kobieta już nic nie widzi. Wyczesuję myśli dziewczyny:

Żeby nic się nie zmieniło. Żeby było jak zawsze. Żeby czas się zatrzymał.

Ale czas nie staje w miejscu. Jest 27 grudnia roku 1968, dzień po świętach, Bieta nazywa ten dzień „trzecim dniem świąt”. Piątek, wschód słońca o siódmej czterdzieści pięć, zachód o piętnastej dwadzieścia dziewięć. Pada śnieg i jest tak mroźno, że wzory na szybie w oknie przykrywają widok wnętrza domu przy ulicy Słonecznej 23. Nie widzę już twarzy pani Stanisławy Bussoldowej, mimo że przyklejam spojrzenie do oszronionej szyby jak do szklanej kuli.

Została pochowana na Bródnowskim cmentarzu obok swojego drugiego męża, „tatusia” Biety, który zmarł dwa lata przed urodzeniem córki. Kiedy było już po wszystkim, Jerzy ujął żonę pod rękę, powiedział:

– Musisz...

Lecz Bieta nie dała mężowi dokończyć zdania.

– Jerzy. Kochanie. Nie mogę musieć. Mogę chcieć.

Wstrzymała oddech i dotknęła dłonią brzucha. Dziecko się poruszyło, a Biecie wydało się, że usłyszała stłumiony krzyk. Lecz nie wiedziała, czy to głos córki, czy matki. Matki? Której matki? A może obie – ta z rowu w Poniatowej i ta ze Słonecznej w Michalinie – coś chciały powiedzieć, dać jakiś znak. Wtedy królowa odwróciła zielone spojrzenie w stronę poety i odrzekła, zgadując intencje męża:

– Dobrze. Masz rację. Musimy gdzieś wyjechać.

Wyjechali do Obór. Dwadzieścia kilometrów od Warszawy. Dom Pracy Twórczej usytuowany w siedemnastowiecznym pałacu. Mekka literatów. Miejsce, gdzie się urodziło wiele powieści i wierszy. Gdzie się poczęło dużo przyjaźni. Gdzie się pogrzebało sporo znajomości. A teraz pod pochyłym dachem przykrytym kołderką śniegu, prócz wirujących w powietrzu natchnień, goreją polityczne spory. Co dalej będzie z Polską, skoro wypędzono z niej kwiat inteligencji? Co będzie, skoro na kulturę nałożono kaganiec? Wszystko wokół zaczyna śmierdzieć skrytym i jawnym antysemityzmem. Niewiele trzeba było rozjarzyć iskier, by w ludziach rozpałił się piekielny ogień. Wylało się najgorsze szambo i śmierdzi hańbą. Jerzy ma złe sny. Buntownicza natura burzy się, krew pieni się w żyłach. Bietę nachodzą niezakrzepłe żale po odejściu matki, śni się kobieta w kapeluszu bez twarzy. A mieli odpocząć od smutków po śmierci mamy Bussoldowej. Żałobę trzeba przecierpieć i nie da się tego zrobić w kilka tygodni. Jak źle pasuje czerń do bieli pokrywającej pałacowy ogród. Jak nie rymują się z nadzieją łzy po stracie.

Bieta leży na przepastnym niczym ocean łożku, nie chce wsłuchiwać się w polityczne spory, półszepoty i podejrzenia, kto jest donosicielem, kto się sprzeniewierzył, a kto jest zwyczajnym skurwysynem. Królowa woli rozmawiać ze swoim wielkim brzuchem.

– Halo. Jesteś tam? Jesteś, to dobrze. To ja, twoja mama. Słyszysz mnie? Odpowiedz, czy mnie dobrze słyszysz. Nazywam się Bieta. To skrót od Elżbiety. Właściwie, to nazywam się Elżunia. Tak jest napisane na pewnej srebrnej łyżeczce. Wiesz, kiedyś ci ją pokażę. A może ci ją dam. Tak, dostaniesz ją, ale chyba po mojej śmierci, bo to taka moja największa pamiątka. Talizman. Wiesz co to talizman? Nie wiesz. Kiedyś

ci to wyjaśnię. Nie, nie po mojej śmierci dowiesz się, co to talizman. Obiecuję, że będę żyła długo. Bardzo długo. Będziemy razem żyły długo i szczęśliwe, córeczko. Jak ty właściwie masz na imię? Ania? Bardzo ładnie. Aniu? Słyszysz mnie? Słyszysz, to dobrze. Na czym to ja skończyłam? A, że będziemy żyły długo i szczęśliwe. Już nie mogę się doczekać, kiedy do mnie przyjdiesz. Opowiem ci, jak ja przyszłam na ten świat. Jaki jest ten świat? Trochę dobry, a trochę niedobry. Ale ja uczynię wszystko, żeby był dla ciebie najlepszy. Będiesz szczęśliwa, Aniu. Jesteś moim największym szczęściem, całym światem. Słyszysz? To ja, twoja mama. Bieta. Elżunia.

Jerzy wraca do pokoju. Jest rozogniony. Chce coś powiedzieć o kłótni, jaka rozpętała się przy stoliku, ale widzi, że żona gładzi dłonią swój wielki brzuch i poeta wrzuca swą skargę do kosza niepamięci. Za chwilę usiądzie przy biurku i będzie kontynuował jedno z dwudziestu ośmiu opowiadań, których zbiór zwie się *Czekanie na sen psa*. Jerzy uważniej patrzy na żonę leżącą na wielkim łóżku i nagle zdaje sobie sprawę, iż rzeczywistość składa się nie tylko z politycznej burzy, że nie tylko ważne są imponderabilia, etyczne argumenty, moralne osądy. Ważny jest ten błysk chwili, jak to wrażenie: łóżko niczym cichy ocean, a na nim ukochana kobieta płynąca okrętem z wielkim jak żagiel brzuchem. Kradnę myśl poety, staram się ją ubrać we własne litery:

Ta efemeryczna chwila, powoływana przeze mnie do istnienia weryfikuje każde moje przypuszczenie, a każdy domysł o niej, niczemu nie jest w stanie zaprzeczyć.

Jerzy całuje Bietę, królowa robi kapryśną minkę. Poeta zasiada do pisania, lecz nie może się skupić. Patrzy na mroźną aurę za oknem rozsnutą śnieżną bielą. Mówi:

– Ciekawe, czy jakby puścić mydlaną bańkę na mróz, to by zamarzła i rozbiłaby się o ziemię z brzękiem.

– A to ciekawe – zainteresowała się królowa. – Chcę to zobaczyć.

Teraz cały pałac szuka słomki. Trzeba ją wydłubać z jakiegoś siennika. Łatwiej o mydlaną wodę. Poeta otwiera okno i puszcza bańki w śnieżną przestrzeń. Frunę za nimi, a żadna mydłana kulka nie zamarza i nie pada na ziemię z brzękiem. Anna urodzi się 16 marca 1969 roku. Po kilku miesiącach jej oczy będą zielone.



## 51.

Życie rodzinne okazało się niełatwe. Poeta i królowa rozlokowali się z córeczką u siostry Jerzego na warszawskim Mokotowie. W Michalinie nie było warunków. Tam piec kaflowy – tu centralne ogrzewanie, tam wychodek na podwórku – tu wygodna toaleta, tam kuchnia węglowa – tu gazowa. Lecz tam, na Słonecznej, był spokój, a tu, na Belgijskiej, cała rodzina na głowie. Teściowa podaje poecie śniadanie do łóżka, a potem przypatruje się zimnym wzrokiem, jak synowa w dygocie nie umie porządnie przewinąć płaczącego niemowlęcia.

– Byłam zrozpaczona – mówi dziś Bieta. – Nigdy wcześniej nie miałam do czynienia z jakimkolwiek dzieckiem. Byłam przecież rozpieszczoną królową na ziarnku grochu.

Zatem zielonooka królowa pochylała się nad wiklinowym koszykiem, w którym gaworzyła Ania i czyniła to, co umiała czynić najlepiej: kochała.

Pewnego wrześnieowego dnia, zaraz po hejnale z wieży Mariackiej i wiadomościach „Z kraju i ze świata”, w radiu rozległo się codzienne odczytywanie listy PCK. Wymieniano nazwiska zaginionych ludzi podczas wojny:

Poszukuje się Zbyszewskiego Jana urodzonego... Poszukuje się Gotwanda Izaaka urodzonego... Poszukuje się Tomskiej Jadwigi urodzonej...

I nagle przed oczami Biety stanęła dziewczyna bez twarzy. Po chwili z mlecznej mgły wychynęły piękne zielone oczy. A potem dziewczyna bez twarzy zniknęła w krwistym pyłe. Bieta pochylała się nad półroczną córeczką leżącą w wiklinowym koszyku. Gdzieś z niedalekiej nicości ozwały się szepty. Kolejno, męskie, a potem złamane głosy kobiet:

– Musisz ją oddać.

– Tak będzie najlepiej.

– Inaczej nie przeżyje.

– Nie martw się, dziecko trafi w dobre ręce.

Męski i kobiecy lament scalał się w chór.

– Włożymy ją do drewnianej skrzynki. Włożymy srebrną łyżeczkę z imieniem i datą urodzin. Nie bój się. Wszystko będzie dobrze. Oddaj ją.

Bieta chwyciła Anię pod ramiona. Ogarnęła ciasno, zamknęła przed światem w uścisku i wybiegła z mieszkania. Na ulicy Belgijskiej było złotawo i ciepło.

Dłużej w rodzinnej ciasnocie nie dało się wytrzymać. Czuli się jak bezdomni. Jerzy złożył w Związku Literatów podanie. W tamtych czasach pisarzom przydzielano mieszkania ze specjalnej, rządowej puli. Ale oczywiście nie wszystkim. Tym grzecznym. Ficowski był niegreczny. Uważano go za enfant terrible, ale ktoś tam na ministerialnej górze za wszelką cenę chciał czupurnego poetę ugłaskać. Zbliżał się walny zjazd Związku Literatów. Wiadomo było, że zgromadzenie zamieni się w polityczne tsunami, a jednym z opozycyjnych przewodników będzie Jerzy. Wiadomym też było, że Ficowski tuła się z żoną i małym dzieckiem. Jakiś idiota wpadł na pomysł, że przydziałem na mieszkanie da się wymusić milczenie poety podczas walnego zebrania. Oczywiście ów kretyn pomylił się z kretelem. Ficowski wygłosił przemówienie po swoim, to znaczy pięścią w oczy komunistycznej antysemitkiej władzy. Ale czynownicy nie dali za wygraną. Któregoś dnia w słuchawce rozległ się przymilny głos:

- Panie Jerzy, jest obszerne, wygodne mieszkanie do wzięcia.
- Słucham.
- Piękne, na Krakowskim Przedmieściu, przy placu Zamkowym.
- Doprawdy?
- Pod numerem osiemdziesiąt siedem na osiemdziesiąt dziewięć.
- W budynku Związku Literatów?
- Właśnie.

Poeta zacisnął dłoń na ebonitowej słuchawce.

- A kto poprzednio tam mieszkał?

Cisza w słuchawce.

- Kto? - powtarza poeta naciskiem.
- No... Arnold Słucki.

Dłoń poety zaciska się jeszcze mocniej na słuchawce. Gdyby to było gardło tego po drugiej stronie kabla, to rozmówca już by nie żył.

- A gdzie się podział Arnold Słucki?
- No... wyjechał.
- Dokąd?
- No... do Izraela.

Dłoń poety rozluźnia się. Przecież wiadomo, że przyjaciela wykopano z Polski, bo jest Żydem.

– To ja panu coś powiem.

– Słucham, panie Ficowski.

– Ja nie przyjmuję mienia żydowskiego.

Poeta trzaska słuchawką o widełki tak mocno, że czarny ebonit o mało nie rozpada się w drzazgi. Poeta i jego żona patrzą na córkę leżącą w wiklinowym koszyku.

– To co teraz, kochany? Jak będziemy żyć? – pyta Bieta.

– Jak to jak? Jak Cyganie.

Czy ja aby już nie wspomniałem, że poeta prześladowany przez stalinowską bezpiekę ukrywał się w taborze cygańskim? Chyba wspominałem, ale dodam jeszcze parę słów, bo miłość do Romów to są także kamienie milowe życia Biety. Otóż od wczesnych lat młodości Ficowski był zafascynowany cygańską kulturą, o której mówił, że jest to „coś, co jest tuż-tuż i ukrywa prawdę o sobie”. Po wojnie jako jedyny dokumentował zagładę Romów. Cyganie odwdzięczyli się szczerze – ofiarowali Jerzemu swój wóz. Podczas ukrywania się w taborze przed UB poznał romską poetkę i powiadomił świat o istnieniu jej genialnych wierszy. To było objawienie literackie. Niestety Cyganie rzucili na Papuszę klątwę za rzekomą zdradę ich tajemnic. Poetka zapadła na zdrowiu, ale nie odrzuciła dozgonnej przyjaźni z Jerzym. Poetę targały wyrzuty sumienia, ubrał je w słowa, pisząc *Demony cudzego strachu*. Romskie wróżby są treścią książki *Pod berłem króla pikowego*. Romskie inspiracje rozpalają liczne wiersze, bajki, piosenki oraz epokowe dzieło *Cyganie na polskich drogach*. Zaczytałem tę książkę na amen. Poeta nie musiał Biety зараżać ową miłością do Romów. Już jako harcerka załatwiła bezdomnym cygańskim rodzinom komunalne mieszkania. Potem jeździła z zespołem Terno jako konferansjerka, udawała zręcznie Cygankę. Pisała cygańskie piosenki i bajki dla dzieci. Do dziś zielonooka przyjaźni się z Masio Sylwestrem Kwiekiem, cygańskim księciem. A z piękną romską pieśniarką Randią dzwonią do siebie kilka razy dziennie.

Ktoś kiedyś spyta poetę:

– To jak z panem jest, panie Ficowski? Pan jest Żydem czy Cyganem?

– Jak biją Żydów, to Żydem. Jak biją Cyganów, to Cyganem – odrzekł poeta, który nie był ani Cyganem, ani Żydem.

## 52.

Miłość do Romów stanie się rodzinną pasją. Twórczość Ficowskiego poświęcona Cyganom jest rzeczą znaną i oczywistą. Bieta napisze wiele tekstów do cygańskich piosenek, będzie badać życie cygańskich dzieci, jej pionierska praca magisterska *Dzieci cygańskie w szkole i środowisku rodzinnym* uzyska na Uniwersytecie ogromne uznanie.

Gorzej z miłością do spraw życiowych i codziennych. Widzę królową, jak roni łzy nad jedwabną sukienką, której zielonooka nie potrafi uprasować. Poeta niestety nie dotrzymał słowa, które dał świętej pamięci teściowej, nie zajął się prasowaniem, praniem, gotowaniem i sprzątaniami. Był zbyt zajęty czynnościami wyższymi, to jest pisaniem i grą w „pigwę” w klubie Związku Literatów. Już śpieszę wyjaśnić, na czym polega owa zręcznościowa igraszka. Otóż kładzie się pudełko zapalek na brzegu stolika, na płask, wystającą poza brzeg część pudełka podbija się wskazującym palcem. Wygrywa ten, komu rzucone pudełko upadnie na blat najmniejszym bokiem. Nie, nie, nie – proszę sobie nie myśleć, że „pigwa” absorbowowała całą pojemność intelektu zacnych reprezentantów polskiej kultury. To było tylko interludium zażartych dyskusji o literaturze i polityce. W kraju robi się duszno. Cenzura dławi coraz mocniej, władza coraz bardziej odkleja się od społeczeństwa. Zapalniczki spadające na blat stolika u Literatów mogą być tanią metaforą ognia, który lada moment rozpali się podczas robotniczych protestów na Wybrzeżu. Władza będzie strzelać do tłumu. Bunt poety też rozognia się. A królowa coraz bardziej uczy się pospolitości. Coraz sprawniej wychodzi jej pranie pieluch w wannie, prasowanie tetry, karmienie i kołysanie dziecka do snu. Choć jeszcze będą się zdarzały ewenementy.

– Kochanie, co to jest? – pyta poeta, spoglądając na bezkształtną plastikową masę.

– Zabawki. Grzechotki i takie tam.

– Co się z nimi stało?

– Wygotowałam je.

– Ach tak...

W ten sposób powstał u państwa Ficowskich „Kącik osobliwości” autorstwa Biety Ficowskiej, zielonookiej królowny, dziewczyny o złotym sercu i dwóch lewych rączkach. Ale królowna uczyła się codzienności wytrwale i znojnie. Czyniła postępy bez bólu. Miłości do Ani nie musiała się uczyć. Córeczka jest dla Biety całym życiem. Cóż, trzy miłości – do dziecka, do męża i do Romów – mamy jako tako odhaczone. Ale jest jeszcze jedna miłość. Ukryta gdzieś na dnie jaźni, zasypiana popiołem, miłość, którą należało odczytać. Poeta wiedział, że bez tego rozkodowania zielonooka nie będzie w pełni dziewczyną wyrosłą z sześciomiesięcznej dziewczynki, ukrytej w drewnianej skrzynce, że bez wyzwolenia z tej „trumienki zbawionej ukradkiem z tamtego świata na ten świat”<sup>[99]</sup> nie będzie tym, kim jest: świadomą, ocalałą z Zagłady Żydówką.

To było rok wcześniej. Widzę poetę, jak stoi w kuchni przy szafce ze sztucami. Trzyma w dłoni srebrną łyżeczkę. Tę wyprowadzoną razem z Bietą z getta.

– Bietko?

– Tak, kochany?

Królowna kładzie głowę na ramieniu męża. Królowna chce poczuć bezpieczne ciepło ciała poety. Patrzą razem na srebrną łyżeczkę. Na zewnątrz ciasnego mieszkania przy ulicy Żywnego 16 otula Warszawę jesienny wieczór, zbliża się dziesiąty dzień tiszri<sup>[100]</sup> i wkrótce ulice Nowolipie, gdzie urodziła się Elżunia, Gęsią, gdzie mieścił się bank jej ojca, Zamenhofa, Anielewicza, Wałową, gdzie rośnie mirabelka, ulicę Marcelego Nowotki, która jest w części spadkobierczynią Nalewek, tam gdzie spędziłem moje dzieciństwo, Leszno, gdzie szyła niemieckie mundury mama Elżuni, Stawki, gdzie mieszkam teraz, gdzie na Umschlagplatzu został zastrzelony ojciec Elżuni, Ogród Krasińskich, obok którego znajdowała się brama na aryjską stronę, cały Muranów, całą dzielnicę północną, która była „obszarem zagrożonym tyfusem”, całą tę połąć tragicznego miasta ktoś przykryje niewidzialnym płaszczem Prześlągania.

– Pójdziemy do synagogi – mówi spokojnie poeta.

– Tak? Dlaczego?

– Bo zbliża się najważniejsze święto żydowskie. Jom Kippur<sup>[101]</sup>.

– A co to za święto?

- Święto Pojednania i Przebłagania.
- Czyli?
- Czyli, że w Sądny Dzień Żydzi modlą się do Boga o przebaczenie wszystkich grzechów.
- Ale ja nie jestem Żydówką.
- Poeta posyła żonie ciepły uśmiech.
- Twój rodzice byli Żydami. Twój dziadkowie byli Żydami, twoi pradziadkowie byli...
- Dobrze, pójdziemy do synagogi – zgadza się żona.
- Zapalimy świece za spokój ich dusz. Za Pojednanie.

Poszli do synagogi Nożyków przy Twardej 6. Zapalili świece, by Pan Bóg dał się przebłagać prośbom Heni, Joska, Arona i Sary. Bieta słuchała słów „a wszelka dusza, która by nie udręczała się dnia tego, wytrąconą niechaj będzie z ludu swojego”<sup>[102]</sup> i zielonooka nie rozumiała treści, bo słowa były modlone w języku, który był dla niej obcy, bo język ten był w niej przez los zatarty. Bieta modliła się po swojemu, próbowała przebłagać Pana Boga i prosić o Pojednanie dla tych, których twarze nigdy nie widziała i nigdy już nie zobaczy. Ale śledziła z babińca nabożeństwo niczym teatralny spektakl, bo kaprys przeznaczenia sprawił, że żydowski obrządek nie był jej światem, choć był uniwersum jej przodków. Poeta także modlił się po swojemu za Henię, za Joska, za Arona i za Sarę, za wszystkich Żydów zamienionych w popiół. Nie wiadomo, czy Pan Bóg wysłuchał słów poety i jego żony. Być może wtedy, w synagodze, w ów pokutny dzień, Ficowski postanowił odczytać twarze bliskich swojej żony, uratowanej z Zagłady. Poeta zapragnął odszukać resztkę rodziny Biety.

Zdarzyła się rzecz odrobinę komiczna. Po mieście rozeszła się plotka, że Żyd Ficowski przyprowadził młodą gojkę do synagogi na Twardej. A potem nie było już śmiesznie. W 1968 roku władze zamknęły synagogę na długie lata. Nie wiadomo, czy Pan Bóg został za progiem razem ze swoimi wiernymi.

Jerzy Ficowski rozesłał po świecie wici w poszukiwaniu rodziny Biety. W kwerendę, która przypominała tkanie pajęczynowej sieci, włączyli się ludzie dobrej woli i bezinteresownego wysiłku. Wśród nich Rachela Auerbach, wybitna żydowska pisarka, członkini zespołu Oneg Szabat, grupy śmiałków, którzy pod przewodnictwem Emanuela Ringelbluma archiwizowali życie Żydów w warszawskim getcie. Zarzucona przez poetę

się przyniosła rezultaty. Po dłuższym czasie wypełnionym na zmianę z wątpliwością i nadzieją, po mrówczej pracy Ficowskiego odnaleźli się kuzyni, częśćka rodziny ocalała z rzezi: Lili i Marian Rochman, którzy zmienili nazwisko na amerykańską modłę – Richman. Patrząc na czarno-białą fotografię, którą Bieta trzyma w swoim archiwum. Jest rok 1946. Oto mała Elżbietka w białym futerku, obok stoi piękna, elegancka kobieta. To Lili, żona Mariana. Jak to się stało, że odnalazła i odwiedziła swoją ocalałą kuzynkę w Michalinie? Państwo Rochmanowie wyjechali z Polski do Sztokholmu, a potem do USA, gdzie osiedlili się w New Jersey i zostali bogatymi Richmanami. Jak to się stało, że zapomnieli o ocalałej z Zagłady kuzynce? A może nie zapomnieli, może nie chcieli zmieniać losu dziewczynki, która odnalazła swoje przeznaczenie pod skrzydłami polskiej matki? Odpowiedzi na to pytanie padną w dalszej części niniejszej opowieści. Prócz Mariana i Lili jest jeszcze kilka kontaktów do ocalałych z Zagłady kuzynów. Ale – jak się okaże – najbliższym sercu Biety będzie Max Rochman vel Richman, brat dziadka Arona. Paradoks losu chce, iż to jest ów człowiek, który według ostatniego życzenia Arona miał zostać opiekunem ocalonej Elżbietki. Aron przed śmiercią przekazał niani potajemnie karteluszek z adresem brata, który żył w Ameryce. Mama Bussoldowa trzymała ową kartkę w torebce, torebka została skradziona w podmiejskiej kolejce. W ten sposób koraliki losu nanizały się nie po myśli Arona. A może było inaczej? Może torebka z cenną kartką nie została skradziona? Może mama Bussoldowa?... Cóż, dziś już nie dojdziemy prawdy, którą zna tylko Pan Bóg, grający naszym przeznaczeniem w kości.

– Patrz, Bieto.

Bieta patrzy: na biurku poety urosła hałda dokumentów, listów, korespondencji, fotografii – niestety, nie ma wśród nich ani jednego zdjęcia rodziców dziewczyny – jest i przedwojenna książka telefoniczna z podkreślonymi abonentami o nazwiskach „Rochman”, „Koper”, „Koppel”. Bieta docenia tytaniczny wysiłek męża, ale nie widzę w jej oczach błysku ani nadmiernej wdzięczności, ani nadmiernego zaciekawienia. Owszem, dostrzegam beztróskę. Poczekaj, królowo, poczekaj...

– Co to za list?

Bieta ujmuje palcami cienką lotniczą kopertę z granatowo-czerwonobiałą obwódką. Teraz w oczach błyszczy ciekawość. Nadawcą jest Max

Richman, adres: Miami Beach FL, Hotel Nautilus, 1825 Collins Avenue. USA. Max Richman zawiadamia, że przyjeżdża do Polski.

W tym miejscu ustępuję Bicie. Zamieniamy się miejscami. Umieszczam fragment zapisu „dziadka” Maksa. Nic tu po mnie.

## 53.

*Rodzina Rochmanów pochodziła z miasteczka Sobienie-Jeziory w pobliżu Góry Kalwarii. Ojciec był karczmarzem w „Sobinie” (jak mówi dziadek) i na każde święto jeździł – bo chasyd – do rabina, cadyka, do Grodziska. To był rebe Eli-Mejlach. To ojciec nadał mi jego imię. Taka już była tradycja rodzinna: wszyscy Rochmanowie, dziadowie, pradziadowie jeździli do cadyka do Grodziska. W Sobinie był chejder<sup>[103]</sup>, posyłali mnie tam, ale nie na długo. Tam był mełamed<sup>[104]</sup>, Boże broń, zapytać go, co to znaczy, co jest takie czy takie słowo. Nie pytaj się, zaraz bił po łapach, po głowie, po tyłku. Ale rodzice nie zapłacili za chejder i wyrzucili mnie ze szkółki. Pomocnik mełameda to był belfer i on mi kazał, żebym chodził po domach i zbierał dzieci do chejderu. Chodziłem, a byłem głodny, że nie wiem, więc to tu, to tam ukradłem przy okazji kawałek chleba. Kraść musiałem się jak najszybciej nauczyć. Byłem parszywy pies w rodzinie, nikt mnie nie kochał, przepędzali, nawet matka. Modliłem się o kawałek chleba. (...) Moja matka miała ze 12 albo 14 dzieci, wcześniej umierały, ale ośmioro przeżyło małe lata i wyżyło. Matka była z Łowicza, nazywała się Rejla z domu Dąb, jak umarła jakoś w 1940-41 roku – miała 82 lata. Mój ojciec Meier Chil Rochman był chyba trochę starszy, na pewno, ale umarł na suchoty jak miał 31 lat. Pamiętam, jak mnie małego nosił na rękach w karczmie swojej, a jakiś pijak rzucił szklanką i kawałek szkła zranił mnie między oczami, aż krew poszła – mam jeszcze znak po tym. Matka miała 14 lat, jak się pobrali pod chupą z ojcem. A państwo młodzi pierwszy raz zobaczyli się pod chupą, takim ślubnym baldachimem. Bywało, jak opowiadali, i tak, że chłopak chciał tę młodszą, to mu ją schowali, a podrzucili starszą. I dopiero po zaślubinach podniósł jej welon i zobaczył, że to nie ta, co miała być! Z rodzeństwa najstarszy był Jankiel – potem mieszkał na Szmule Mile (Wąskiej Miłej ulicy*



w Warszawie), potem szła Pera Małka, z męża Pass – miała sklepik na Puławskiej, po wyniesieniu się z Sobinie, dalej szedł Szaja – też z Mokotowa, potem – Jachet, też najpierw na Mokotowie, a potem w Argentynie, gdzie umarła w 1962 roku, miała chyba ze 74 lata, za nią – Rywke, też zmarła w Argentynie, jeszcze przed wojną w 1936 roku, dalej Aron Pejsach, rodzony dziadek Elżbiety, po nim – ja, dzisiaj Max, a naprawdę Mejłech i najmłodszy Chamałte (Chaim Alter). Dwie siostry zmarły w Argentynie, całą resztę zamordowali Niemcy... Jak ojciec umarł, matka wyszła drugi raz za mąż – też za chasyda – Icek Baum się nazywał i bardzo mnie nie lubił, matce nie pozwolił być ze mną. Miał na Puławskiej pod 65 towary łokciowe, a w Falenicy las i cegielnię. Palił fajkę w długim, długim cybuchu – aż do ziemi. Chamałte był jeszcze malutki, to pozwolił matce, żeby z nią był. Inni byli już trochę samodzielni albo całkiem. Tylko ja – ni to, ni owo, więc mnie nie chciał wcale znać i musiałem pracować w Sobinie u piekarza. Rodzeństwo już było na swoim. Najstarszy Jankiel miał na Miłej pod 13 sklep spożywczy, Pera Małka – też, tylko na Puławskiej pod 12 albo pod 14, Jachet miała spożywczy na Mokotowie, a później w Argentynie – tytoniowy, Aron Pejsach, młodziutki jeszcze wtedy, robił już różne takie skórzane torebki u właściciela na Miłej 11, na drugim piętrze. Przychodziłem do niego głodny, pomagałem, on jeden dał mi herbaty i bajgełe rozłamał, i podzielił się ze mną. On jeden – i do dziś to pamiętam. Potem już miał garbarnię. Ja pracowałem w piekarni, mały chłopaczek byłem, już wszyscy poszli do Warszawy, tam się urządzili, a ja wciąż w Sobinie, spałem na piecu, jeść nie dawali. Raz, jak żona piekarza odeszła, wyciągnąłem z gorącego rosółu, co stał na ogniu, kawałek kurczaka. Ona wraca, ja kurczaka za koszulę. O! Jak mnie zaczęło parzyć, aż zaczęłem skakać, udawałem, że tańczę, nie wiedziała, co mi jest! Uciekałem od tego głodu – to do Warszawy do siostry, to do Jankiela, do matki do Falenicy. Ale każdy przyjął, zagonił do roboty: szorować, czyścić co – i precz. Matka też. Potem, jak mnie już tu nie było, z nikim nie korespondowałem, tylko trochę z matką i z Chamałte. On już potem był bogacz: miał fabrykę szkła, hutę na dwa tysiące robotników i wielką fabrykę wyrobów ze skóry. (...) Teraz ich wszystkich nie ma, w ogień ich wrzucili. Jak może być Bóg, jeżeli mogło się stać to wszystko? – Teraz w Ameryce, Maniek, syn Chamałte, umie zarobić. Jego wzięli z Arturkiem młodszym, prowadzili na pociąg do gazu na śmierć,

do Trebinki. To wujek zapłacił komu trzeba i Niemiec wyciągnął Mańka, miał też wyciągnąć Arturka, ale się omylił i wyciągnął jakiegoś tam innego. Więc Arturka pojechał na śmierć. A potem Maniek widział, jak prowadzą do wagonów ojca, Chaima Ałtera, matkę i jej rodziców, Kukiełków. To się tak skończyło, cały majątek też przepadł, wszystko, razem z życiem. (...) Teraz Maniek ma już odłożone ponad pół miliona dolarów, wybił się. O Elżbiecie nie mówił nic, ukrył, że ją malutką jeszcze widział w Polsce zaraz po wojnie. Tyle lat minęło, a ja nic nie wiedziałem.

Raz w końcu uciekłem od tego piekarza w Sobinie i powędrowałem piechotą daleko. Tam musiałem nocami pracować, o głodzie, modliłem się na jedną nutę: Panie Boże! Daj mi kawałek chleba! Poszedłem do samych Siedlec. Tu taki sam głód i takie same modlitwy. Ale były worki od mąki i ktoś je kupował. Więc brałem po trzy worki, owijałem się nimi i wynosiłem. Jeden człowiek brał ode mnie i płacił. Nakupiłem sobie za to kiełbasy i czekolady, jadłem sobie po cichu. Aż mnie raz pryncypał przytapał na tych workach. To się zaczęła trząść ze strachu, przepasany trzema workami po mące. – Zimno ci! – wrzasnął – Na dworze upał! Arojs!<sup>[105]</sup> I wygnał mnie. Przenocowałem blisko, na żydowskim cmentarzu, nawet się nie bałem wcale. Nikt mnie nie chciał, tułałem się jak pies bezdomny, a czasem zajrzałem do któregoś z braci albo do siostry i mogłem troszeczkę zostać, jeżeli byłem zaraz potrzebny do jakiejś roboty. Raz wszedłem do sklepu Pera Małke, a byłem w jakiejś marynarce, nie w kapocie. To mąż Małke zawołał – Arojs, szajgec!<sup>[106]</sup> W rodzinie mówili o tym zięciu, że ganew (złodziej) i żeby uważać, jak się u nich coś kupuje, bo oszukują na wadze. A on – też był chasyd. Mądry człowiek z głupią głową. Nie miałem dokąd iść, miałem dużą rodzinę, a nie miałem nikogo. Czasem chciałem iść do Łazienek, tam obok gubernator mieszkał, ale stróże mnie przepędzali, bo byłem rudy jak ogień, nosiłem pejsy, jarmużkę i długi chałat. Takim nie wolno było do Łazienek. Dość miałem wszystkiego.

Był rok 1910, miałem tyle lat, ile miałem, ale nie wiedziałem dokładnie. Może szesnaście? W piątek wieczór poszedłem na Puławską, do sklepu siostry, Pery Małke. Ona z mężem mieli dwoje dzieci, a za sklepem był malutki pokój do pilnowania towaru, a w nim łóżko. Miałem się zająć dziećmi, tak mi powiedzieli, bo on poszedł do bóżnicy, a ona do matki. A pieniądze schowali do siennika. To ja się zaczęłem

bawić z dziećmi w ślepą babkę. I wtedy wyjąłem pieniądze z siennika, dużo tego było, może utarg z tygodnia, albo i więcej, wszystko schowałem za koszulę, po kieszeniach. Dzieci poszły spać, a ja – na miasto, chciałem jechać na Szmule Mile, Miłą 13, gdzie mieszkał mój najstarszy brat i gdzie znałem jedną właścicielkę herbaciarni. Był piątek wieczór, więc tramwajem nie mogłem jechać ani niczym innym, choć miałem teraz pieniądze. Poszedłem piechotą – z Puławskiej na Miłą. Poprosiłem herbaciarkę, żeby mi dała nocleg i pochwaliłem się, że mam czym zapłacić. To ona: „Chociaż wiesz, ile masz?”. „Nie”. Nie wiedziałem. To ona mi powiedziała: „Chodź, pomogę ci liczyć”. Ja wyciągnąłem pieniądze, a ona liczyła. Co kilka monet odliczy, to jedną haps do ust, że zaraz gębę całą miała wypchaną. Ja ją o coś pytam, a ona: „M-m-m-m”. Niech jej będzie. Przespałem się tam, a rano pojechałem na dworzec kolejowy warszawsko-wiedeński. Patrzę, a tam siostra z mężem i policjantem! Więc się schowałem, zanim mnie zauważyli i uciekłem im z oczu. Potem wróciłem, idę do kasy i proszę o bilet. A kasjer pyta – dokąd. „Nie wiem”. „Może dać ci do Częstochowy?”. „Dobrze, do Częstochowy”. I pojechałem.

A w Częstochowie, jak zobaczyłem Żyda, to za nim idę. A on do bóżnicy, ja za nim. Tam usiadłem, zeszli się częstochowscy Żydzi i pytali, a co, a gdzie, a po co? Powiedziałem, że zbłądziłem i chcę wyjechać zagranicę. Za dwa ruble zapłaty przeprowadzili przez granicę pruską. Dochodzę do stacji, a tu widzę – kobieta Żydówka, smutna i dwoje dzieci. Dzieci płaczą. Pytam się tej Żydówki, dlaczego płaczą, a ona mówi, że ma jechać do Ameryki, tam jest jej mąż, miał przysłać jej list i pieniądze, a ona czeka i nic, a dzieci płaczą, bo głodne i nie ma za co kupić im chleba. Więc kupiłem im jedzenie i bilety dla nich do Ameryki, i dla siebie, i razem pojechaliśmy do Antwerpii. Stamtąd do Ameryki, okrętem.

Co to za podróżowanie było! Ludzi mrowie, tłok, kołysanie, ludzie chorują, wymiotują, a do jedzenia dają świńskie uszy! Potem, już na miejscu – kwarantanna, zanim przyjęli i wypuścili. Pokazał, że ma 25 dolarów i już mógł zostać. – Jak się nazywasz? – pytali. Rochman. Czy to nie Richman? I tak zostałem bogaczem (richman = bogacz). Odtąd jestem Max Richman, a potem nazwali mnie jeszcze Red Max – Czerwony Max, bo byłem taki rudy. Mąż tej kobiety zabrał mnie, razem ze swoją żoną i dziećmi, do siebie, do Nowego Jorku. Powiedział:

„Prześpij się, a jak wrócę z pracy, oddam ci dług”. I poszedł. A ja wyszedłem sobie na spacer, zobaczyć jak ten Nowy Jork wygląda. Schodziłem nogi, usiadłem na ławce i zasnąłem. Jak się obudziłem, zachciało mi się pić, sięgam do kieszeni – pusto, ktoś mnie okradł, nic nie zostawił. Dobrze jeszcze w tej biedzie, że ten Żyd oddał mi dług, te pieniądze, za które kupiłem jego żonie i dzieciom bilety do Ameryki. Dał pieniądze i powiada: „Teraz idź, poszukaj sobie jakieś pracy”.

Trafiłem do takiej dużej fabryki, do szwalni, więc mówię, że jestem krawiec, bo tam krawczyków potrzebowali. To ten Żyd daje mi igłę i napaśtek, a ja nie wiedziałem, co się z tym robi i do czego służy taki napaśtek. Oj, mówi ten Żyd, taki żółtodziób i już oszukuje. Skąd ty jesteś, pyta mnie. Z Warszawy. A rodzice? Mama z Łowicza. A jak się nazywała? Dąb Rejla. A on jak nie krzyknie: „Ty wiesz co? Ja ją znałem, ja jestem z Łowicza, ja się nawet miałem żenić z twoją mamą! To dopiero traf”. Zatrzymał mnie, żebym się przyuczył, żebym pracował. Próbowałem, ale patrzyłem na tych zgarbionych nad robotą krawców i pomyślałem sobie, że ja nie chcę się tak garbić. Ja bym chciał być taki, jak ci, co się nie garbią. I poszedłem z tej fabryki, powiedziałem to, co myślałem, a ten Żyd pożyczył mi na odchodne pięć dolarów.

Więc zacząłem kartofle sprzedawać na wózkach, od domu, do domu, na ulicach. Potem znów pomarańcze, a jeszcze potem sprzedawałem na wózek albo i bez – parasole. To już zacząłem z nimi jeździć po miasteczkach, po farmach. Wchodzę tu, tam, zachwalam, reklamuję, wtykam, aż sprzedam któryś. Raz na jednej farmie była kobieta i mówi, że nie potrzebuje żadnych parasoli. A ja nic, tylko zachwalam. Aż się wreszcie zdenerwowała i woła: „Idźże do diabła!”. A ja nic. To złapała garnek z wodą i chluzt na mnie, ale zdążyłem w ostatniej chwili otworzyć parasol i nic mi się nie stało. – Widzisz – mówię – że ty potrzebujesz takiego parasola. No i kupiła... Różnie było, ale ciężko. Jakiś czas ja zmywał naczynia i sztuce w lokalu na Broadwayu i mógł się tam najeść przynajmniej, nie byłem głodny. A kiedy pracowałem jakiś czas przy kamizelkach w zakładzie krawieckim, to niedaleko była fabryka, gdzie pracowały dziewczyny przy szyciu bluzek, bielizny. Zamykali je w środku w czasie pracy, żeby nie wykradały materiału i towaru. Ale raz wybuchł pożar, widziałem ten ogień. Szwaczki skakały przez okna z pięter, a suknie się na nich paliły! To była fabryka Triangle, więcej niż sto dziewcząt zginęło wtedy w tym pożarze w 1911, a potem

właściciel musiał zmienić nazwisko, tak było o tym głośno. Pamiętam, jak wychodziłem z mojej fabryki, a tu krzyk na ulicach, gazeciarze: *Tytanic zatonał! Straszna tragedia! Raz wkradłem się bez biletu do żydowskiego teatru. Złapali mnie, przypięli sztuczną brodę i kazali iść na scenę. A na scenie miałem być uczniem rebego. Było nas ośmiu uczniów z brodami. I tak na jeden dzień zostałem nawet artystą. W 1913 roku nastąpiły złe czasy, bieda na mnie, w Nowym Jorku byłem na ulicy wśród pijaków, w czarnej nędzy i jak Armia Zbawienia wydawała zupę, to raz jeden stanąłem po nią z garnuszkiem... Jak pierwszy raz byłem kelnerem w małej nowojorskiej restauracji, syn właściciela zaczął mnie uczyć czytać po angielsku, uczył alfabetu, rachowania, cyfr. Tak pamiętam, że to było moje pierwsze zajęcie, jeszcze przed krawieckim zakładem. Poduczałem się tego czytania na szyldach sklepowych, na gazetach. Nie pracowałem w tym lokalu długo, bo nie miałem, co jeść. Dojadałem z talerzy, co ludzie na nich zostawili, czasem chapnąłem kawałek chleba. Do obiadów klientom dawali wino, beczka pełna była w piwnicy. To właściciel wołał do mnie: „Mejłech! Leć do piwnicy, przynieś czerwonego czy jakiego tam wina”. A jak klient przebierał, że mu wino nie smakuje i żądał innego, to szef wołał: „Mejłech! Leć do piwnic i przynieś innego – takiego to i takiego – wina!”. I dodawał cicho: „Z tej samej beczki”. Raz napiłem się w piwnicy wina prosto z beczki. Upiłem się i nie mogłem odtąd patrzeć na wina. A właściciel na mnie. Bo wieczorami, po zamknięciu, dawali jeść wszystkim pracownikom, a mnie dali kość z odrobiną mięsa na niej. Ze złości ściągnąłem cały obrus ze stołu i wyrzucili mnie. (...) A i mieszkać gdzieś trzeba było. Ośmiu chłopaków gnieździło się w dwóch pokojach u starej Rywkele. Jak któryś z nich nie miał grosza, to mu drugi dawał, dzielili się, czym kto miał, nawet ubraniami się dzielili. To byli wszystko żydowscy emigranci, a dziewięćdziesiąt procent przyjechało tu właśnie z Polski, wszyscy krawczykowie. Jak ja byłem bez pracy, krążyłem po mieście. Raz stanąłem przed wystawą delikatesów i przyglądam się, stoję i stoję. Aż mnie właściciel zauważył i pyta: „Czego stoisz, zamiast wejść i kupić, co masz kupić”. To ja mu mówię, że nie mam pieniędzy, tylko sobie patrzę za darmo. – Chodź – mówi. – Dam ci jeść, a ty statki pozmywasz. Raz jeden tylko zmyłem, a on nakarmił mnie. Do dziś pamiętam jego nazwisko wypisane na szyldzie: Mr. Brags się nazywał. Były wtedy takie gospody – saloon – w Nowym Jorku. Zamawiało się*

piwo za 5 centów, przychodziłem, brałem piwo i bardzo dużo zagryzałem, aż się właściciel zdziwił: Płacisz 5 centów, a jesz za 5 dolarów!

Swoją późniejszą żonę Ewę – młodziutką Hawe Wasserman – poznałem w 1913 roku u znajomych. Była dopiero od dwóch dni w USA, przyjechała tu z Ciechaciew (z Sochaczewa) do swojego dziadka. Była bardzo ładna i od razu zakochałem się w niej. Ale ona nie chciała się we mnie zakochać, bo mówiła, że zostawiła swojego chłopca w Ciechaciew. Była dokładnie w moim wieku, o pięć dni ode mnie starsza. Nie wiedziałem, co robić, udawałem bogatego, mówiłem: „Na co ci ten biedny z Ciechaciew?”. Ale ona nie wierzyła ani trochę w moje bogactwo, widziała, że nie mam co jeść. Aż raz zaprowadziła mnie do swojego dziadka. A dziadek: „Po coś mi tu sprowadziła szajgeca<sup>[107]</sup>?”. Nie wierzył, że jestem Żydem. Więc mówię mu: „Posłuchaj, dziadku, jak ja czytam po hebrajsku”. Trochę czytać umiałem – byłem jeden rok w chederze w Sobinie – ale nie rozumiałem nic a nic. Mówię mu: „Siadaj koło mnie i słuchaj, umiem lepiej niż ty”. Dziadek nie był uczony, był zwykłym nosiwodą. Jak posłuchał, to od razu przyznał, że jestem Żyd i zaczął się dopytywać, wybadywać: kto ty jesteś? Jaką masz rodzinę w Warszawie? Ojciec Ewy też był bardzo biedny, mieszkał w Ciechaciew i był tragarzem, nosił mąkę do młyna. Dałem im adres mojej matki w Warszawie i Chamałte, a Ewa napisała zaraz do Ciechaciew, żeby pojechali do Warszawy i zobaczyli na własne oczy, jaka jest rodzina Maksa, to znaczy moja. I tak się też stało. Rodzice Ewy poszli w Warszawie do Chamałte. Ester, jego żona, przyjęła ich nadzwyczajnie. I powiedziała: „Gdyby Max był w Warszawie, to by się nigdy wasza córka nie mogła z nim ożenić”. Zobaczyli, co to za dom był, jaki zamożny. Jak się Ewa dowiedziała o wszystkim – i jej nowojorski dziadek – to się zgodzili na ślub z synem takiej zamożnej rodziny. Dał mi jej dziadek 50 dolarów posagu Ewy, ale powiedział, że dopiero potem dostanę, na wesele nie, bo mi nie wierzył. A ja jemu nie wierzyłem, czułem, że się wykręci z tej obietnicy. Więc żeby nie było niezgody i niepewności, dostał te pieniądze jeden pobożny Żyd i miał oddać mnie, jak się z Ewą ożenię. Gance chasene – całe wesele – to było sześć śledzi, trzy chleby i antałek piwa. Wynajęliśmy mieszkanie za 13 dolarów miesięcznie. Chciałem się pokazać, poszedłem tam pierwszy, żeby naszykować wszystko, ale się zmęczyłem i zasnąłem. Panna młoda

*i goście, dwanaście osób było, pukali, stukali, nie mogli się dostać do środka. Aż wyjęli szybę w oknie i dopiero przez okno panna młoda mogła wejść do mieszkania. Ten ślub był w sobotę wieczór, a w poniedziałek ona mówi do mnie: „Wstawaj, idź do pracy”. Co miałem mówić, przyznawać się, że żadnej pracy nie mam? Wyszedłem, nie miałem gdzie iść, chodziłem cały dzień, wieczorem wróciłem. Żona się pyta: „Pracowałeś?”. Szukałem... I z czego będziemy płacić komorne? To były dwa pokoje. Znaleźliśmy trzech lokatorów, żeby zebrać grosz na komorne nasze. Każdy płacił 4 dolary, to razem było 12, jednego dolara brakowało. Więc Ewa gotowała dla nich – i już było na opłacenie mieszkania, i było co zjeść, starczyło i dla nas. Tam było gazowe światło, automat, wrzucało się 25 centów, żeby się świeciło. Zrobiłem takie małe światelko ledwo, ledwo świeciło, ale starczało na dłużej. Przez pierwsze sześć miesięcy było bardzo ciężko, bez pracy. Po pół roku zacząłem pracować, szyć te kamizelki u krawca za 6 dolarów tygodniowo. Wtedy w Ameryce mięso kosztowało, ale podroby były bardzo tanie. Jak się u rzeźnika kupiło kawałek mięsa, to dokładał podróbki za darmo. Ewa kupowała malutki kawałeczek i brała płucka. I jakoś musiało wystarczyć.*

*Ewa miała w New Jersey kuzynkę, Idę Lipszyc. Mąż tej kuzynki miał fabryczkę rolet i zaprosił mnie do pracy u siebie, do pomocy, a że byłem już krawiec, więc kroilem i to nie było takie trudne. Aż któregoś wieczora przyszła mi do głowy idea, że przecież mógłbym to robić sam, że dałbym radę. Wprawdzie nie miałem pieniędzy, ale co z tego, przecież jesteś Richman – powiedziałem sobie. Poszedłem do Lipszyca prosić, żeby mi pożyczył 300 dolarów. Ida Lipszyc powiedziała: „Max, ty masz dobrą głowę, tobie się powie”. To jej właśnie zawdzięczam najpierwszą pomoc, to ona dodała mi otuchy, że się odważyłem zrobić początek. Najpierw nie wiedziałem, dokąd iść, od czego zacząć. Ale był tam taki klub, gdzie raz na tydzień zbierali się znajomi, poszedłem tam, a tam gadają o wszystkim. Ktoś mówi, że pomarańcze są niezdrowe do jedzenia, powiada, że sok pomarańczowy – niedobry. Aż tu jeden się odzywa: „Jesteś wielki kłamca, ja jestem z Orange i jestem Żyd, tam są bardzo porządni Żydzi”. Bo to było nieporozumienie na słowa, co są podobne, a co innego znaczą: Orange Jew (Żyd z Orange) i „orange juice” (sok pomarańczowy). Zainteresowałem się tym Orange, kupiłem książeczkę ze spisem miejscowości i znalazłem w niej miasteczko Orange.*

*Stało się: tam właśnie założyłem firmę wyrobu stor do okien – Orange Window Schade Company. (Teraz to prowadzi moja córka, Charlotte). To był rok 1918. Kupiłem jedną maszynę, jedną belę materiału i jedne nożyczki, ale klientów nie miałem wcale. Więc następnego dnia chodziłem od domu do domu, pukałem do drzwi: „Czy potrzebne wam role?”. I dostałem pierwszy obstalunek, tylko, że nie bardzo wiedziałem, jak szyć. Pierwsza roleta wyszła mi trochę krzywo i zupełnie nie wiedziałem, jak by ją powiesić. Wróciłem, żeby jakoś przerobić, poprawić, ale jak przerobiłem, to było jeszcze gorzej. A klientka mówi: „Ty wcale nie wiesz, jak się to robi...”. A ja, co? Wiem, że nie wiem, jak się to robi. Zlitowała się nade mną i pokazała mi, jak to trzeba robić, nauczyła mnie. I potem miałem tyle zamówień, tyle roboty, że po ośmiu miesiącach byłem jedyny na całą okolicę i kupiłem sobie automobil na raty. Ewa bardzo mi pomagała, nie dałbym rady bez niej, pracowaliśmy szesnaście – osiemnaście godzin dziennie. Jednego dnia przyszedł do mojej firmy ktoś i zaproponował mi interes: zrobienie takiego wiszącego krzeselka z płótna dla dziecka – do samochodu. Zgodziłem się, a on zakupił dwadzieścia maszyn, dał ogłoszenie do gazety, że zatrudni dwadzieścia szwaczek, płacił komorne, światło i płacił robotnikom, a do mojej fabryki wstawił swoje maszyny. Powiedział mi: „Kupił nie kupił – rób”. Zrobiłem trzy tysiące sztuk... Więc zrobiłem trzy tysiące sztuk tych wiszących krzeselczek. Zaczęło się sprzedawać, ale jakoś nie szło, na pewno za drogo wykalkulowane: 10 dolarów sztuka. Ten inwestor obniżył cenę na 5 dolarów, zostawił w jednym sklepie takie krzeselko na próbę i reklamę. Przyszedł ktoś, obejrzał, powiedział, że robi takie same, ale dużo taniej. I tak się stało. Przedsiębiorca machnął na to ręką, zrezygnował ze wszystkiego, zostawił mi maszyny, a materiały i towar zbutwiały w piwnicy, i trzeba było je wyrzucić. A ten bogacz wziął się do czego innego: wybudował dom, żeby odnajmować mieszkania lokatorom, ale nikt się nie zgłaszał, nie było chętnych. Więc właściciel wszedł na najwyższe piętro tego swojego domu, wyskoczył przez okno i zabił się. Potem wdowa po nim przyszła do mnie po jakąś pomoc, bo jej mąż wszystko utopił w nieudanych interesach. Myślała, że zostawił u mnie jakiś majątek, ale nic nie było. A ja myślałem, że za rok będę milionerem...*

*W grudniu 1918 urodziła nam się córeczka, Charlotte, w Nowym Jorku. Jak poszliśmy do Orange, miała pół roku. W miasteczku i okolicy Żydów*



było mało, a ja chciałem poznać się z okolicznymi Żydami. Była tam taka organizacja – Zjednoczenie Żydów Orange City Lodge. Przedstawili mnie – mieszka tam i tam, ma geszeft z roletami. Powiedziałem, że chciałbym brać czynny udział w tej organizacji, a oni zgodzili się. Przez trzy miesiące byłem Chairman – zajmowałem się werbowaniem nowych członków do tego związku i przez jeden rok podwoiłem ich liczbę, a na drugi rok zrobili mnie prezydentem organizacji na całą Amerykę – O.C.L of Birth Abraham. Potem zostałem członkiem Arbajter Ferband i Bnei Birth – organizacji ogólnoswiatowej. Przeniosłem się do West Orange. Tam było dziewięć rodzin żydowskich. Charlotte miała 13 lat. Z kim się będzie bawić? Więc zaprosiłem do siebie wszystkich, całe dziewięć rodzin i założyliśmy Jewish Centre of West Orange. Sprowadziłem wszystkich do domu i stworzyłem klub młodzieży przy tej nowej organizacji, żeby córka miała dla siebie towarzystwo. Trzeba było zacząć zajęcia. Zapytałem, czy wiedzą coś o historii Żydów. Nie. Niewiele wiedzieli, ja też. Więc przyjąłem nauczyciela, który zaczął uczyć żydowskiej historii. Po kilku latach Żydów było już więcej, jeszcze kilkanaście, może dwanaście rodzin sprowadziło się do West Orange. Nowi przybysze pytali, czy jest synagoga, nie, nie ma, ja nie jestem religijny, ale jeśli chcecie, to się zrobi. Na to trzeba było dużo pieniędzy. Więc już jest organizacja West Orange, powstała całkiem oficjalnie. (...) Nie było miejsca na zebrania, więc ja przeznaczyłem na to swój dom. Do suteryny przychodzili co tydzień na zebrania i narady, była kawa i ciasteczka. Pięć lat trzeba było czekać, aż się zaczęło budować synagogę. Kupiliśmy stary dom za 9 tysięcy dolarów i przerobiliśmy go na synagogę, dwa lata trwała ta przebudowa. Mnie wybrali na pierwszego prezydenta synagogi i byłem nim przez dziesięć lat. Potrzebna była szkoła dla młodych. Ciężko było zbierać po 8 dolarów. Płaciłem ze swoich pieniędzy za lekcje wszystkich dzieci – 5 dolarów za dzień. Jak już synagoga była gotowa (...) potrzebny był rebe. Przemówiłem do wszystkich i każdy dał, ile mógł. I sprowadziliśmy rabina, był Jom Kippur i ludzie jeszcze dali. (...) Uczą się historii żydowskiej i hebrajskiego. A ja jestem honorowym prezydentem – dożywotnio. Teraz postawili tam nową synagogę za pół miliona dolarów, jest ośmiu nauczycieli i dwóch rabinów, na utrzymanie synagogi idzie 150 tysięcy dolarów rocznie. Połowa jest za jednym rabinem, połowa za drugim. To jest konserwatywna synagoga...

*Ale to wszystko było już później, kiedy dobrze już szły moje interesy. Ale wcześniej, córka miała wtedy pięć lat, pojechałem do Polski, raz jeden, ostatni do tej pory. Był 1924 rok, moja siostra „Regina” (Rywke) z Argentyny zapłaciła za tę moją podróż, dała mi pieniędzy, ja nie miałem wtedy, a ona była już zamożna. Byłem w Warszawie, w teatrze grali „Żydówkę”, mieszkalem u rodziny na Puławskiej 61. Tam wtedy była twoja mama, Elżbieto. Była mała, w wieku Charlotte, przychodziła do mnie rano, mówiła: „Dzień dobry, wujku” i całowała mnie w rękę. Odwiedziłem wtedy rodzinę Ewy w Ciechaciew. Ale najpierw oddałem mojej siostrze dług: te pieniądze, co jej czternaście lat temu wyciągnąłem z siennika... Wybaczyli mi to... Więc pojechałem do Ciechaciew. Ojciec Ewy był bardzo biednym tragarzem, nosił mąkę do młyna. W jednej izbie mieszkali rodzice żony, jej ciotka, brat Ewy z żoną i dzieckiem... W tym pokoju brat Ewy reperował obuwie – był szewcem. Ja tam przyszedłem, wielki gość. Chcieli mnie ugościć, przenocować. Utrząsnęli siennik, położyli na podłodze, ze ścian lała się wilgoć, a podłogi właściwie nie było – tylko ubita ziemia. Nie mogłem odejść, choć się przeląknąłem, wstyd mi było, musiałem zostać na noc, przyjmując gościnę. Leżałem w nocy na tym sienniku, pod ścianą i tylko ręką osłaniałem twarz przed ściekającą wodą. Nad ranem – trzeba iść do bóżnicy, a ja nie miałem tałesu. Pożyczyłem go od teścia, jak się pomodliłem, oddałem mu. Chcieli zrobić jakieś śniadanie, w pokoju stał żelazny piecyk z rurą, dmuchali w ogień, żeby się rozpałił. Jak teściowa dmuchnęła, popiołu naleciało do garnka z mlekiem. (...) Nazajutrz pojechałem do Chamałte, do Warszawy. Jego żona nakupiła dużo jedzenia – był właśnie Purim – ryby, wódkę, masło, sery – całą paczkę z tego zrobiła i mówi: „Mejłech, pojedziemy do rodziny twojej żony”. Pojechaliliśmy, przyjęliśmy ich ładnie, zjedli, wrócili do domu. Nie mogłem spokojnie patrzeć na życie moich teściów. Wynająłem im mieszkanie w nowym domu w Ciechaciew, z wodą i światłem. (...) A potem, w Ameryce, Ewa powiedziała, że chce żebyśmy sprowadził ich rodziców, to ich sprowadziłem. Zamieszkali z nami, ale po trzech latach ojciec Ewy zmarł na raka. Matka została, wtedy kupiłem nowy dom w West Orange i tam zamieszkała na początku z nami, ale kiedyś poznała jakiegoś człowieka, biedaka i znikła, wzięła ślub cywilny, a myśmy nic a nic nie wiedzieli, co się z nią stało. Dopiero syn tego jej nowego męża zawiadomił nas o wszystkim, o ożenku swego ojca z matką Ewy. Byli*

biedni, mieszkali w dzielnicy czarnych i po jakichś sześciu miesiącach umarła. Ale to późniejsze sprawy...

Jak byłem u rodziców Ewy w Ciechaciew, przyszedł raz do mieszkania jeden bardzo biedny człowiek i opowiadał: „Ja jestem bałaguta<sup>[108]</sup>, mój jedyny koń mi zdechł. Nie mam z czego żyć”. Jak mu na to powiedziałem, że nie mam pieniędzy, żeby mu pomóc, rozpłakał się. Zobaczyłem, że płacze i nie mogłem patrzeć – dałem mu 10 dolarów, żeby sobie kupił nowego konia. Innym razem weszła do izby kobieta, przyniosła fotografie swoich dzieci mieszkających w Ameryce i pytała, czy ich znam. Ameryka duża, bardzo duża, ale jak zobaczyłem, z jaką nadzieją w oczach czeka na odpowiedź, to skłamałem, że dobrze ich znam, że codziennie ich widzę, razem chodzimy do synagogi... Jak ona się ucieszyła i – zanim się spostrzegłem – pocałowała mnie w rękę. Czasem i skłamać trzeba, żeby komuś nie zrobić przykrości...

W Warszawie, pamiętam, miałem taką przygodę jedną z woźnicą, co powoził saniami: był śnieg i dorożkarze mieli sanie. Jechałem na Pragę i woźnica umówił się o cenę jazdy, a na miejscu zażądał więcej. Powiedziałem, że nie dam więcej, tylko tyle, ile było umówione. To on: „To Żyd, parszywy!”. Więc go złapałem za łeb i zrzuciłem z sań i walnąłem w zęby, aż krew poszła – bo byłem porywczy. Pamiętam jeszcze te jego słowa: „O laboga!”. Zbiegowisko, ludzie się wygrażają mi, czuję, że może być źle. Więc odzywam się po angielsku, policja, pokazuję amerykański paszport, zanotowali sobie, poszli. Potem mnie wzywa konsultant USA i pyta mnie konsul, co ja wyrabiam. A ja: „A co by pan konsul zrobił, gdyby panu powiedział kto, że pan jest parszywy Amerykanin?”...

Wróciłem do Ameryki, to było moje ostatnie widzenie z rodziną, której już nigdy potem nie zobaczyłem i nie zobaczę. Dobrze się im w Polsce powodziło, później pewno jeszcze lepiej, tylko u rodziny Ewy była taka bieda, że przypominała mi moje biedne lata i czas w Ameryce, kiedy to Ewa podkradała swojemu dziadkowi chałki, żeby mi przynieść coś do zjedzenia.

Opowiadałem o synagodze w West Orange i szkółce dla młodzieży. Z tego klubu młodzież pożeniła się często między sobą. Moja Charlotte też tam poznała męża, była bardzo ładną dziewczyną – teraz jest ładną kobietą. W 1936 – wyjechałem do Argentyny, do siostry, a przedtem przyjąłem do swojej fabryczki chłopca z tej samej dzielnicy – i Charlotte

zakochała się w tym chłopcu. Po sześciu miesiącach wróciłem, chłopak pracował, nazywał się Jack. W 1938 – znów pojechałem do Argentyny, adwokat mnie wezwał, sprawy spadkowe po zmarłej siostrze. I właśnie wtedy Charlotte zakochała się w Jacku. Nie chcieliśmy, żeby za niego wychodziła: był bardzo brzydki, miał jedno oko wybite i zarabiał 15 dolarów tygodniowo. Kiedy wróciłem z Argentyny, Ewa powiedziała mi o wszystkim. Cóрка piękna, a on... To prawda, był bardzo inteligentny, interesował się literaturą, muzyką, astronomią. Zawołałem Charlotte, rozmawiałem z nią dwie godziny, ale nie pomogło, powiedziała, że go kocha i wyjdzie za niego. Wiedziałem, że nic nie wskóram, pobłogostałem i pobrali się: ona miała 19 lat, a on chyba 27. Urządziliśmy wielkie wesele na dwieście osób, Jackowi dałem podwyżkę na 25 dolarów tygodniowo i mieszkanie w moim domu. Jacek lubił rządzić, a był nieporządkny: rozebrał się, cisnął byle gdzie ubranie i ciągle: „Charlotte, zrób to, zrób tamo...”. Ewa zaczęła się w to mieszać, Charlotte nie była szczęśliwa, choć urodziła syna, co było dla niej wielką radością. Ze względu na matkę postanowili się wyprowadzić, wynajęli sobie mieszkanie. Pytałem, jak wyżyją w ten sposób? Odpowiadała – jakoś wyżyjemy. Zawsze chyłkiem, pod stołem, dawałem jej pieniądze. Teraz prowadzi interes i też daje. Kiedy wybuchła wojna, jednookiego do wojska nie wzięli, ale do Defense, do fabryki. Tam zarabiał więcej. Kupili sobie w Verona (New Jersey) nowy dom. Potem Charlotte urodziła drugie dziecko. Pierwszy był David, druga – córeczka – Ronny, a jeszcze później – Karin.

Po wojnie Jack wrócił do mnie, do fabryki i zarabiał teraz 75 dolarów tygodniowo. Pomyślałem, żeby zacząć coś innego produkować, nie tylko rolety. Zacząłem robić markizy do sklepów – dobrze poszło, wpadły nowe zyski. Robiłem żaluzje. (...) Już Marian był, przyjechał ocalony z tego, co się w Polsce działo, nie opowiedział mi ani słowa o Elżbiecie, że jest, że żyje, szukał obstalunków, werbował klientów i powiększył mi tę fabrykę. Otrzymałem wielkie zamówienie od firmy Hoffman-La Roche – z centralą w Europie i przedstawicielstwami na całym świecie. Nawiązał się kontakt na zamówienia z różnych krajów. Ta wielka firma farmaceutyczna miała największe biuro w Szwajcarii, a w New Jersey – największe zakłady produkcji lekarstw. Doszło w mojej firmie do pół miliona obrotu rocznie. W tym czasie Jack zachorował, miał 68 lat, pił. Po sześciu latach zmarł. Ja byłem na Florydzie, kiedy Jack zachorował,

*cała fabryka bez głowy podupadła, straciło się wszystko, został tylko mały geszefcik. Poprowadzili to tak Charlotte z synem. Ogłoszono bankructwo. Maniek poszedł swoją drogą, odebrał mi klientelę i sam zaczął robić wielki majątek. Przyjechałem z Florydy – było 60 tysięcy długów. Ale pomogłem jakoś i Dawid kupił z powrotem fabrykę, była licytacja. (...) W 1971 sprzedałem dom w Orange i przeniostem się całkiem do Miami. Ewa umarła przed rokiem, w tańcu. Usiadła na chwilę, żeby odpocząć przed następnym tańcem i już jej nie było.*

Na tym kończy się opowieść Maksa Rochmana vel Richmana, stryjecznego dziadka Biety, odnalezionej w labiryncie losu.

A ja pytam Wielkiego Scenarzystę:

Tak pisałeś jej historię? Chciałeś, żeby karteczka z jego adresem w Ameryce gdzieś się zagubiła? Dlaczego? Tak sobie wymyśliłeś fabułę, by Maniek i jego żona Lili nie przekazali Maksowi wiadomości, że Elżbieta ocalała z Zagłady? Dlaczego? Miałeś zamysł, by zielonooka została w Polsce, pod opieką mamy Bussoldowej? Dlaczego? Nie została Amerykanką wrośniętą w żydowską rodzinę Richmanów? Dlaczego? Puk, puk! Jesteś tam? A, prawda, nie ma Cię. Umierasz ciągle w rowie pod Poniatową, albo grasz z losem w kości, gdzieś na odległej galaktyce...

W kopercie, którą mi Bieta wręczyła, prócz spisanych przez nią wspomnień dziadka Maksa, jest jeszcze jedna kartka, z tytułem: „Sobienie-Jeziory”. To miejscowość, z której pochodziła rodzina Rochmanów.

*Miasteczko położone 40 km na południe od Warszawy. Pusty, duży rynek. Na nim przystanek autobusowy i kilka drzew. Targ w każdy wtorek. Po stronie zachodniej kościół. Po stronie południowej kilka ocalałych, przedwojennych domów ze skromnymi sklepikami, w których sprzedaje się „mydło i powidło”. Po stronie północnej nowy budynek straży pożarnej w miejscu synagogi zburzonej w czasie wojny.*

*W 1921 miasteczko liczyło 1888 mieszkańców, w tym 1439 Żydów, którzy stanowili 76,2% ogółu.*

*27 września 1942 roku z miejscowego getta Niemcy wyprowadzili na drogę wszystkich Żydów, od dziecka po starca, i popędzili na stację w Pilawie, skąd w bydłowych wagonach zostali wywiezieni do ośrodka zagłady w Treblince.*

*Nagrobkami z żydowskiego cmentarza Niemcy wkrótce wybrukowali podwórze niemieckiego aresztu, urządzonego w budynku kościelnej plebanii.*

*29 września 2003 roku w 61. rocznicę zagłady Żydów Sobieni rabin Warszawy M. Schudrich w obecności miejscowego miasteczka odmówił na cmentarzu żydowskim modlitwę za zmarłych.*

*Rabin M. Schudrich podziękował też mieszkańcom Sobieni za bezinteresowne wydobycie z podwórek miasteczka latem tego roku, ponad 400 fragmentów żydowskich nagrobków i złożenie ich na pustym i zniszczonym cmentarzu.*

*Wszyscy zgromadzeni uznali, że odzyskane macewy muszą stać się pomnikiem pamięci Żydów Sobieni.*

*Pamięć o nich nie może zniknąć<sup>[109]</sup>.*

Pytam: „pamięć nie może zniknąć?”...

## 54.

Czerwiec roku 1976 kojarzy mi się ze smakiem i zapachem truskawek z cukrem. Cukier miał zdrożeć o dziewięćdziesiąt procent. Drakońskie podwyżki objęły mięso, drób, masło i nabiał. Ponoć bunt rodzi się w żołądku, potem wędruje do serca, z serca do zaciśniętych pięści, a z pięści do głowy. I tak się stało tamtego roku. Czerwiec 1976 roku kojarzy mi się nie tylko z truskawkami, ale z tranzystorowym radiem marki Laura, dzięki któremu płynąłem „Parostatkiem w piękny rejs”<sup>[110]</sup>, kręcąc gałką, by dostroić się przez trzaski do fal Radia Wolna Europa. W Radomiu i Ursusie robotnicy zerwali się do buntu przeciw komunistycznej władzy. Pamiętam, że oplułem telewizor, nie mogąc znieść nachalnej propagandy. Rebeliantów nazwano „warchołami” i urządzono im „ścieżki zdrowia”, masakrowano milicyjnymi pałkami, a potem spreparowano sądowe procesy. Smak i zapach truskawek przestał być słodki.

Pół roku wcześniej Jerzy Ficowski podpisał *Memoriał 59* w proteście przeciwko proponowanym przez PZPR zmianom w Konstytucji PRL, które miały zalegalizować przewodnią rolę partii komunistycznej

i wieczną przyjaźń ze Związkiem Radzieckim. Represje wymierzone w zbuntowanych robotników z Radomia i Ursusa skutkowały powstaniem Komitetu Obrony Robotników. Do KOR-u przystąpili opozycyjni intelektualiści, którzy – jak brzmiała nazwa komitetu – wzięli w obronę spotwarzanych rebeliantów. Ficowski do swojej frazy „kiedy biją Żydów, jestem Żydem, kiedy biją Cyganów, jestem Cyganem”, mógłby dodać: „kiedy biją robotników, jestem robotnikiem”. Poeta nie miał politycznego charakteru, ale miał wrośniętą w serce niezgodę na niesprawiedliwość. Dlatego z czasem przystąpi do KOR-u, będzie redagował i sygnował wszystkie opozycyjne dokumenty. Będzie opresyjnej władzy grał na nosie i boleśnie deptał jej po piętach. Lecz Jerzy Ficowski jeszcze oficjalnie nie wstępuje do opozycyjnej grupy. Niemniej podpisanie *Memoriału 59* sprawiło, iż Ficowski zostanie wciągnięty na czarną listę, zakazano druku utworów poety...

– Jerzy?

– Tak?

Zielonooka wpatruje się w błyszczącą łyżeczkę. Odkłada srebro do szuflady. Ani nawet iskra refleksji nie zaświtała w głowie Biety, że można by ją sprzedać, o, byłaby to w tej chwili bardzo tania literacka elipsa. Po prostu – Elżbieta przed chwilą wyjęła z dłoni córki łyżeczkę, bo ten talizman jest ciągle nie tylko bezcennym skarbem, ale i przedmiotem codziennego użytku. Lecz pobłysk srebra wywołał gorzką refleksję, która objawiła się słowami:

– Może sprzedamy wóz?

– Jaki wóz? – poeta budzi się z zamyślenia.

– Jak to jaki? Cygański. Mamy jeszcze jakiś?

Faktycznie, oprócz kolorowego wozu, ofiarowanego przez Romów, państwo Ficowscy nie mają nic, co by jeździło na kółkach.

– Nigdy nie sprzedamy kolorowego wozu – odpowiada twardym tonem poeta.

Bieta domyka wolnym ruchem szufladę. Blask srebrnej łyżeczki zamienia się w grząski cień.

– Jerzy?

– Tak?

– Nie mamy pieniędzy.

Nie mają pieniędzy. Ficowski jest objęty zakazem druku. Owszem, spływają jeszcze chude tantiemy za *Wozy kolorowe*, gigantyczny

przebój, który obfitował sutymi dochodami. Honorarium pozwoliło dokończyć budowę letniskowego domku. Ale *Wozy...* mają osiem lat, nie przynoszą już kokosów. Piosenki, do których Bieta napisała teksty, są piękne, lecz nie dorównują popularnością hitowi, śpiewanemu przez Marylę Rodowicz. Są jeszcze tantiemy z bajek dla dzieci, stworzonych przez Elżbietę, ale to ledwo, ledwo starcza na życie. Można napisać rozstrzelonym drukiem: F i c o w s k i m b i e d a z a j r z a ł a w o c z y. Taka jest cena za bunt. Zresztą i wcześniej nie byli krezusami. Poeta nie dba o rozgłos, obce są mu autoreklama i autopromocja. Nie udziela wywiadów, nie ma parcia na szkło. Mówi: „Nie jestem małpką w cyrku. Jeśli ktoś chce mnie czytać – niech czyta. Jak nie chce – niech nie czyta”

– Sprzedajmy Cyganówkę – rzecze poeta.

Cyganówka to jest właśnie ów skromny letniskowy domek. Bieta patrzy ze spokojem na wąskie usta męża i czeka, aż Jerzy sam sobie zaprzeczy. Ale poeta nie zaprzecza sam sobie, milczy. Więc zielonooka spogląda na siedmioletnią Anię i nagle przychodzi jej do głowy pewien genialny pomysł.

– Nie. Nie sprzedamy Cyganówki.

– Dlaczego?

Poeta zostaje zatopiony w miękkim cieniu i niepewności. My też na razie pozostajemy w niedopowiedzeniu.

Bieta mówi o sobie, że jest „dzieckiem szczęścia”. No bo jakim innym dzieckiem może być zielonooka ocalona, ukryta w drewnianej skrzyneczce, śpiąca po luminalu królowna? Zatem szykujmy się na cud: oto z Ameryki przyjeżdża bogaty wujek. A właściwie stryjeczny dziadek. Nazywa się Max Richman. Wiemy, że „Richman” to po angielsku „bogacz”, prawda? Już pana Maksa poznaliśmy wcześniej. I tak oto Bieta staje twarzą w twarz ze swoim niespełnionym przeznaczeniem. Gdyby karteczka z amerykańskim adresem pana Richmana nie zapodziała się gdzieś w czasie i przestrzeni, dziadek Max byłby opiekunem Elżbietki, a Bieta nie byłaby Bieta, tylko amerykańską Elisabeth, nie mówiłaby po polsku, a po angielsku. Może byłaby żoną właściciela kopalni diamentów. A może – kto wie – sprzedawałaby na Bronksie śledzie w żydowskim sklepiku. Jednak być może milczący Wielki Scenarzysta chciał inaczej. Zielonooka królowna została w Polsce, nie mówi po angielsku, jest żoną zbuntowanego poety i matką ślicznej Ani.



Zatrzymajmy obraz, zamroźmy go w stopklatce: ona – urodziwa trzydziestoparoletnia kobieta, uratowana z Zagłady, bo tak sobie zażyczył Pan Bóg. On – siedemdziesięcioparoletni mężczyzna o pomarszczonej twarzy i dobrych, mądrych oczach, którego nie dotknęła tragedia unicestwienia. Oto resztki rodziny Rochmanów, oto resztki narodu skazanego na śmierć. Żywi. Patrzą na siebie. Łączą ich więzy krwi, pokrewna wstęga DNA. Czy oprócz helisy i tajemnicy ocalenia, jest jeszcze coś, co ich ze sobą splata? Bieta wpatruje się w twarz mężczyzny i próbuje odczytać z niej rysy rodzonej matki. Jeszcze nie wie, czy ten przybysz zza oceanu jest jej bliski. Jeszcze zielonooka tkwi w bezruchu. Ale nie przedłużajmy chwili. Bieta otwiera ramiona i mówi cicho:

– Dziadku.

Od tego momentu pan Max Richman staje się dla Biety odnalezionym, prawdziwie bliskim. Dziadkiem. A kiedy Elżbieta pokaże Maksowi srebrną łyżeczkę, kiedy stary mężczyzna dotknie jej połyску i wygrawerowanego imienia „Elżunia”, dziewczyna o roziskrzonych zielonych oczach, staje się dla niego prawdziwie bliską. Wnuczką.

Amerykańskie nazwisko dziadka i wszelkie jego konotacje z metaforą bogactwa to humbug. Owszem, kiedyś Richman był bogaczem, ale teraz jest już subtelnym bankrutem. Nie przyjechał do Polski z workiem dolarów. Nie, pan Max Richman nie klepie biedy i nie mieszka pod mostem. Ocalała fortunka pozwala wieść dostatnie życie na Florydzie. Upadły fabrykant zamieszkał dożywotnio w Miami, w całkiem ekskluzywnym hotelu Nautilus. Pan Max Richman nie jest zatem bogatym dziadkiem z Ameryki, ale stać go na wystawny prezent ofiarowany wnuczce. Będzie to kupiony w Peweksie fiat 125p. Niebieski, bo taki oryginalny kolor wybrała sobie Bieta. Jerzy będzie zasiadał w aucie tam, gdzie miejsce poety bez prawa jazdy – obok kierowcy. Trzeba tu nadmienić, iż królowa jest do dziś świetnym szoferem, a rzeczony fiat 125p stanie się ważnym elementem życia Ficowskiej. Lecz nie uprzedzamy faktów. Może tylko, na sam początek, oddajmy głos początkującej automobilistce...

*Zdarzyła mi się – jako początkującej automobilistce – niemiła przygoda. Przy parkowaniu samochodu w pobliżu domu w Warszawie przednie koła wyskoczyły mi poza prowizoryczny krawężnik i zaryły się głęboko w glinie, która oblega całe nasze osiedle mieszkaniowe. Wsiadłam i patrzyłam na fiata z bezradnym wyrzutem. Nagle zza pnia samotnego jesionu, obitego w czasie budowy deskami, wychynął facet w skórzanej kurtce i ciemnych okularach. Atletycznie rozkołysanym krokiem zbliżył się:*

*– Jak śliwka w kompot? – zaproponował określenie sytuacji, po czym samorzutnie przystąpił do udzielania pomocy. Znosił kawałki desek, podkładał, poprosił mnie o lewarek, podnosił wóz to z tyłu, to z przodu, tłukł kawałki betonu i układał z nich rodzaj fundamentu pod koła. Pot spływał mu po twarzy. W niczym nie umiałam mu pomóc, asystowałam w milczeniu. W końcu poprosił o kluczyk, wsiadł, włączył tylny bieg i wycofał samochód z opresji.*

*– Dziękuję bardzo, zmęczył się pan... Jak mogłabym się panu odwdzińczyć?*

*– Dziękuję, nie trzeba, cieszę się, że mogłem pięknej pani pomóc. Ja tu służbowo – powiedział i ociągając się, odszedł. Po paru krokach odwrócił się jeszcze i dodał:*

*– A na drugi raz niech pani uważa, bo może mnie przypadkiem tutaj nie być<sup>[111]</sup>.*

Ficowski zaciekawiał się tą opowieścią. Jego też zaczęła nękać niezwykajna przygoda. Otóż od pewnego czasu chodzi za nim jakiś zakochany – jak to poeta określił – „pederasta”. Nie daje mu spokoju swoją wszędobylską, acz dyskretną obecnością.

– Ty masz swojego „pederastę”, ja mam „służbowego dżentelmena”. Czyli oboje mamy przyklejonych do pleców ubeków.

Tak, widocznie państwo Ficowscy zasłużyli sobie na stałą obserwację przez tajną policję. Że zbuntowany poeta był inwigilowany przez Służbę Bezpieczeństwa można zrozumieć, ale że zielonooka? Cóż, taki bywa los żon rebeliantów. Czy Bieta się tym przejęła? Ani trochę. Królowna traktowała esbeckie czyhanie jako świetną zabawę w kotka i myszkę. Ba, natrętnego tajniaka wysyłała do kolejki po banany, które właśnie rzucili na rynek. Inwigilacja miała zatem także tragikomiczne symptomy. Na przykład...

Ten, kto liznął peerelowskiej mordęgi, wie, jaką gehenną było dzwonienie z telefonów na nowych osiedlach. To znaczy niedzwonienie z telefonów, bo nowe osiedla nie były okablowane i nie posiadały centrali telefonicznych. W dzielnicy znajdowało się kilka budek, z których można było dzwonić, z tym, że w jednej była urwana słuchawka, w drugiej zablokowana tarcza, trzeci aparat pożerał monety, czwarta przystań była całkowicie ogołocoła z zawartości. Do piątego – szczęśliwie czynnego – ustawiała się kolejka owiana wiatrem, skuta mrozem, sprazona słońcem lub do suchej nitki zlane deszczem. A tu trzeba zadzwonić z pilną tajną sprawą do Jacka Kuroń, który aktualnie przebywa na wolności.

W słuchawce odzywa się zachrypnięty głos:

– Bietko, proszę ciebie, jak długo można czekać?

– Długo. Taki urok, Jacku. W jednej budce – urwana słuchawka, w drugiej – zablokowana tarcza, trzeci aparat pożarł mi dziesięć złotych, w czwartej budce nie było w ogóle telefonu, a do piątej czekało sześć osób, w tym jedna bardzo rozmowna.

– A prawda – chrypi Kuroń – nie macie telefonu.

Nie minęły trzy dni, kiedy na ulicy Bacha pojawiło się dwóch smutnych monterów z kablami i aparatem telefonicznym. Sąsiedzi patrzyli na Ficowskich z niekłamaną zazdrością. No bo w Peerelu trzeba było być albo partyjną szychą, albo mieć znajomości w telekomunikacji, albo być wrogiem systemu, by dostać poza kilkuletnią kolejką domowy aparat. Ten ostatni przypadek różnił się od poprzednich tym, że telefon był na podsłuchu.

– Halo? Jacek?

Odpowiada uroczo zachrypnięte „tak”.

– Bułeczki są upieczone. Można je odebrać z piekarni – kontynuuje szyfrem Bieta.

Wyjaśnienie dla niewtajemniczonych: „bułeczki” to aktualny biuletyn KOR-u. „Odebrać z piekarni” to znaczy puścić w podziemny obieg.

Jerzy zakrywa twarz dłońmi. Wyjaśnienie dla niewtajemniczonych: Ficowski podczas okupacji był żołnierzem Armii Krajowej.

– Jezu. Konspiratorzy od siedmiu boleści.

– Dlaczego?

– Wyjrzyj, kochanie, przez okno.

Bieta odsuwa ostrożnie firankę. Na podwórku już pojawiła się brązowa łada z tajniakami.

Z czasem szykanowanie poety wpisanego na czarną listę z zakazem druku, stawało się coraz bardziej dotkliwe. Portfel robił się coraz bardziej pusty. Dziadek Max wyjechał do swojego Miami, pozostała po nim tęsknota i na szczęście niebieski fiat 125p, który pozwolił Biecie zrealizować pomysł, świtający od pewnego czasu w jej pięknej głowie. Magister Elżbieta Ficowska była wykształconym pedagogiem, mogła zatem zająć się dziećmi i zarobić parę groszy na życie. Wakacyjne kolonie – tak można streścić ideę finansowego wsparcia rodziny. Cyganówka, letni dom w Zarębach Kościelnych, będzie świetną bazą kolonijną. Do wakacyjnej przygody Bieta zaprosiła parę zaufanych osób, w tym przyjaciółkę, poetkę-opozycjonistkę Barbarę Sadowską, wyśmienitą kucharkę. Anons w *Życiu Warszawy* nadzwyczajnie się sprawdził, telefon rozdzwonił się gromko. Do pani pedagog zaczęli się tłumnie zgłaszać rodzice, chętni oddać swoje pociechy pod jej skrzydła. Interes zakwitł. Lecz telefon był na podsłuchu. Ale lepiej oddajmy głos samej pani magister, posłuchajmy opowieści o wakacyjnej przygodzie. Aha, ponieważ ten tekst ukazał się pod pseudonimem w emigracyjnej *Kulturze paryskiej*<sup>[112]</sup>, nazwy, imiona i nazwiska autorka dla bezpieczeństwa zmieniła...

*Niektóre dzieci znałam już bardzo przelotnie z pierwszych wizyt w Warszawie, inne widziałam teraz pierwszy raz. Mniejsze trzymały się kurczowo swoich mamus – oprócz Klementynki, najmłodszej, bo niespełna pięcioletniej, która od razu wyruszyła na myszkowanie po domu i zwiedzanie małego lasu wokół Sosnowianki. Mirek, gorąco i trwożnie polecany mi przez matkę, był chyba, mimo swych jedenastu lat, najbardziej niechętny do pozostania. Obiecował płaczkliwie, że nie będzie wcale sypiał, że się okropnie czuje, że to chyba musi być niedotlenienie albo coś gorszego, że go boli śledziona od za ciasnej gumki od majtek, że natychmiast musi zażyć lekarstwo od smutku – po czym odbyło się pełne rozpachy pożegnanie z mamą, a łzy długo nie chciały wyschnąć. Na wierzchu swojej walizki trzymał torbę lekarstw, które z trudem udało mi się przejąć. Mańka nie płakała, tylko z zaciętą buzią spoglądała ukradkiem, a w jej oczach czaił się ostry sprzeciw, jak mi się wydało, wobec wszystkiego, co się ma dziać. Sławek nie*

*protestował, nie próbował walczyć przeciwko nieodwołalnym decyzjom rodziców i bezzwłocznie podjął akcję mającą na celu zaskarwienie sobie względów cioci – jak mnie nazwał, zapewne w przewidywaniu płynących stąd korzyści, nie dowierzając mojej bezinteresowności w uczuciach. Pozostałe dzieci trzymały się znacznie lepiej, a niektóre, zwłaszcza Irzinek czuł się od pierwszej chwili jak u siebie w domu.*

„Ciocia” potrafiła skutecznie uśmierzyć bóle i rozterki Mańki, Sławka, Mirka swoim łagodnym głosem i promiennym uśmiechem oraz profesjonalnym podejściem do dziatwy. Reszta kolonistów już po paru godzinach zakochała się w zielonookiej. Niestety, nie wszyscy potrafili docenić wychowawcze talenty żony zbuntowanego poety Jerzego Ficowskiego.

*Sławek chodził za mną jak kurczę za kwoką i dokładał starań, żeby się cioci na coś przydać.*

*– Ciociu – zaproponował. – Może ja namaluję na drodze pasy, taką zebnę?*

*– Po co? Tu trzeba uważać, czy coś nie jedzie, ale nie maluje się pasów na leśnej drodze.*

*– To milicja się nie przyczepi? To dlaczego co dzień do cioci przychodzą? Może szukają złodzieja?*

Faktycznie, wokół letniskowego domu zaczęli węszyć funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej, a wkrótce pojawili się nieproszeni goście. Zajechali czarną wołgą.

*– Panowie do których dzieci? – zapytałam z rozpędu, choć już po pierwszej sylabie chciałam się ugryźć w język: ten wysoki, choć też w cywilu, miał twarz tak mundurową, że niepozostawiała żadnych wątpliwości. Uszy z powodzeniem zastępowały mu epolety.*

*– Do wszystkich, a głównie do obywatelki – odpowiedział bez uśmiechu i wyciągnął legitymację.*

No i zaczęło się. A to, że ile osób na placówce? A to, że placówka kolonijna jest nielegalna. A to, czy wszyscy koloniści są meldowani. A to, ile sobie obywatelka liczy za jednego kolonistę? A to, czy zachowane jest stosowne bezpieczeństwo i higiena pracy. A to, żeby przekazać nazwiska

i adresy wszystkich kolonistów. Pogadali, pogrozili kontrolą „sanepidalną”, po czym wręczyli raport: „Brak kart zdrowia personelu. Brak wykazu zawartości kalorycznej posiłków. Brak próbek pokarmów z 48 godzin. Brak jadłospisu zatwierdzonego przez władze. Brak przygotowania wstępnej. Brak wyparacza elektrycznego do naczyń. Brak drugiego okienka z kuchni do stołówki. Brak stanowiska roboczego do drobienia jarzyn i owoców”.. itp., itd. Protokół zawierał przestrożę, że uzupełnienie owych wyliczonych w dwudziestu kilku punktach niedopuszczalnych braków i usunięcie niedociągnięć musi nastąpić w nieprzekraczalnym kilkudniowym terminie. Zielonooka odmówiła podpisania świstka, uzasadniając, że w protokole nie uwzględniono najważniejszego braku: braku sensu.

Nieproszeni goście wsiedli do czarnej wołgi i pojechali w siną dal, zawiesiwszy nad głową Biety groźbę zamknięcia Sosnowianki. To była oczywista oczywistość: w ten sposób komunistyczna władza mściła się na żonie poety za jego opozycyjny bunt. Letnia kolonia stała się ofiarą komunistycznej represji. Ale już wiemy, że królowa nie da sobie łatwo w kaszę dmuchać. Postanowiła walczyć. Poruszyła niebo i ziemię. Próbowiła coś wskórać u naczelnego redaktora stołecznej gazety. Przedostała się przez wartownicze zapory w rządowym ośrodku wypoczynkowym, by szukać protekcji u partyjnego pisarza. Wreszcie zagrała *va banque* i...

*Bez namysłu nakręciłam wyszukany w Spisie Telefonów numer centrali Ministerstwa Posłuszeństwa. Mógłby to wykonać każdy obeznany z telefonem, ale chyba nikt poważny nie uczyniłby tego z zamiarem przeprowadzenia konwersacji telefonicznej z Ministrem. Niewątpliwie fakt ten mógłby w czyichś oczach świadczyć o moim zmniejszonym poczuciu rzeczywistości. Wszechobecność i niewidzialność – to boskie atrybuty Władzy, których nie wolno naruszać, których naruszać się nie da. Postanowiłam więc działać wbrew oczywistości i zaskakującym manewrem pogwałcić immunitet Władców.*

*Odezwała się centralka, połączyła mnie z Sekretariatem Gabinetu. Poprosiłam pilnie Ministra. Objawem zdumienia Sekretarki było zapewne jej wrażenie, że nie dosłyszała, czemu dała wyraz, ponawiając pytanie głosem pełnym niedowierzania. Powtórzyłam, że dzwonię w ważnej i niecierpiącej zwłoki sprawie – natychmiast – z Ministrem. I podałam wyraźnie moje imię i nazwisko. (...)*

– Ale przecież pan Minister nie przyjmuje telefonów z miasta – powiedziała nieco skonsternowana sekretarka prawie usprawiedliwiającym się tonem. Poprosiłam, aby w imieniu Ministra nie przesądzała sprawy, lecz by przekazała, że dzwonię i czekam na rozmowę. Uległa. (...) Za parę chwil odezwał się głos:

– Tu minister. Z kim mówię? Pani nazwisko nic mi nie mówi...

– Borowiecka. Jestem żoną Kaliksta Borowieckiego, pisarza.

– Aha, wiem, już wiem. O co pani chodzi?

Wyjaśniłam uprzejmie, że to nie jest rozmowa na telefon, co było wyjaśnieniem dość głupim, jako że rozmowy „nie na telefon” mogą być podsłuchiwane jedynie przez Funkcjonariuszy Resortu pana Ministra. Dodałam więc, że sprawa jest skomplikowana i zbyt długo by to trwało, więc jeśli to możliwe, przyszedłabym i wyjaśniła wszystko osobiście; ale Minister poprosił o wyłożenie sprawy. Opowiedziałam w wielkim skrócie o nagonce prowadzonej ze wszech stron i niegodnymi środkami przeciwko dziesięciorgu dzieciom i mnie, u której przebywają na wakacjach. Dodałam, że jest to nagonka o charakterze wyraźnych szykan na tle politycznym i przy zastosowaniu odpowiedzialności zbiorowej. Pan Minister się zdziwił:

– Czemuż to pani tak sądzi?

– Cóż, wskazuje na to cały jej przebieg... Czyżby panu Ministrowi nie było wiadomo, że mój mąż od ponad półtora roku nielegalnie pozbawiony jest prawa do pracy, że odebrano mu wszelką możliwość publikowania, zarabiania na życie.

(Podkreśliłam słowo „nielegalnie”)

I co? I pstro? Nie do końca. Proszę sobie wyobrazić, że „Minister Posłuszeństwa” ugościł Bietę w swoim ministerialnym gabinecie, nawet ucałował dłoń, przeprosił za impertynencję swoich funkcjonariuszy, obiecał, że zajmie się kolonijną kwestią. I co? I jednak – pstro. Nie pomogły ministerialne starania. Urzędowym nakazem letnie kolonie zostały zamknięte przez władzę. Zapłakane dzieci całowały „ciocię” na pożegnanie. Została garstka, której rodzice byli za granicą. Nielegalni koloniści chowali się pod łózkami, gdy za płotem majaczył milicyjny radiowóz. O, i tak się skończyła letnia przygoda. Pozostała gorycz nieco osłodzona wakacyjnymi wspomnieniami dorosłych dzisiaj dzieci oraz pustym portfelem zbuntowanych Ficowskich.

## 56.

Niania doznała wylewu. Pani Janka została sama na świecie. Mąż odszedł wcześniej. Nie miała dzieci. Została sama? Nie – ma przecież swoją wychowanicę, którą kocha jak własną córkę. Bieta załatwiła miejsce w domu opieki prowadzonym przez ojców bonifratrów. Ulica Sapieżyńska jest niedaleko ulicy Stawki. Na Stawkach był Umschlagplatz, gdzie zastrzelono ojca Elżbiety. Na Stawkach mieszkam. Niedaleko Sapieżyńskiej przebiegał mur getta. Ulica Sapieżyńska sąsiaduje ze szkołą podstawową, do której kiedyś chodziłem.

Dziś jest 1 września 1977, czwartek. Słońce wstało kwadrans przed szóstą i będzie mocno grzało. Trzeba otworzyć okno, by przewietrzyć zaduch. Cytat dnia: „Gdyby Chrystus żył w naszych czasach, na pewno nie chciałby być chrześcijaninem” – Mark Twain. Chrystus wisi na krzyżu. Krzyż wisi na ścianie w sali domu opieki i wsłuchuje się w dziecięcy gwar dochodzący zza otwartego okna. To pierwszy dzień szkoły. Przykuta do łóżka pani Janka patrzy na Chrystusa przybitego do krzyża i stara się wyłowić śmiech dziewczynki, która wraca Sapieżyńską ze szkoły. Przymglone oczy niani widzą uczennicę w odświeżonej białej bluzce z koronkowym kołnierzykiem, w granatowej plisowanej spódnicy. Mleczne spojrzenie pani Janki wykrada się z dusznej sali, gdzie oprócz niani pomaleńku kończy życie jeszcze kilka starych kobiet.

– Bietka?

Dziewczynka zatrzymuje się na pustej jezdni wyłożonej rudawą kostką. Uczennica poprawia tornister, w którym spoczywa kilka nowiutkich książek do pierwszej klasy i piórnik z fantastycznym wielokolorowym długopisem, to prezent od wychowawczynie dla pierwszaków. Dziewczynka ma zdziwione okrągłe, zielone oczy. Jest trochę przestraszona.

– Tak?

– Dlaczego mnie nie odwiedzasz?

– Ale...

– Wiem, wiem. Nie możesz znieść zapachu śmierci. Pewnie ostatnim razem zebrało ci się na mdłości. Ja to rozumiem, Bietko, rozumiem.

– Nie...



Oczy dziewczynki robią się coraz bardziej okrągłe. Wrześniowe słońce odbija się złociście od bieli koronkowego kołnierzyka.

– Jak wrócimy do domu, będę musiała ci odprasować tę bluzkę.

– Ja pani...

– Nie mów tak do mnie. Jestem przecież twoją nianią. Byłam, jestem i będę.

– Ale...

– Po prostu cię Kocham.

– Ja...

– Nie musisz się tłumaczyć. Nigdy nie przestanę cię kochać. Co robisz? Dziewczynka chce się odwrócić. Piórnik zagruchotał w tornistrze.

– Przepraszam, ale ja pani nie znam.

– Jak to? Całe życie byłam przy tobie. Jak miałaś pół roku, jak cię przywieźli w skrzynce, to...

Spojrzenie starej kobiety rozmydla się. Słońce zaczyna boleśnie razić. Pora umknąć w cień maligny i wrócić do cuchnącej umieraniem sali. Jeszcze widać majaczącą białą plamkę bluzki wnioskującą w pomieszane czas i przestrzeń na Sapieżyńskiej. Można oprzeć wzrok na przybitym do krzyża Chrystusie, a potem wystarczy przymknąć spłowiałe oczy.

– Nianiu?

Czyj to głos?

– Bieta? Jednak przyszedł.

– Przepraszam.

– Nie było cię dwa tygodnie. Wiem, wiem. Nie możesz znieść zapachu śmierci. Pewnie ostatnim razem zebrało ci się na mdłości. Ja to rozumiem, Bietko, rozumiem.

Bieta patrzy na gasnący blask na twarzy niani. Nie było jej na Sapieżyńskiej dłuższy czas. A przecież odwiedzała nianię trzy razy w tygodniu. Ostatnim razem nie mogła znieść kwaśnego zapachu śmierci. Powstrzymywała mdłości. Odwlekała kolejne odwiedziny. Raz, drugi, trzeci... Teraz patrzy na nianię, widzi w jej oczach miłość. Tylko miłość, ani krzty pretensji. Wiem, że to patos. Ale jeśli prawda ma być patosem, to niech sobie będzie. Pani Janka już niedługo umrze. Dziewczynka w białej bluzce idzie Sapieżyńską po rudej jezdni. Trzeba będzie odprasować jej bluzkę. Koniecznie.

Bieta pochyliła się nad córką. Mieszkanie na nowym, rozkopanym osiedlu było tak ciasne, że kiedy poeta rozkładał stosy papierów

w swoim pokoju, nie można było się przez nie precisnąć. Kiedy Bieta pochylała się nad łóżeczkiem Ani, nikt już nie mógł wejść do sypialenki. Przed chwilą Bieta wróciła z córką z parku Dreszera. W skrzynce – list par avion. Kiedy dziadek Max odlatywał do swojej Ameryki, w jego oczach rozlewał się smutek. Pan Richman miał już swoje lata i było całkiem prawdopodobne, iż już nigdy nie zobaczy swojej stryjecznej wnuczki. Dlatego zagraniczny list leżał nieotwarty w ciasnym przedpokoju, na szafce z butami, obok kluczy. Bieta zwlekała z rozerwaniem koperty. Nie daj Boże, by w niej była zaklejona wiadomość o złym stanie zdrowia. No, ale kiedyś trzeba było wreszcie kopertę otworzyć. Bieta ujęła w dłoń list, jeszcze przez moment dotykając odczytywała jego treść. Odłożyła kopertę na stół. Zaparzyła herbatę. Po kuchni rozpostarł się zapach junanu. Po murach szedł odgłos kłótni sąsiadów z dolnych pięter, a z górnych przytłumieni Skaldowie zachęcali, żeby szanować wspomnienia. Jakże ckliwy suplement do listu od dziadka. Poeta w swoim mikroskopijnym gabinecie redagował wstęp do nowego wydania *Listu do Marc Chagalla*. W końcu trzeba było rozedrzeć kopertę od dziadka.

– Jerzy?

Cisza.

– Jadę do Ameryki.

Skrzypnęły drzwi od pokoju poety. W prześwicie pojawiła się szczupła twarz.

– Dokąd jedziesz?

– Do USA.

– Po co?

– Spotkać się z dziadkiem.

– Coś się stało?

– Nie. Zaprasza mnie do Miami. Może złapię jakąś fuchę przy okazji.

– Bietko... – westchnął poeta. – Ale ty nie znasz angielskiego.

– No to co?

Bieta do dziś nie zna angielskiego. „No to co?”, odpowiada ze szczerym uśmiechem. Wylądowała na lotnisku JFK. Na szczęście czekał na nią przyjaciel Jerzego, Lucjan Dobroszycki, historyk, emigrant 68 roku, ocaleniec z łódzkiego getta i Auschwitz. To nie pierwszy wyjazd królowy na Zachód. Była wcześniej w Paryżu. Ot, taki kaprys zielonookiej – wyruszyć w kolorowy świat, pachnący dobrym tytoniem, kawą i perfumami, mając w kieszeni jedynie sto pięćdziesiąt dolarów.

– Tylko tyle posiadamy, kochanie – rzekł poeta. Ale zaraz dodał z uśmiechem: – Jedź, kochanie, skoro chcesz.

Zaopiekowali się nią francuscy trockiści. Królowna poznała kwiat polskiej emigracji, w tym luminarzy paryskiej *Kultury*. Ale kolorowa robinsonada się skończyła, tęsknota za Anią i Jerzym była silniejsza. Bieta wsiadła w samolot, porzucając Sekwanę, aromaty Chanel N° 5, kawy arabiki, croissantów i proszku do prania, który pachniał kwitnącym rajem. Wróciła do peerelowskiej żrącej woni proszku ixi.

Teraz zielonooką miały oszołomić kłujące w oczy widoki drapaczy chmur, połyskliwy do obłędu Times Square i wrzeszcząca policyjnymi syrenami Piąta Avenue. Królowna wylądowała jakby w samym środku filmu *Nocny kowboj*. Niczym postać grana przez Jona Voighta, z tym, że Joe Buck przybył do nowojorskiej dżungli zarabiać dolce niecnym sposobem, a Bieta traktowała Wielkie Jabłko jedynie jako przesiadkę do Miami, by tam ciuć dla rodziny dolary na zmywaku. Widzę, jak królowna patrzy przez szybę żółtej taksówki na ludzkie mrowie biegnące donikąd, na strzelającą czerwienią reklamę coca-coli, na olbrzyma w kowbojskim kapeluszu puszcającego z billboardu obłoczki dymu marlboro, słyszę filmową piosenkę śpiewaną przez Harry’ego Nilssona, że „każdy coś do mnie mówi, ale nie słyszę ich słów, tylko echo moich myśli. Ludzie przystają i patrzą, nie widzę ich twarzy, tylko cień ich oczu... Przeskakuję przez ocean niczym kamień”<sup>[113]</sup>.

Jakie jest echo myśli Biety?

Pojadę do New Jersey. Odwiedzę Lili i Mariana. Zapytam, czemu ukryli przed dziadkiem Makssem, że ocalałam. Że żyję. Przecież widzieli mnie. Ja tego nie pamiętam. Ale odwiedzili po wojnie Michalin. Mam dowód. Fotografię. Jestem na niej w białym futerku. Obok stoi Lili. Piękna. Elegancka. Ocalona. I ja ocalona. Moja mama – zabita. Mój tata – zastrzelony. A oni wyjechali sobie do Szwecji. A potem do Ameryki. Są jak ich nowe amerykańskie nazwisko: „Richman”. Nie, nie chcę od nich

niczego. Niczego. Chcę tylko spojrzeć w oczy. I spytać: „Dlaczego?”  
Pojadę.

Bieta przeskoczyła przez ocean niczym kamień. Teraz jedzie do New Jersey, by spojrzeć ocalałym kuzynom w oczy. Pierwsza rzecz, którą zrobiła, nawet nie rozpakowawszy walizki – zadzwoniła z hotelu. Odebrała Lili.

– *Yes? Who's speaking?*

– Bieta. – Pauza. – Elżbieta. Przyjechałam. Z Polski.

Milczenie. Cisza trwała dwa dni. W końcu oddzwonili.

Teraz zielonooka stoi w drzwiach bogatego domu i zastanawia się, czy gospodarze zechcą ją wpuścić. Robi się drętwo, obco i wieje uprzejmym chłodem. Lili patrzy na Bietę ubraną w porwane szorty, kusy T-shirt, zerka na znoszone sandały. Zielonooka nijak nie pasuje do wysokich progów. I do obrazu ocalonej z Zagłady.

– Ach to pani – mówi z lodowatą uprzejmością Lili Richman.

– Ja.

– Pani tak zawsze?

– Znaczy?

– Na bosaka.

Pani Richman chciałaby jeszcze dodać, że „półnago”, ale nie dodaje. Bieta chciałaby się odwrócić na pięcie i uciec, gdzie pieprz rośnie, ale nie ucieka. Państwo Richman ustępują z progu. Wpuszczają do domu. Królowa ma w oczach błysk buntu i z niezbyt udaną nonszalancją siada w kucki na podłodze pod ścianą. Czy to wydarzyło się, gdy Marian i zielonooka zostali na chwilę sam na sam? Bieta zdobywa się na odwagę, uwalnia ze ściśniętej krtani pytanie, z którym się tutaj zjawiała: „Dlaczego?”

Jest taki reportaż Hanny Krall, *Ta z Hamburga*, na podstawie którego miałem zaszczyt napisać adaptację. Film nosi tytuł *Daleko od okna*, obraz reżyserował Jan Jakub Kolski. To prawdziwa historia. Małe miasteczko. Mąż bezdziejnej kobiety przyprawia do domu ocalałą z rzezi żydowską uciekinierkę. Regina ukrywa się w szafie. Po paru miesiącach zachodzi w ciążę. Bezdziejna żona wkłada pod sukienkę poduszkę i paraduje po miasteczku z coraz większym brzuchem. Żydówka potajemnie rodzi dziewczynkę. Helusia ma dwie matki. Kiedy wojna się kończy, ta żydowska znika. Przysyła z Hamburga paczki z pomarańczami. Po latach Helusia odwiedza swoją prawdziwą matkę,

ale Regina ją odtrąca. Mówi, że córka przypomina jej piekło Zagłady i ból upokorzenia.

Czy Henia nie odrzuciłaby Elżuni, gdyby ocalała? – pytam Pana Boga.

W odpowiedzi słyszę słowa Mariana:

– Lili wyrzuciła wszystko z pamięci. I...

– I? – dopytuje Bieta.

Marian po chwili dodaje szeptem:

– Chciała po prostu zapomnieć. Ja też chciałem zapomnieć.

– A ja wam w tym przeszkodziłam?

Milczenie. Lili wraca z kuchni ze szklanką pomarańczowego soku. Bieta moczy w nim usta, ale nie wypija. Słodycz jakoś nie pasuje do tej sceny. „Ludzie przystają i patrzą, nie widzę ich twarzy, tylko cień ich oczu... Przeskakuję przez ocean niczym kamień”<sup>[114]</sup>. Teraz królowna – jak Joe Buck i jego przyjaciel Szczurek – przeskoczy do rajskiego Miami. Ale nie czeka na nią tam nieszczęśliwe jak w filmie zakończenie. O nie.

## 58.

Dziadek Max zamieszkał w na stałe w Miami w ekskluzywnym hotelu Nautilus. Nie jest już bogatym fabrykantem, wytwórcą żaluzji i markiz, jest pogodnym bankrutem. Jak wspomniałem wcześniej – Max Richman uchronił przed plajtą pewną fortunę, która pozwoli mu spędzać starość w spokoju i bezpieczeństwie. Miami to stolica sytych seniorów, którzy chcą spędzić jesień i zimę życia, kryjąc ostateczne myśli pod stosikiem dolarów. Miami jest najczystszym miastem USA, piątym najbogatszym rejonem świata. Locum na rajską emeryturę. Jeśli ma się w miarę wystarczający zapas na koncie, można odważnie patrzeć w oczy starości. Ale oczy dziadka Maksa teraz będą sycić się widokiem wnuczki, która przywiozła ze sobą beztroską młodość.

Schodzi królowna z samolotowego trapu w podartych szortach, obcisłej czarnej podkoszulce à la Brigitte Bardot. Zielonooka nie bardzo pasuje do reszty nobliwie odzianych pasażerek, tłusto wyszminekowanych, upudrowanych. I znów nasuwa mi się filmowe porównanie. Jest taka scena w *Hair* Miloša Formana: obdarty hipis Berger nawiedza mieszczański dom swojej dziewczyny. W ramach buntu zaczyna tańczyć

na stole. Śpiewa w nos bogatym gospodarzom hymn życia. Ten obraz bardzo pasuje do beztroskiej królowy i zdeprymowanych jej widokiem statecznych emerytów. Tak, tak. Bieta, rocznik 42, bardziej pasuje do Jima Morrisona, rocznik 43, Johna Lennona, rocznik 40, Janis Joplin, rocznik 43, Jimiego Hendrixa, rocznik 42, niż do mieszczańskiej elity. Oczy dziadka Maksa są pełne miłości do odnalezionej stryjecznej wnuczki, ale drży w nich zakłopotanie: co na widok „hipiski” powiedzą jego poważni i dystyngowani przyjaciele. Żydowscy rentierzy czekają z zapartym tchem na ocalałą z Zagłady żydowską dziewczynę. W hotelowym lobby czekają telewizyjne kamery, prasa, dziennikarze. Efekciarskie, żadne sensacje Miami chce na własne oczy zobaczyć tę wyniesioną z getta w drewnianym pudełku ofiarę, case of the miracle. O, jakże „ofiara”, jakże „ocalała z Zagłady” nie pasuje do smutnego stereotypu. Oto pojawia się jasna, uśmiechnięta dziewczyna w podartych szortach i kusej podkoszulce. Pewnie chętnie wskoczyłaby na stół i zaśpiewała razem z Bergerem, że ma życie, ma śmiech, jest wolna, ma urok za milion dolarów, ma serce, ma duszę, ma plecy, ma tyłek, ręce, palce, nogi, wątrobę! Ma życie!

Jesteśmy zatem w ekskluzywnym lobby hotelu Nautilus, przy 1825 Collins Avenue. Widzimy tłum reporterów i statecznych żydowskich przyjaciół Maksa Richmana, którzy patrzą na przybyłą „gwiazdę ocalenia” w porwanych szortach. Królowa wita się ze wszystkimi serdecznie, w ogóle nie jest spięta swoim koślawym angielskim. Patrzy prosto w oczy siwej damie, a owa matrona wykrzywia twarz z niesmakiem i mówi po polsku, choć nie lubi tego języka.

– Co ty, dziecko, nosisz na szyi?

– Medalik – odpowiada Bieta.

Zielonooka czuje, że weszła na pole minowe, ale nie ma zamiaru się z niego wycofać.

– Jaki medalik? – dopytuje wyfiokowana matrona.

– Z Matką Boską.

Dama otwiera usta, by zaczerpnąć tchu.

– Z Matką Boską?

– Tak. Dostałam od mamy. – Bieta dodaje z naciskiem: – Od polskiej mamy. Taki kupiony na straganie przed kościołem. Miałam chyba pięć lat. Od tamtej pory go nie zdejmuję.

– Kościołem? – ton głosu siwej damy robi się szorstki niczym pumeks.  
– To ty nie jesteś Żydówką?

– Nie.

Zaraz pewnie zaczną wybuchać miny, a całe lukrowane entrée zaleje kwas.

– Podobno zostałaś ocalona z getta.

– Tak.

Oblicze damy robi się kamienne.

– Czy twoi rodzice byli Żydami?

– Byli Żydami.

– A dziadkowie?

– Też.

– I ty nie jesteś Żydówką?

– Nie.

Wystarczy. Już nie znęcaj się, królewno, nad staruszką, której całą rodzinę wydali polscy szmalcownicy w ręce gestapo. Chcesz zatańczyć i zaśpiewać, buntowniczo, że masz życie, to tańcz i śpiewaj, ale daj spokój, już nie bądź tak prowokacyjnie zadziorna.

Dziadek był dla Żydów z Miami niczym cadyk. Lubiany, szanowany, podziwiany, słuchany. Znamy życiorys pana Maksa Richmana, którego właściwa tożsamość brzmi Mejłech Rochman. Mejłech ukończył kilka klas chederu, Max uczył się życia od losu, który mu Jahwe zgotował, choć pan Richman nie wierzył w Boga. Bo co to za Bóg, który dopuszcza do Zagłady swojego wybranego narodu. Mawiał pan Richman: „Gdyby Bóg żył na ziemi, którą stworzył, ludzie wybiliby Mu szyby”. Są tacy, którzy zasiadają po prawicy Stwórcy, mimo iż w Niego nie wierzą. Ci marnotrawni są bliżsi Przedwiecznemu niż niejeden wierny, składający modlitewne pokłony. Do takich ulubieńców z pewnością należał Mejłech Rochman, czyli Max Richman. Szlachetny, pogodny, mądry.

Widzę, jak wyjmuję z kieszeni tweedowej marynarki książeczkę czekową, sięga po wieczne pióro.

– Co robisz, dziadku?

Max obrzucił królewne łagodnym spojrzeniem.

– Dostaniesz czek.

– Po co?

– Kupisz sobie porządną... – poszukał stosownego polskiego słowa. Znalazł: – ...krecję.

– Nie chcę chodzić w „kreacji” – odrzekła królowa.

Max odłożył czeki na biurko, pióro zamknął skuwką, położył je równiutko przy krawędzi blatu. Pan Richman lubił, jak wszystko równiutko do siebie pasuje. Ale tę słabostkę stosował jedynie do własnej osoby, u innych tolerował bałagan, a nawet chaos. Chwała Bogu – gdyby było inaczej, królowa już musiałaby wracać na lotnisko. Kiedy dziadek Max uwolnił się od wiecznego pióra i książeczki czekowej, mógł swobodnie oprzeć swoje pomarszczone dłonie na ramionach wnuczki. Rzekł spokojnym tonem:

– Jesteś, Elżunia, mój gość. Moje goście świadczą o mnie. Będiesz się cieszyć wszystkim, co ja ci, Elżunia, będę kupować. Masz mieć szczęśliwy czas. I ja ci, Elżunia, go tutaj dam.

Bieta poczuła ciepło dłoni dziadka na swoich ramionach. I nagle zdała sobie sprawę, że nigdy nie doznała tak dziwnego bezpieczeństwa. Owszem, dotyk dłoni Jerzego miał w sobie ojcowską moc, ale dłonie dziadka Maksa promieniowały innym ciepłem. Być może tak by ją ogarniał męskim bezpieczeństwem ojciec, którego nigdy nie poznała. W żyłach starego człowieka pulsowała krew żydowskiej matki – Heni, rodzonego dziadka – Arona, krewnych – Chamałte, Jankiela, Pery Małki, Jachet, Rywki, prababki – Rejli Dąb, pradziadka – Mejera Chila, krew niepoznanych kuzynów z mieściny Sobienie-Jeziory, sztetla zagubionego w czasie i przestrzeni, obsypanego prochami zgładzonych. To była chwila, błysk iluminacji. Po kilku sekundach Bieta zatrzymała kołowrót w głowie i powiedziała cicho:

– Nie, dziadku. Jestem twoim gościem, ale nie będę na twoim garnuszku. Jestem tu na chwilę. Nie chcę twojego czeku, bo chcę być sobą, dziadku. Pozwól mi być taką, jaką chcę być.

Max długą chwilę milczał, przymykając powieki. Kiedy je podniósł, rzekł:

– Gość na chwilę, widzi na milę.

Pan Richman zdjął dłonie z ramion wnuczki, ale ich ciepło pozostało na długo.

Jak postanowiła, tak uczyniła. Znalazła pracę za dwadzieścia dolarów dziennie. Królowa została sprzątaczką. Umiała sprzątać, ale we własnym mieszkaniu. Zielonooka zmagająca się z nowoczesnym odkurzaczem, którego tajemnic nie była w stanie rozgryźć. Kiedy myła okna, nagle przekonała się, że ma przeraźliwy lęk wysokości. Pomyliła



płyn do podłóg z płynem do kabiny prysznicowej. Nie dziwota – w Polsce był na podorędziu tylko jeden Ludwik, uniwersalny, niby do naczyń, ale i do wszystkiego. Kurz spod sofy został na swoim miejscu, bo sofa ważyła tonę. Pot spływał z czoła królowny gęstymi strugami. Właścicielka apartamentu patrzyła z bólem serca na wysiłki dziewczyny z Polski i wzdychała. Kiedy już zabrakło w płucach powietrza na dalsze wzdychanie, sięgnęła litościwie po portfel.

– Masz tu swoje dwadzieścia dolarów i idź już sobie.

– Ale ja jeszcze nie skończyłam – odrzekła zdyszana królowna łamaną angielszczyzną.

– Ale ja muszę wyjść – skłamała pani domu.

Bieta schowała z ulgą dwudziestodolarowy zwitek w kieszeni szortów. To był jej pierwszy zarobek w zgniłym kapitalizmie. Dwadzieścia dolarów za dwie godziny pracy! Za dwadzieścia dolarów w Peerelu można było przeżyć miesiąc. Ale co tu robić, jeśli się nie umie obsługiwać zabójczego odkurzacza, choruje się na lęk wysokości i myli się płyny, które swoim kolorem przypominają drinki z parasolką? Cóż, pozostaje stanowisko pracy, na którym polscy gastarbeiterzy zdobyli mistrzostwo świata. Ja też to przerabiałem – zmywak.

Lecz żeby pracować na zmywaku, trzeba umieć zmywać, trzeba podnosić ciężkie gary, ale ma się za mało siły, trzeba uważać, by nie potłuc talerzy, ale ręce się trzęsą, bo są dwie lewe. Nie, królowna nigdy nie była nieszczęśliwa z powodu swoich niedoskonałości. Ahoj, przygodo! I grosz do grosza, dolar do dolara. Aż któregoś dnia...

## 59.

– *You have the perfect dimensions.*

Nie rozumiała:

– *I don't understand.*

Królewna użyła uniwersalnego zwrotu, który pasował do każdej sytuacji. A sytuacja zaczęła robić się nieco krępująca, bo kobieta o sztucznym uśmiechu i naciągniętej twarzy, zorientowawszy się, iż ma do czynienia z cudzoziemką, uruchomiła olbrzymi zestaw mowy swego ciała, by na migi pokazać Biecie, że ma na myśli jej nienaganną figurę. Królewna faktycznie schudła, ale nie wyglądała przecież jak Twiggy. Wyglądała naturalnie i to właśnie przykuło uwagę kobiety. Wzorowe kształty były wynikiem przymusowej głodówki – Bieta oszczędzała na jedzeniu. Dziadek Max załamywał ręce, bo wnuczka nie dawała się dokarmiać. Ale, ale – jesteśmy nadal w hotelowym lobby, gdzie napotkana intruzka nagabuje królewnę i, używając pantomimy, prawi zachwyty nad klasyczną budową długonogiej cudzoziemki. Sytuacja robi się krytyczna, bo Bieta opacznie odczytuje nieme gesty. Już zaczyna rozglądać się za ochroną, by uwolnić się od natrętnej lesbijki. Przez śliczną główkę przelatuje stek uszczypliwości:

Gdyby tak odpruć z policzków i podbródka wszystkie szwy, to twarz tego babsztyla spadłaby na podłogę jak płaszcz z wieszaka.

Lesbijka robi się coraz bardziej namolna. Zielonooka odwraca się na pięcie i chce odejść. Kobieta chwytą dziewczynę za ramię. Oj, zaraz babon dostanie w ten swój naciągnięty dziób. Zaraz będą: krzyk, policja, areszt, sądowa sprawa o naruszenie cielesności, więzienie Starke Prison. A potem nagłówki w reżimowej *Trybunie Ludu*: „Żona wroga socjalizmu skazana w USA!” i specjalny reportaż w wieczornym *Dzienniku Telewizyjnym* o tym, że Elżbieta Ficowska skompromitowała ludową ojczyznę. Ale na szczęście królewna powstrzymała pięść i nie rozkwasiała sztucznego nosa. „Śnieżny uśmiech” zaczął coś tłumaczyć, padły słowa „modeling”, „show” oraz najważniejsze: „one hundred fifty dollars for two hours”. I tak królewna została modelką.

Ekskluzywny pokaz odbył się w się w entertainment hall w hotelu Nautilus. Jak się zielonooka znalazła w nowej roli? Jak to ona: Ahoj, przygodo! Miała odrobinę spięte kształtne pośladki, bo musiała się dostosować do choreografii, którą zarządzała kobieta o naciągniętej twarzy – jak się okazało menedżerka firmy modowej.

– *Elisabeth, you jump out onto the catwalk and walk back and forth with a dance step.*

– *Co? I don't uderstand.*

Tamta wzdycha, uśmiecha się błyskiem implantów, jeszcze raz wzdycha i po raz kolejny pokazuje ząbki koloru lodówki, po czym wyskakuje na wybieg i tanecznym krokiem przemierza go w tę i nazad. Wszystko z przyklejonym do sztucznej buzi sztucznym uśmiechem.

– *Just like that.*

– Ale ja nie będę robić z siebie małpki na sprężynce.

– *I don't uderstand.*

Tym razem menedżerka użyła uniwersalnego zwrotu. A nasza rebeliantka po swojemu i w języku ojczystym:

– U nas w „Modzie Polskiej” modelki nie skaczą i nie pląsają po wybiegu. Chodzą dostojnie.

– *What?*

– Do-stoj-nie.

– *I don't uderstand.*

– Moda. Moda Pol-ska. Polska. *Polish* Moda.

– *Well. This is America. USA. America. Understand?*

– *No. I don't uderstand.*

– *One hundred fifty bucks. Understand?*

A co mi tam, nikt mnie tu nie zna. Co mi zależy. Wyskoczę jak Filip z konopi i sobie popląsam.

– *I understand.*

Nikt cię, królewno, tu nie zna? Ejże. A żydowska diaspora z Miami? A dziadek Max? No więc i żydowska diaspora, i dziadek Max zobaczyli wreszcie zbuntowaną królewnę nie w porwanych szortach, a w oszałamiających kreacjach. Na wybiegu – sto pięćdziesiąt dolarów za dwie godziny wygłupu. Na zmywaku – dwadzieścia dolarów dziennie. Życ nie umierać.

A teraz będzie prawdziwa bajka. O Kopciuszku. Zaczynamy.

Kopciuszek przebrany w kreację pojawia się na wybiegu i wszystkim oczy bieleją, i dziadek Max puchnie z dumy, widząc swoją odmienioną wnuczkę, i dziadek chciałby, żeby tak zostało. Ale nie – jest po staremu.

– *You put on* te podarte szorty *again*? Jedziemy zaraz na Pinecrest, do butik, Elżunia.

– Po co, dziadku?

– Żebyś ty wreszcie *look* po królewsku.

Teraz Bieta podchodzi do staruszka, zagląda mu w szczodre oczy i kładzie na kruchych ramionach dłoń. To jest rewers sytuacji, kiedy to Max obdarował swoim ciepłem wnuczkę. Nie będę tej sceny ubierał w żadne figury retoryczne. Oddam głos zielonookiej.

– Dziadku. Już ci mówiłam, że ja po prostu chcę być sobą.

W głowie starego człowieka rozbrzmiewa podźwięk słów dziewczyny. I dobry Max widzi, jak wygłodniały chłopaczek imieniem Mejtech w obdartym chałacie odwiedza brata Arona na ulicy Miłej 11, brat częstuje głodnego herbatą i bajgele. A potem chłopaczek Mejtech Rochman ucieka statkiem do Ameryki i staje się bogatym Maksem Richmanem. Lecz gdzieś w głębi serca jest ciągle głodnym chłopcem, bo jest sobą. Zatem Max i jego wnuczka Elżunia nie odwiedzają ekskluzywnego butiku w Pinecrest.

Rozeszło się po Miami, że Max Richman ma piękną wnuczkę. Bieta zostaje zaproszona na ekskluzywny bal. I teraz właśnie jest jak w bajce: Kopciuszek uwalnia się na ten czas od zmywaka, przykrywa kuchenne zapachy wonią perfumy, pojawia się na raucie. Tym razem zielonooka ulega presji – daje się odziać w galową suknię lilaróż, otulona etolą z łabędziego puchu zakłada na stópki złote pantofelki. Miriady żydowskich matron opróżniają sejfy z brylantowych kolii, by je pożyczyć Kopciuszkowi na wieczór. Jest w czym wybierać, kręcąc nosem. Dziadek Max organizuje limuzynę i szofera, znajomego Polaka, którego trzeba wbić w szykowny smoking. No i do Kopciuszka przemienionego w królową Ignie męska pepiniera. Rej wodzą żydowscy seniorzy, którzy pragną na starość błysnąć odbitym światłem młodej gwiazdy. Szumi w głowach swing, kołysze się taniec w rytm *My Way* Franka Sinatry. Elżunia błyszczy urodą, urokiem, wdziękiem. Serce dziadka Maksa puchnie pełnią szczęścia. Ubogi Kopciuszek został przemieniony w prawdziwą królową. Ale czy na bajkowej sali pojawi się królewicz? Cóż, królewicz został w Warszawie i pisze kolejny wiersz. Zielonooka

królewna nie chce się wywyższać. Podbiera z bufetu kanapki, karmi nimi polskiego szofera.

Pytanie o bajecznego królewicza nie było gołosłowne. Oto przy innej okazji zakochał się w królewnie pewien milioner. Chciał kupić zielonookiej wyspę na Antylach. Mogłaby mieć do dyspozycji wór dolarów, pałac, rolls-royce'a i prywatny samolot. Lecz królewna odrzuciła awanse królewicza. Za uciutane dolary nabyła zdezelowanego forda capri. Prawie bez hamulców, ale za to w kolorze kanarkowym.

## 60.

– Co? Elżunia, co chcesz ty zrobić?

– Chcę pojechać do Palm Beach.

Dziadek Max wzdycha z bólem.

– Elżunia... *What for?*

– Taka marzy mi się przygoda, dziadku.

– Przygoda? Tym *yellow wreck*, co nie ma hamulcy? Sama? Elżunia! To jest Ameryka! Ja ci zaraz czek wypiszę, żebyś tylko nie jechała.

– Pojadę.

Faktycznie, kanarkowy ford capri rocznik 1970, kupiony za sto dwadzieścia dolarów może jest szpanerski i w ludowej ojczyźnie wzbudziłby zachwyt, ale to rzęch. Przy każdej próbie hamowania wydobywa się z żółtego potwora przeraźliwy rumor, jazgot, ryk przypominający skowyt smoka, któremu nadepnięto na ogon. Podróż do Palm Beach zaiste będzie przygodą. Ile można stać przy zmywaku i pucować gary. Albo towarzyszyć pewnej damie, która cierpi na bezsenność. To wtedy Bieta napisała w toalecie owej depresyjnej matrony tekst o inwigilowanych letnich koloniach w Cyganówce. Trzeba się trochę przewietrzyć i ruszyć fordem capri w świat. Trzeba wdychać pełną piersią oceaniczną bryzę i wolność. W ramach atrakcji, już prawie przed samym celem podróży, gdzieś na wysokości Lake Worth, kanarkowy smok odmawia dalszej jazdy. Po prostu Bieta nie przewidziała, że zdezelowany potwór tak chleje paliwo, że właściwie powinno się biec obok z kanistrem, dolewając benzynę. Ford capri zapalił czerwoną lampkę, oznajmił, że *no fuel*. Proszę sobie wyobrazić

taką oto scenkę: cudna królewna pcha żółtego potwora po asfalcie. Ale, że królewna jest dzieckiem szczęścia, natychmiast znajdują się usłudźni kierowcy i pomagają doturlać auto do najbliższej stacji benzynowej. Cóż, okazuje się, iż beztroska Bieta nie ma pieniędzy na paliwo. Jakoś tak wyszło. Zielonooka wkracza do restauracji sąsiadującej ze stacją benzynową, rozgląda się, widzi zażywnego jegomościa w hawajskiej koszuli i czaruje piętaszkową angielszczyzną:

– *Help. I am with trouble.*

Mężczyzna posyła uśmiech tak serdeczny, jak kolor jego *aloha shirt*.

– Pani z Polski!

Cóż się okazuje? Ano, że właścicielami sklepu, stacji benzynowej i restauracji jest małżeństwo polskich Żydów. Chętnie pomogą rodaczce. Ale nie za darmo. Królewna ląduje – gdzie? Na zmywaku. Tu odpracuje wlaną do baku benzynę. Atmosfera w „Golden Lake”, bo tak się zwie restauracja, jest przyjazna, a płaca godna. Bieta postanawia na dłużej tu zakotwiczyć.

Pewnego pogodnego dnia na zapleczu, przy zmywaku pojawia właścicielka restauracji, nazwijmy ją Mrs. Goldman.

– Elizabeth, zdejmij fartuch.

Przez ciało Biety przebiega zimny dreszcz: będzie zwolniona?

– Dlaczego, Mrs. Goldman, mam zdjąć fartuch?

– Bo brzydko pachnie.

– Codziennie jest prany – odpowiada zielonooka i czuje drżenie w łydkach.

– Wiem. Zdejmij i tu masz mydełko, co pachnie ładnie fiołkiem. Umyj ręce.

– Ale ja mam czyste dłonie – Bieta ciągle próbuje się bronić.

– Ale brzydko pachną od pomyj. Szybko, włóż fartuszek.

Po chwili królewna staje w kelnerskim mundurku przed Mrs. Goldman. Okazało się, że zachorowała kelnerka, potrzebne nagłe zastępstwo.

– Widzisz tego *mister* przy tamtym stoliku?

Mrs. Goldman wskazuje dyskretnie eleganckiego mężczyznę z wydatnym nosem.

– Tak. Widzę, Mrs. Goldman.

– Będiesz jego obsługiwać. Tylko grzecznie i bardzo uprzejmie.

I Bieta obsługuje jegomościa grzecznie oraz bardzo uprzejmie. Ów wydatnonosy dżentelmen wodzi oczami za królową i na koniec daje sto dolarów napiwku. Sto dolców! Ponad trzy miesiące życia w Polsce! Siedzę samotnie przy barze, popijam La Islę Bonitę, patrzę jak wniebowzięta Bieta wraca na zaplecze ze zdobycznym banknotem. Chce się podzielić tipem z panią Goldman i resztą załogi.

– Zatrzymaj – mówi właścicielka. I dodaje, przymrużając oczy: – Wiesz, kogo obsługiwałaś?

– Nie.

– To był Meyer Lansky.

Zostawiam stosowny banknot z dziesięcioprocentowym napiwkiem na barze i wychodzę. Mój tip nie jest w stanie przebić szczodropliwości pana Meyera Lansky'ego, największego gangstera w USA, Żyda z Grodna. Ale to nie koniec przygody. Po paru dniach Mr. Lansky wrócił pod gościnny dach „Golden Lake”. Potem jeszcze raz przekroczył z dwoma ochroniarzami próg restauracji. I jeszcze raz. I jeszcze raz. Zawsze żądał obsługi *that girl from Poland*. Czyżby gangster zakochał się w Biecie? Tego już się nie dowiemy. Podczas kolejnej wizyty pan Lansky zaprosił królową do swojej posiadłości w Palm Beach. Miał ją odebrać z Lake Worth jeden z kwadratowych ochroniarzy, towarzyszących permanentnie gangsterowi. Bieta intensywnie rozważała, czy ma przyjąć zaprosiny. W końcu podjęła decyzję:

Pojadę i przeprowadzę z nim wywiad. Taka okazja nigdy może mi się nie napatoczyć. Tak, tak. Tak! Wywiad z gangsterem Meyerem Lansky'm!

Zadzwoiła pod ofiarowany numer i łamanym angielskim wydukała:

– *Yes, Mr. Lansky. I go to you tomorrow. Sunday.*

Ledwo odwiesiła słuchawkę, zdała sobie sprawę:

Jak ty, kobieto, chcesz przeprowadzić wywiad, nie znając języka?

Wykręciła ponownie numer.

– *No, Mr. Lansky. I no go tomorrow. I no go never.*

Kwadratowy ochroniarz nie przyjechał w niedzielę po królową z Palm Beach. W tę właśnie niedzielę przekręcił kluczyk w stacyjce i wyleciał w powietrze. Bombę podłożyła konkurencyjna mafia.

Mówi Bieta:

– Więc wyszło mi tylko na dobre, że nie znam obcych języków.

## 61.

Koniec amerykańskiej eskapady. Uciulany dla rodziny stosik dolarów spoczywa w kosmetyczce. Pożegnanie z dziadkiem Maksem. Stoję obok i patrzę. Oboje wiedzą, że już się raczej nigdy nie zobaczą. Nie będzie przymiotnikowych opisów. Zamiast skrzydlatych słów, które cisną się na klawiaturę, obiecuję Biecie, że razem odwiedzimy Sobienie-Jeziory, rodzinny sztetl dziadka Maksa Richmana-Mejłecha Rochmana. Pójdziemy na kirkut, pozostałość żydowskiego cmentarza. Dosyć.

– Wracaj, Elżunia, i pamiętaj być sobą.

Wraca przez Paryż. Tam spotyka się z Zygmuntem Hertzem, współzałożycielem paryskiej *Kultury*. Przy lampce bordeaux, w szczelinie plotek o pisarzach, poetach, pisarkach i poetkach, Bieta rzuca z lekkim zażenowaniem:

– Ja na szczęście nigdy nie będę ani prawdziwą poetką, ani prawdziwą pisarką. Nie będzie o mnie literackich plotek.

– Czyżby? Wiem, że piszesz.

– Takie tam cygańskie kawałki.

Ejże. Przecież, królewno, napisałaś w toalecie matrony cierpiącej na bezsenność opowiadanie o letnich koloniach inwigilowanych przez bezpieczeńkę.

– Dasz przeczytać?

Dała przeczytać. No i tekst ukazał się w *Kulturze*. Znacie już fragmenty tego opowiadania.

Pewnego dnia w słuchawce rozległ się głos Ani:

– Mamuś, wracaj.

Królewna natychmiast wróciła z kolorowego świata do swojego królestwa zakurzonego brudem, nieprawością i szarzyzną. Ale przede wszystkim wróciła do córki i męża.

Jerzy Ficowski był namawiany przez przyjaciół, by dołączyć do Komitetu Obrony Robotników. Powie poeta: „Nigdy nie dezertowałem. Mój udział w Powstaniu Warszawskim, mój udział w KOR-ze, to nie było pójście po drodze moich zamiłowań. To było spełnienie ciężkiego obowiązku, który sam sobie narzuciłem. Polityka nie jest moim miejscem, ale czasem trzeba się poświęcić, bo okoliczności



do tego zmuszają. Do polityki trzeba iść za głosem swoich zamiłowań albo zabaw w Indian. A ja ani nie bawiłem się w Indian, ani społecznikiem nigdy nie byłem. Kiedyś, w dzieciństwie łowiłem siatką motyle”..

– Jeszcze nie – mitygował się poeta. – Jak wróci żona z Ameryki. Teraz muszę opiekować się dzieckiem.

Żona wróciła i nie stało już poecie wymówek. Słowa Jana Józefa Lipskiego były żelazne:

– Obiecałeś?

– Obiecałem.

– Co cię jeszcze powstrzymuje?

– A tam... Nie jestem ani politykiem, ani działaczem, ani rewolucjonistą.

– Jacek, Adam, Antek są politykami. Wystarczy nam rewolucjonistów. Jerzy... Ja też nie jestem politykiem.

– Wiem – poeta tnie frazę.

Lipski wstaje z krzesła. Jest niewielkiego wzrostu. Zamyka drzwi do korytarza. To faux pas, bo za progiem stoi Bieta. Nie, nie przysłuchuje się nachalnie rozmowie, łowi jedynie strzępy słów. Nic nie szkodzi – ja zostałem w ciasnym gabinecie, by wysłuchać do końca dialogu.

– Jurek. Kiedy biją Cyganów, jesteś Cyganem. Kiedy biją Żydów, jesteś Żydem. Teraz biją tych, którzy nie zgadzają się na niesprawiedliwość.

Poeta przystąpił do KOR-u. Bieta chwyciła Anię za dłoń i wyszła z córką na rozkopane podwórko. Znajomy facet w skórzanej kurtce i ciemnych okularach ukłonił się dyskretnie. Kilku mężczyzn o podobnych fizis siedziało w brązowej ładzie i pilnie obserwowało drzwi klatki schodowej.

Tajne zebrania KOR-u odbywały się między innymi w mieszkaniu Anieli Steinbergowej, wybitnej prawniczki. Pani mecenas była leciwą działaczką społeczną. Broniła pokrzywdzonych przez aparat opresji, obojętnie, po której byli stronie ideowej. Nie mogło szlachetnej adwokatki zabraknąć w Komitecie Obrony Robotników. Mieszkanie pani mecenas mieściło się na Mokotowie. Na czas korowskich tajnych zebrań całe osiedle otaczano obstawą, tak gęstą, że w oczach robiło się niebiesko od milicyjnych suk. Poeta nie miał prawa jazdy, więc kierowcą była Bieta. Wozila męża na korowskie konwentykłe i siłą

rzeczy musiała się przykleić do opozycji, choć daleko jej było do polityki. Istnieją dwa słowa, które zielonooka ma wykute w sumieniu: poczucie przyzwoitości. Jakby to górnolotnie nie zabrzmiało – ten rys charakteru utwierdziła miłość do poety. A poza tym królewna uwielbia być czupurną rebeliantką.

Teraz, widząc błękitną kawalkadę milicyjnych nysek, sunącą na spotkanie z obrońcami sprawiedliwości i demokracji, chciałaby objąć męża i powiedzieć mu, że bardzo go kocha. Bo nie wiadomo, czy w mieszkaniu pani mecenas Steinbergowej nie czeka na opozycjonistów kocioł i czy poeta nie zostanie aresztowany. Cóż, jeśli tak się stanie, będzie mężowi przynosić paczki do więzienia i szeptać przez szybę rozmównicy, jak bardzo jest z niego dumna. A potem zielonooka zorganizuje poecie...

– Ucieczkę? Co ty mówisz, Bietko? Z jakiego więzienia?

– Kiedy cię zaaresztują.

Jerzy poprawia pas bezpieczeństwa na wątlej piersi.

– Daj spokój, kochanie.

– Uciekniemy do Cyganów.

– Co? Jak?

– Twoim wozem.

Jak już wiadomo, Cyganie ofiarowali Ficowskiemu prawdziwy taborowy wóz. Kolorowy, niczym z przeboju Maryli Rodowicz, niczym z opisów książki *Cyganie na polskich drogach*, niczym z baśni *Gałązka z Drzewa Słońca*.

– I co? – pyta poeta.

– Będziemy się ukrywać w taborze.

Jerzy jeszcze raz poprawia pas bezpieczeństwa na chudej piersi.

– Bietko. Przecież wiesz, że Cyganie już nie wędrują w taborach.

Fakt: komunistyczna władza zakazała Romom taborowych wędrowek. Chciała ich na siłę ucywilizować, wyrrywając korzenie zwyczaju i tradycji. Królewna milczy. Pozostają więc paczki niesione za kraty.

Na szczęście milicyjna obława mieszkania pani mecenas okazała się jedynie manifestacją siły. Ale coś się wydarzyło. Jakiś nieznany sprawca odkręcił koło w samochodzie Ficowskich. Drobiazg. Jednak na tyle znaczny, że już w parę godzin później o „zamachu na życie Jerzego Ficowskiego” trąbiło Radio Wolna Europa.

## 62.

– Jerzy. Popatrz, nie mamy czujki przed blokiem.

Brązowa łada z tajniakami gdzieś odjechała.

– Jerzy. Popatrz, mamy nowych aniołów stróżów.

Brązową ładę produkcji radzieckiej zastąpił polonez polskiej produkcji. Ale skład pasażerów raczej się nie zmienił. Zmieniła się jedynie częstotliwość esbeckiej obserwacji. Był rok 1980. Hasło głoszone przez Komitet Obrony Robotników „solidarność i wzajemna pomoc” przemieniło się w larmo: „nie ma wolności bez Solidarności!”. Pozorna wolność trwała jedynie półtora roku.

– Jerzy. Popatrz, telefon popsuty.

Słuchawka zamilkła, jakby ją ktoś udusił.

– Jerzy. Popatrz.

W telewizorze generał Jaruzelski na tle przekrzywionego sztandaru z przekrzywionym orłem.

– Jerzy. Popatrz, mamy znów obstawę przed blokiem. O, nawet dwa samochody?

Walenie do drzwi. Ania płacze. Do mieszkania przy Bacha wkracza sześciu mężczyzn. Czy jest wśród nich znajomy „dżentelmen”, ten który wyciągał Biecie samochód z błota i stał w kolejce po banany? Chyba tak. Trzech tajniaków zamyka się z poetą w jego gabinecie. Rewizja. Trzech obstawia Bietę. Robi się groźnie, ale zielonooka jakoś dziwnie nie przejmuje się swoją sytuacją. Bardziej obchodzą ją przerażenie córki i obawa o męża. Przez głowę szybko przebiegają myśli:

Jak sobie poradzę sama, jeśli zabiorą Jerzego w nieznane? Dam radę.

To nieprawda, że zielonooka ma niefrasobliwy charakter. Kiedy trzeba jest żelazna i sprytka. Owszem, Bieta traktuje rzeczywistość jak fabułę, która musi prowadzić do szczęśliwego zakończenia, ale to nie znaczy, że jest naiwna i pochopna. A co na to milczący i skryty za burymi chmurami Wielki Scenarzysta, który uwielbia snuć intrygę wbrew naszym oczekiwaniom? Czy w Jego zamyśle jakąś rolę odgrywa szpicel, który powolnym ruchem zagarnia krzesło, siada na nim okrakiem, wbijając wodniste spojrzenie w nieruchomą twarz Ficowskiej. Za oknem prószący lekki śnieżek. Bieta ma wrażenie, że czas się cofnął, że tajniak o przeźroczywych źrenicach to klon tamtego szpicla z Pałacu

Mostowskich, który w 68 roku chciał ją upokorzyć podczas przesłuchania. Czy tajniak zaraz otworzy cienkie wargi i będzie ją wyrzucał z Polski do Izraela? Nie, tamten był chudy jak szczapa, ten jest gruby i spocony, choć za oknem mróz, a w mieszkaniu nie grzeją kaloryfery. Płatki śniegu jak skrawki grozy sypią się na Warszawę.

– Pani nie wie, że my się orientujemy, kto to jest „Irena Borowiecka”?

Drugi tajniak pochyła się nad szufladą komody. W szufladzie leży w teczce spis adresów kontaktowych, które, broń Boże, nie powinny wpaść w ręce bezpieki. Ten od szuflady już ma sięgnąć po teczkę, ale wstrzymuje gest, bo chce spojrzeć na reakcję Ficowskiej.

– „Irena Borowiecka”? Nie znam – odpowiada spokojnie zielonooka.

– Pani nie zna samej siebie? Bardzo zręczny antypaństwowy tekścik napisała pani do paryskiej *Kultury*.

– Naprawdę? Nie pamiętam. – Uśmiecha się królowa.

Dłoń tego od szuflady jest coraz bliżej tajnej teczki. Patrzę na trzeciego szpicla, „dżentelmena”, tego od samochodu i bananów. Ktoś z nieba sypie obojętnie śnieg.

– Nie pamięta pani „Ireny Borowieckiej”? To my pani chętnie przypomnimy – naciska ten gruby i spocony o przeźroczystrych oczach.

– A pan jest krytykiem literackim?

Ten od komody i teczki zamienił się w słup soli, tak go zaciekał dyskurs. „Dżentelmen” delikatnie zasuwa szufladę. Stara się nie patrzeć na zielonooką. Sekretne zapiski wchłania na powrót czeluść komody. Czy ten zwrot akcji umyślił Wielki Scenarzysta, czy to gra przypadku? W każdym razie ów epizod skończył się happy endem. Poeta nie został internowany. Sześciu dziarskich esbeków odjechało w śnieżny ranek. Ania przestała płakać. Ale stan wojenny nie był pogodną fabułą. Odebrano nadzieję. Zatkano kneblem usta. Polała się krew, aresztowano dziesięć tysięcy osób, w tym trzysta kobiet. Wśród nich znalazła się z czasem Barbara Sadowska, matka Grzesia Przemyka, przyjaciółka Biety. Ktoś zamknął czas i przestrzeń w szklanej kuli, jak w więzieniu.

Tak – Bieta znała się z Grzesiem Przemykiem i jego matką od dawna. Barbara była kruchą, nadzwyczaj wrażliwą kobietą, poetką, samotną matką, która jak drżąca baletnica stąpała po wątej linie fatum. Teraz siedzi skulona na pryczy w więzieniu przy Rakowieckiej. Przyciska palcami skronie. Czaszkę rozrywa ostry ból. Barbara przeszła kilka ciężkich operacji głowy. Zielonooka budzi się w środku nocy i widzi

na ścianie lepki cień. Poprzedniego dnia dowiedziała się od Grzesia Przemyka, że jej przyjaciółkę dopadają w więzieniu ataki. Bieta kładzie dłoń na słuchawce, wykręca numer ze śródmiejskim prefiksem. Już od jakiegoś czasu łaskawie pozwolono telefonować, ale rozmowy są kontrolowane. Telefon Ficowskich jest od dawna permanentnie podsłuchiwany.

– Grześ? Tu Bieta.

– Tak, ciociu... – odzywa się zaspany głos.

– Szykuj paczkę dla mamy. Wiesz, co Basia lubi. Jakiś krem, kosmetyki i środki przeciwbólowe. Papierosy. Może coś słodkiego. A, i ten kolorowy szalik. Koniecznie.

– Ciociu, ale mama jest... Paczka? Ostatnim razem powiedziano mi, że mama nie dostanie nawet wypiski. Taki rozkaz naczelnika.

– Niech pan naczelnik wsadzi sobie w tyłek swoje rozkazy. Szykuj paczkę, a ja postaram się, żeby Basia wylądowała w szpitalu.

– Ale...

Nie ma „ale”. Szybkie śniadanie, szybka wizyta u pani mecenas Steinbergowej. Przez tykanie zegara przezierają półszeptu.

– Szpital? Paczka? – Steinbergowa marszczy czoło. Lekko drżącymi palcami poprawia dostojną siwiznę. – Pani Elżbieto. I paczka, i lekarz – to są decyzje samego naczelnika więzienia. Wie pani, jak przekroczyć te wysokie progi?

– Nie wiem.

– Trzeba złożyć podanie i czekać kilka tygodni na łaskawą odpowiedź. Po kilku tygodniach otrzyma pani pismo, że „obywatel naczelnik nie może się spotkać z obywatelką Ficowska Elżbieta ze względu na zaistniałe okoliczności odmowne. W załączeniu stwierdza się, że przedmiotowa sprawa przekazania paczki osadzonej Sadowska Barbara została rozpatrzona negatywnie. Ponadto nadmienia się, że osadzona znajduje się pod należytą opieką więziennego lekarza, który wydał zaświadczenie, że osadzona jest w stanie zdrowia dobrym”. Nie da się, pani Elżbieto. Nie da się.

Da się. Pomysł, jak przedostać się przez więzienne mury i stanąć przed łaskawym obliczem naczelnika więzienia, królowa zaczerpnęła z fabuły serialu *Arsène Lupin*, który aktualnie był wyświetlany w telewizji.

– Jerzy, gdzie jest pudełko z moimi wizytówkami?

– Tam, gdzie zawsze.

– To znaczy?

– To znaczy tam, gdzie zawsze. W szufladzie obok twojej łyżeczki.

Łyżeczka... Srebrna łyżeczka... Jak dawno jej nie dotykałam... „Elżunia. 5-I-1942”..

Bieta układa obok talizmanu stosik wizytówek: „Elżbieta Ficowska. Mgr psychologii”. „Elżbieta Ficowska. Stołeczna Estrada”. „Elżbieta Ficowska. Związek Polskich Autorów i Kompozytorów”. „Elżbieta Ficowska. Związek Autorów i Kompozytorów Scenicznych”. „Elżbieta Ficowska. Pedagog”.

Królewna wstała wcześniej rano. Umalowała się jak poważna dama. Ubrała się w stateczną garsonkę. Zabrała paczkę dostarczoną przez Grzesia. Zamknęła ową w bagażniku niebieskiego fiata. Pojechała na Rakowiecką. Zaparkowała przed więzienną bramą i pomyślała: „co dalej?”. A dalej było tak: więzienna brama uchyliła się przed jakąś furgonetką dostawczą. Bieta prześliznęła się pieszo do środka pierdła. Pewnym krokiem weszła do biura przepustek. Za brudnym okienkiem trzymała wartę baba od przepustek. Królewna już miała przygotowaną wizytówkę z bogatego zbioru. Zdecydowała się na „Elżbieta Ficowska. Związek Autorów i Kompozytorów Scenicznych”. Jakby nie było – uczestniczyła poniekąd w quasi utworze scenicznym. Baba od przepustek zerka na wizytówkę i pyta:

– O co chodzi?

Bieta odpowiada:

– Z naczelnikiem. Natychmiast.

Baba od przepustek robi minę trudną do określenia.

– Zaczekać.

Baba od przepustek idzie. Wraca. Mówi:

– Naczelnik czeka.

Bieta wchodzi do gabinetu naczelnika więzienia. Wizytówka ZAiKS-u leży na biurku. Naczelnik więzienia reprezentuje nieszczególną urodę. Pyta:

– O co chodzi?

Zielonooka mówi tonem twardym i pewnym siebie:

– Osadzona Sadowska Barbara jest chora.

Oczy naczelnika robią się okrągłe i to nie przydaje naczelnikowi uroku.

– Co???

Bieta kontynuuje:

– Potrzebny jest natychmiast lekarz. Lekarz ma natychmiast wypisać zaświadczenie. Osadzona musi być hospitalizowana. Natychmiast.

Naczelnik zerka na wizytówkę Związku Autorów i Kompozytorów Scenicznych i w tym momencie chyba nie potrafiłby odpowiedzieć, ile to jest dwa razy dwa, czy słońce krąży wokół ziemi, czy jest odwrotnie, ba, chyba nie potrafiłby przypomnieć sobie, jak się nazywa. Dodatkowo twarz naczelnika więzienia zaczyna zmieniać kolory. Wreszcie naczelnik odzywa się tym swoim rozjuszonym:

– Co???

Bieta zabiera wizytówkę z biurka. Odwraca się na pięcie. Przy drzwiach rzuca od niechcienia przez ramię:

– Jeszcze coś.

– Co?!

– Mam paczkę dla osadzonej.

Naczelnik podnosi z widełek słuchawkę.

– Fabisiak? Przyjąć paczkę od pani Ficowskiej.

– Paczka jest ciężka. Mam ją w samochodzie przed bramą – wtrąca Bieta.

– Fabisiak? Idźcie za bramę, żeby pomóc pani Ficowskiej.

Klawisz Fabisiak i członkini Związku Autorów i Kompozytorów Scenicznych Elżbieta Ficowska są za bramą, przy niebieskim fiacie. Bagażnik otwiera się za pomocą wajchy przy fotelu kierowcy.

– Panie Fabisiak, pan mi pomoże z tą wajchą.

Fabisiak mocuje się z tą wajchą. Zabiera paczkę z bagażnika. Bieta pyta:

– Ciężka?

– No letka nie jest.

Barbara będzie leczona w szpitalu. Pani mecenas Aniela Steinbergowa będzie korzystać z usług królowny nie raz, nie dwa, nie trzy.

## 63.

Kim jest ten facet w nijakiej, szarej kurtce? Nie znam go. Jeszcze nie występował w tej opowieści. Zmierza do klatki. Nie jestem

wszechwiedzącym narratorem, ale jestem prawie przekonany, że to nieprzyjazna postać. Czy wpiszę go do rejestru ról w rubryczce „antagoniści i czarne charaktery”? Jeszcze nie mam pojęcia. Ta fabuła jest spójna z życiem mojej głównej bohaterki: ile w tej osnowie przypadku, a ile zaplanowanych przez Wielkiego Scenarzystę epizodów? Może jednak Pan Bóg nie ukrył się w nonsensownej nicości. Może krąży tu gdzieś. Jednak nie widzę Go. Widzę łysawego gościa w szarej kurtce... Mam cię! Już wiem, że to szpicel: nosi milicyjne buty. Niby zmyślnie ukrył cholewki z charakterystycznymi sprzączkami w nogawkach brązowych spodni, ale ja pamiętam świetnie krój tych buciorów. Mają tępe zelówki. Nie jestem żadnym detektywem, ot, wspomnienie z czasów komuny. Pójdę za nim, bo już jestem na sto procent pewien, że zaraz szpicel stanie przed drzwiami Ficowskich. Ania na koloniach, Jerzy w Oborach pracuje dyskretnie nad zbiorem poezji, który ma być wydany w podziemnym piśmie *Wezwanie*. Mijam mężczyznę, wspinając się po schodach. Wnikam przez drzwi do mieszkania. Zielonooka stoi zamyślona przy oknie, ćmi papierosa. Nie będę rozwikływał jej rozwichrzonych myśli, trzeba zachować odrobinę szacunku dla dramatis personae. Z niewielkiego radyjka dochodzi przytłumiona piosenka Maanam. Kora skarży się, że chmury wiszą nad miastem, że jest ciemno i wstać nie może, więc znika i kuli się w sobie... Skargę przerywa ostry dzwonek u drzwi. Myśli Biety rozpryskują się. W niewielkim krążku wizjera majaczy twarz nieznanego mężczyzny. Zielonooka zamiera i zastanawia się, czy otworzyć drzwi. Jeśli nie otworzy, nie stanie twarzą w twarz z tym w szarej kurtce, nie stanie twarzą w twarz z niewiadomą. Więc otwiera.

– Tak, słucham pana.

Nieznajomy nic nie odpowiada. Wyjmuje milicyjną legitymację. Próbuję odczytać jej treść, ale nie mam szans, bo dokument znika w kieszeni kurtki tak szybko, jak się pojawił. Tajniak stoi uparcie i nie zamierza odejść. Bieta usuwa się z progu, ciekawa dalszego ciągu najścia. Mężczyzna omija ją, bezceremonialnie wkracza do salonu. Ewidentnie zna plan mieszkania. Za nieznajomym rozciąga się smuga nieprzyjemnego zapachu. Stoją przy stole. On nadal milczy. Siada. Wyjmuje z kieszeni notatnik, długopis. Coś pisze na wyrwanej kartce. Podaje Biecie. Zaglądam przez jej ramię. Czytam:



„W Chotomowie, w klasztorze będzie kocioł. Chcą zlikwidować nielegalną drukarnię. Będą aresztowania”

I tyle. Mężczyzna wstaje. Wyławia z kurtki zapalniczkę. Podpala notatkę i wrzuca ją do popielniczki. Odczeka, aż papier zamieni się w popiół. Wychodzi z mieszkania bez słowa. Bieta patrzy na zwęglone resztki. Kora jeszcze przed chwilą zwierzała się, że wstać nie może, znika i kuli się w sobie. Jerzy w Oborach. Kuroń w więzieniu. Zielonooka patrzy na telefon. Może zadzwonić do Basi Sadowskiej, która wyszła z więzienia? Nie zadzwoni – telefon na podsłuchu. Zielonooka jest już za drzwiami. Już jest w aucie.

Liceum Sióstr Felicjanek w Marysinie Wawerskim. Ulica Azaliowa. Tam, gdzie królewna zaliczyła rok edukacji pod opieką zakonnicek. Teraz felicjanki przydadzą się w zupełnie innej misji.

– Proszę siostry. Potrzebny mi natychmiast habit.

– Tak?

Siostra dyrektorka ma nieruchomą twarz i bardzo ruchome myśli.

– Tak, habit.

– Habit? Zakonny? – chce się upewnić siostra dyrektorka.

– Habit. Zakonny – potwierdza Bieta, dodaje: – I jeszcze potrzebna mi jest wasza nyska dostawcza.

– Znaczy się nasza furgonetka?

– Znaczy się wasza furgonetka. Ma zakonne blachy?

Siostra dyrektorka próbuje z trudem uporządkować rozproszone myśli.

– Co to znaczy „zakonne blachy”?

– Czy rejestracja jest wystawiona na zakon?

– Tak.

– Świetnie. – Bieta chce zapalić papierosa, ale nie zapala. Szkoda czasu.

Mówi szybko:

– I jeszcze poproszę o jakąś młodą siostrę.

– Młodą?

– Tak.

– Też w habicie?

– Oczywiście.

Siostra dyrektorka ma na ustach listę innych pytań. Nie zadaje ani jednego. Woła w stronę drzwi sekretariatu:

– Sostro Andżelo! Proszę tu natychmiast!

I już koła zakonnej nyski buksują na wyjeździe z klasztoru. Siostra Andżela ma jakieś dwadzieścia trzy lata. Jest blada i śliczna. Drżącymi palcami przesuwając paciorki różańca. Za kierownicą – Bieta w habicie. Raz po raz rzuca okiem we wsteczne lustro. Sprawdza, czy nie ciągnie za sobą esbeckiego ogona. Raz po raz odpala papierosa od papierosa. Raz po raz z ust królowny wyrывa się siarczyste:

– Kurwa mać, ja pierdolę...

– Zdrowaś Maryjo, łaskiś pełna... – szepcze siostra Andżela.

I tak mniej więcej przez godzinę, bo tyle trwa droga od felicjanek z Marysina do sióstr Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w Chotomowie, gdzie chłopaki z podziemnej Solidarności drukują na powielaczach antypaństwową bibułę. Rozpoznaję to miejsce, ten klasztor. To tu została w czasie wojny ukryta przed Zagładą żydowska dziewczynka, Hania Paprocka. Ale to było czterdzieści lat temu. Teraz jest inna wojna. Nie tak straszna, choć wydaje się, że ktoś potrząsa wrednie szklaną kulą, w której zakonna furgonetka hamuje z piskiem przed klasztorem. W nysce – Bieta w habicie, z papierosem w ustach. Obok tkwi półprzytomna, rozmodlona siostra Andżela.

Drukarze uchronieni. Cenne powielacze ocalone. Trefny towar i konspiratorzy wywiezieni przez zakonną nyskę w bezpieczne miejsce. Kim był tajniak w szarej kurtce i milicyjnych butach? Proszę łaskawie nie mnie o to pytać. Kora ciągle czeka na wiatr, co rozgoni ciemne skłębione zasłony, może wtedy wstanie na raz, ze słońcem twarzą w twarz...

## 64.

Płatki unoszące się w szklanej kuli przybrały barwę krwi.

Już wspomniałem, że Bieta знаła się z Grzesiem bardzo długo, a z Barbarą była gorąco zaprzyjaźniona. Poniekąd uczestniczyła w jej skomplikowanym życiu samotnej matki. Pewnego dnia zielonooka przyprowadziła poetkę do kawiarni Związku Literatów. Barbara – krucha, wiotka, dyskretna w słowach i gestach, podobna do swych ulotnych wierszy – przychodziła do Literatów razem ze swoim

kilkuletnim synem. Wtedy Grześ chował się pod stołem. Jerzy pochylał się i z uśmiechem zagadywał do chłopca:

– Przed czym się kryjesz?

– Przed wszystkim – odpowiadał Grześ.

Wtedy poeta gasił uśmiech i już o nic nie pytał. Przenosił spojrzenie na Basię i widział na jej obliczu maskę Ananke. Smutek bogini nieuchronności przyrósł do twarzy kobiety na stałe. Jeszcze Barbara próbuje zakryć żal papierosowym dymem, ale sina chmura nie jest w stanie jej otulić.

Niewielkie mieszkanie na ulicy Hibnera, dziś na ulicy Zgoda, w samym sercu miasta, było domem otwartym. Drzwi zawsze gościnnie dla przyjaciół, poetów, opozycjonistów, młodszych i starszych. Jest taka płyta Brela, ostatnia, nagrana przed śmiercią barda. Na okładce chmury i niebo. A na tej płycie piosenka, w której Jacques zwraca się do Pana Boga ze skargą, iż gdyby był dobrym Bogiem, pozwoliłby starcom zmierzać tanecznie do nieba, ułomnym spaliłby kule, nie skąpiłby nikomu nieba. Ale nie jesteś dobrym Bogiem, śpiewa w rytm walca Brel. Jesteś kimś lepszym. Jesteś człowiekiem. U Barbary słuchało się Brela. Myślę, że ta niebiańska płyta rozbrzmiewała w mieszkaniu przy Hibnera, a Barbara świetnie rozumiała słowa pieśni, bo urodziła się w Paryżu. Tak się jej życie uścieliło, iż właściwie najbliższym człowiekiem dla poetki był jej syn. Skoro dobry Bóg jest człowiekiem, to Bóg jak człowiek skazany jest na cierpienie.

Grześ był ze wszystkimi na „ty”. Oprócz Biety. Uczestniczył w towarzyskich spotkaniach, wcześniej dojrzał, pisał wiersze. Przyjaźnił się z Bietą i chyba był w nią zapatrzony. Zaprosił zielonooką na swoją osiemnastkę. Bieta oparła lewą dłoń na ramieniu chłopca, w prawą ujęła kieliszek z wódką.

– Jesteś już dorosły. Możemy przejść wreszcie na „ty”

Grzegorz pokręcił głową.

– Nie chcę. Będziesz dla mnie „ciocią”, zawsze. – I dodał po chwili: – Aż do śmierci.

Bieta przytaknęła, zrezygnowała z bruderszaftu, odstawiła kieliszek z wódką.

Królewna nie przepada za alkoholem. Po pierwsze, bardzo kręci się jej w głowie. Po drugie, w dziwny sposób czuje się odpowiedzialna za resztę podpitego towarzystwa. Woli być na wszelki wypadek trzeźwa.

Kiedyś miała taki sen: zajechała samochodem na koniec świata. Niebieski fiat zawisł na krawędzi rzeczywistości. Nagle we Wszechświecie pojawił się mały plastikowy samolocik wypełniony po brzegi rozbawioną, w dym pijaną młodzieżą. Trwała balanga na całego, tańczono do landrynkowego hitu Abby. Dzieciarnia woła „do nas, do nas!”. Plastikowy disco-samolot-zabawka krąży wokół, ktoś zrzuca linę, na której Bieta i jej niebieski fiat mają być holowani w Kosmos przez plastikową zabawkę. Lecz nagle okazuje się, że samolocik ma za małą moc. Niebiańska dyskoteka zaraz runie w nicość. Królowa włącza silnik, by ratować dzieciarnię. Lecz samochód także jest bezsilny. Bieta zaczyna grać na werblu w rytm *Dancing Queen*, bo tylko tak utrzyma silnik w ruchu i uniknie katastrofy. Jeśli przestanie bębnić, wszyscy spadną w przepaść. Więc Bieta gra na werblu, ile sił starczy. Trwa nieskończone tremolo. W ten sposób trzeźwa zielonooka ma cały świat na głowie.

Ciociu. Nie mam krawata na maturę.

- Może być aksamitka?
- O. Nawet lepiej. Nie cierpię krawatów.

Maj. Kwitną bzy. Matury. Lipy jeszcze nie kwitną. Gdyby kwitły, ich pyłki byłyby czerwone. Bieta jest w Oborach. Pisze jakąś bajkę. Dziś już nie pamięta jaką. Dzwoni telefon. W słuchawce głos Barbary:

- Pobili Grzesia. Bardzo.

Grzegorza skatowano na milicyjnym komisariacie. Stare Miasto. Jezuicka 1/3. Bieta jest już przy Sadowskiej i nie odstępuje przyjaciółki na krok. Szpital na Solcu. Druga doba. Grześ jest operowany. Siedzą na korytarzu. Barbara zeszywniała z bólu i rozpacz. Papieros. Pielęgniarka:

- Tu się nie pali, proszę pani. To oddział intensywnej terapii.
- Wiem. Przepraszam.

Bieta:

- Nie przepraszaj.

Uchylają się drzwi sali operacyjnej. Chirurg. Jego oczy. Szkliste od łez.

- Proszę pani. Nie miałem czego operować. Wewnątrz miazga. Na zewnątrz ani śladu pobicia.

Bito tak, żeby nie było śladu. Grzegorz Przymyk zmarł 14 maja 1983 roku. Trzy dni przed swoimi dziewiętnastymi urodzinami odszedł syn

Barbary Sadowskiej, poetki.

Wokół mieszkania na Hibnera zaczyna się kręcić tłum esbeków. To jest całkowicie nielegalna inwigilacja. Barbara dzwoni do Biety.

– Nie mogę nawet psa wyprowadzić.

Bieta dzwoni do Karola Małcużyńskiego, juniora. Na widok dziennikarza brytyjskiej BBC tajniacy gdzieś się ulatniają. Barbara może wyprowadzić psa.

Telefon ze szkoły Ani.

– Pani Ficowska?

– Tak.

Chryste. Czy coś się stało? – Ciało Biety drętwieje.

– Proszę pani. Ania jest arogancka.

Kamień z serca. Nic się na szczęście córce nie stało. Ania siedziała na stoliku i opowiadała kolegom prawdę o śmierci Grzegorza. Inną niż głosili *Dziennik Telewizyjny* i rzecznik rządu.

Pogrzeb. Wcześniej wizyta na plebanii księdza Popiełuszki. Kapelan Solidarności będzie trzymał pieczę nad żałobną uroczystością, która przerodzi się w narodową demonstrację. Trzeba znaleźć kryjówkę dla Cezarego. Cezary jest jedynym naocznym świadkiem pobicia Grzegorza przez funkcjonariuszy MO. Władza nie chce naocznych świadków. Władza chce zamieść wszystko pod dywan i zwalić winę na sanitariuszy pogotowia. Bieta obwozi Cezarego po Warszawie, by go ukryć. Klasztor dominikanów. Przeor:

– A kto to jest dla pani?

– Człowiek.

Zakonnicy nie ukryją świadka. Jeszcze starsze małżeństwo, jakaś willa. Tu także odmowa. Wreszcie jacyś ludzie znajdują schronienie dla chłopaka. Powie prokurator:

– Proszę pani, ja odpowiadam za życie świadka tylko na terenie prokuratury.

– A poza terenem?

– Nie odpowiadam.

Barbara Sadowska będzie dochodziła prawdy o śmierci syna przez trzy lata. Po trzech latach umrze. Płatki unoszące się w szklanej kuli przybrały barwę zakrzepłej krwi.

## 65.

Zachrypnięty głos w słuchawce:

– Bieto. Jesteś mi bardzo potrzebna.

Z drugiej strony – cisza.

– Jesteś tam, Bietko?

– Jestem.

– Powtarzam: Jesteś mi potrzebna. Musisz mi pomóc.

Przez ciało królewny przebiega zimny dreszcz. Zachrypnięty głos w słuchawce to głos Jacka Kuronia. Jacek Kuroń nie siedzi w więzieniu, nie ukrywa się przed bezpieczeńką, nie pisze artykułów do podziemnej prasy, nie rozważa systemu.

– Jak mam ci pomóc, Jacku? Gdzie?

– W Ministerstwie.

– Ale...

– Nie ma „ale”. Bieto. Pędzi pociąg Historii. Albo wskakujesz do niego i prowadzisz na bezpieczne tory, albo patrzysz, jak ten pociąg się wykoleja.

Jacek Kuroń został ministrem pracy i polityki socjalnej. Jest wrzesień 1989 roku. Komuniści ustępują miejsca swoim dawnym wrogom. Premierem zostaje Tadeusz Mazowiecki i powołuje do rządu opozycyjnych działaczy. Jeszcze nic do końca nie wiadomo, jeszcze w resortach bezpieczeństwa rządzą peerelowscy czynownicy, jeszcze na czele państwa w roli prezydenta zasiada generał Jaruzelski, jeszcze wojska sowieckie stacjonują w Polsce, jeszcze system trzyma się w posadach, choć chwieje się i pęka w szwach, gospodarka jest bliska zawału, niczym nowy premier podczas sejmowego exposé. Ale już podobno „jesteśmy we własnym domu”. Ten dom trzeba jakoś pozamiatać i urządzić na nowo. A remont będzie kosztowny, bolesny, czasami niesprawiedliwy, bo reformy muszą iść na skróty – inaczej dom się całkowicie zawali. Trzeba zwykłych ludzi jakoś ochronić przed ciernistymi skutkami przejścia z socjalizmu do kapitalizmu. Na ulicach kwitnie uwolniony handel, w głowach rodaków buzuje oswobodzona przedsiębiorczość, zaczyna być mniej szaro i smrodliwie. Lecz kapitalizm

pokazuje cichcem ostre kły. Będą padać nierentowne wielkie zakłady pracy, niewydolne pegeery zamknie się na cztery spusty, nie wszyscy będą umieli stanąć na nogi i utrzymać się w pionie na chwiejnym, nieznanym gruncie. Odpryskiem przemian będzie słowo dotychczas nieobecne w języku Polaków: „bezrobocie”. Trzeba się zająć tymi, których „pociąg Historii” chce rozjechać na miazgę. Zachrypnięty raptus w dżinsowej koszuli, z nieodłącznym termosem, w którym chlupie stawiająca do pionu więzienna herbata, mistrz świata empatii, guru sprawiedliwości, ma być tarczą ochronną dla ofiar owej golgoty ustrojowych przemian. A kim ma być zielonooka Bieta?

- Moją rzeczniczką i doradcą.
- Jacek. Ja się nie znam na urzędowaniu.
- A ja się znam?
- Ja nigdy nie przykładałam do niczego pieczętek.
- Ja też.

Bieta odpowiada grobowym milczeniem.

- Zgadzasz się czy nie? Raz dwa, bo nie mam czasu.

Dobrali się jak dwa ziarnka w korcu maku. On raptus, ona w gorącej wodzie kąpana. On wielbiciel rewolty, ona miłośniczka przygody. On patrzy, jak za oknem Ministerstwa przy ulicy Brackiej wiruje foliowa torebka, ale nie spada na jezdnię. Wiatr unosi ją w powietrze i miota bezładnie gdzieś w dal. Bieta wpatruje się w oczy męża. Widzi w nich iskrę zachęty i aprobaty. Skąd Jerzy mógł odgadnąć, o czym jest mowa przez telefon? Ze strzępków słów. A poza tym poeci umieją czytać między wierszami.

- Zgadzam się – mówi Bieta.
- Brawo. Zaraz przyślę po ciebie rządową lanię.
- Co??? Jacek, nie rób mi wstydu. Co sąsiedzi powiedzą?

Pojechała własnym autem. Bieta, zielonooka królowa w randze ministerialnego rzecznika pierwszego demokratycznego powojennego rządu. Foliowa torebka pofrunęła nad Bracką, chyba w stronę wrześnieego słońca.

Widzę go tak: ma trochę przydużą marynarkę z zagnieceniami na rękawach, bo to był strój nie tylko służbowy, ale i całkowicie prywatny, noszony poza pracą. A trzeba wiedzieć, że luzackim sznytem w tamtych czasach było zawijanie rękawów marynarki. Tak się nosili twardziele w filmach Pasikowskiego, a także początkujący biznesmeni.

Do tego mokasy, białe skarpetki i nieodłączne radio samochodowe wyjęte z gniazda, żeby nie kusić złodzieja i nie wprawiać nowej szyby w aucie. Nazwę go sobie imieniem „Roman”. Pan Roman – dotychczasowy peerelowski rzecznik Ministerstwa – oczywiście nie nosił białych skarpetek i nie dzierżył samochodowego radia, to byłaby przesada. Wystarczą widoczne zagniecenia na rękawach marynarki i złężnione oczy sarny, która czuje wymierzoną w siebie lufę. Myśliwym miałyby być Elżbieta Ficowska.

– Co pan robi?

– Odkręcam wizytówkę.

Zaiste, pan Roman odkręcał śrubokrętem tabliczkę ze swoim nazwiskiem i funkcją z drzwi gabinetu.

– Niech pan to na razie zostawi – Bieta zerka na wywieszkę i szybko dodaje: – panie Romku.

Dłoń ze śrubokrętem zwisa bezwładnie.

– Tak, proszę pani.

Nowa pani rzecznik wyciąga rękę na powitanie.

– Ficowska. Elżbieta. Dla przyjaciół Bieta.

– Tak... pani...

Pan Roman nie ma pojęcia, co zrobić ze śrubokrętem. Przekłada go z dłoni do dłoni.

– Bieta. Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi.

– Ale ja...

– Roman. Jest prośba.

– Tak... – mężczyzna wydusza z siebie: – pani Bieta... Khm... Bieta...

– Pokażesz mi, jak to się robi. Te wszystkie pieczętki, raporty, całą tę cholerną papierologię. Kompletnie się na tym nie znam. Dobrze?

– Ale ja przecież już tu nie będę...

– Będiesz, będziesz. Jacek nikogo nie zwalnia.

– Taaak?

– Tak. Będiesz moim zastępcą.

Oczy namierzonej sarny robią się tkliwe i wdzięczne.

– Daj mi ten śrubokręt, bo sobie jeszcze krzywdę nim zrobisz.



I ruszył remont domu. Polska zaczęła stawać z trudem na własnych nogach, chwiejąc się, wykrzywając twarz z bólu, protestując, krzycząc, strajkując, odganiając uśpione demony, ale wierząc, że zasłużyła sobie na orła w koronie, wolność i demokrację. Kuroń gardłował na posiedzeniach rządu, że ekonomia musi mieć ludzką twarz, że trzeba pochylić się nad losem prostych ludzi, a nie tylko straszyć sloganem „teraz twój los jest w twoich rękach”. Dla wielu własny los nie był wyzwoleniem, a przekleństwem. Utopia wolnego rynku tu i ówdzie okazała się gehenną. Bo nie każdy robotnik wyrzucony za bramę bankrutującej fabryki potrafił przeobrazić się w biznesmena. Takimi nieszczęśnikami trzeba było się zająć systemowo i temu służyła przeforsowana przez ministra w dżinsowej koszuli ustawa o zasiłku dla bezrobotnych zwana „kuroniówką”. Minister-idealista przywdziewał kucharski fartuch i z wielkiego gara częstował zupą bezdomnych, którzy coraz częściej pojawiali się na ulicach coraz bardziej roziskrzonych Warszawy. Minister-romantyk pojawiał się co tydzień w telewizyjnym okienku i swoją zniewalającą chrypą, charyzmą i prostym językiem próbował przekonać wątpiących, że jest sens, że trzeba zacisnąć zęby, no i że nie można być obojętnym wobec nieszczęścia, które kryje się w sąsiedztwie. Trzeba pomóc żyć tym, którym nie starcza nadziei. Przez jednych minister-od-zupy-dla-bezrobotnych był kochany, przez drugich wyszydzany.

I wtedy minister Jacek sięgał po termos z mocną jak siekiera herbatą, wołał swoją rzeczniczkę do gabinetu i chrypiał skargą:

- No właśnie taka jest demokracja, Bietko.
- Czyli jaka?

Zamyślił się minister-od-naprawiania-świata. Rzekł:

- To taki ustrój, który gwarantuje nam, że nie będziemy rządzani lepiej, niż na to zasługujemy.

Bieta wyłowiła swoim zielonym spojrzeniem czerń lepiącą się do okna. Uświadomiła sobie, że jest już późno, że powinna wracać do domu, by pocałować Anię w policzek na dobranoc, pogłaskać Jerzego po łysinie na szczęście. Ale tyle papierów do przejrzenia na biurku i jeszcze te skargi, prośby w smutnych listach, które były pożywką fundacji „SOS”, założonej przez Kuronia. Zielonooka nie miała pojęcia, jak naprawiać świat ustawami, zarządzeniami, według paragrafów i ukazów. Przejęła fundację doraźnej pomocy, do której spływały

błagania o sprawiedliwość i ratunek. Pomagała konkretnym, pojedynczym nieszczęśliwym. Wzorem swojego szefa posiłkowała się własną audycją telewizyjną. Królowa nie miała pojęcia o medialnej robocie, ale co tam. Jakoś udawało się nieść pomoc, czasami fortelem...

*Szanowna Pani Rzecznik!*

*Uprzejmnie upraszam się Panią o pomoc.*

*Nazywam się Grzegorz Król, mam 47 lat i jestem powypadkowym inwalidą.*

*Dotychczas zamieszkiwałem w miejscowości (...) i byłem tam szczęśliwy, bo miałem pracę na Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego.*

*Jednakże spotkało mnie nieszczęście, bo uległem zdarzeniu, że mnie na kolei obcięto obie nogi.*

*Otrzymałem nawet w tej sprawie odszkodowanie i rentę, ale odszkodowanie przejęła moja żona (...).*

*I po pewnym czasie pozbyła się mnie z domu, co powiedziała, że nie będzie się zajmować kaleką na wózku.*

*Szukając wyjścia z tej sytuacji, przeniostałem się do mojej ciotki (...) do Warszawy i zamieszkałem z moją ciotką w mieszkaniu przy ulicy (...).*

*Ona się mną, powiedziała, że zaopiekuje i tak zrobiła. Jednakże moja ciocia zachorowała na raka mózgu i umarła.*

*Ja nie byłem zameldowany w wyżej wymienionym mieszkaniu i nie mam do niego prawa, żeby tam mieszkać i spółdzielnia mieszkaniowa Nowy Dom chce mnie z niego wyrzucić.*

*Piszę, bo nie wiem, co mam robić i może Pani rzecznik w swojej fundacji SOS będzie w stanie wiedzieć, co mam robić, żebym nie był wyrzucony na ulicę, bo jestem inwalida na wózku.*

*Może moja sprawa będzie w telewizji i znajdą się ludzie, co mnie pomogą. Załączam pozdrowienia i szacunek.*

*Grzegorz Król.*

- Spółdzielnia mieszkaniowa „Nowy Dom”, słucham.
- Elżbieta Ficowska, Ministerstwo Pracy i Polityki Socjalnej. Rzecznik ministra Jacka Kuronia.
- Taaak, słucham?
- Czy mogę rozmawiać z prezesem?

– Chwileczkę. Łączę.

Chwila ciszy. Jakieś intensywne szepty.

– Andrzej Turko, słucham.

– Czy mówię z panem prezesem?

– Tak.

– Nazywam się...

– Tak, wiem. Już sekretarka mi przekazała. W czym mogę pomóc, pani rzecznik?

– Dzwonię w imieniu ministra Kuronia...

– Tak, ministra Kuronia.

– I w swoim imieniu.

– Oczywiście, oczywiście. W czym mogę pomóc?

– Chodzi o pana Grzegorza Króla, inwalidę, którego chcecie państwo wyrzucić z mieszkania...

No i spółdzielnia mieszkaniowa „Nowy Dom” nie wyrzuciła pana Grzegorza z mieszkania. Bieta nie dzieli włosa na czworo. Szkoła mamy Bussoldowej.

Minister Kuroń był zbożnym człowiekiem, czułym, ale jednocześnie – romantycznym narwańcem. Kiedy to się wydarzyło? Może wtedy, gdy na posiedzeniu Ministerstwa padały propozycje uciszenia strajków? Bo jak to?: Polska odzyskała wolność dzięki robotnikom, a teraz ma ich uciszać? A może, gdy dowiedział się, że indywidualna działalność gospodarcza ma być objęta tytanicznym podatkiem? Bo jak to? Zachęcamy ludzi, by brali swój los we własne ręce, a skuwamy je fiskalnymi kajdanami? A może wtedy, gdy ktoś z rządu chciał storpedować ideę powoływania do życia sklepów z tanią używaną odzieżą. „Trzeba zakładać lumpeksy, aby także człowiek ubogi miał gdzie zrobić zakupy” – nawoływał Kuroń w swoich cotygodniowych telewizyjnych pogadankach, a tu jakaś menda wbita w garnitur od Bossa, chce wysadzić w powietrze jego filantropijny pomysł?

– Wydamy zarządzenie zwalniające lumpeksy ze wszystkich barier biurokratycznych. Prosta piłka i już.

– Panie ministrze... Bez zgody Ministerstwa Finansów to się nie uda – kontruje nieśmiało dyrektor departamentu pomocy socjalnej.

– Wydamy własne zarządzenie.

Bieta widzi, że twarz Kuronia robi się niebezpiecznie czerwona, więc sięga ukradkiem do teczki i wyławia z niej brązową saszetkę. Dyrektor

departamentu ciągnie swoją ripostę lepką niczym glut z nosa:

– Nie mamy takich prerogatyw.

Bieta nie spuszcza wzroku z pąsowej twarzy Jacka. Gdyby miała w oczach ciśnieniomierz, na skali świeciłoby sto osiemdziesiąt na sto dwadzieścia, puls ponad sto uderzeń na minutę.

– Jakich, kurwa, „prerogatyw”?! – piekli się Kuroń. – Jesteśmy Ministerstwem Pracy czy nie?

– Jesteśmy – pokornieje dyrektor departamentu.

– Dajemy pracę ludziom w lumpeksach, czy nie?!

Ciśnienie – dwieście na sto trzydzieści, puls zbliża się do stu dwudziestu.

– Dajemy. Ale takie są przepisy, panie ministrze.

– Jesteśmy Ministerstwem Polityki Socjalnej, czy nie?

– Jesteśmy.

– Tanie ubrania dla ubogich wchodzi w zakres polityki społecznej?!

– Wchodzi. Ale przepisy są przepisami.

– To przepisy są do dupy!

Minister pracy i polityki socjalnej zaraz padnie trupem. Nie ma co czekać. Bieta ukradkiem wyjmuje z brązowej saszetki garść pigułek, są furosemid i nitrogliceryna. Zielonooka biegnie wzdłuż ministerialnego stołu. Kuroń nadal coś peroruje o solidarności i sprawiedliwości, że, kurwa mać, ta pieprzona gra ekonomiczna, w której jedni wygrywają, drudzy przegrywają, ni cholery się nie sprawdzi, jeśli nie będzie się pamiętać o tych, którzy przegrywają, którzy do tej gry stanąć nie mogą. I tak dalej, i tym podobne.

– Jacek.

Kuroń patrzy przekrwionym wzrokiem na swoją rzecznickę. Bieta rozkazującym tonem kiwa głową, co znaczy: „otwórz buzię”. Minister przerywa rewolucyjny dytyramb na rzecz sprawiedliwości i solidarności. Otwiera buzię, połyka z dłoni pani rzecznik garść pigułek, w tym ozdrowieńcze furosemid i nitroglicerynę. Chce popić tabletki zabójczą więzienną herbatą. Bieta stanowczym gestem odsuwa termos.

– Nie.

Wszystkie departamenty Ministerstwa Pracy i Polityki Socjalnej patrzą. Czy będą plotkować o tym, że minister Kuroń je z dłoni swojej rzeczniczki? Oj, będą.

Zastępca Biety – ten którego na wstępie tej sekwencji ochrzciłem imieniem „Roman” – okazał się lojalnym współpracownikiem nowego rządu i wziął na siebie kompletowanie wystąpień prasowych pani rzecznik. Robił to z mistrzowską pedanterią, a zielonooka z wrodzonym sobie wdziękiem informowała media o poczynaniach Ministerstwa. Jak już wspomniałem, działania ministra w dżinsowej koszuli były niestandardowe, więc meldowanie miastu i światu postanowień Kuronia wymagało finezji. Z tym Bieta radziła sobie koncertowo. Fantastycznie potrafiła meandrować w labiryncie niedoskonałości raczkującego systemu.

Kiedyś zgłosiła się do niej matka ciężko chorego chłopca, któremu trzeba było zaaplikować niedostępne na rynku drogie, zagraniczne lekarstwo. Zielonooka nie załamała rąk. Miała już w zanadru gotowy fortel. Otóż od paru tygodni dobijał się do jej gabinetu reporter z francuskiego *Libération* z uniżoną prośbą o załatwienie wywiadu z ministrem Kuroniem. Niestereotypowy minister był idolem zachodnich lewicujących gazet. Ale na słowo „wywiad” ciśnienie skakało ministrowi do dwustu i pan minister miotał przekleństwami. Królowa obiecała francuskiemu dziennikarzowi wywiad za sprowadzenie niedostępnego w Polsce lekarstwa. Następnie wysłuchała kalumnii i powstrzymała szewską pasję ministra, rzekłszy:

– Albo wywiad i lekarstwo dla chorego dziecka, albo będziesz miał chłopca na sumieniu.

Litościwie pominę cytaty z kwiecistej riposty ministra. Wywiad się odbył. Obfity zapas lekarstw wylądował na Okęciu.

Gorzej było z całą tą ceremonialną etykietą, która przynależała stanowisku, jakie królowa musiała reprezentować w trakcie oficjalnych galówek. Do sztywnych uroczystości zielonooka nijak nie mogła się przyzwyczaić. Na przykład...

– Mam przecinać wstęgę? – brwi Biety Ficowskiej podnoszą się wysoko, jakby chciały podeprzeć ministerialny sufit. – Jacek. Ja się do tego nie nadaję. Sam sobie przecinaj wstęgę.

– Nie mogę, Bietko. Mam w tym czasie spotkanie ze związkami zawodowymi. Muszę gasić pożar. Pojedziesz z kierowcą.

– Sama pojedę swoim samochodem.

– Nie możesz. Będziesz mnie reprezentować. Musisz jechać lancją z kierowcą. Tego wymaga protokół.

Nowo otwarty Dom Samotnej Matki w Lublinie mieści się na ulicy Romantycznej. Lepszej nazwy nie można wymyślić dla tej opowieści. Bardzo romantycznie wyglądała pani rzeczniczka Elżbieta Ficowska przecinająca biało-czerwoną wstęgę. Oklaski, kwiaty, łzy wzruszenia, podniosłe dziękczynne mowy, cmoki w szacowną dłoń.

– Pani minister pozwoli, że zaprosimy ją na obiad.

Bieta dostaje dreszczy, słysząc tytuł „pani minister” i wcale, ale to wcale nie ma ochoty na oficjalną wyżerkę.

– Dziękuję serdecznie, ale nie chcemy robić kłopotu. Zjemy sobie coś z panem Józiem po drodze do Warszawy.

Przypisek: w tym czasie wzdłuż szos ustawiły się przydrożne jadłodajnie z grillem, karkówką, grochówką. Ale wracajmy do oficjalnego dyskursu.

– Po drodze? Pani minister... Kaszanka z grilla? A kto to jest pan Józio?

– Kierowca.

Pauza na krótką konstatację Biety: jeśli nie zgodzi się na oficjalny poczęstunek, uczyni afront gospodarzom. Więc zielonooka postanawia zostać na uroczysty obiad. Ale pod jednym warunkiem:

– Pan kierowca będzie mi towarzyszył, prawda?

Konsternacja. Pan Józio jest spięty jak agrafka. Łyżka drży z emocji. Pan Józio nigdy nie znalazł się w takiej sytuacji. I wtedy Bieta zdaje sobie sprawę, że właściwie wyrzuciła krzywdę nieszczęśnikowi, że i ona czuje się niezręcznie, że właściwie nie pasuje do tego ministerialnego świata. Kiedy wróci do domu, kiedy pocałuje w policzek drzemiącą nad podręcznikami do psychologii Anię, pójdzie do kuchni i sięgnie po srebrną łyżeczkę. Dotknie opuszką palca wygrawerowaną „Elżunię” i zamyśli się. Nie będzie zaglądał do jej westchnień. Tym bardziej, że w progu stoi Jerzy.

– Co robisz, Bietko?

– Nic.

Gdzieś zamajaczył miękki cień. Jeden, drugi, trzeci, czwarty. Piąty przyczał się w lekkim oddaleniu. Słysząc szepty:

– Mam nadzieję, że dziecko nie będzie płakać.

– Nie będzie. Uśpimy ją.

Bieta czuje, jak ciężki sen osiadł na jej powiekach. Odkłada łyżeczkę.

– Pani minister...

– Proszę mnie tak nie tytułować. Nie lubię tego.

– Oczywiście, przepraszam. To jak mam do pani się zwracać?

– Bieto.

– Pani Bieto. Jest taka ogromna prośba.

Wysłuchiwanie ogromnych próśb jest naturą zielonookiej. Mężczyzna ma na sobie marynarkę w elegancką kratkę, ale rękawy zawinięte nieelegancko do pół łokcia. Mokasyny z frędzelkiem, białe skarpetki. Samochodowe radio pewnie zostawił w szatni kawiarni klubu Związku Literatów. Bo tam przy Krakowskim Przedmieściu 87/89 rozgrywa się ta scena.

– Pani ma znajomości tutaj, prawda?

– To znaczy?

– No w Związku Literatów. Pani mąż to figura. A pani jest...

– O co chodzi? Konkretnie.

Mężczyzna chrząka.

– Wie pani, ja patrzę, jak się marnuje to miejsce. Ta stołówka już nie na dzisiejsze czasy. Tu ciągle pachnie Peerelem, a czasy mamy nowoczesne.

– A jaka jest prośba?

No i okazuje się, że mężczyzna w marynarce z zawiniętymi rękawami ma pomysł, jak literacką stołówkę pachnącą brzydko socjalizmem przemienić w restaurację pachnącą pięknie kapitalizmem. Trzeba tylko jakoś uzyskać zgodę od zarządu Związku Literatów, by pod dach Krakowskiego Przedmieścia 87/89 wkroczył nowy ustrój. Bieta uzyskuje powyższą zgodę. Pod jednym jednakże zasadniczym warunkiem: literaci będą się tu stołować po znacznie obniżonych cenach. Do stołówki wkracza mężczyzna – będę go od tego momentu nazywał „Ajentem” – i przemienia z wolna socjalizm w kapitalizm. Rusza remont.

– Pani minister... Przepraszam: pani Bieto.

– Słucham.

Ajent ma kwaśną minę.

– Niestety.

Wysłuchiwanie skarg jest również naturą zielonookiej królowy.

– Niech pan mówi.

– Zdjęliśmy warstwę tynku i nagle okazało się, że ściana jest nośna i trzeba ją wzmocnić, a to nam poszerza budżet.

– I?

– Pani tam ma znajomości w różnych bankach. To może dałoby się załatwić kredyt na to wzmocnienie.

Dało się załatwić. Agent dostał kredyt na kontynuowanie remontu.

– Pani Bieta.

– Słucham.

Agent ma bardzo kwaśną minę.

– Niestety.

– Niech pan mówi.

– Podłoga cała do wymiany, okazało się. Do spodu. Trzeba ją wzmocnić betonem, żeby się nie zawaliło. To nam poszerza budżet.

– I?

I Bieta poszła po prośbie do drugiego banku po kredyt dla Ajenta.

Wreszcie restauracja – prawie gotowa. To znaczy prawie. Bo...

– Pani Bieta.

– Słucham.

Agent ma bardzo, bardzo kwaśną minę.

– Moglibyśmy już zaraz otwierać, ale bez wyposażenia zaplecza nie ruszymy.

– To znaczy?

– To znaczy bez lodówek, zamrażarek, kuchni, blatów, garnków ani rusz. Bo co to za kuchnia bez kuchni, prawda?

– Proszę pana. Ja już wyczerpałam znajomości kredytowe.

– No to klops.

Bieta przykrywa zieleń oczu ciężkimi powiekami.

– Ile to wyposażenie może kosztować? Tylko już bez „poszerzania budżetu”

– Jakies będzie dwadzieścia tysięcy dolarów.

Bieta z trudem łapie oddech. Ale jakoś łapie. Dwadzieścia tysięcy dolarów, to są wszystkie oszczędności, jakie posiada rodzina Ficowskich. Nie pyta męża. Pożycza sumę. Na rok. Agent nie ma już ani odrobinę kwaśnej miny. Po dżentelmeńsku składa następującą propozycję: otóż pani Ficowska ma otwarty rachunek w restauracji. Ona i jej goście mogą się stołować za darmo.



- Pokwitować, pani Bieta, te dolary?
- Przecież sobie ufamy.

Restauracja otwarta! Dług niezwrócony mimo wielokrotnego upływu terminu. Jerzy tylko kiwa głową i w milczeniu spisuje dwadzieścia tysięcy rodzinnych dolarów na straty. Szczęście, że Ajent spłacił wszystkie kredyty bankowe.

Pewnego dnia – a było to złociste lato i restauracja wabiła swoich klientów precudnej urody ogródkiem – Bieta i jej przyjezdna przyjaciółka z Montrealu zasiadły w tymże ogródku i rozkoszowały się na koszt Ajenta przesmaczonym śniadaniem. Nagle królowna poczuła na sobie czyjś wzrok. Intensywny, gęsty, natarczywy, uparty. Odwraca się i widzi Cyganiątko. Chłopiec wlepił w nią spojrzenie, a oczy ma błyszczące i mokre.

- Chodź no tu.

Chłopiec podchodzi.

- Jesteś głodny?

Chłopiec chyba zrozumiał pytanie, bo kiwa głową. Bieta woła kelnera:

- Proszę pana. Proszę o kanapkę z szynką. Grubo tej szynki. I sok pomarańczowy z najpiękniejszą słomką, jaką macie.

Kelner najpierw jest trochę zdziwiony, ale zaraz uśmiecha się wytwornie.

- Oczywiście. Słomka będzie najpiękniejsza. Dla tego chłopca, prawda?

- Tak. I proszę dopisać do rachunku.

Kelner przynosi zamówienie, dopisuje sumę do rachunku Ajenta, chłopiec zajada kanapkę z grubą szynką, popija sokiem pomarańczowym przez słomkę, o jakiej nigdy nie śnił. I po chwili znika. Bieta wraca do rozmowy z przyjezdną przyjaciółką. I nagle... Nagle widzi wzrok kelnera wbity gdzieś w przestrzeń. Odwraca się w tamtą stronę: przed restauracją stoi kilkanaścioro Cyganiątek.

- Proszę pana. Piętnaście kanapek z szynką i piętnaście soków pomarańczowych ze słomkami.

- I dopisać do rachunku?

- Oczywiście.

Następnego dnia – a był to dzień równie miły i słoneczny – Bieta wraz z przyjezdną przyjaciółką postanowiły odwiedzić restaurację

u Literatów i zjeść śniadanie na koszt Ajenta. Niestety, do ogródka nie można było się dostać. Przed wejściem stał ogromny tłum Romów. Nie tylko dzieci, ale i rodzice, i dziadkowie, kuzyni, znajomi oraz nieznajomi.

– Pani minister... Przepraszam: pani Bieta.

– Tak?

– Tu jest dwadzieścia tysięcy dolarów. O, tu w kopercie.

## 68.

Tej nocy zielonooka królowna znów trzymała w dłoni swoją srebrną łyżeczkę i znów miała wrażenie, że towarzyszą jej przezroczyste fantomy. Z głębi niewiadomej dały się słyszeć szepty, jakby sam Pan Bóg przesypywał piasek między palcami. Stałem w drzwiach kuchni i z całej mocy pragnąłem wyłowić choćby najmniejszą cząstkę Jego istnienia. Ale moje zmysły były za słabe, by wyczytać tę obecność. Jedyne, co dało się wyśledzić, to były strzępki zdań i niewyraźne zarysy cieni:

– Jak pan będzie jechał?

– Najkrótszą drogą na Pragę. Kałuszyńska pięć. Będzie lepiej, kiedy zapomnicie o tym adresie.

Cień kobiety pochylił się nad zarysem drewnianej skrzynki, błysk srebra zajaśniał w lepkiem półmroku.

– Czyli przez wschodnią bramę przy Ogrodzie Krasieńskich?

– Czyli przez wschodnią bramę.

– Jak długo będzie pan jechał?

– Może jakie pół godziny, jeśli wacha mnie na dłużej nie zatrzyma. Mam nadzieję, że dziecko nie będzie płakać.

– Nie będzie. Uśpimy ją...

Cienie rozpierzchnęły się. W progu stał Jerzy i patrzył z miłością na zielonooką. Poeta podszedł do Biety, ujął jej dłonie. Delikatnie, tak, by nie wytrącić srebrnej łyżeczki. Omiótł żonę ciepłym wzrokiem. I milczał. Bieta chciała otworzyć usta, by uwolnić kilkanaście słów:

Jesteś. Dobrze, że jesteś. Przy tobie nie czuję się bezradna i słaba. Dajesz mi bezpieczeństwo. Nie wiem, czy zasługuję na twoje spojrzenie. Jerzy...

Ale nie trzeba było żadnych słów. Poeta ogarnął żonę ramieniem. Wyjął z jej dłoni łyżeczkę. Była ciepła, nasiąknięta gorącem. Jakby setki rąk jej dotykało. I wtedy zielonooka odezwała się:

- Ania już śpi, prawda?
- Tak. Była okropnie zmęczona sesją.
- Sesją... Prawda... Sesja... Egzaminy... Zapomniałam...
- Tak – odrzekł cicho poeta. – Chodź już spać, kochanie.

Na krótką chwilę jej dłonie zeszywniały. Bieta zaczerpnęła tchu, by wyrzucić z siebie:

- Rezygnuję z pracy w Ministerstwie.

Jerzy podniósł brwi.

- Jestem wam bardziej potrzebna. Tobie. I Ani. – Dodała po chwili: –  
J e s t e m.

Skinął głową. Przytulił. Odłożył srebrną łyżeczkę. Przez moment miał wrażenie, że ktoś stoi za jego plecami.

Stowarzyszenie Dzieci Holocaustu zostało założone w 1991 roku. Należą do niego dzieci żydowskie ocalałe z Zagłady. Są to prawie wyłącznie kobiety. Dlaczego los chciał, by dziewczynki bardziej zasłużyły na życie niż chłopcy? Bo chłopcy byli obrzezani. Nie umiem wytłumaczyć okrucieństwa i paradoksu przeznaczenia. Oprócz działalności społecznej i edukacyjnej „dzieci Zagłady” zajmują się mojrą. Ci najmłodszy świadkowie i uczestnicy unicestwienia leczą traumy i roztrzaskane przez los dusze, sztukują własną tożsamość, zastanawiają się, dlaczego im właśnie dane było przeżyć, a nie rodzicom, rodzeństwu, rodzinie. Myślą o tym do końca życia, walcząc z wyrzutami sumienia, że żyją. Jedni nie pamiętają swoich żydowskich bliskich i tym ponoć jest źle. Ale od czasu do czasu napadają ich nocne koszmary. Nawiedzają duchy zgładzonych rodziców. W tych snach matka i ojciec nie mają twarzy, pozostają przezroczyści i niewidzialni. Niepoznani. Drudzy, starsi, to ci, którzy zapamiętali twarze bliskich. Rodzice pojawiają się w marach jako nieprzeparta tęsknota i niespełnione życie. Są wśród „dzieci” tacy, którym odebrano tożsamość, ochrzczono bez pytania, by zachować wśród żywych. Są tacy, którym udało się uchronić żydowską identyczność. Mieli wystarczający zasób pamięci, znali modlitwy, zapach szabasowej wieczerzy, ale także słyszeli zdławiony krzyk podczas rozdzielania z matką. Nie ma wśród owych „dzieci” tych, którzy w ogóle nie wiedzą, że są ocalałymi z Zagłady i nigdy się nie dowiedzą, kim są

naprawdę. Czy to dobrze, czy źle? Nie wiadomo. Są wśród Dzieci Holocaustu najstraszliwsze ofiary ocalenia. Jak ta dziewczynka, kobieta, przyjaciółka zielonookiej, która zawdzięcza życie pewnemu mężczyźnie. Miała wtedy trzynaście lat. Wybawiciel ukrywał ją w stodole. I regularnie gwałcił. Dziewczynka do śmierci będzie sobie zadawała pytania: Dziękować czy przeklinać? Oprawca czy wybawiciel?... Rozsiani po świecie, od Polski po Izrael, od Ameryki, Kanady po Argentynę. Jest ich już tylko garstka. Zabrały „dzieci” do nieba swoje traumy, swoją roztrzaskaną niepamięć i źle sklejoną pamięć. Poszły tam szukać samych siebie.

Bieta należy do Stowarzyszenia Dzieci Holocaustu. Od 2002 do 2006 roku była jego przewodniczącą.

Dziewiątego maja 2006 roku był wtorek. Świt rozpoczął się o godzinie czwartej czterdzieści osiem i wróżył piękny dzień. Kartka z kalendarza głosiła następującą mądrość: „Chcąc doznać pełni szczęścia, trzeba je dzielić z kimś drugim” – Mark Twain. Bieta została w Warszawie, miała spotkanie w Stowarzyszeniu Dzieci Holocaustu. Jerzy chciał spędzić ten wiosenny dzień w Wildze, gdzie na niewielkiej działce Ficowscy wybudowali letniskowy domek. Stoi tam także kolorowy wóz cygański, a skromna posiadłość nosi nazwę Cyganówka. Poeta zasiadł na werandzie. Ogarnął wzrokiem zieleniejącą przestrzeń. Wsłuchał się w rześisty śpiew ptaków. Sięgnął po telefon komórkowy i wybrał numer żony. Odebrała po trzech sygnałach.

Jerzy?

– Posłuchaj, kochanie.

Wystawił telefon w stronę rozświergotanej zieleni.

– Słyszysz?

– Tak, kochany.

– Jestem szczęśliwy.

Poeta wyłączył się i umarł.

*JA*

*nijez podpisany*

*JERZY FICOWSKI*

*przenosząc się dnia 9 maja 2006 roku*

*do Wieczności*

*(wersja równouprawniona: do Nicości)*

*zakończyłem tutejszą egzystencję  
nie ukończywszy niczego  
zgodnie z Regulaminem Stwórcy  
i z odwieczną praktyką  
mieszkańców tego źle pomyślanego  
i jeszcze gorzej prowadzącego się świata  
– usilnie proszę  
moich Bliskich i moich Dalekich  
o błogosławieństwo uśmiechu  
i łaskę pogody ducha  
zamiast westchnień i smutku  
bowiem nie stało się  
nic nadzwyczajnego  
Za spełnienie tej prośby  
z góry wszystkim dziękuję  
i za kłopot przepraszam  
/-/Jerzy Ficowski  
Warszawa  
poza zasięgiem czasu<sup>[115]</sup>*

## 69.

Od 1993 roku Bieta jest teściową. Mąż Anny nazywa się Andrzej Teodorowicz. Jest wybitnym anglistą, pracuje w brytyjskiej kancelarii prawniczej jako tłumacz. Anna jako psycholog otaczała opieką kontrolerów lotniczych. Teraz zarządza Fundacją imienia Jerzego Ficowskiego. Fundacja trzyma pieczę nad spuścizną poety. Od 1995 roku Bieta jest babcią. W tym roku urodził się pierwszy wnuk Filip. Filip skończył studia ekonomiczne i prawo. Drugi wnuk przyszedł na świat w 1998 roku. Nazywa się Karol. Karol ma dwa dyplomy – filozofa i socjologa cyfrowego. W roku 2010 urodziła się wnuczka. Ma na imię Lili. To na pamiątkę kuzynki Lili Richman. Tak, tej, która z początku odrzuciła Bietę, bo przypominała jej Zagładę. Po latach zaprzyjaźniły się. Trzynastoletnia Lili jest mistrzem mowy polskiej, zdobywa dyplomy na olimpiadach matematycznych. Anna ma zielone oczy jak jej babka,

która została zabita w obozie pod Poniatową, Anna ma zielone oczy jak jej matka, która została wywieziona z getta w drewnianej skrzyneczce. Lili nie odziedziczyła koloru oczu po matce, babci i prababci. Ma swój własny kolor – niebieski. Kilka lat temu o Biecie Ficowskiej powstał komiks. Taka popkulturowa wersja ocalenia sześciomiesięcznej żydowskiej dziewczynki. Rodzina Ficowskich-Teodorowiczów jest kochającą się rodziną. Podobno ktoś kiedyś powiedział, że miszpucha stanowi opokę, na której można zbudować całą świątynię Salomona.

Na stole w salonie mieszkania Biety leży kolorowy komiks. Historia o dziewczynce o imieniu Elżunia, o drewnianej skrzynce, o srebrnej łyżeczce, o getcie, o śmierci i o życiu. Lili czyta tę historię uważnie. Od deski do deski. Mówi:

– Babiś. Już wiem, co to znaczy „kto uratuje jedno życie, jakby cały świat uratował”. Bo gdyby cię wtedy zabili, nie byłoby mamy na świecie. A jak nie byłoby mamy, to nie byłoby na świecie mnie, Karola i Filipa. A jakby nas nie było na świecie, to nie byłoby następnych...

Dawno, dawno temu... Nie. To było całkiem niedawno. Nad Warszawą, nad Mokotowem pojawił się długo niewidziany Pan Bóg. Wpłynął pod powieki zielonookiej królowny i uśmiechnął się trochę czułym, a trochę gorzkim grymasem.

– Gdzie byłeś? – spytała królowna.

Pan Bóg odpowiedział milczeniem.

– Wiem – kontynuowała zielonooka. – Byłeś tam, pod Poniatową.

Pan Bóg w pierwszej chwili pohamował się z odpowiedzią, lecz widać nie mógł długo utrzymać ust na kłódkę, bo wymruczał przez kształtne usta:

– Tak. Byłem pod Poniatową, byłem na Kałuszyńskiej, w Michalinie, w Otwocku, na „trasie” między Nowym Światem i Krakowskim Przedmieściem, w klubie u Literatów, na Belgijskiej i na koloniach nad Bugiem, byłem w mieszkaniu przy placu Inwalidów i w Miami byłem, byłem wszędzie.

– Dlaczego się nie ujawniłeś? – spytała królowna.

– No wiesz... – odrzekł tajemniczo Pan Bóg.

Zielonooka nie wiedziała, dlaczego Pan Bóg się nie ujawnił. Spojrzała w lustro. W odbiciu uśmiechała się do niej młoda dziewczyna o zielonym spojrzeniu. W pierwszej chwili królowna ucieszyła się, że nie

ma osiemdziesięciu jeden lat. Ale za moment jej oczy posmutniały, bo zdała sobie sprawę, że woli być taką, jaką jest. Świat wokół nie przystawał do tamtej młodości.

Lepiej niech będzie, jak ma być – pomyślała.

Jest we Wszechświecie taka wielka drabina, po której wchodzą do nieba ludzie wezwani przez Pana Boga. Zielonooka królowna zbliżyła się do tej drabiny i chciała postawić stopę na pierwszym szczeblu.

– A ty dokąd? Ej! Złaż stamtąd! Co ja mam z tobą! – zawołał Pan Bóg.  
– Jeszcze nie teraz! Jeszcze nie teraz. Poczekaj, Bieto.

\*

Biecie z miłością

*Pod Torą nadaremną  
pod uwięzioną gwiazdą  
urodziła cię matka*

*masz dowód na nią  
niezbity nie zabity  
bliznę pępka  
znak rozstania na zawsze  
które cię nie zdążyło zabołeć*

*to wiesz*

*Potem spałaś w tobołku  
wyniesionym z getta  
ktoś powiedział że w skrzynce  
skleconej gdzieś na Nowolipiu  
z dopływem powietrza  
bez dopływu strachu  
ukrytej w wozie z cegłą*

*Wymknęłaś się w tej trumience  
zbawiona ukradkiem  
z tamtego świata na ten świat  
aż na aryjską stronę*

*i ogień zajął  
pusty kąt po tobie*

*Więc nie płakałaś  
płacz bywał śmiertelny  
luminal cię usypiał  
swoją kołysanką  
I prawie cię nie było  
żebyś mogła być*

*A matka  
ocalona w tobie  
mogła już wstąpić w tłumną śmierć  
szczęśliwie niecała  
mogła zamiast pamięci dać ci  
na odjezdne  
podobieństwo do siebie  
i datę i imię*

*aż tyle*

*I zaraz się zakrzętnął  
koło twego snu  
ktoś przygodny naprędce  
i został już na długie zawsze  
i obmył cię z sieroctwa  
i spowinął w miłość  
i stał się odpowiedzią  
na twoje pierwsze słowo*

*To twoje matki obie  
nauczyły cię  
tak nie dziwić się wcale  
kiedy mówisz  
J e s t e m<sup>[116]</sup>*



# PODZIĘKOWANIA

Dziękuję Biece Ficowskiej, za to, że zechciała podzielić się ze mną swoim życiem. Dziękuję Andrzejowi Krakowskiemu, który mnie skontaktował z bohaterką tej powieści. Dziękuję Markowi Jannaszowi i wszystkim przyjaciołom z wydawnictwa „Lira”, którzy zareagowali entuzjastycznie, gdy przedstawiłem im pomysł napisania tej książki. Dziękuję Jerzemu Ficowskiemu za szczegółowe archiwum nieznannej historii ocalenia Biety, które zgromadził z miłością i pietyzmem. Dziękuję Annie Ficowskiej-Teodorowicz za wysiłek i serdeczność, z jaką prowadzi fundację imienia jej ojca. Dziękuję Barbarze Engelking i Jackowi Leociakowi za nieocenioną książkę *Getto warszawskie. Przewodnik po nieistniejącym mieście* (Wydawnictwo IFiS PAN, Warszawa 2001), z której korzystałem odtwarzając „nieistniejące miasto”. Dziękuję wszystkim, którzy przyczynili się do powstania tej powieści. Dziękuję tym, którzy odczytają sens słowa „Jestem”. Dziękuję Panu Bogu – jeśli istnieje – że Bieta „nie dziwi się wcale, kiedy mówi J e s t e m”.

Cezary Harasimowicz  
14 lipca 2023



*Bieta Ficowska, 2023*





*łyżeczka Elżuni*



*1. Stanisława Bussoldowa, polska mama*

*2. Max Richman, żydowski dziadek*



*Pamiątki z domu Biety*

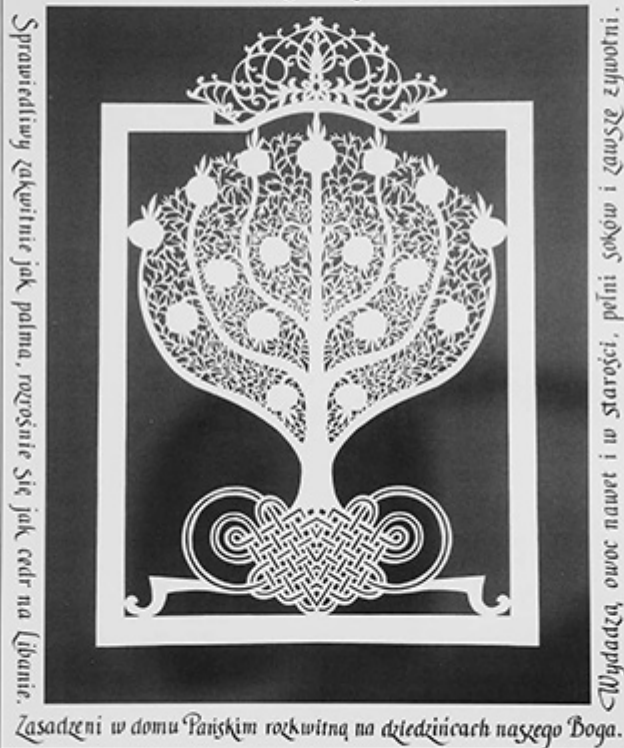


Dyplom uznania dla Stanisławy Bussoldowej, przyznawany przez Yad Vashem Sprawiedliwym  
Wśród Narodów Świata



Dla uczczenia tych, którzy przysli z pomocą,  
*Stanisława Bussoid*  
z podziwem i wdzięcznością,  
Polish / American / Jewish Alliance for Youth Action

Warszawa 2005



Psalm 92, 13-15

Sprawiedliwi Wszech Narodów Świata mają w Jerozolimie swoje drzewa. Reprodukowana powyżej wycinanka, którą wykonała Marta Golub, jest symbolicznym przedstawieniem takiego drzewa. Widoczne na drzewie symbolizuje także pamięć - siedemnaścioro świeczek. Połączone korzenie oznaczają wierność. Drzewo zwieńczone jest żydowską Koroną Dobrego Imienia.

Dyplom „Dla uczczenia tych, którzy przysli z pomocą” dla Stanisławy Bussoldowej





*Der Präsident  
der  
Bundesrepublik Deutschland*

Berlin, den 9. Mai 2023

Frau  
Elzbieta Ficowska

Warschau

Sehr geehrte Frau Ficowska,

nach meiner Rückkehr aus Warschau möchte ich mich, auch im Namen meiner Frau, sehr herzlich bedanken, dass Sie sich am Vormittag des 19. April die Zeit für ein Gespräch mit uns genommen haben.

Ihre Worte haben meine Frau und mich tief bewegt. Dass Sie Ihr Herz geöffnet und Ihre Geschichte mit uns geteilt haben, empfinde ich als Geschenk, das ich nur erhoffen, aber nicht erwarten konnte. Unser Gespräch wird meiner Frau und mir für immer in Erinnerung bleiben.

Ihre Erzählungen und Erinnerungen sind uns ein eindringlicher Auftrag, uns weiterhin gegen Nationalismus, Antisemitismus und Rassismus einzusetzen. Haben Sie auch vielen Dank für das Bild von Frau Irena Sendlerowa, Ihrer Retterin, deren heldenhafter Einsatz für jüdische Kinder und Jugendliche unsere größte Anerkennung verdient.

Wir werden an die Gerechten unter den Völkern und an Sie, liebe Frau Ficowska, immer denken, wenn wir das Bild in Zukunft betrachten. Wir wünschen Ihnen von Herzen alles Gute.

Mit freundlichen Grüßen

*Frank-Walter Steinmeier*

*List do Elżbiety Ficowskiej od Franka-Waltera Steinmeiera, prezydenta Niemiec*

Tłumaczenie

Prezydent Republiki Federalnej Niemiec

Berlin, dnia 9 maja 2023 roku

Pani  
Elżbieta Ficowska

Warszawa

Szanowna Pani,

po moim powrocie z Warszawy chciałbym bardzo serdecznie, również w imieniu mojej żony, podziękować Pani za to, że przed południem w dniu 19 kwietnia znalazła Pani czas na rozmowę z nami.

Moją żonę i mnie głęboko poruszyły Pani słowa. To, że otworzyła Pani przed nami swoje serce i podzieliła się z nami swoją historią, odczuwam jako dar, na który mogłem mieć tylko nadzieję, ale którego nie mogłem oczekiwać. Rozmowa z Panią na zawsze pozostanie w pamięci mojej żony i mojej.

Pani opowieści i wspomnienia stanowią dla nas pilne wezwanie, by w dalszym ciągu angażować się przeciwko nacjonalizmowi, antysemityzmowi i rasizmowi. Bardzo dziękujemy Pani również za obraz pani Ireny Sendlerowej, która Panią uratowała i której bohaterskie zaangażowanie na rzecz żydowskich dzieci i młodzieży żydowskiej zasługuje na nasze największe uznanie.

Droga Pani, gdy będziemy w przyszłości spoglądać na ten obraz, będziemy zawsze myśleć o Sprawiedliwych wśród Narodów Świata i o Pani. Życzymy Pani z całego serca wszystkiego dobrego.

Z wyrazami szacunku

podpis: Frank-Walter Steinmeier

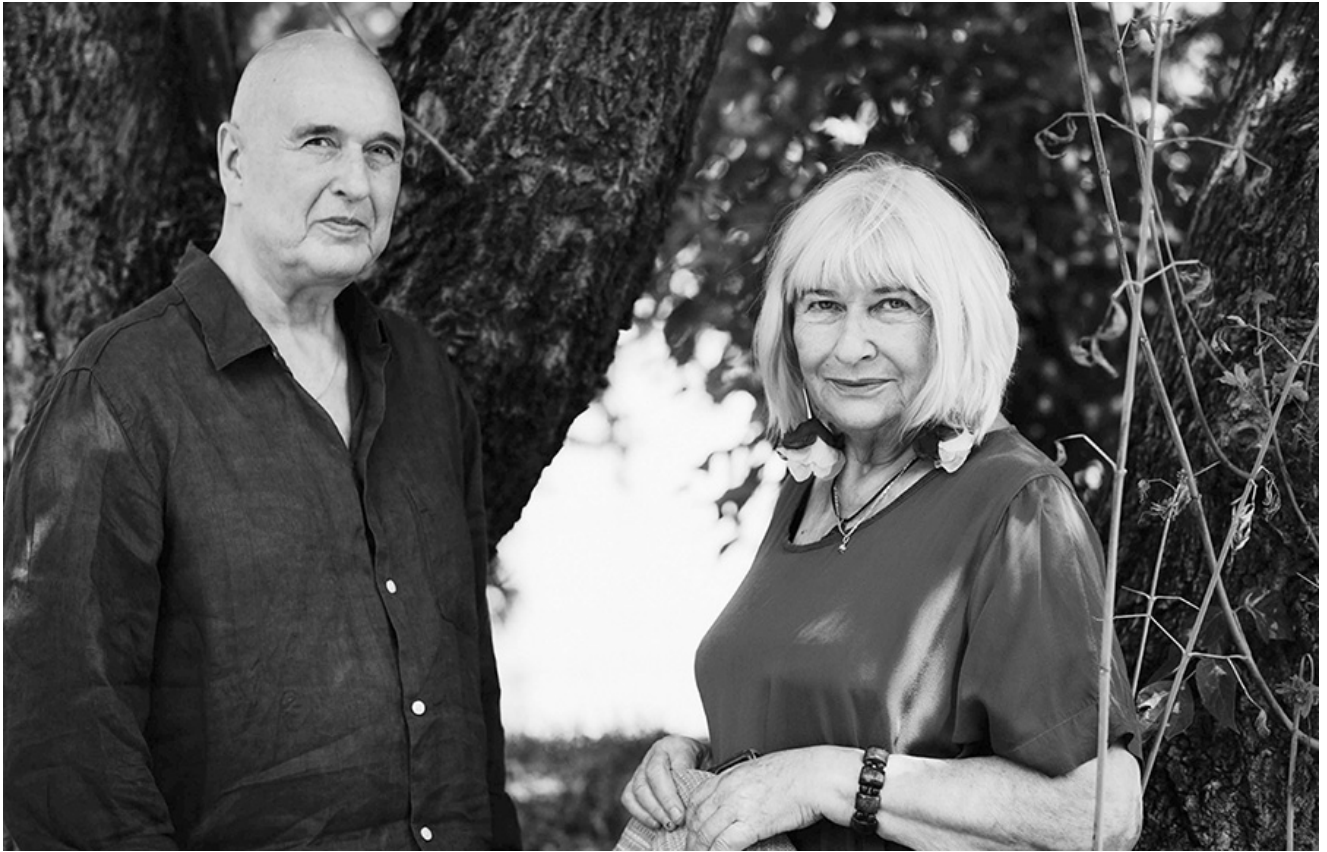
*Tłumaczenie listu do Elżbiety Ficowskiej od Franka-Waltera Steinmeiera, prezydenta Niemiec*



*Bieta Ficowska i autor podczas pracy*







*Autor i Bieta*

# Przypisy

- [1] w judaizmie: ceremonia odprawiana na początku szabatów lub innego święta dla oznajmienia czasu sakralnego
- [2] Niech tak będzie. (jid.)
- [3] nakrycie głowy noszone przez zamężne Żydówki
- [4] Już. (jid.)
- [5] Wszyscy wyjść. (jid.)
- [6] (...) moje dziecko. (jid.)
- [7] żydowski modlitewnik
- [8] całość przepisów prawnych i religijnych oraz reguł postępowania normujących życie wyznawców judaizmu
- [9] rodzina lub grupa przyjaciół, będących jak rodzina
- [10] Ssij (...) (jid.)
- [11] Tak, mój kochany. (jid.)
- [12] Co będzie z Elżunią? (jid.)
- [13] Co się stało, kochanie? (jid.)
- [14] Pokaż. (jid.)
- [15] pozwolenie na pracę
- [16] *Psalm 122 z Księgi Psalmów*, przeł. Czesław Miłosz
- [17] *Psalm 122 z Księgi Psalmów*, przeł. Czesław Miłosz
- [18] Bądź zdrowy. (jid.)
- [19] Zaświadczenie o zatrudnieniu i papiery. (niem.)
- [20] Co masz w plecaku? (niem.)
- [21] Wchodź. (niem.)
- [22] Nazwisko? (niem.)
- [23] (...) panie dyrektorze. (niem.)
- [24] Ile masz lat? (niem.)
- [25] Chodź ze mną. (niem.)
- [26] Dlaczego? (niem.)
- [27] Nie. (jid.)
- [28] w judaizmie: kawałki pergaminu z napisanymi ręcznie wersetami Tory umieszczone w dwóch skórzanych pudełeczkach
- [29] w liturgii żydowskiej: szata (szal) dorosłych mężczyzn noszona w czasie modlitwy i uroczystości kultowych

- [30] O co chodzi? (jid.)
- [31] Dosyć. (jid.)
- [32] Stój spokojnie. (jid.)
- [33] Dobrze, dobrze. (jid.)
- [34] Chodź, chodź tutaj, Żydzie. (niem.)
- [35] Nożyczki. (niem.)
- [36] Siadaj. (jid.)
- [37] Co robisz? (jid.)
- [38] w judaizmie: modlitwa wieczorna
- [39] *Nikt, tylko ty*, muz. Arthur Johnston, sł. polskie Marian Hemar
- [40] Co się stało, mamó? (jid.)
- [41] Dzień dobry. (jid.)
- [42] Oczywiście, oczywiście. (jid.)
- [43] Śpij, moja kochana. (jid.)
- [44] Co to jest? (jid.)
- [45] Widzę. (jid.)
- [46] Nie. (jid.)
- [47] Niedobrze. (jid.)
- [48] urząd pracy w nazistowskich Niemczech
- [49] Poczekajcie chwilę. (jid.)
- [50] (...) wynocha! (niem.)
- [51] Spokojnie... (jid.)
- [52] Bzdury! (jid.)
- [53] Moja kochana... (jid.)
- [54] straż zakładowa
- [55] Dokąd?! (niem.)
- [56] Tak, mamó. (jid.)
- [57] Proszę. (niem.)
- [58] No, dalej! Już stąd! (niem.)
- [59] nadzorca
- [60] jedna z najważniejszych i najczęściej odmawianych modlitw w liturgii żydowskiej
- [61] Dokąd idziesz? (jid.)
- [62] Czekaj. (jid.)
- [63] strażnik
- [64] Nie, proszę. (jid.)
- [65] *Psalm 122 z Księgi Psalmów*, przeł. Czesław Miłosz



- [66] Dokąd? (niem.)
- [67] Ani kroku! (niem.)
- [68] Stać! (niem.)
- [69] brygadziści
- [70] Jerzy Ficowski, *Twoje matki obie*
- [71] *Nowy Testament, Ewangelia wg św. Mateusza*, rozdz. 5, w. 37
- [72] Czyje to futro? (ros.)
- [73] Moje. (ros.)
- [74] Teraz będzie moje. (ros.)
- [75] Jerzy Ficowski, \*\*\*
- [76] Oryginalne nazwisko Koper było w dokumentach kilkakrotnie zmieniane. (przyp. aut.)
- [77] United Nations Relief and Rehabilitation Administration (UNRRA) – międzynarodowa organizacja działająca w latach 1943–1947, niosąca pomoc ekonomiczną ludności krajów zniszczonych przez wojnę
- [78] Marta Mirska, *Piosenka przypomni ci*, muz. i sł. Zbigniew Maciejowski
- [79] Zionist Organization of America (ZOA) – Syjonistyczna Organizacja Ameryki, utworzona w 1897 r. w Stanach Zjednoczonych
- [80] *Przyjaźń młodości*, pieśń masowa, muz. Anatolij Nowikow, sł. autor nieznany
- [81] Albert Camus, *Obcy*, przeł. Maria Zenowicz
- [82] Albert Camus, *Upadek*, przeł. Joanna Guze
- [83] Albert Camus, *Obcy*, przeł. Maria Zenowicz
- [84] Albert Camus, *Dżuma*, przeł. Joanna Guze
- [85] dzień rozpoczynający rok żydowski
- [86] *Głos Ludu* – żydowskie pismo w językach jidysz i polskim, ukazujące się w latach 1946–1991
- [87] Stanisław Swen Czachorowski, *Erotyk u trześni*
- [88] Stanisław Swen Czachorowski, *Muza erotyku*
- [89] Elżbieta Bussold, *Stara cerkiew*
- [90] Jerzy Ficowski, *Całe wszystko*
- [91] Bruno Schulz, *Sklepy cynamonowe*
- [92] Bruno Schulz, *Sanatorium pod Klepsydrą*
- [93] Bruno Schulz, *Sklepy cynamonowe*

- [94] Jean-Paul Sartre, *Byt i nicość. Zarys ontologii fenomenologicznej*, przeł. Jan Kiełbasa [i in.]
- [95] Ewa Demarczyk, *Tomaszów*, muz. Zygmunt Konieczny, sł. Julian Tuwim
- [96] Jerzy Ficowski, *Całe wszystko*
- [97] Jerzy Ficowski, *Rzeka* – fragment tego wiersza posłużył za słowa piosenki *Naga rzeka* grupy Dżamble, muz. Jerzy Horwath, Andrzej Zaucha, sł. Jerzy Ficowski
- [98] Jerzy Ficowski, *Rzeka*
- [99] Jerzy Ficowski, *Twoje matki obie*
- [100] siódmy miesiąc kalendarza żydowskiego
- [101] jedno z najważniejszych świąt w judaizmie, przypadające na dziesiąty dzień miesiąca tiszri
- [102] *Stary Testament, Księga Kapłańska*, rozdz. 23, w. 30
- [103] inaczej cheder – żydowska szkoła religijna, w której prowadzono nauczanie na poziomie elementarnym
- [104] nauczyciel w chederze
- [105] Precz! (jid.)
- [106] Precz, uliczniku! (jid.)
- [107] wiele znaczeń, m.in.: łobuz, ulicznik, także pejoratywne określenie nie-Żyda lub młodego Żyda nieprzestrzegającego tradycji
- [108] furman żydowski
- [109] z archiwum Elżbiety Ficowskiej (przyp. aut.)
- [110] Krzysztof Krawczyk, *Parostatek*, muz. Jerzy Milian, Krzysztof Krawczyk, sł. Tadeusz Drozda
- [111] *Podanie czyli wakacje w Sosnowiance*, opublikowane przez Elżbietę Ficowską pod pseudonimem Irena Borowiecka w 5 numerze „Kultury” z 1978 roku
- [112] Irena Borowiecka [Elżbieta Ficowska], *Podanie czyli wakacje w Sosnowiance*, „Kultura” 1978, nr 5
- [113] Harry Nilsson, *Everybody’s Talkin*, muz. i sł. Fred Neil
- [114] Harry Nilsson, *Everybody’s Talkin*, muz. i sł. Fred Neil
- [115] nagrobne epitafium Jerzego Ficowskiego
- [116] Jerzy Ficowski, *Twoje matki obie*

Uratowana z warszawskiego getta – najmłodsze dziecko ocalone dzięki Irenie Sendlerowej. Córka dwóch matek, żydowskiej i polskiej. Z wykształcenia – pedagog, z wyboru – dusza rogata. Żona poety, Jerzego Ficowskiego. Działaczka antykomunistycznej opozycji. W wolnej Polsce doradczyni i rzeczniczka prasowa ministra Jacka Kuronia.

Oto niepokorna Elżbieta Ficowska (ur. 1942), sportretowana w książce Cezarego Harasimowicza, który ze swoją bohaterką odbył wiele pasjonujących rozmów. „Bieta” nie jest jednak biografią. „Bieta” jest powieścią. Powieścią czułą, choć niekliwą; dramatyczną, ale i dowcipną. Powieścią o kobiecie, w której losie lub przeznaczeniu, jak zwał tak zwał, odciska się historia narodów na wieki ze sobą związanych, żydowskiego i polskiego.

cena: 59,99 zł  
(w tym 5% VAT)

ISBN: 978-83-67915-53-3



9 788367 915533 >

[www.wydawnictwolira.pl](http://www.wydawnictwolira.pl)

**LIRA**  
WYDAWNICTWO